

KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

79

Herbert

Beckett

Hartwig

Szuber

Chwin

Głowiński

Giedroyc

Giacometti

Leiris

ZESPÓŁ:

Adam Bednarek, Jan Błoński, Stefan Chwin, Aleksander Fiut,
Michał Głowiński, Marek Kędzierski, Julian Kornhauser, Leszek Szaruga

REDAKCJA:

Krzysztof Myszkowski – redaktor naczelny
Paweł Tański – sekretarz redakcji
Barbara Dąbrowa – biuro redakcji

Zbigniew Herbert	6	Kamień w Jeruzalem
Samuel Beckett	11	Nienazywalne (fragment)
Julia Hartwig	21	<i>Odjęta była jedyność</i>
	22	Tylko współczesny artysta
Julia Hartwig	23	Dziennik (fragment)
Janusz Szuber	35	Siedem miniatur dla Leszka Róźgi
Stefan Chwin	39	Ukraiński (fragment powieści)
Bogusław Kierc	53	Niby Rdz 32, 25–31 // Ta kartka
	54	Przelotne // Cavallini
	55	Wróble
Michał Głowiński	57	Wędrówka
Jacek Łukasiewicz	68	Ciała (ekspozycja)
	69	Abraham Corneliusz Begayn (1635 Lejda–1657 Berlin): <i>Stilleben mit Distel und Vogel</i>
	70	Hendrick Avercamp (1585–1634) <i>Kupferstichkabinett</i> , <i>Kolorowe rysunki</i> (wystawa)

MOI MISTRZOWIE

Janusz Szuber	71	
Leszek A. Moczulski	73	
Renata Gorczyńska	74	
Jerzy Giedroyc	79	Listy do Renaty Gorczyńskiej
Kazimierz Brakoniecki	104	Stopy Jezusa na sklepieniu kościoła ewangelickiego w Sorkwicach // Do Wenus i Jowisza
	105	Czaple kołujące nad jeziorem Kielarskim

PO CO LITERATURA?

Kazimierz Brakoniecki	106
Krzysztof Lisowski	108
Krystyna Rodowska	109

Agnieszka Kosińska	113	Czas i los (fragment)
Krystyna Rodowska	120	<i>Arcanum</i>
	121	Kot Dialogu // Paradoks królem
	122	Bez wydruku // Krotoczwila
Iwona Smolka	123	Na uwięzi rzeczy niewidzialnych
Susana Szwarc	131	Na straży
Ivan Oñate	133	Psychoanaliza szczęścia
	134	Kości Cezara Vallejo
	135	<i>Ars Poetica</i>
Paweł Tański	137	U podstaw liryki Władysława Sebyły
Krzysztof Lisowski	143	Kenoma
	144	Noc w zimie
	145	O czym będziemy rozmawiać przy Wigilii?
Janusz Skuczyński	147	W stronę pytań o wspólnotę
Piotr Piaszczyński	160	<i>Stille Nacht</i> // Kościół sióstr Klarysek w Kolonii
	161	<i>Apocalypse Now!</i>
Alberto Giacometti	163	Trzy teksty
Michel Leiris	173	Alberto Giacometti

VARIA

Stefan Chwin	176	Wprowadzenie do dyskusji „Zło – doświadczenie i literatura”
Michał Głowiński	180	Małe szkice
Krzysztof Myszkowski	183	Addenda (30)
Leszek Szaruga	192	Jazda (27)
Piotr Szewc	197	Z powodu i bez powodu (32)

RECENZJE

Julia Hartwig	203	Celan Krynickiego
Piotr Sobolczyk	206	Gombrowicz bez marynarki i z marynarzem
Maciej Wróblewski	214	Dar życia i „grzech istnienia”
Anna Nasiłowska	219	Herbert – przyjaciel
Noty o autorach	229	
Noty o książkach	232	
Nowe książki	246	

Dnia 15 sierpnia 2013 roku zmarł w Nicei



Sławomir Mrożek

pisarz

R. I. P.





ZBIGNIEW HERBERT

Kamień w Jeruzalem

Obojętny
wobec losów
swoich doczesnych członków

zupełnie
obojętny
wobec losów
pozostawionych
w nieładzie
rękopisów

chciałbym
jeśli to
nie za duży
zaszczyt
mieć grób w
Jeruzalem

wśród
oliwek
innych kamieni
na pagórku
na pokuszenie
słońca

niech
jeśli łaska
zjawią się
na pogrzeb
Dawid mój

cierpliwy nauczyciel
mowy proroków
a także Jehuda
poeta
lew Judei

mój brat
Dan nie przyjdzie
bo umarł
a zatem jest mi bliski
na wieczność

a także
paru przyjaciół z Polski

proszę o
kadisz
w mowie
moich przodków
mego
przyjaciela Ala
niech powie
z pamięci jeśli łaska

poeta Rühmkorf z Hamburga
niech odczyta
w swojej zimnej
pracowni
na ostatnim piętrze
brzydkiej kamienicy
swój wiersz

.....

poeta Josif Brodski
niech [się] weseli
i życzy mi spokoju

Kasię – która była mi wierna
niech da św. Annie Boskiej
na chleb dla ubogich
bo nie czyniłem [tego?]
za życia
dostatecznie często

myślę że nie pominąłem nikogo

Nota

Brulion (jedyne zachowany autograf) wiersza *Kamień w Jeruzalem* znajduje się w Notatniku 141 (strona 43), opisanym na okładce ręką poety: 1990/91 VIII Paryż / BERLIN NIZZA. Poza datą „1990” opis jest prawie nieczytelny, zapewne dlatego Inwentarz Archiwum Zbigniewa Herberta jedynie ją podaje w opisie. Zresztą sam rękopis jest na tyle trudno czytelny, że tytułu: *Kamień w Jeruzalem* nie ma w Indeksie utworów Zbigniewa Herberta.

W notatniku ten niedokończony wiersz znajduje się pomiędzy rękopisami utworów *Contra Augustinum Pontificem In Terra Nubica Percatorem In Purgatorio* (napisanego w Ferrarze 20/21 X 1990) i *Rovigo*, napisanego również w październiku tego roku, podczas dwudziestodniowej (sądząc z zapisu na stronie 49 verso) podróży poety po Włoszech. Można by z tego wnioskować, iż *Kamień w Jeruzalem* został napisany także w tym czasie, chociaż bardziej prawdopodobne wydaje mi się, że powstał raczej w czasie podróży Herberta do Jerozolimy (koniec kwietnia/maj 1991 roku) lub wkrótce po powrocie do Paryża, latem tego roku, podobnie jak pozostały także jedynie w rękopisie utwór *** (*Szukam wierszy Dana Pagisa...*) (zob. *Utwory rozproszone/Rekonesans*, s. 280 oraz przypis, s. 411).

Dawid – to jak łatwo się domyślić David Weinfeld, tłumacz poezji autora *Pana Cogito* na język hebrajski; Jehuda i Dan to Jehuda Amichaj (1924–2000) oraz Dan Pagis (1930–1986), izraelscy poeci, bliscy Herbertowi. Al – to zapewne Aleksander Schenker, adresat dedykacji w wierszu *Mittleuropa* w tomie *Rovigo*, w którym mogłyby się znaleźć również utwory *** (*Szukam wierszy Dana Pagisa...*) i *Kamień w Jeruzalem*, gdyby zostały ukończone. Natomiast „poeta Rühmkorf z Hamburga” to oczywiście Peter Rühmkorf (1929–2008), niemiecki poeta i esekista, w Polsce, jak dotąd, mało znany.

R.K.



SAMUEL BECKETT

Nienazywalne
(fragment)

w przekładzie Marka Kędzierskiego

Nie będę sam, na początku. Rzecz jasna, jestem sam. Sam. Krótkie słowo. Prędko się mówi. Trzeba mówić prędko. Bo w tej ciemności nic nie wiadomo. Wymyślę sobie jakieś towarzystwo. Na początek. Jakieś kukły. A następnie je zlikwiduję. Jeśli mi się uda. A przedmioty, jaką postawę przyjąć w stosunku do przedmiotów? Przede wszystkim, czy są w ogóle potrzebne? Co za pytanie. Nie ukrywam wszakże, przed sobą, że bez nich chyba się nie obędzie. Lepiej jednak przedwcześnie nie wyrokować, na ten temat. Jeśli jakiś przedmiot pojawi się na horyzoncie, z tego czy innego powodu, wezmę go pod lupę. Tam gdzie są ludzie, jak to się mówi, są i rzeczy. Czy oznacza to, iż zakładając istnienie tych pierwszych, trzeba również zakładać istnienie drugich? Jeszcze zobaczymy. To się jeszcze okaże.

Należy się tylko wystrzegać, zresztą nie wiem, z jakiego powodu, metodyczności. Ludzie i rzeczy, ludzie bez rzeczy, rzeczy bez ludzi – czy to ważne? – grunt, żebym ich wszystkich przepędził na cztery wiatry, kiedy tylko mi się spodoba, w jednej chwili. Tylko jak to uczynić, nie wiem. Najprościej byłoby nie zaczynać. Ale muszę zacząć. To znaczy, muszę kontynuować. Jak tak dalej pójdzie, skończę w jakimś Kafarnaum, pośród gawiedzi, chodzącej wciąż tam i z powrotem. Cisną się jak na bazarze. Nie, bez obawy, spokojna głowa.

Jest i Malone. Z jego morderczej żądzы życia pozostał zaledwie ślad. Zjawia się przede mną w raczej regularnych odstępach czasu, chyba że to ja zja-

Samuel Beckett, *L'innommable*, Editions de Minuit, Paris 1953, s. 8–22; inne fragmenty ukazały się w „Kwartalniku Artystycznym” 1999 nr 4 (24), 2006 nr 3–4 (51–52), 2007 nr 1 (53), 2008 nr 4 (60), 2012 nr 4 (76).

wiam się przed nim. Nie, ja jestem unieruchomiony, raz na zawsze. Zjawia się nieruchomy.

Ale nie będziemy się tu zanadto rozwodzić o Malone, niczego już po nim nie warto oczekiwać. Ja natomiast nie zamierzam tu się nudzić. To jego obserwując, zacząłem się zastanawiać, czy my może rzucamy cień. Nie sposób stwierdzić. Krąży niedaleko mnie, zaledwie kilka stóp, powoli, zawsze w tę samą stronę. Jestem prawie pewien, że to on. Najlepszym dowodem ten jego kapelusz bez ronda. Dłońmi podpira sobie szczęki. Krąży, słowem się do mnie nie odzywając. Może mnie nie widzi. W najbliższych dniach zażądam od niego wyjaśnień, powiem mu... nie wiem co, coś wymyślę, na poczekaniu, zależnie od chwili. Tu nie ma żadnych dni, posługuję się jedynie takim określeniem. Widzę go od głowy po pas. Kończy się w pasie, dla mnie. Korpus ma wyprostowany. Ale nie wiem, czy stoi, czy kłęczy. A może siedzi. Widzę go z profilu. Czasami zastanawiam się, czy to aby nie Molloy. Może to Molloy, w kapeluszu Malone'a. Rozsądniej wszakże założyć, że to Malone, we własnym kapeluszu. No proszę, mamy już pierwszy przedmiot, kapelusz Malone'a. Żadnego innego ubrania na nim nie widzę. Co do Molloya, to pewnie go tu nie ma. Gdyby był, musiałbym o tym wiedzieć. Zgoda, to miejsce jest dosyć rozległe. Światła chwilami słabną, co sugerowałoby raczej duże odległości. Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że są tu wszyscy, a na pewno począwszy od Murphy'ego, wydaje mi się, że jesteśmy tu wszyscy, choć do tej pory widziałem tylko Malone'a. Inna hipoteza: byli tu, ale już ich nie ma. Zbadam to, własnym przemysłem. Czy są jeszcze jakieś głębsze pokłady? Do których tędy wiedzie droga? Ta nedorzeczna mania głębi. Czy przewidziano dla nas inne miejsca, których to, w którym jestem, wraz z Malonem, stanowi jedynie rodzaj narteksu? A taki byłem przekonany, że nowicjaty mam już za sobą. Nie nie, wiem, że tylko tu zawsze byliśmy, na zawsze zostaniemy.

Nie będę już sobie zadawał żadnych pytań! Czy to aby nie jest miejsce, w którym człowiek ostatecznie się rozplywa? Czy nadejdzie wreszcie dzień, kiedy Malone już się przede mną nie pojawi? Czy nadejdzie dzień, kiedy Malone będzie krążył wokół miejsca, w którym ja już nie jestem, tylko byłem? Czy nadejdzie dzień, w którym ktoś inny będzie krążył wokół miejsca, w którym ja już tylko byłem? W tej kwestii nie mam własnego zdania.

Gdyby nie to, że nie mam uczuć, jego zmierzwiona broda wzbudziłaby moją litość. Z podbródka po obu stronach zwisają mu dwa cienkie warkoczce

nierównej długości. Czy i ja kiedyś tak się kręciłem? Nie, ja zawsze siedziałem tu, w tym miejscu, z dłońmi na kolanach, patrząc przed siebie jak udzielny książę w wolierze. Strumienie łez leją mi się po policzkach, a ja nie muszę mrużyć oczu. Z jakiego powodu tak płaczę? Od czasu do czasu. Przecież nie ma tu niczego, co by mogło mnie zasmucić. To może mózg zamienia się w płyn? Tak czy inaczej, minione szczęście doszczętnie ulotniło się z mej pamięci, jeśli w ogóle kiedyś miało okazję tam zabawić. Jeśli spełniam inne funkcje naturalne, to tylko bezwiednie. Nic mi już nie przeszkadza. A jednak jestem niespokojny. Od kiedy tu jestem, nic się tu nie zmieniało, nie ośmielię się jednak z tego wyciągać konkluzji, że nigdy nic się nie zmieni. Zastanówmy się przez chwilę, dokąd wiodą takie wywody. Jestem, odkąd tylko jestem, tu, moje pojawianie się gdzie indziej zostało zorganizowane przez osoby trzecie. W tym czasie wszystko odbywało się w jak największym spokoju, w najdoskonalszym porządku, wyjąwszy kilka zjawisk, których sens mi umyka. Zresztą nie tylko ich sens mi umyka, bo i mój własny mi również umyka. Wszystkiego tu, nie, nie wolno mi tak mówić, nie powiem tego. Nie zawdzięczam mojego istnienia nikomu, te blade ogniki nie są z tych, co olśniewają lub palą. Malone nie idzie donikąd, znikąd nie przychodzi, po prostu się zjawia. Skąd przychodzą mi do głowy wszystkie te koncepty, przodkowie, czy domy, w których z nadejściem nocy zapala się światła, tudzież wszelkie im podobne? Wszędzie szukałem. No i te pytania, które sobie zadaję, przecież nie z samej ciekawości. Nie mogę milczeć. O sobie nie mam potrzeby wiedzieć czegokolwiek. Tu wszystko jest jasne. Nie, wszystko nie jest jasne. Ale dyskurs musi trwać, nieprzerwanie. No więc człowiek wymyśla różne niejasności. Chwyty retoryczne. Więc cóż w nich takiego dziwnego, niemal mylnego, w tych światłach, od których nie domagam się żadnego znaczenia? Może to ich nieregularność, ich zmienność, migotliwość? Raz błyszczą słabo, raz z wielką mocą – nigdy wszakże nie większą niż jednej świecy, najwyżej dwóch. Malone zjawia się i znika z regularnością niemal mechaniczną, krąży zawsze w tej samej odległości ode mnie, z taką samą prędkością, w tej samej pozycji, w tym samym kierunku. Natomiast gra światła jest doprawdy nieprzewidywalna. Trzeba przyznać, że mniej wprawnemu oku światła umknęłyby zapewne całkowicie. Ale czy nawet mojemu nie zdarza im się czasem umknąć? Świecą może jednostajnym i niegasnącym blaskiem, ale w mojej percepcji wydają się niepewne i migotliwe. Mam nadzieję, że nadarzy się jeszcze sposobność, bym powrócił do tej kwestii. Ale już teraz zaznaczę, bym później nie zapomniał, że wiele sobie po tym świetle obiecuję, podobnie zresztą jak po wszystkich podobnych czynnikach prawdopodobnej niepewności, w nadziei, że pomogą mi

one kontynuować, posuwać się naprzód i ewentualnie zakończyć całą sprawę. Co powiedziawszy, idę dalej, nie sposób inaczej. Dalej, o czym to ja mówiłem, a właśnie, czy z tego doskonałego porządku, który dotychczas w tym miejscu panował, mógłbym wnosić, że tak będzie zawsze? Mógłbym oczywiście. Jednakże już sam fakt, że zadaję sobie to pytanie, daje mi dużo do myślenia. Mogę sobie wmawiać, że nie ma lepszego celu niż ożywienie dyskursu, w momencie, w którym tenże się zatracza, grozi ustaniem, jednakże mnie takie znakomite wytłumaczenie nie zadowala. Czy możliwe, żebym zanadto wziął sobie do serca jakiś prawdziwy dylemat, na przykład potrzebę poznania? Nie wiem. Spróbuję z innej beczki. Jeśli pewnego dnia miałyby nastąpić jakaś zmiana, wynikająca z zasady bezładu, już wprowadzonej tu w życie, bądź akurat wprowadzanej, co wtedy? Zależy to, jak się wydaje, od charakteru wspomnianej zmiany. Ale nie, tu wszelka zmiana byłaby śmiertelnym ciosem, zawiodłaby mnie prosto na jarmark rue de la Gaîté. Z innej beczki. Czy naprawdę nic się nie zmieniło, od kiedy tu jestem? Szczerze mówiąc, tak z ręką na sercu, chwileczkę proszę, nie, nic, o ile mi wiadomo. Lecz to miejsce, jak wspomniałem, jest może rozległe, może mieć średnicę nawet dwunastu stóp. Dla kogoś, kto jest w stanie dostrzec jego krańce, wychodzi to jednak na jedno. Lubię myśleć, że zajmuję jego centrum, niemniej nic nie jest mniej pewne. W pewnym sensie, lepiej gdybym znajdował się gdzieś na obwodzie, ponieważ patrzę wciąż w jednym kierunku. No ale z całą pewnością tak nie jest. Wówczas bowiem Malone, obracając się wokół mnie, a faktycznie to robi, przy każdym obrocie wychodziłby poza obwód, co jest jawną niemożliwością. Ale tak naprawdę, czy on się naprawdę obraca, czy może tylko pojawia się przede mną i przesuwa w linii prostej? Nie, obraca się, wyczuwam to, wokół mnie, krąży jak planeta wokół swego słońca. Jeśli wydawałby jakiś dźwięk, cały czas bym go słyszał, na prawo, za moimi plecami, tudzież na lewo, nim ponownie go zobaczę. Ale nie wydaje najmniejszego dźwięku, nie jestem przecież głuchy, tego jestem pewien, no może na pół, pewien. Poza tym między centrum a obwodem jest jeszcze jakiś margines, doskonale więc możliwe, że jestem usytuowany gdzieś między jednym a drugim. Możliwe również, nie ukrywam tego przed sobą, że zostałem wprawiony w wieczny ruch, a Malone mi w nim towarzyszy, jesteśmy jak ziemia i jej księżyc. Nie miałbym zatem powodu uskarżać się na ten świetlny bezład, który jest zwykłym następstwem tego, że upieram się, że są to zawsze te same światła, widziane z tego samego punktu. Wszystko jest możliwe. Lub niemal. Ale najprościej po prostu uważać, że jestem nieruchomy i znajduję się w centrum tego miejsca, bez względu na to, jaką ma ono formę i jak jest rozległe. Jest to też bez wątpienia najprzyjem-

niejsze dla mnie rozwiązanie. Zatem reasumując: żadnej oczywistej zmiany od-
kąd tu jestem, bezład ze światłami to zapewne złudzenie, wszelka zmiana źród-
łem obaw, niewytłumaczalna niespokojność.

O tym, że nie jestem całkowicie głuchy, wnoszę z dźwięków, które do mnie dochodzą. Choć bowiem panuje tu milczenie niemal całkowite, to jednak nie do końca. Pamiętam pierwszy dźwięk, usłyszany w tym miejscu, potem sły-
szalem go często. Muszę bowiem przyjąć, choćby dla płynności wyводу, że mój
pobyt w tym miejscu miał jakiś początek. Nawet samo piekło, choć wieczne,
datuje się od buntu Lucyfera. Wolno mi zatem, w świetle tej odległej analogii,
myśleć, że jestem tu na zawsze, ale nie od zawsze. Wielce mi to będzie pomoc-
ne w moim wykładzie. Wiele do powiedzenia, gdyby zaszła potrzeba, będzie tu
miała zwłaszcza pamięć, korzystania z której sobie zabroniłem, jak mi się wy-
daje. To znaczy, skromnie mówiąc, tysiąc słów, na które już nie liczyłem. Może
mi się przydadzą. A zatem po długim okresie niczym nie skalanego milczenia,
dał się słyszeć, przeze mnie, wątyły krzyk. Nie wiem, czy słyszał go również Ma-
lone. Byłem zaskoczony, to nie jest zbyt mocne słowo. Po tak długim milczeniu
ten słaby krzyk, natychmiast zdławiony. Jakież wydało go stworzenie, i wciąż
wydaje, od czasu do czasu, jeśli to to samo stworzenie, niepodobna wiedzieć.
W każdym razie nie ludzkie stworzenie, tu nie ma ludzkich stworzeń, albo, jeśli
są, przestały już krzyczeć. Czy to wina Malone'a? Czy moja? A może to po prostu
wymknął się bąk? One potrafią być wprost rozdzierające. Zaiste godna pożało-
wania mania, gdy tylko coś się zdarzy, chcesz wiedzieć, co to takiego. Gdybym
choć nie był zobligowany ją okazywać. No i po co od razu mówić o krzyku?
Może to odgłos czegoś, co się łamie, dwóch rzeczy, które o siebie uderzają. Sły-
chać tu dźwięki, od czasu do czasu, to stwierdzenie powinno wystarczyć. Ten
krzyk na początku, ponieważ to był pierwszy. Tudzież inne, dosyć różne. Powoli
uczę się je rozpoznawać. Nie znam jeszcze wszystkich. Człowiek może umrzeć
w wieku lat siedemdziesięciu i nie dożyć widoku komety Halleya. Byłoby to dla
mnie pomocne, ponieważ sobie też muszę przypisać jakiś początek, gdybym
mógł odnieść go do początku miejsca, w którym się znajduję. Czy czekałem
gdzieś indziej, aż miejsce to będzie gotowe mnie przyjąć? Czy też ono czekało,
aż przyjdę je zająć? Z utylitarne punktu widzenia, pierwsza z tych hipotez jest
o niebo lepsza, jeszcze wielokrotnie przyjdzie mi ją tu przywoływać, na nią się
powoływać. Obie są wszakże raczej niesmaczne. Powiem zatem, że nasze po-
czątki zbiegają się w czasie, że to miejsce zostało stworzone dla mnie, a ja dla
niego, w tej samej chwili. Zaś dźwięki, których jeszcze nie znam, to takie, któ-

rych jeszcze nie słyszano. Ale one niczego nie zmieniają. Krzyk niczego nie zmienia, nawet ten pierwszy. A ta moja niespodzianka? Musiałem się jej spodziewać.

Niewątpliwie czas już chyba, bym dał Malone'owi towarzysza. Najpierw jednak powiem o incydencie, który zdarzył się tylko raz, do tej pory. Oczekuję, że się powtórzy, ale bez nadmiernej niecierpliwości. No więc jakieś dwie figury, podłużne na kształt człowieka, zderzyły się z sobą tuż przede mną. Upadły i już więcej ich nie zobaczyłem. Naturalnie rzecz jasna, pomyślałem o pseudoparze Mercier–Camier. Następnym razem, kiedy znajdą się w polu mojego widzenia, wolno do siebie się zbliżając, będę już wiedział, że się zderzą, upadną i znikną, i to pozwoli mi może lepiej wszystko obserwować. Nieprawda. Malona też widzę równie źle jak za pierwszym razem. No bo patrząc wciąż w jednym kierunku, jestem w stanie widzieć, nie powiem wyraźnie widzieć, lecz na tyle wyraźnie, na ile pozwala akurat widoczność, to, co dzieje się bezpośrednio przede mną, to znaczy, we wspomnianym wypadku, zderzenie, a następnie upadek i zniknięcie. Ich zbliżanie będę widział jak przez mgłę, kątem oka, jakże słabego. Ponieważ figury te, nim zaraz obok mnie się pojawiły, musiały iść po krzywiznie, dwóch krzywiznach. Ponieważ panująca akurat widoczność, chyba że to nie ona, tylko stan mojego wzroku, pozwala mi dojrzeć tylko to, co znajduje się zaraz obok mnie. Dodam jeszcze, że moje siedzisko wydaje się postawione na lekkim wzniesieniu, w stosunku do poziomu otaczającej podłogi, jeśli to podłoga. Może to woda, albo jakaś inna ciecz. W rezultacie czego, aby ujrzeć w optymalnych warunkach to, co dzieje się na wprost ode mnie, musiałbym opuścić nieco wzrok. Ale ja już nie opuszczam wzroku. W sumie zatem: widzę tylko to, co wyłania się zaraz obok mnie, to, co widzę najlepiej, i tak źle widzę.

Dlaczego dałem się pokazać pośród ludzi, w świetle dnia? Wydaje mi się, że nie miałem tu nic do powiedzenia. Zostawmy to, teraz coś innego. Jeszcze ich widzę, tych delegatów. Tyle mi naopowiadali o ludziach, o tym świetle. Nie chciałem im wierzyć. Nie szkodzi, i tak coś zostało. Ale gdzie, kiedy, w jaki sposób konwersowałem z tymi panami? Przyszli tu, żeby mi przeszkadzać? Nie, tutaj nikt mi nigdy nie przeszkadzał. Więc gdzie indziej? Ale ja nigdy nie byłem gdzie indziej. Tymczasem tylko od nich mogłem dowiedzieć się tego, co wiem o ludziach i o tym, jak sobie radzą z tym życiem. To niewiele. Łatwo bym się bez tego obywał. Nie twierdzą, że do niczego się nie przyda. Będę mógł się tym posłużyć, jeśli zajdzie taka potrzeba. Już mi się to przydarzyło. To, co nieodmiennie mnie zdumiewa, to fakt, że miałbym zawdzięczać tę wiedzę ludziom, z który-



mi nigdy nie miałem kontaktu. Do tego się wszystko sprowadza. Chyba, że to wiedza wrodzona, na przykład na temat zła i dobra. Ale to wydaje mi się mało prawdopodobne. Wrodzona wiedza o matce, czy to do pomyślenia? Nie w moim wypadku. Ci panowie opowiadali mi o niej. To był jeden z ich ulubionych tematów. Wtajemniczyli mnie również w kwestię Boga. Powiedzieli mi, że od niego zależę, w ostatecznym rachunku. Wzięli to od jego przedstawicieli z Bally i coś tam jeszcze, czyli z miejsca, w którym, jeśli im wierzyć, obarczono mnie życiem. Z uporem twierdząc, że to niby taki piękny dar. Przede wszystkim jednak upierali się, żebym wreszcie zaczął strawić wszystkich tych tak zwanych bliźnich. Z niesłychanym zapalem i żarem. Nic z tych opowieści nie pamiętam. Chyba zbyt wiele z tego nie pojąłem. Ale pewne opisy ostały mi się w głowie, wbrew woli.

Robili mi wykłady o miłości, o inteligencji, ślicznie, całkiem ślicznie. Musiało to trwać raczej długo. To oni nauczyli mnie też rachować, rozumować. Co nieco z tego okazało się nawet przydatne, nie przeczę, nie przeczę, w sytuacjach, które by nie powstały, gdyby mnie zostawili w spokoju. Jeszcze mi się przydaje, kiedy muszę się podrapać, wiadomo gdzie. Nędzne kreatury, kieszenie mieli pełne trucizny i odtrutki. To może były studia zaoczne. Mam jednak wrażenie, że ich widziałem na własne oczy. Może na fotografiach. Kiedy przestali mi wbijać do głowy? A przestali? Jeszcze tylko parę pytań, na koniec. Czy to tylko chwilowe ucieszenie? Było ich czterech czy pięciu, molestowali mnie pod pre-

tekstem, że mają mi przedstawić swój raport. Zwłaszcza jeden, imieniem Basil, jak sądzę, napęniał mnie obrzydzeniem. Nie otwierał ust, tylko wpatrywał się we mnie, oczyma wypalonymi tym wszystkim, co już widziały, za każdym razem zmieniał mnie trochę bardziej w takiego, jakim mnie chciał widzieć. Zaczajony w ciemnościach, może wciąż na mnie patrzy? Czy wciąż uzurpuje sobie moje imię, to, które mi przykleili, wtedy w ich świecie, ciepłiwym, wraz z upływem kolejnych pór roku. Nie, nie, tu jestem bezpieczny, bawi mnie zastanawianie się, któż to zadał mi te nieznaczące rany.

Inny naciera prosto na mnie. Spada naraz jakby przenikał przez ciężkie kotary, robi kilka kroków, patrzy na mnie, a potem się wycofuje. Schylony, jakby u ramion wisiały mu jakieś ciężkie przedmioty, nie wiem jakie. Najlepiej widzę jego kapelusz. Jego korona, całkowicie sfatygowana, jak podeszwa znoszonego buta, przepuszcza miejscami siwe włosy. Oczy, które we mnie już od jakiegoś czasu utkwili, jakby mnie błagały, tak jakbym mógł dla niego coś uczynić. Mam jeszcze inne wrażenie, prawdopodobnie nie mniej mylne: że przynosi mi prezenty, ale nie śmie mi ich dać. Zabiera je, a może raczej zostawia, a one znikają. Nie przychodzi często, nie mogę tego precyzyjniej sformułować, lecz z pewnością regularnie. Jego odwiedziny jak dotąd nie zbiegły się w czasie z rundami Malone'a. Ale może kiedyś tak się zdarzy. Niekoniecznie zaburzyłyby to panujący tu porządek. Jeśli bowiem jestem w stanie obliczyć z dokładnością do kilku cali orbitę Malone'a, przyjmując, być może błędnie, że krąży trzy stopy ode mnie, co nie jest takie pewne, to w kwestii trasy tego drugiego dysponuję wyłącznie wyobrażeniami całkowicie mętnymi, zważywszy na niemożliwość w miejscu, w którym się znajduję, nie tylko mierzenia czasu, co już udaremniłoby wszelkie rachunki w tym względzie, lecz również porównania, odpowiednio, prędkości, z jaką, a raczej z jakimi się poruszają. Nie wiem zatem, czy kiedykolwiek spotka mnie przywilej zobaczenia ich obu naraz. Skłaniam się wszakże do poglądu, że jednak tak. Gdybym bowiem nie miał ich nigdy ujrzeć obu naraz, musiałoby to oznaczać, że Malone zjawia się przed tym drugim, albo po tym drugim, zawsze w identycznych odstępach czasu. Nie, w tym jednak się mylę. Ponieważ te odstępy mogą równie dobrze nie być regularne (i wydaje mi się, że tak właśnie się dzieje), choć nigdy nie zostaną całkowicie wyeliminowane. Te odstępy, jakkolwiek niestałe, każą mi mimo wszystko wierzyć w to, że moi dwaj wierni poczciwcy któregoś dnia się jednak spotkają, zderzą się z sobą i być może się przewrócą. Mówiłem już, że tutaj wszystko prędzej czy później się powtarza, nie, miałem to powiedzieć, potem zmieniłem zdanie. Może jednak owe spotkania

stanowią wyjątek od tej reguły. Jedyne, którego byłem świadkiem, już dawno temu, jeszcze się nie powtórzyło. Więc może to zakończenie czegoś. Może pozbędę się ich, Malone'a i tego drugiego – nie żeby mi tu przeszkadzali – w dniu, w którym ujrzę ich razem, to znaczy kiedy się zderzą. Niestety, nie tylko oni tu krążą. Inni też przybliżają się do mnie, przechodzą obok, ku mnie się obracając. Nie ulega chyba wątpliwości, że nie znam jeszcze ich wszystkich. Wcale mi nie przeszkadzają, mógłbym to powtarzać do znudzenia. Ale na dłuższą metę wszystko może stać się delikatne. Jeszcze nie wiem, w jakim sensie. Ale trzeba to wziąć pod uwagę. Wprawiamy rzeczy w ruch, nie troszcząc się o to, jak je potem zatrzymać. Żeby mówić. Zabieramy się do mówienia, jakby można było się zatrzymać w dowolnej chwili. I nic w tym złego. Właśnie poszukiwanie środków, aby położyć kres rzeczom, zatrzymać głos, pozwala iść dalej, umożliwia kontynuację dyskursu. Nie, nie wolno mi próbować myśleć. Lepiej po prostu powiedzieć, cokolwiek by to było. Rzeczy, figury, dźwięki, światła, w które tchórzliwie przebiera się moja żądza mówienia, w każdym wypadku trzeba to wszystko stąd wypędzić, nie zważając na jakiegokolwiek kwestie proceduralne. Troska o prawdę w szale mówienia. Stąd się bierze to zainteresowanie możliwością umknienia temu przez spotkanie? Ale powoli. Najpierw zbrukać, dopiero potem oczyścić.

A gdybym zajął się, dla odmiany, trochę sobą? Prędzej czy później i tak przyparty zostanę do muru. Na pierwszy rzut oka to niemożliwe. Dać się wywieźć, tak, ja, w tej samej śmieciarce z moimi stworzeniami? Powiedzieć, sam od siebie, że widzę to, że czuję tamto, że się obawiam, że mam nadzieję, nie mam pojęcia albo wiem. Tak, mogę to powiedzieć, sam od siebie. Beznamiętny, nieruchomy, niemy, podtrzymując swoją szczękę, Malone krąży wokół, na zawsze obcy mojemu upośledzeniu. Proszę, oto ktoś kto nie jest taki, jakim ja nie potrafiłbym nie być, kto nie jest taki jak ja, ja nigdy nie umiałbym nie być. Choćbym się nie poruszał, on i tak jest bogiem. I ten drugi. Obdarzyłem go tymi błagającymi oczyma, darami w ofercie, potrzebą pomocy. Nie patrzy na mnie, nie zna mnie, nie odczuwa braku. Tylko ja jestem człowiekiem, cała reszta boskiej natury.



JULIA HARTWIG

ODJĘTA BYŁA JEDYNOŚĆ jedynej miłości
a przecież nic nie przemijało
choć wszelkim nadziejom
zapisany był kres
jak lekko będziemy teraz
unosić się w powietrzu
rozsiewając upominki
darowane przez życie
niczym ślubne bukiety
co zawsze trafiają do rąk
które się po nie nie wyciągają
Jest wiele tego co nie ginie
nie zapominam
o żadnej dobrej chwili

TYLKO WSPÓŁCZESNY ARTYSTA mógł zapytać
Czy zawsze muszę malować arcydzieła?
Ujawnijcie się władcy nieładu
tyle czczej gadaniny
nie dajmy się sprowadzić
na manowce słów
Świat jest dobry
i nie jest dobry
Świat jest sprawiedliwy
i nie jest sprawiedliwy
czy kluczem do wszystkiego
jest rzeczywistość
*Depczemy tę półkulę
stopą nieuważną*

JULIA HARTWIG

Dziennik
(fragment)

14 września 2011, Warszawa

Natłok wydarzeń i zastopowany komputer to przyczyny tak długiego prze-
stoju w zapisach.

A były wydarzenia ciekawe i godne zanotowania, przede wszystkim podróż
do Madrytu: czterodniowy tam pobyt, od 2. do 6 września. Wyjazd ten organi-
zowano z okazji wywieszenia w metrze madryckim wierszy autorstwa współ-
czesnych poetów polskich. Akcję tę prowadzono już w poprzednich latach, ale
ograniczała się ona do metra warszawskiego. W tym roku, z okazji polskiej Pre-
zydencji w Radzie Unii Europejskiej, wiersze polskie znalazły się w metrach kil-
ku stolic europejskich. Akcji tej towarzyszyły wieczory autorskie zaproszonych
z tej okazji poetów. Mnie przypadł, ku mojemu zadowoleniu, wyjazd do Ma-
drytu. Dotąd z hiszpańskich miast zwiedziłam tylko Barcelonę, jedno z najpięk-
niejszych miast świata.

W Madrycie kusiło mnie przede wszystkim Prado, przebogie muzeum ma-
larstwa światowego, a zwłaszcza malarstwa hiszpańskiego. Po muzeum oprowa-
dzała nas p. Iza Jagiełło, historyczka sztuki pracująca w Instytucie Polskim. Czy
muszę pisać o wrażeniu, jakie robią obrazy Velazqueza, Goyi, Ribery czy El Gre-
ca? Wszystko to są arcydzieła, ale ja osobiście miałam uczucie, że przyjechałam
do Madrytu po to, by zobaczyć jeden z moich ukochanych obrazów, *Las Meninas*
Velazqueza. Podziwiam Goyę i Ribere, ale najbardziej osobisty stosunek mam do
tego właśnie obrazu, najbardziej tajemniczego i bogatego nie tylko w treści ma-
larskiej – Velazquez pokazał tu bowiem, poza postaciami głównymi, jakimi są: mała
księżniczka Margerita, jej panny dworskie i karlica z dzieckiem – głównego spraw-
cę przekazania nam tej wizji – samego malarza, a więc samego siebie, Velazqueza,
stojącego z pędzlem przed malowanym płótnem – a także, w lustrze, parę królew-
ską. W drzwiach zarysowuje się jakaś postać, na podłodze spoczywa wielki pies.

Wiedząc z góry, ile czasu mamy na zwiedzanie miasta, postanowiliśmy przede wszystkim zapoznać się z aurą Madrytu, jego ulic, placów i placyków, które są charakterystyczne dla tego miasta. Zadziwiło mnie, jak to miasto jest gwarne i rojne, cieszyło mnie, że żyje także, i to może najbardziej intensywnie, wieczorem i nocą. Do późna z okien naszego hotelu oglądać można było życie nocne okolic Puerta del Sol i naszej ulicy, gdzie rozstawiano wieczorem stoliki, przy których nigdy nie brakło chętnych do rozprawiania przy winie.

Nie można zajrzeć w duszę miasta przebywając w nim cztery dni. Toteż i ja nie potrafiłabym tego, ale dominująca w moim wspomnieniu o Madrycie jest jego żywość, tak charakterystyczna dla miast południa – przeniesienie życia z domu na ulicę, ta towarzyskość tłumu i cechująca zachowanie ludzi swoboda.

Madryt ma piękne parki. Odwiedziliśmy najrozleglejszy i pełen zieleni park Retiro, ze stawem, po którym krążą łodzie i kajaki.

Pobyt upłynął pod znakiem gościnności pani Joanny Karasek, kierującej Instytutem Polskim, otwartym niedawno, zdaje się, dwa lata temu. To ona spełniała rolę gospodyni naszego pobytu, serdeczna i uważna. Zaprosiła nas do bardzo ekskluzywnej, żyjącej dawnymi tradycjami restauracji Lhardy. Byliśmy też gośćmi w jej domu, gdzie spędziliśmy miłe popołudnie na położonym na dachu tarasie z widokiem na Madryt.

15 września 2011, Warszawa

W zamęcie urodzinowych zatrudnień nie zdążyłam napisać o korespondencji Lawrence'a Durrella z Henry Millerem. Książkę tę podsunęła mi Jola, rzuciłam na nią okiem, a potem z ciekawością i przyjemnością przeczytałam.

Zadziwiła mnie. Przyjaźnie między pisarzami rzadko się udają. Literatura bywa tu raczej przeszkodą niż pomocą. Jest naturalne skrępowanie w dzieleńiu się sprawami pisarskimi. Pisarze zachowują dla siebie własne doświadczenia, ale Durrell i Miller piszą tak inne książki i w tak różnych obracają się klimatach, zarówno w literaturze jak i w życiu, temperamenty mają tak odmienne, że niebezpieczeństwo zarażenia się tematami im nie zagraża.

Niespodzianką był dla mnie obraz osobowości Millera, jaki zarysowuje się w tej korespondencji. Autor obscenicznego *Zwrotnika Raka* bywa w swoich listach dziecięco naiwny i rozbraja nas objawami dobroci, jakiej daje wyraz. Nic w jego listach z łatwego pesymizmu. Emanuje z nich nieustająca wiara w życie, w jego wieczność. Pisze: „Należy też przestać martwić się zniszcze-

niem życia, jest ono niezniszczalne i wieczne. Potem jestem gotów przejść na tamten świat. Właściwie mógłbym się tam przenieść w każdej chwili, nawet teraz. Jeśli to życie było takie dobre, następne powinno być jeszcze lepsze". A w innym miejscu: „Bóg chce, żebyśmy byli szczęśliwi”. Ten hymn natchniony wiarą kontrastuje z wypowiedzią Durrella: „Cały obraz świata to wielka mrzonka”. Trudno o dwie bardziej różne postawy i dwóch bardziej różnych od siebie ludzi.

Warto przypomnieć, że Durrell jest młodszy od Millera, że ich przyjaźń datuje się od listu nieznanego wówczas Millerowi początkującego pisarza i poety angielskiego, z którym porozumiewać się będzie i spotykać przez czterdzieści pięć lat. Obaj, jak to przyjaciele, traktują się nawzajem na równych prawach, choć Lawrence raz po raz daje folgę swojemu podziwowi dla Millera. Ale korzysta też z prawa krytyki, zaniepokojony zbytnią już według niego drastycznością powieści *Sexus* wydanej właśnie przez przyjaciela, który pisze: „o smrodzie, ekskrementach i obsceniczności zdecydowanie niegodnych jego pisarstwa. Taka masa wulgarności kaleczy sztukę. Te wszystkie głupie, trywialne scenki, które nie mają racji bytu i są pozbawione humoru, naiwne, dziecinne wybuchy obsceniczności – tyle częściej paplaniny. Twój nieokiełznany temperament literacki od czasu do czasu wyprowadza cię na manowce słów”. Ale Miller stawia się hardo w obronie swojego literackiego „ja” – „Próbowałem jednak uchwycić nędzę jałowości, jakiej niewielu ludzi doświadczyło – to życie po znieczuleniu, które mędracy zawsze potępiali, uznając je za śmierć”.

Ani śladu pesymizmu w listach Millera, nawet wtedy, kiedy jest ciężko chory – choć niejednokrotnie donosi przyjacielowi o swoich kłopotach i niepowodzeniach. Łączy ich namiętność do literatury i choć jak każdemu artyście zdarzają im się okresy bezpłodne, to przecież zawsze do pisania wracają. Ilość książek, jaką każdy z nich wydał, jest imponująca. Aktywne życie obu pisarzy wypełnione było pracą. Miller utrzymywał się wyłącznie z literatury. Durrell był urzędnikiem brytyjskiego MSZ, zatrudnianym stale poza Anglią. Literatura nie przeszkodziła im obu w korzystaniu z życia. Mieli dziesiątki przelotnych i bardziej trwałych romansów, nie pomijając ożeneków, w czym przewaga była po stronie Millera. Obaj malowali.

Podziwiam w ich listach ten ton prawdomówny, zawsze pełen zaufania i lojalności; każdy z korespondentów szanuje pracę przyjaciela i wiernie ją śledzi. Choć zdarzają się w tych listach wypowiedzi krytyczne, to jednak dominuje w nich dobra wola i uznanie. Słowa mistrz i mistrzostwo nie należą do rzadkości. Wsparcie, jakiego sobie udzielają, wydaje się bezcenne.

Czytając prozę Millera, nasyconą erotyzmem i nierzadko obscenicznością, zapomina się, że był on także miłośnikiem poezji; nazwisko Rimbauda powraca w jego listach jak zaklęcie. I po namyśle – gotowi jesteśmy zrozumieć jego podziw dla spontaniczności tego młodego geniusza, jaka cechuje również prozę Millera. Ale kiedy już pojawia się nazwisko Mallarmégo, Bierdiajewa, Martina Bubera. Jest i Spengler, Emerson, Thoreau, Whitman, Elie Faure. Czyżbym zapomniała, że jest w mojej bibliotece książka, zawierająca około setki lektur zalecanych przez Millera?

4 października 2011, Warszawa

Podczas pobytu w Madrycie spotkałam na swoim wieczorze autorskim panią Elżbietę Wittlin-Lipton, córkę Józefa Wittlina, która mieszka obecnie w Hiszpanii. Przyniosła mi swoją książkę *From One Day To Another*, w której opisuje swoje życie, bogate w wydarzenia i rozgrywające się w wielu miastach świata. Urodzona w Warszawie, na początku okupacji niemieckiej ucieka z matką do Nicei, po czym przez Hiszpanię i Portugalię dostaje się do Nowego Jorku. Po latach decyduje się na powrót do Europy, wybiera jako stałe miejsce osiedlenia Madryt, w którym przebywa dotąd. Jej książka, której tytuł mógłby brzmieć po polsku *Z dnia na dzień* obejmuje kolejne etapy jej życia i zawiera ciekawe próbki jej twórczości malarskiej w postaci zanotowanych pędzlem i ołówkiem scen i postaci teatralnych, a także szkiców sytuacyjnych; jeden z nich to szkic ukazujący przejście przez granicę hiszpańską, z osiołkiem w tle. W tekst książki włączone są zdjęcia przedstawiające ją samą i członków jej rodziny.

Dzięki spotkaniu z panią Elżbietą przeniosłam się wspomnieniem do naszego, z Arturem, pobytu amerykańskiego w latach 1970–1974. Dowiedziawszy się, że Józef Wittlin i jego żona mieszkają w Nowym Jorku, postanowiliśmy poprosić go o spotkanie. Wybór kawiarni nie był bynajmniej łatwy, ponieważ Wittlin życzył sobie, by była to kawiarnia nie tylko w środku miasta, na Manhattanie, ale na domiar mało uczęszczana i zaciszna. Rekonesans się udał i rozmowa doszła do skutku.

Muszę wyznać, że spotkanie to miało dla mnie specjalny charakter: jeszcze będąc w szkole nazytałam się wiele o tym pisarzu, którego dorobek nie był duży, ale narobił wiele hałasu; myślę o *Soli ziemi*. Zapamiętałam, że o osobie Wittlina inni pisarze wypowiadali się z respektem, który podyktowany był zapewne nie tylko względami literackimi, ale i osobistymi.

Okoliczności, w jakich odbywała się rozmowa, nie należały do zwyczajnych. Pusta kawiarnia, zastawiona stolikami, przy których nikt nie siedzi, sprawiała wrażenie sennego przywidzenia. Drobny, ciepło opatulony Wittlin – bo była już pora jesienna – siedział na krześle skurczony, jakby chciał zajmować jak najmniej miejsca. Mówił cicho, szybko, opisywał życie swojej rodziny w Nowym Jorku i brzmiało to tak, jakby jej bytowanie tu było tylko etapem między jedną a drugą przeprowadzką. Mówił rzucając słowa w przestrzeń, jakby nas nie było, język jego był jakby nieco staroświecki, o kościele na przykład mówił – Dom Boży.

Spotkanie nasze było niedługie i można by je uznać za mało szczególne, bo ograniczało się do powiadomień o aktualnej sytuacji naszego życia, do zapytań i odpowiedzi. Ale charakter nadawało mu poczucie, że ludzie siedzący przy tym stoliku, zapewne już nigdy więcej się w życiu nie spotkają. Dla nas było ono tym ważniejsze, że wiedzieliśmy o naszym rozmówcy więcej niż on o nas i że my oboje chcieliśmy w ten sposób potwierdzić nasze wyobrażenie o Wittlinie rzeczywistym świadectwem jego obecności.

5 października 2011, Warszawa

Dni upływają na wywiadach w telewizji, w programach radiowych, Drugim i Trzecim, i nic nie zapowiada końca tych jubileuszowych obrządków. Na szczęście wyszedł już tomik *Gorzkie żale*, więc wywiady i rozmowy nabierają większej rzeczowości i mniej obracają się wokół mojej osoby. Ten wzmożony ruch nie wydaje mi się czymś naturalnym. Zdaje się wynikać stąd, że w literaturze jest coraz mniej obiektów godnych uwagi i dlatego każdy nowy kąsek obgryzany jest ze wszystkich stron.

Wróciłam do lektury listów Miłosza i Jeleńskiego wydanych przez „Zeszyty Literackie”. Na te listy czekałam. Wiedziałam, czego mogę się po nich spodziewać, nie tylko dlatego, że znałam i Kota i Czesława osobiście, ale że poprzez tę korespondencję spodziewałam się poznać ich bliżej, powtórzyć radość płynącą z ich wskrzeszanej poprzez lekturę obecności. Na podstawie tych listów można by ułożyć coś w rodzaju harmonogramu życia ich i ich bliskich. Bo korespondencja ta ma wymiar bardzo pełny, dotyczy zarówno ważniejszych wydarzeń jak i prac literackich. Zaufanie, jakim się nawzajem darzą sprawia, że otworzył się przed nami dostęp do spraw, które znaliśmy tylko z tego, co się w życiu publicznym i prywatnym ujawnia. Wiedziałam o choro-

bie Janki, odwiedzałam ich w Berkeley u początku jej choroby, ale dopiero teraz, czytając listy Czesława z tego okresu zdałam sobie sprawę, jakie to było cierpienie i jakiego wysiłku kosztowała Miłosza choroba jego żony, pielęgniarstwo i zajmowanie się domem w okresie, kiedy miał jeszcze wykłady. Trzeba jednak przyznać, że choć Kot Jeleński szczerze wielbił Miłosza, nie ogranicza się do zachwyków, że potrafi też zdobyć się na krytykę, kiedy coś nie przypadnie mu do gustu. I jest to zapewne najlepszy sprawdzian ich przyjaźni. Okazuje się też, że pretensje, które formułował czasem Miłosz, były zbyt pochopne zważywszy zwłaszcza na niewyczerpane wprost zasoby energii, jakie Kot Jeleński w sprawie Miłosza inwestował. Ale z Miłozem niełatwo było się przyjaźnić, choć zawsze można było liczyć na jego lojalność. Przeglądając raz jeszcze tę korespondencję, zwróciłam uwagę na początek kilku listów skierowanych przez Kota do Czesława. Zaczynają się one od tego samego zawsze zwrotu: sprawiłeś mi wielką przykrość. Warto tu pamiętać o bardzo silnym ego Miłosza, który przez wiele lat nierozpoznany na Zachodzie stał się bardzo drażliwy i z trudem znosił jakiegokolwiek uwagi. Wizerunek Miłosza, jaki ukazują nam się w tych listach jest odmienny od znanego nam na co dzień. Miłosz dopuszcza Kota do swojego najintymniejszego związku z bohaterką poźegnalnego wiersza *Dla Heloizy*. Wiersz ten, na prośbę osoby, do której był skierowany, nie ukazał się za życia poety.

Z listów Kota dowiadujemy się o zabiegach mających na celu zdobycie przez Miłosza Nagrody Nobla. Propaguje tę kandydaturę wśród swoich przyjaciół z kręgu literackiego i wydawniczego Anglii i Francji. Pozyskuje dla sprawy Leszka Kołakowskiego i pisarzy noblistów, zaprzyjaźnionych z Miłozem. Już po raz drugi angażuje się tak szczerze i wytrwale w akcję na rzecz kandydatury Polaka. Wiele zrobił uprzednio dla Gombrowicza, którego podobnie jak Miłosza, szczerze cenił; więcej, otaczał – można by powiedzieć – miłością i podziwem.

13 października 2011, Warszawa

Nie odnotowałam pobytu w Lublinie, gdzie zaproszono mnie z okazji jubileuszu i gdzie spędziłam trzy dni, od szóstego do ósmego października. Na dworcu, podobnie jak za poprzednim razem, witają mnie z kwiatami organizatorzy spotkania, Tomek Pietrasiewicz i polonistka ucząca w Unii, pani Beata Bro-

żek. Zabierają nas, wraz z grupą fotoreporterów, w objazd Lublina, który odbywamy starym, zabytkowym trolejbusem, pieszczotliwie nazywanym Ziutek. To dla mnie jedyna okazja obejrzenia dzielnic, do których zapewne w inny sposób bym nie trafiła. Okolice znane mi, niewiele się zmieniły, nowe oglądam z ciekawością. Przy Bramie Krakowskiej nasza trasa się kończy.

Po obiedzie, który zjadamy w restauracji hotelowej, idziemy z Tomkiem na ulicę Żmigród, gdzie oglądamy wewnątrz tak zwanej Izby Drukarstwa.

Mijamy salkę, w której odbędzie się spotkanie i tu zaskoczenie: schodzimy po schodkach do pięknie odbudowanej piwnicy, która ma charakter małego muzeum. Słowo „izba” dobrze pasuje do tego wnętrza, które zachwycało mnie swoim charakterem, wygląda bowiem jak odrestaurowana dawna piwnica, a jest właściwie pomieszczeniem kompletnie niemal odbudowanym z ruin i na ruinie. Takie piwnice, zachowane w dawnych, więc oryginalnych murach, jedynie odnowione, są siedzibą kilku restauracji i winiarni w Krakowie. Szczególnie podoba mi się piękny układ cegieł, w powtarzających się łukach. Po spotkaniu miłoszowskim, na które przyszła spora grupa młodzieży, posłaliśmy z Asią Zętar do znanej mi już z poprzedniego pobytu knajpki Akwarela.

Piątek, siódmego, zaczął się od wiadomości o przyznanej Tranströmerowi Nagrodzie Nobla. Nagroda ta sprawiła mi wielką przyjemność, i to nie tylko dlatego, że mu się słusznie należy, ale że czekał na nią trzydzieści lat i mógłby się jej już nie doczekać zważywszy na stan jego zdrowia po udarze. Znam przekłady jego wierszy i bardzo je lubiłam; tak, to jest to słowo, bo wiersze te mają jakiś urok odkrytej intymności, przeżywanej w zetknięciu ze światem. Tranströmer to prawdziwy liryk współczesności, skromnej, dostępnej, bardzo w lekturze bliskiej. Nic więc dziwnego, że kiedy w Lublinie zadzwoniono do mnie z prasy zapytaniem, jaki mam stosunek do tej nagrody, odpowiedziałam bez wahania: Entuzjastyczny!

Piątek był dniem najbardziej zajęтым, roboczym; przed południem trzy wywiady dla prasy i spotkanie z młodzieżą, z redaktorami gazetek szkolnych. Przecież ja również przed laty redagowałam gazetkę szkolną w Unii.

Po południu odbyło się spotkanie jubileuszowe mojego gimnazjum, liczącego podobnie jak ja, lat dziewięćdziesiąt. Spotkanie unijne połączone było z promocją numeru „Scriptores”, wydawanym przez Bramę Grodzką, tym razem w dużej mierze mnie poświęconemu. Na spotkaniu pojawiły się koleżanki szkolne, ostatni Mohikanie!

Na zakończenie uroczysta kolacja w restauracji Magia z prezydentem miasta, panem Żukiem. Następnego popołudnia odjazd do Warszawy, pożegnanie z Tomkiem, Asią i panią Beatą Brożek.

Już pierwszego dnia obeszłam groby rodzinne na cmentarzu na Lipowej.

15 października 2011, Warszawa

Wystawa w Muzeum Mickiewicza poświęcona Leonor Fini i Konstantemu Jeleńskiemu.

Tych dwoje ludzi, którzy robią wrażenie tak szczęśliwych i tak wolnych w gospodarowaniu własnym życiem, to nie próżniacy i darmozjady, to ludzie sztuki, oddani swoim pracom z zamiłowaniem i poczuciem obowiązku, ludzie, którym przydarzyła się miłosna przygoda, której nadali kształt na wpół baśniowy. Patrząc na te zdjęcia przymierzam je w duchu do listu, jaki Konstanty napisał do Czapskiego o swoim życiu z Leonor, o jej żywotności, o sile, jaką mu ona daje, o temperaturze jej radości i gwałtowności smutków.

19 października 2011, Warszawa

Zaległości, zaległości. Nadal nie opisane wywiady, spotkania, radio i telewizja.

Wczoraj spotkanie w Łazienkach, dosyć nietypowe, polegało bowiem najpierw na nagraniu moich odpowiedzi na tak zwany kwestionariusz Prousta, na który zresztą już raz przed kilku laty odpowiadałam w telewizji. Zapamiętałam tamto nagranie, było bardzo ciekawie zainscenizowane: znalazłam się w małym pomieszczeniu, którego wszystkie ściany stanowiły wielkie lustra. Bardzo efektowne, a zarazem jakby symboliczne odbijanie „ja” powielonego w lustrach. Również i tym razem odpowiedzi zostały zarejestrowane przez kamerę. Następnie przeszliśmy do niewielkiej sali wypełnionej publicznością. Po wstępnym przywitaniu wyświetlono filmik o mnie zrealizowany przez Dorotę Latour, który bardzo lubię. Był nakręcony w roku 1996 i w nagraniu wziął udział Artur. Siedząc przy owalnym stole w „dużym pokoju” rozmawialiśmy o poezji i o sztuce tłumaczenia. Padły z tej okazji różne wspominki, których wysłuchałam teraz z ciepłymi, na nowo, uczuciami.

Wieczór był tak pomyślany, że po filmie rozmawiać będę z salą, odpowiadając na pytania gości. Głównym odpytywaczem był Jan Bończa-Szabłowski, współpracownik „Rzeczpospolitej”, najwyraźniej zainteresowany związkami między li-

teraturą i malarstwem. Podarował mi album swojego autorstwa zatytułowany *W stronę Schulza*, w którym znalazły się rysunki Schulza i wypowiedzi licznych artystów na jego temat.

Wieczory odbywające się w Pałacyku Myślewickim mają wiele uroku dzięki pięknym wnętrzom i miłym młodym gospodyniom zatrudnionym w różnych pracach dotyczących Łazienek. Bo Łazienki, jak tym razem miałam okazję się przekonać, to nie tylko przepiękny park, Pałac na Wodzie, Oranżeria, Podchorążówka i Pałacyk Myślewicki – ale także cała część gospodarcza ze szklarnią i warsztatami. W odleglejszej części Łazienek mieści się też, w Palmiarni, świetna (i droga) restauracja Belvedere. Pamiętam też łazienkowską stajnię pięknych koni, której zdaje się już dzisiaj nie ma.

W przerwie między zdjęciami wybraliśmy się z Anią i panem Czesławem Czaplńskim na spacer po parku, którego z powodu choroby od dwóch lat nie odwiedzałam. Była to ostatnia godzina przed zmierzchem, piękne niebo, mroczna, ale połyskliwa powierzchnia stawu, aleje wyścielone opadłymi liśćmi; w alejach przechadzające się pawie, osobno panie pawice, osobno panowie. Zatrzymujemy przy niezwykle widoku: niewysoki, starszy pan w przykłęku, wyciągnąwszy rękę, karmi przyniesionymi w tym celu ziarnami pawia. Pan Czesław prosi nieznanego o garstkę ziarna, którą następnie paw dziobie spokojnie z mojej dłoni. Takiej fotografii jeszcze nie miałam.

20 października 2011, Warszawa

Wczoraj w Syrenie pokaz, częściowo czytanie sztuki Leszka Kołakowskiego. Chyba jednak filozofowie nie powinni pisać sztuk.

Po przedstawieniu przyjęcie w dolnej sali teatru. Miałam okazję rozmawiać z Tamarą Kołakowską, która przysiadła się do mojego stolika, i z żoną zmarłego Jurka Sito. Podchodziło wielu znajomych, żeby mnie uściskać po długiej mojej nieobecności na skutek operacji.

29 października 2011, Warszawa

Znów przerwa w zapisach. Tym razem wyjazd do Bydgoszczy i trzydniowy tam pobyt. Wszystko przygotowane i zadbane przez Krzysztofa Myszковского. W Bydgoszczy jestem po raz chyba trzeci, i być może dlatego, że działa się to

w różnych porach roku, mój ogląd tego miasta był dla mnie bardzo świeży, jakbym inaczej spojrzała na Bydgoszcz, gdzie w obrazie miasta pojawia się raz po raz woda, rzeka, Brda, która stanowi element widokowy, zdobiący architektoniczną przestrzeń, inaczej niż Wisła w Warszawie, nie zintegrowana z miastem i nie zajmująca w mieście należnego jej miejsca. Bydgoszcz to taka polska, północna wersja małej Wenecji (bagatela!).

Zatrzymałyśmy się w hotelu Ratuszowym, położonym w samym centrum miasta, pięknie odnowionym, ale w układzie trochę staroświeckim, bez windy. Powitano nas jako gości miasta. Po odpoczynku kolacja na zaproszenie pana Macieja Puto, dyrektora Wojewódzkiego Ośrodka Kultury i Sztuki, i w restauracji znanej mi już z poprzedniego pobytu. Otrzymałam od niego dwa piękne albumy z wizerunkami krajobrazu i architektury Bydgoszczy. Bydgoszcz ma bowiem wspaniałą gotycką katedrę i poza głównym szlakiem ukrywa wiele wąskich, pięknych uliczek ze starymi kamieniczkami, które szczególne wrażenie robią w nocy. Ale już kiedy wracaliśmy z kolacji, gdzieś około dziesiątej, ulice były puste, żadnego przechodnia. Jaki kontrast z tak niedawno odwiedzanym Madrytem, gdzie do późnej nocy słychać było w hotelu gwar przesiadujących przy stolikach gości. Oczywiście te wzmianki o Wenecji i o Madrycie wywołane są niedawnym tam moim pobytom i usprawiedliwione są jedynie bliskim wspomnieniem, bez szukania odległych przecież podobieństw.

Nazajutrz, w piątek, gęsty plan zatrudnień. Od jedenastej do pierwszej spotkania z miejscową prasą, z „Gazetą Pomorską”, „Gazetą Wyborczą” i z radiem. O wpół do drugiej jesteśmy umówione z Krzysztofem na obiad na Starym Mieście, w Karczmie Młyńskiej, na Wyspie Młyńskiej. Potem spacer po mieście i odpoczynek. O wpół do siódmej spotkanie z telewizją i wywiad w bocznym pokoju Filharmonii.

Spotkanie zaczyna się od koncertu dwóch artystów, pani Marioli Salaber, która gra na harfie i pana Łukasza Michalskiego, który wtóruje jej na puzonie. Bardzo niezwykle dla mnie połączenie instrumentów i pięknie dobrany repertuar.

Drugim punktem programu było odznaczenie mnie złotym medalem Marszałka Województwa Kujawsko-Pomorskiego *Unitas Durat Palatinatus Cuiaviano-Pomeraniensis* z piękną motywacją:

„W uznaniu zasług na rzecz walki o niepodległość Rzeczypospolitej Polskiej i prawa człowieka”. To była niespodzianka. O przyznaniu mi medalu dowiedziałam się dopiero w Bydgoszczy.

Wieczór poetycki inauguruje Krzysztof, przedstawiając mnie publiczności. Po kilku słowach przywitania czytam wybrane wiersze z *Jasne niejasne* i *Goz-*

kich żalów. Po wierszach pytania, początkowo nieśmiało, potem coraz częstsze. Odpowiadam chętnie i staram się wkładać w swoje odpowiedzi treści moich doświadczeń życiowych, wspomnień i lektur, przypominam swoje przyjaźnie z ludźmi, którzy na tę pamięć zasługują. Nieoczekiwanie dla mnie samej wychodzi z tego obraz postawy wobec życia. Angażuję się w swoje słowa, pytania się mnożą, przyjemne poczucie, że sala jest żywa. Potwierdzają to słowa zamieniane z gośćmi z okazji podpisywania książek. Ogonek liczy kilkadziesiąt osób, sadzam każdego z podchodzących obok siebie na krótką chwilę podpisywania i za każdym razem słyszę podziękowania za wieczór i jakby osobno za rozmowę przeprowadzoną z salą. Widać jak ludzie są spragnieni, by rozmawiać z nimi o sprawach, które mogą ich dotyczyć. Słyszę takie słowa jak: nikt do nas tak nie mówił, to był wyjątkowy wieczór. Osobnym przeżyciem było to króciutkie, bo na inne nie mogłam sobie pozwolić – spotkanie z młodą kobietą czy dziewczyną, która przyniosła mi do podpisania mój grubaśny *Wybór wierszy* i ostatni tomik, i już po pierwszych słowach podziękowania rozplakała się. Mogłam tylko pogłaskać ją po dłoni, byłam zarazem wdzięczna i było mi jej żal.

Z Filharmonii jedziemy na kolację do restauracji Meluzyna zaproszeni przez pana Macieja Puto. Miła rozmowa, przydały się opowiadki Ani o wydarzeniach w teatralnych kulisach, zabawne i dowcipne.



2000

LESZEK RÓZGA
EXODUS, 2000
akwaforta, akwarela
16 x 14 cm

JANUSZ SZUBER

Siedem miniatur dla Leszka Róźgi

W nawiązaniu do pewnego wiersza z 1913 roku

Nasze nocne, nasze dzienne sprawy
wirujące w bębnie pralki. W trzciniowisku
ścieżki bobrów. Latarka i nóż.
Martwe polis, do którego, w którym
tyle bólu pięknego na wiosnę:
coraz mniej mnie we mnie, jaka ulga!

Z Herminą w chowanego

Przyszedł list od Herminy,
z Montevideo; miejsce i data
zgadzają się ze stemplem. Styl, ten co zawsze,
chaotyczny i egzaltowany, widać nasze
starania psu na budę, o ile nie gorzej.
Wstąp po sumie na strudla,
to dam ci przeczytać.

Nie dać się wciągnąć w to wszystko

Na pierwszy rzut oka w sam raz
i jeśli na tym poprzestać, zmierzając
ku następnemu, to będzie, jak być powinno:
nikt-nikommu-niczego, bo to lub tamto kolejne,
podobnie, jak pozostała reszta,
nie przecząc samemu sobie, pochopnie
bądź z rozmysłem, może być równie dobrze
końcem i początkiem.

Wcześniej niż zazwyczaj, w połowie lutego

Znienacka, mimo że go prosiłem, aby w porę uprzedził, pojawił się kuzyn Włodek, stukając po kostkach patio kółkami hulajnogi, którą lata temu wymyślił i własnoręcznie wykonał dla usprawnienia transkontynentalnych podróży. Obdarowany butelką klonowego syropu, identyczną jak za poprzednim razem, przekazałem komu trzeba, jako że zbliżał się czas obiadu, żeby na drugie, po zupie, podano naleśniki.

Oko za oko

Kiedy go nie ma tu, bo jest tam, po kryjomu wraca, udając kogoś innego, przed sobą przede wszystkim, skoro inni i tak nie dają się nabrać na numer z ni-by-tabakierą, pudełkiem, wyposażonym wewnątrz w podwójne imadło, przytrzymujące miniaturową dłoń, na której leży, nie większe od grochu, wytrzeszczone oko.

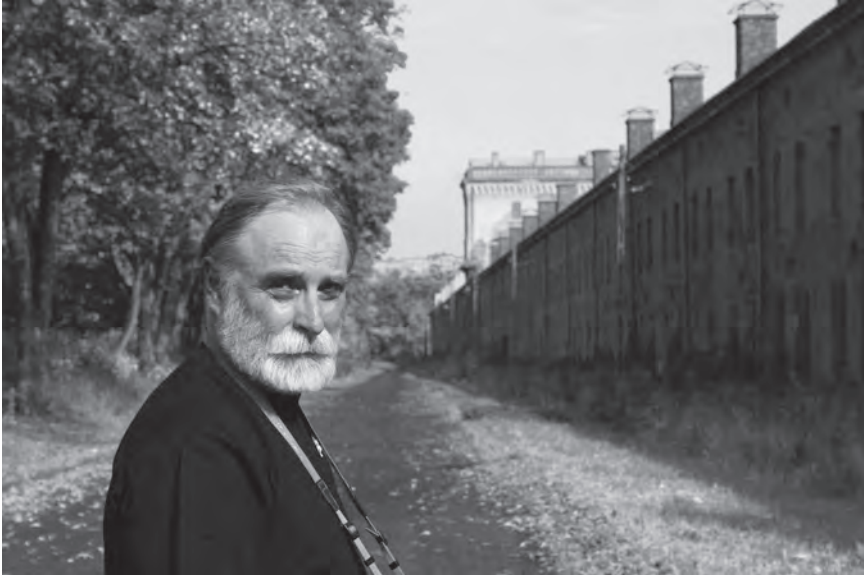
Tym razem Teodor liczy (na) mrówki

Mrówki po wąłym pniu jarzębiny, głowami w górę, głowami w dół, wte i wewte. Jeżeli moje udręki dogadzają ci i ja nie mogę nic przeciw temu, no to na zdrowie, ale żebyś jeszcze miał być za to wdzięczny? O, co to, to nie!

Luizjana II

Okiem śliskim po lzie:
oj, dziabnie! Wtedy ugryzie
i na pół gwizdka tam wlizie
po lzy wokalizie.

Marcin Chwin



STEFAN CHWIN

Ukrainki (fragment powieści)

Do Warszawy dojechał wieczorem. Miał na sobie frak, białą koszulę, muszkę, jak dyplomata, który wraca z bankietu w ambasadzie. Swoją toyotą przejeżdżał ulicami, ale dopiero po paru minutach zdał sobie sprawę, że wcale nie kieruje się w stronę domu. Neony, które rzucały seledynowy blask na mokrą jezdnię, nie były neonami, które znał. Zanurzał się w miasto jak jeździec, który puścił luźno lejce. Krople deszczu zabębniły po przedniej szybie, potem deszcz ustał. Teraz już nie miał wątpliwości, jechał w stronę miejsca, do którego zaglądał wiele razy. Miejsca, które wiele dla niego znaczyło.

Skręcił w Jana Pawła II, zmienił pas, miał teraz przed sobą Złote Tarasy, dach ze szkła powyginany tak, jakby ktoś na nim wielokrotnie siadał, dalej betonowy pułap Dworca Centralnego, za dworcem wieżowiec z czerwonym neonem Marriott, szklane pudło pełne ludzi i świateł.

Od jakiegoś czasu był samotnym mężczyzną. Co to jest samotność, potrafi powiedzieć tylko ten, kto wracał do pustego mieszkania przez sześć miesięcy. Tak było z nim. Funkcjonował, bywał, załatwiał, robił interesy, ale szklana ściana, która nagle oddzieliła go od ludzi, oddzieliła go też od świata. Odkąd nie było Moniki, runęło wszystko. Samotność ma swoje jady. Pamiętał chwilę, gdy zadzwoniła komórka. Jechał wtedy mostem Poniatowskiego w stronę śródmieścia. Dzwonił ktoś z policji. Gdy usłyszał, że proszą go, by jak najszybciej przyjechał na miejsce, poczuł, jak zimno wślizgnęło się do serca. Zajrzeli do torebki, stąd mają numer. Kiedy wjechał na rondo Marszałkowska–Aleje Jerozolimskie, musiał zwolnić, bo na jezdni był zator. Wyskoczył z samochodu, pobiegł w stronę błyskających świateł policyjnego radiowozu. Ktoś go odciągał do tyłu, ale wyrwał rękę. Kiedy dobiegł do niebieskiego forda Moniki, położył tylko ręce na przedniej szybie.

Monika siedziała za kierownicą. Tył głowy oparty o zagłówek, oczy otwarte, pasmo włosów zasłaniało policzek. „To najpewniej zawał” – mówił le-

karz z karetki, stojącej obok zatrzymanego autobusu. Policjanci zapisywali coś w notesach.

Śmierć Moniki Piotr przyjął jak osobistą obrazę. Wyglądało to na żart. Siedzi w samochodzie z rękami na kierownicy i udaje, że jest nieżywa. Parę razy tak się bawili w łóżku. Udawali, że są nieżywi, a potem wybuchali śmiechem. Teraz chciał ją szarpnąć za ramię, żeby przestała się wygłupiać. Wciąż nie mógł uwierzyć. Patrzył na jej twarz, licząc, że spojrzy na niego swoim lekko ironicznym spojrzeniem, które tak lubił. Ale oczy Moniki były szklane, nie przysłonięte rzęsami. Jak w kostkach lodu odbijały się w nich błyskające światła policyjnego wozu.

Miał najlepszą żonę w świecie. Przyjacielską, mądrą, dobrą, pociągającą. Stał obok niebieskiego forda, z dłońmi położonymi na masce, powoli uświadamiając sobie, co się stało. Kiedy widział, jak odginają jej palce od kierownicy, jak wyciągają ją z samochodu, jak układają na noszach, jak wsuwają do karetki, tylko zaciskał szczęki do bólu.

Teraz dojeżdżał do skrzyżowania pod wiaduktami, mijając granatowy wieżowiec Dolmechu. Niebo nad Ochotą było burzowe, skłębione, niskie chmury podświetlone różowym blaskiem miasta. Iskry posypały się z tramwajowych drutów.

Wjeżdżał na swój szlak. Po śmierci Moniki żył jak ogłuszony. Wszystkie pragnienia wygasły. Ciało zapomniało o pożądaniu, wystudzone, na wpół martwe. Przez długi czas nie mógł patrzeć na kobiety. Kiedy widział, że któraś jest do niej podobna, ogarniała go trudna do opanowania, zimna wrogość. Gesty dłoni, ruch ramion, przechylenie głowy, odcień włosów – to było święte, nietykalne, żadna z nich nie miała prawa taka być. Odwracał głowę.

Najgorszy był pusty dom. Wieczorami wchodził szybko, mijał przedpokój, sypialnię, wchodził do gabinetu, w którym rozłożył mały tapczan, dawniej przeznaczony dla gości. Nie wyrzucał z domu żadnej rzeczy, która po niej została. Kładł się na brzuchu z pięścią pod policzkiem, zwinięty jak embrion, wtulony w kołdrę. Chwilami, zasypiając, miał wrażenie, że Monika jest w kuchni. Niemal słyszał brzęk naczyń, szum wody i jej nucenie pod nosem.

Któregoś dnia pomyślał o agencji. Chciał sobie sprowadzić kobietę, żeby zemścić się za to, co się stało. Wszystkie one były winne, bo żyły. Miały w sobie gorącą krew i żywe oczy, w których nie odbijało się błyskające światło radiowozu. Nawet sięgnął po telefon. Ale poczuł obrzydzenie. Kobieta wielorazowego użytku budziła wstręt. Niczego od niej nie mógł oczekiwać, poza chwilową ulgą w lędźwiach.

Więc jeździł ulicami. Wieczorami wypuszczał się na miasto, choć sam nie wiedział po co. Sprawiała mu ulgę płynna jazda, z zakręcaniem szerokimi łuka-

mi na wysokich wiaduktach, spokojna, bez pośpiechu, ruch rąk obracających kierownicę. I światła, które przesuwały się za szybą, rozmazując się w długie, wodne smugi. W samochodzie czuł się jak owad w bańce powietrza, płynącej po powierzchni sennej rzeki. Jakby zanurzał się w dobrej śmierci.

Kiedy w którąś środę przejeżdżał obok Dworca Centralnego, dostrzegł kilka Ukrainek. Stały na przystanku autobusowym z wielkimi torbami pełnymi chińskich ciuchów na sprzedaż. Czuły się niepewnie, maskując lęk i niepokój szerokimi gestami i cichymi wybuchami śmiechu. Niektóre były naburmuszone, przyciszone, jakby w siebie nie wierzyły. Któraś z nich, wyższa od reszty, miała na głowie chustę w czerwone kwiaty, na plastikowej torbie widniał napis Madonna. Aż się uśmiechnęła. Mżył drobny deszczyk, ale nie miały parasoli, tylko podniosły kołnierze kurtek.

Jedna z nich przyciągnęła jego uwagę. Cielęcina – tak nazywał ten typ kobiet, co nie było zresztą żadną obelgą. Przeciwnie. Dziewczyna, na którą patrzył zza samochodowej szyby, patrzyła na coś, ale tak jakby niczego nie widziała. Na wskazujący palec prawej dłoni to nawijała kosmyk włosów, to go rozplatała, co robiła zupełnie bezwiednie, całkowicie zatopiona w swoim ciele, jakby spadła tutaj, na przystanek przed Dworcem Centralnym, nie z Ukrainy, lecz z księżycy. Nie mógł od niej oderwać oczu. Minął ją, skręcił przy Pałacu Kultury, zniknęła w szybce lusterka, ale poczuł, że ciało obudziło się, gdy zobaczył tę poprawiającą włosy dziewczynę, zupełnie nieświadomą tego, że ktoś na nią patrzy zza ciemnej szyby samochodu.

Roześmiał się, dociskając pedał gazu za światłami. Słowo „cielęcina” rozładowało w nim wszelki niepokój, wznecając równocześnie jadowitą zazdrość. Pomyślał, że nigdy nie będzie umiał tak istnieć jak ona, że nigdy nie dozna słodczy takiej formy nieobecności w świecie, która zawierała się w samym miękким ruchu palca bezwiednie nawijającego i odwijającego kosmyk włosów. Ta brama była przed nim zamknięta. Jakby stał przed skarbami Sezamu, których – wiedział to – nigdy nie dotknie.

W nocy długo nie mógł zasnąć. Czuł, że zdradza Monikę i to było paskudne. W dole brzucha ruszyła krew. Leżał w ciemności na wznak, uniósł prawą dłoń i w powietrzu usiłował naśladować wskazującym palcem ruch palca nawijającego kosmyk włosów. Po chwili machnął ręką. Ruch był niepodrabialny.

Ale od tego czasu lubił przejeżdżać przed dworcem. Gdy był blisko przystanku, zwalniał. Przyglądał się kobietom z Białorusi, Ukrainy, Litwy, które stały przy krajeźniku i by zaoszczędzić każde euro, nie zatrzymywały żadnej taksówki. Jedne były nieufne, stanowcze, skupione na sobie. Inne wygłupiały się, zabawnie ma-

chając rękami, jakby chciały odfrunąć stąd jak najszybciej. Jeszcze inne liczyły na coś, czego pewnie nie umiałyby wysłować. Niektóre były bardzo ładne.

Przed laty, kiedy zajął przejazdem do Lwowa, uderzyła go uroda Ukrainek, biel cery podbiegła świeżą krwią, delikatne, rdzawe piegi na mleczej skórze, piękny kształt ciała. Teraz to sobie przypomniał. Kobiety na przystanku były poubierane na cebulkę, tak by mieć jak najmniej do noszenia. Dwa, trzy swetry na sobie, kubrak obwiązany paskiem, przeciwdeszczowa kurtka z kapturem, ciepła spódnica, a pod nią spodnie, wełniane skarpety, cały dobytek na daleką podróż. Pewnie uważały Warszawę za krótki postój w drodze do Niemiec, Danii czy Szwecji.

Całe to wełniano-plastikowe opakowanie deformowało ich figurę. Mógł się tylko domyślać prawdziwych kształtów, ale to właśnie było podniecające. Niektóre przypominały sowiecką przodownicę w watomanej kufajce, której portrety kiedyś widniały na plakatach. Żadna nie miała butów na obcasie. Wszystkie były w adidasach, wygodnych do szybkiego przemieszczania się i ucieczki.

Do całych grupek nie zbliżał się. Przejeżdżał płynnie wzdłuż krawężnika, chłonąc ten dziwny barchanowo-kufajkowy wdzięk, w którym Środkowa Europa mieszała się z Madonną, Michaeliem Jacksonem, Matką Teresą z Kalkuty, Las Vegas, Santo Subito i Chicago Bulls. Dopiero po jakimś czasie zdał sobie sprawę, że szuka takiej, która by była sama. Zmienił też porę przejazdów. Wyruszał na dworzec późnym wieczorem, kiedy ludzie wychodzący z dworca myśleli tylko o tym, by jak najszybciej znaleźć się w czystym łóżku. Większość kobiet przyjeżdżała do Warszawy na umówione, ale trafiały się też takie, które przyjeżdżały na wariata, licząc, że na miejscu jakoś sobie poradzą. Te były najbardziej stanowcze, otwarte, mocne – i najbardziej bezbronne.

One były bezbronne, ale on też był bezbronny. Miał dużą, wygodną toyotę, ale cóż to zmieniało. Też był ubrany na cebulkę. Zamykał się w żelaznym pudle samochodu, potem we własnym ubraniu, potem we własnej skórze, by odgrodzić się od świata. W metalowej kapsule karoserii wolno przepływał wzdłuż przystanka.

Któregoś dnia, zwalniając, przez uchylone drzwi zapytał: „A dokąd podwieźć?”. Ale kobieta z tobołami tylko się obruszyła: „Też świnia...”. Pokręcił głową z uśmiechem, zamknął drzwi i odjechał. W końcu miała rację. Jakiś nieznaną mężczyzna podjeżdża pod dworzec wiśniową toyotą i o jedenastej w nocy proponuje wspólną jazdę. Już ona wie, co to znaczy. Ale dwa dni później powtórzył ten gest. Na przystanku stała kobieta z dwoma tobołami obwiązanymi paskiem, nie za wysoka, z ładnie związanymi, jasnymi włosami, które war-

koczem oplatały głowę nad czołem, zupełnie jak u sławnej Julii Tymoszenko, tylko była od niej pełniejsza i mocniejsza. „A na jaką ulicę pani jedzie? – zapytał przez uchylone drzwi – Ja mogę podwieźć. Niech się pani nie obawia”. Nagle poczuł do niej zwykłą ludzką sympatię, jakby rozpoznał kogoś dawno znajomego. W końcu nie miał nic do roboty. Podwiezie ją tam, gdzie zechce. A w samochodzie trochę pogada.

Kobieta pochyliła się: „Naprawdę pan podwiezie? Ale ja pieniędzy nie mam”. Machnęła ręką. „Ja podwożę bez pieniędzy. Proszę wsiadać”. Ale kobieta przez chwilę się zawahała. Odwróciła głowę w stronę zejścia do tunelu i zawołała śpiewnie: „Tatiana, tu jeden pan chce podwieźć nas”. Piotr spojrzął w lusterko. Zza przystankowej wiaty gramoliła się olbrzymich rozmiarów rumiana baba obwieszona torbami z czerwonej folii, w których coś brzęczało i chlupotało. „Wsiadasz? – krzyczała do „Julii” – To powiedz jemu, żeby zaczekał i na mnie!”.

Kiedy wpakowały się do środka, auto przysiadło na resorach. Były rozgadane, pośpiesznie sadowiły się na tylnym siedzeniu. „Układaj bagaże tutaj. Na głowę tylko uważaj”. Mówiły śpiewną, ukraińską polszczyzną. Ruszał słysząc, jak upychają wszystko wokół siebie niczym kwoki w gnieździe. „My nie takie, jak myśli – »Julia« po raz pierwszy na niego spojrzała – My różne rzeczy już widziały i słyszały”. „To na jaką ulicę?” – odrzyknął za siebie. Olbrzymka wyjęła spod swetra karteczkę. „Plac Wilsona” – odczytała z trudem w migających światłach. „Dobrze, czemu nie, niech będzie plac Wilsona”.

Ale nie pojechał prosto. Nie znaly miasta, więc mógł kluczyć. Sprawiała mu przyjemność sama ich obecność i to, że nie wiedziały o nim nic. „Julia” pogroziła mu żartobliwie pięścią – „Bo jakby pan zaczynał, to Tatiana panu pokaże. Ona nie takim jak pan dawała radę”. Było to nawet zabawne. Bez żadnych skrupułów otoczył plac Wilsona szerokim łukiem kilkunastu ulic.

Gdy znalazł się przed swoim domem, ostro zahamował. „Co się stało?” – „Julia” wyjrzała zza oparcia fotela. „Nic. Samochód chyba się zepsuł”. „To co teraz będzie?” – wyglądała na trochę zaniepokojoną. „Nic nie będzie. Chwilę posiedzimy u mnie, a potem pojedziemy dalej”. „A to świntuch z pana – »Julia« kręciła głową. – Do domu swojego chce nas pan zaciągnąć?”. „Nie zaciągnąć, tylko zaprosić – odpowiedział wyjmując kluczyk ze stacyjki – Po prostu posiedzimy, pogadamy, a potem dalej”. „Co ty o tym, Tatiana, myślisz? – »Julia« odwróciła głowę – prawdę on mówi?”. „Prawdę, czy nieprawdę, to głupstwo. Jak ja tu jestem, to nam nic nie zrobi”.

Gdy weszli do mieszkania, torby i toboły rzuciły przy drzwiach, ale kurtek i swetrów nie zdjęły. „Ładne mieszkanie – powiedziała głośno »Julia«, rozglądając się po

korytarzu. – Pan tutaj tak sam mieszka? „Sam” – odpowiedział Piotr, sięgając po klucze, ale go powstrzymała: – „Ale na klucz niech pan drzwi nie zamyka”. „Dobrze” – Piotr był ubawiony. Świadomość, że uważają go za niebezpiecznego mężczyznę, sprawiła mu śmieszłą satysfakcję. „Panie wejdą do środka” – zaprosił uprzejmie.

Kiedy rozlokowały się w fotelach, Piotr wpadł w zachwyty. Brzmienie ich głosów oswajało wszystkie domowe cienie, które kryły się po kątach. A kiedy się śmiały, to aż kryształowe wisioriki żyrandola zdawały się podzwaniać. Kiedy słyszał ich śpiewne głosy, przychodziły mu do głowy jakieś dalekie, dziecięce wspomnienia, spokojna rzeka, żółte urwisko, wysokie sosny, mokre tataraki, kobieta w płóciennej sukience wchodząca bosą do wody z roześmianą dziewczynką. Wszystko to, co robiły, wydało mu się tak niezwykle, że zapomniał, że jest gospodarzem. „To może toast wzniesiemy za nasze poznanie?” – zapytał otwierając drzwiczki lodówki, za którymi lśniła zmrożona karafka. „A czemu nie?” – powiedziała olbrzymka. – Jak komu w drogę, to w drogę. Konie trzeba napoić”. Piotr rozlał do kieliszków. „A gdzie żona?” – zapytała „Julia”, patrząc na jedną z fotografii, które stały na kredensie. Głos Piotra ściemniał. „Umarła”. „Oj, biedniutki, biedniutki – westchnęła »Julia«. – A dawno umarła”. „Parę miesięcy temu”. „To smutno” – pokiwała głową, po czym z rozmachem wypita kieliszek mocnej fińskiej wódki. – „To sam tutaj tak siedzi po nocy?” „Sam”. „I żadnej kobiety nie ma?”. „Nie ma”. „I z nikim pogadać nie może?”. „Nie może”. „No to jeszcze wypijmy” – powiedziała „Julia” spokojnie. Piotr znów rozlał do kieliszków.

Potem same sięgnęły do tobołów. Spod chińskich ciuchów, spod papierów i kłębów folii, wyciągnęły butelkę pełną różowawego płynu. Zaczęły opowiadać o jakiejś wsi pod Kijowem, z której przyjechały, o biedzie takiej, że aż piszczą. Piotr wypił pół szklanki, czując jak gorąco rozpląnęło się w piersiach, nalały mu znowu do pełna, poczuł, jak głowa zaczyna ciążyć, bimber był mocny, trochę piekący, uderzał w pierś, aż oczy łzały. „Dobry spiryt” – mówiła olbrzymka, rozpinając pod szyją wełniane warstwy swetrów. Na czole wystąpiły jej krople potu. Pracowała w tej dierewni na traktorze czy jakiejś maszynie, a w Polsce chciała dorobić na naprawę dachu stodoły. „Drogie wszystko – skarżyła się niskim głosem, który brzmiał jak groźba – więc do Polshy my się wybraли”. A potem zaczęły opowiadać o swoich dzieciach. Piotr siedział w fotelu i zza różowawej, łzawej zasłony patrzył na wszystko jak urzeczony, tylko chwilami przez głowę przelatywała natrętna myśl: „Jak się upiję, okradną mi mieszkanie, czy nie?”. Ale było mu błogo i wszystko jedno. Od wielu miesięcy zapadł w siebie. Teraz w głowie rozlewało się miłe ciepło. O dzieciach swoich mówiły pięknie. Aż widział te dzieci, tak obrazowo je przedstawiały. Chłopczyk jakiś z ukraińskiej

wsi i dziewczynka jasnowłosa z kokardą. A mądre, dobre! Matce we wszystkim pomogą. Czuł, że ta gadanina wciąga go w słodką przepaść dzieciństwa, z której teraz nie chciał wyjść. Potem zaczęły się o coś sprzeczać, popychały się łokciami, a wszystko to było tak łagodne, spowolnione, jakby sen naoliwił wszystkie gesty. „Tylko nie trzeba wchodzić do sypialni” – ostatkiem sił Piotr mruknął, na co olbrzymka odpowiedziała leniwie: „Niech się nie martwi. Nie wejdziemy, jak nie chce”. Piotr wstał z fotela, zatoczył się i padł prosto w objęcia „Julii”, która uratowała go przed upadkiem na posadzkę. Teraz klęcząc, przywierał do niej policzkiem, łyzy mu ciekły po brodzie, wtulał skuloną głowę w rowek między piersiami, na co ona głaskała go po włosach: „Oj, biednieńki ty, biednieńki”.

Rano, kiedy się obudził, wszystko było poprzewracane. W fotelu spała olbrzymka, trzymając na kolanach głowę „Julii”, która – dziwnie zwinięta, z ramionami przyciśniętymi do piersi – spała snem dziecka, rozchyłając usta, z których dobiegał oddech, podobny do słodkiego szeptu.

O dziesiątej odwiózł je na plac Wilsona, gdzie czekały już na nie koleżanki z Kijowa, które dostały pracę u Wietnamczyka na Starym Mieście koło Barbakanu.

Wszystko to bardzo go wzmocniło. Właśnie zupełna obcość tych kobiet, ich przyrodzona dyskrecja, niegrzebanie paluchami w cudzym życiu, przelotność spotkania, po którym zostały tylko dobre wspomnienia łagodnego ciepła, ujęły go bardziej niż cokolwiek. Pamiętał delikatne dotknięcia dłoni, którą gładziła go po włosach.

Teraz nie było tygodnia, by nie jeździł pod Dworzec Centralny. Co jakiś czas kobiety z tobołami, okutane swetrami, wsiadały do samochodu i wiozł je do siebie. Nie zawsze się kończyło tak jak za pierwszym razem. Dwunastego, kiedy wchodzili do mieszkania, dwie Białorusinki od razu zażądały pieniędzy, bo jak nie da, to pójdą na policję, że niby są nieletnie. Wyjął z portfela parę banknotów i dał. Potem nie czuły żadnych skrępowań. Rozebrały się od razu i chciały robić oral, ale tylko je odepchnął. Spał z nimi, tak jakby dźgał je nożem, mszcząc się za wszystko. Nienawidził. Kiedy wychodziły z mieszkania, nawet się nie odwrócił.

W sobotę zatrzymał się przed dworcem później niż zwykle. Była już noc. Na przystanku stały dwie kobiety. Nie wyglądały na Ukrainki czy Białorusinki. Trzymały się pod rękę jak siostry, miały torby z białego i różowego skaju. Na nogach czarne i białe kozaki na wysokim obcasie. Ale twarze miały łagodne, trochę zmęczone, widać było, że przyjechały z daleka. Chciały zatrzymać takśówkę, pomachały ręką, ale białe audi nie zatrzymało się. Wtedy Piotr podjechał. „Ja mogę panie podwieźć – uchylił drzwi. – Tylko dokąd?”. Były już trochę

podpite. „Słyszałaś, Irma, ofertę?” – powiedziała wyższa z rudą fryzurą i przyklejonymi rzęsami. – „Oferta jak oferta, a pojechać można – druga zachwiała się trochę na obcasach. – Człowiek wygląda na uczciwego”. „Co ty mówisz, Irma – powiedziała wyższa – jak on ma taką toyotę, to on jest drań. Prawda?” – pochyliła się w stronę drzwi samochodu. „Nie będę się spierał – Piotr zaprosił ruchem ręki. – Proszę wsiadać. Pojedziemy, gdzie tylko panie chcą”. „Patrzcie go – powiedziała wyższa – Słyszałaś Irma, jaki szlachetny? To car jakiś albo i Soros”. Były podchmielone, ale nie zaczepne. Z lekka chwiejąc się na nogach, wsiadły do samochodu. „Patrzcie go – mówiła teraz wyższa – ale sobie furę sprawił. To pewnie z pracy rąk?” – skrzywiła się, moszcząc się na tylnym siedzeniu. Jej duże, mosiężne kolczyki pobrzękiwały. Piotr aż się roześmiał. „Bez przesady, mało to takich toyot na drogach?”. „No, pewnie, że nie mało – przyznała niższa – ale ty masz obrazek święty nad lusterkiem”. Rzeczywiście, kiedyś Monika wetknęła tam obrazek, który dostała w dzieciństwie na kołędzie. Był na nim przedstawiony mostek dziurawy nad strumieniem, siostrzyczka i braciszek w trwodze przechodziły na drugą stronę wzburzonej wody, a anioł w soczystej, śnieżnej szacie im pomagał. Nad głową anioła świeciła pojedyncza gwiazdka, w chmurach srebrzył się księżyc. „Czym się panie zajmują” – zapytał grzecznie Piotr, choć mogło to zabrzmieć nieuprzejmie. „On chce wiedzieć, czym my się zajmujemy, słyszałaś siostrzyczko? No, to mu powiedz” – mruknęła wyższa, zaglądając do puderniczki, na której lśnił perłowy kwiat lotosu. Potem starannie sobie poprawiła usta ciemnoczerwoną szminką. Te usta wyglądały teraz – Piotr nie mógł się oprzeć takiemu wrażeniu – jak rana w boku Jezusa na gotyckich obrazach, tylko w szczelinie świeciły białe zęby, bardzo ładne i dobrze utrzymane. „Ja jestem kosmetyczką” – znów zajrzała do puderniczki. – „A pani?” – Piotr zajrzał w lusterko – „Ja pracuję w branży turystycznej. Zwiedzanie i takie tam. Grecja, Rzym i Krym”. „Teraz w branży turystycznej trudno” – Piotr skręcił na światłach. – „Jak dla kogo – wyższa wydeła wargi tłuste od szminki. – W niektórych gałęziach nie narzekamy”. „Ale, ale – Piotr przypomniał sobie – dokąd sobie panie życzą?”. „Widzisz go, siostrzyczko? O drogę do Delf świętych pyta. A jedź pan dokąd chcesz. Na wycucie się zdaj”.

Piotr nigdy jeszcze nie miał takich pasażerek. Były podchmielone, ale przecież nie aż tak, by pleść trzy po trzy. Ale skoro chcą jechać, pojedzie dokąd chcą. Co parę chwil zaglądał w lusterko jak w mały telewizor, w którym widać było dwie ładne kobiety, jedną z wysoką, rudą fryzurą, natapirowaną trochę *démodé*, drugą z ładnie upiętymi złotymi włosami, które zwiły się nad uchem w kunsztownie splecioną muszelkę. Przyjemnie było na nie patrzeć. Trącały się łokcia-

mi, całowały w policzki, w ogóle wykonywały dużo zupełnie niepotrzebnych ruchów, a jednak wszystko to składało się w ładną całość. Tylko chwilami wydawało mu się, że w oczach jednej czy drugiej pojawia się jakiś chłodny, nieprzyjemny błysk. Wtedy czuł się nieswojo.

„No, to jesteśmy na miejscu” – zahamował przed bramą swojej willi, którą zbudowali razem z Moniką. Pstryknął pilotem, żelazne wrota rozsunęły się. Kobiety nie wyraziły zdziwienia. „Ogródek niczego sobie – powiedziała niższa. – Pewnie też z pracy rąk. Czy pan przypadkiem nie jest właścicielem agencji towarzyskiej? Przypominam, że zgodnie z obowiązującym prawem handel kobietami jest zabroniony”. „Ach, co ty mówisz, Lucylla – powiedziała druga – ktoś tam chciałby kupić takie pudła jak my”. Przy wysiadaniu wygładziła pończochę na prawej nodze. Czarny szef rozcinał łydkę jak cięcie noża. W ogóle obie panie były bardzo udane. Wysiadając z samochodu, obładowane pakunkami i torbami, wyglądały jak starsze siostry Audrey Hepburn ze *Śniadania u Tiffaniego*. Rozglądały się niedbale po ogrodzie, stukając obcasami na wyłożonej kamiennymi płytami ścieżce. „Patrzcie, patrzcie, takie to gniazdko tutaj sobie urządził. Pomyślałabyś?” – wyższa zarzuciła na ramię białą torbę z nadrukiem Gucci, w której coś zadźwięczało. „Bardzo pracowity jest. Stara się. Kocha ludzi i gotów jest dla nich zrobić wiele, a przy okazji trochę zarobić”. „No, nie tak znowu trochę”.

Willa Piotra rzeczywiście nie zasługiwała na drwiące „trochę”. Piętrowa, z poddaszem, z dużymi słupami modrzewiowymi, które podpierały dach, z pewnością nie była powodem do wstydu. Piotr otworzył drzwi. Panie weszły za nim. Bagaże, paczki i pakunczki postawiły na kurpiowskiej skrzyni, malowanej w maki i tulipany, która stała w niedużej sieni. Potem weszły do salonu. Młodsza aż gwizdnęła: „Fiu, fiu, nieźle. Mebelki jak się patrzy”. „Co chcesz, on to wszystko dostał od narodu. Za swoje zasługi. Jak Sienkiewicz dwór w Oblęgorku”.

Piotr poprowadził je do swego gabinetu. Nie jest tak źle z polską edukacją – pomyślał rozbawiony – skoro kosmetyczka rozmawia w ten sposób z agentką biura turystycznego. A zresztą: iluż to ludzi po studiach pracuje u nas jako hydraulicy, sprzedawcy, fryzjerzy albo listonosze. Czemuż tu się dziwić? Ciekawe tylko – uśmiechnął się do siebie – gdyby okazało się, że obie skończyły teologię na katolickim uniwersytecie w Lublinie. Może warto by je zapytać o św. Augustyna i pięć dowodów na istnienie Boga?

Ale nie dały mu na to czasu. Były wspaniałe. W szeleszczących spódnicach z tafty, spod których wystawały sztywne muślinowe halki, z paznokciami po-

łyskującymi świeżym lakierem, w kozakach ładnie uwydatniających kształtne łydki, cieszyły się w sposób widoczny sprawnością swoich udanych ciał. Rzuciły okiem to tu to tam, przystanąły trochę przy marmurowym kominku, obejrzały kryształowy żyrandol (wyższa syknęła: „Taki niby mądry, a tu takie bezguście”), palcami przesunęły po kremowej tapecie z holenderskim wzorem, dotknięciem sprawdziły lustrzaną gładkość mahoniowego biurka, powąchały ogrodowe irysy wstawione do chińskiego wazonu, a wszystko robiły to tak lekko i wdzięcznie, z prawdziwą ptasią zręcznością, że aż chciało się na to patrzeć. A przy tym te przegięcia szyi, to podpieranie się pod boki, to wygładzanie mimochodem jedwabnych bluzek na piersiach, to poprawianie włosów palcami. Napełniły dom szumem i brzęczeniem jak pszczoły w letnie popołudnie.

Piotr był zachwycony. „To może mały toast?” – zaproponował unosząc butelkę martini ze złoto-czerwoną nalepką. „Czemu nie? – wyższa nawet na niego nie spojrzała – Ale tu najpierw trzeba posprzątać, siostrzyczko, prawda? Cóż to za bałagan? – przesunęła palcem po grzbietach na półce – Nie za dużo tych książek? Przecież i tak nigdy ich pan nie przeczyta”. „On to traktuje jako swój kapitał – pomrukiwała pod nosem niższa, zgarniając otwartą dłońią kartki z biurka na posadzkę. – Nie ma pan na służącą?”. Oczywiście, że miał, ale od śmierci Moniki nie chciał, by ktokolwiek obcy kręcił się po domu. Wolał, by wszystko pozostało tak jak dawniej.

„No, wiecie państwo – wyższa wzięła się pod boki – Ten dom zasługuje na więcej. Pan tu mieszka sam?”. Skinął głową, nalewając do kieliszków. – „A żona?”. Znowu to przekłete pytanie. Przez moment pomyślał, że najlepiej zrobi, jeśli je stąd od razu wyprosi. Pokaże ręką drzwi i tyle. Ale zrezygnował. Chciał tylko, żeby wreszcie usiadły, ale one wcale nie miały zamiaru siadać. Po prostu panoszyły się w mieszkaniu. „A te drzwi to dokąd?” – podeszły do drzwi sypialni. „Proszę tam nie wchodzić – głos Piotra ściemniał. – Przejdźmy do mojego gabinetu” – dodał z naciskiem.

Tego im tylko było trzeba. Mocnym szarpnięciem rozsunięły biało lakierowane drzwi zajmujące prawie całą ścianę. Chwyił mocno za ramię wyższą, aż syknęła z bólu. „Co takiego? – spojrzała na niego czarnymi oczami – Do bicia się rwie? Widziałas, Anastazja? Szarpie mnie jak pierwszą lepszą. Najpierw zaprasza, a potem bić chce?”. „Proszę tam nie wchodzić” – powtórzył mocniej. Nie wypuszczał ramienia wyższej z uścisku. „Zostaw pan! To boli! – wyszarpnęła rękę. – Też coś. Damski bokser się znalazł”.

Odsunęła go na bok mocnym pchnięciem w pierś, aż się zachwiał. Była bardzo silna, jakby ćwiczyła wschodnie sztuki walki. Przekroczyła próg sypial-

ni i weszła do ciemnego wnętrza. Żaluzje były zasunięte. Wielkie łóżko z rzeźbionym wezgłowiem zasłane starannie. Obok, na nocnej szafce, kilka fotografii w mosiężnych ramkach. „Ładna – powiedziała niższa do wyższej, oglądając duże zdjęcie. – Prawie jak Persefona”. „E, raczej jak Kora z Maanamu” – skrzywiła się druga. Piotr chciał im wyrwać zdjęcie, ale nie pozwoliły na to. „To żona?”.

Nawet nie odpowiedział. Stał obok łóżka jak ogłuszony, patrząc na to, co wyprawiają. Starsza szybkim ruchem palców wyłuskała fotografię Moniki z mosiężnej ramki. „O, widzę ołtarzyk. Cichy kult rozpaczy samotnego mężczyzny. Kirie Elejson – zaczęła zawodzić – Chryste Elejson. Ale tu trupem cuchnie! Trupem!” – wykrzyknęła tonem operowej divy i rozdarła zdjęcie na pół, jak zasłonę w świątyni. Poczul fizyczny ból w piersiach, ale nie potrafił ruszyć się z miejsca. A one wyłuskiwały kolejne zdjęcia z ramek i rzucały na cynową paterę. Wyższa uniosła fotografię uśmiechniętej Moniki w ślubnej sukni i przyłożyła do krawędzi zapalniczkę. Pstryknął ogień. „Nie ma, nic nie ma, święta Hekate. Nic. Koniec i szlus” – pokrzykiwała wyższa, klepiąc się po udach. Na stoliku przy łóżku zapłonął ofiarny znicz. Żółte płomienie szybko zwęgliły fotograficzny papier, a wyższa i niższa cicho zaintonowały marsz żałobny Szopena. „Dlaczego to robicie?” – ledwie wyksztusił. „A dla gówna psiego” – odpowiedziała czarna bez uśmiechu. Była teraz podobna do kogoś, kogo znał, ale nie mógł sobie przypomnieć do kogo. Patrzył osłupiały na skręcające się resztki fotografii, usypane na cynowej paterze, która pod wpływem ognia szerniała na brzegach. A one kotływały płomykami zapalniczek nad łóżkiem, pokrzykując z końskim rżeniem: „Chcemy być sobą, chcemy być sobą wreszcie!”.

Tego już było za wiele. Po fotografiach Moniki zostały tylko jaśniejsze prostokąty na ścianach i trochę popiołu, który zmieściłby się na dnie małej metalowej urny.

„Macie się stąd wynosić, bo wezwę policję – zacisnął ręce na rzeźbionej poręczy łóżka. – Jazda!”. Wybuchły prostym, wiejskim śmiechem, aż trzymały się za brzuch, podobne teraz do Ukrainek z dworca, które co jakiś czas tutaj przywoził. „Słyszałaś, Esmeraldo? – zachłystywały się chichotem. – On policję sprowadzi! O, laboga, laboga – uderzyły w chłopski lament. – Na nas, siostrzyczko, uzbrojonych mężczyzn sprowadzi! Prześladować nas chce! Oj, brzydal, ty brzydal! Nieładnie, nieładnie – naśladowały teraz śpiewną intonację gejów – Nietolerancja mu w głowie. Kobiety chce dyskryminować, pozbawiać ich praw niezwykłych. Poskarżymy się – młodsza pokręciła palcem w powietrzu jak świdrem – na Kongresie Kobiet”.

I nie przestawały się śmiać. Naraz umilkły. Zmęczone, ledwie chwytające oddech, potargane, usiadły na łóżku i wygładzając jedwabne bluzki, dopro-

wadzały się do porządku. Siedziały na łóżku sposobem grzecznych uczennic. Miały ładne kolana, ciasno ściśnięte. „No, dobrze, już dobrze. Nie strasz nas, jasny panie, komendantem policji – powiedziała pojednawczo niższa. – Już nie będziemy. Przyrzekamy, Królowo Polski, przyrzekamy, jestem przy Tobie, pamiętam, czuwam”. „Trochę nam odbiło – przyznała wyższa. – Ale to przez nią – wskazała palcem niższą. – Ona zawsze taka. Wciąga mnie w coś i potem nie ma rady”. „Samaś taka – odrzuciła wyższa – Na mnie winy nie zwalaj. Pamiętaj, Pan nasz dobry wziął na siebie winy całego świata”. Piotr nie mógł dojść do siebie, patrząc na te zmiany tonacji, które następowały po sobie tak szybko. Gesty obu kobiet miały teraz w sobie coś ptasiego, nastroszonego, pierzastego. Klóciły się ze sobą z miękką napastliwością. „Widzisz – mówiła jedna do drugiej – I co teraz? On smutny się zrobił, a my chciałyśmy go rozweselić. Wesela mu do serca trochę wlać. A jego oczy – zobacz – markotne, a nawet złe. Wiesz – powiedziała niższa, kładąc palec na ustach – on teraz chce nas zabić”.

Nie było to dalekie od prawdy. Trzymał się na wodzy ostatkiem sił. Chciał je uderzyć tak, żeby rozsypały się w powietrzu jak dwie figury z kruszącej się, suchej gliny. Jedno uderzenie i po wszystkim. Ale nie ruszał się z miejsca.

Zapewne powodem była ich uroda. Teraz, w szybkiej sprzeczce, skacząc sobie do oczu jak dwie pierzaste kogucice, odsłaniały przed nim swoje powaby. „Straszna jesteś, Andżelo! – krzyczała niższa – Okropna! Kto to widział, żeby wchodzić do cudzego mieszkania i palić cudze fotografie. To może jeszcze cały dom podpalić? Co cię ugryzło? Naprawdę nie potrafisz usiedzieć w spokoju?”. „Niewinna się znalazła – odszczekiwała wyższa – Nawet palca do tego nie przyłożyła!”.

I tak się przekrzykiwały, trącając się łokciami, grożąc sobie zakrzywionymi szponami, na których świeciły polakierowane paznokcie, a on czuł, jak w dole brzucha zaczyna krążyć krew, jak ta krew zaczyna pulsować, wspinać się do serca, wstępować wzwyż.

Nagle znowu umilkły i popatrzyły na niego żałościwie. „No, podejdz bliżej, synu faraona – powiedziała niższa. – Nie bój się. My nie takie straszne. Ot, człowieka czasem strach czarny obleci w środku nocy, to i głupoty wyczynia, nawet jakby *Państwo Boże św.* Augustyna codziennie z namaszczeniem czytał. Więc i ty wybacznaj nam, bo my życia łatwego nie mamy. My eleganckie, wypieszczone, ubrane, ale życie mamy marne, szkoda gadać – uderzyły w tony skargi. – Ty ulituj się nad nami, nieszczęśliwymi. No, chodź, podejdz bliżej. I nie wstydz się, bo płacz dobrą jest radą na wszystkie bóle. My nie gryziemy. My martwimy się o ciebie, a ty masz żal. No, chodź...”.

Podszedł do nich bliżej, chciał wybuchnąć jakąś obraźliwą pretensją, a nawet groźbą, ale ten ton skargi bolesnej zupełnie go obezwładnił. Może mówił prawdę, może kłopoty mają prawdziwe, kto to wie. „No, chodź, siądź tu między nami – powiedziała wyższa, kładąc dłoń na łóżku – I o wszystkim, co złe zapomnij. Wybacz nam głupstwa nasze”. Rozsunęły się, a on usiadł między nimi. Jakiś go smutek prawdziwy ogarnął. Ja smutny, wy smutne – chciał powiedzieć, ale milczał.

Tymczasem one rozpięły mu kołnierzyk pod szyją. „Dusi się, biedny, oddechu chwycić nie może. Zęby zaciska, a po co? Toż nie u dentysty jesteś. No, odechnij głębiej. Nie bój się. Co ma być to będzie”. Były opiekuńcze i czułe. Miały w sobie, co spostrzegł z przerażeniem, coś z matki. Chciał je odepchnąć, ale młodsza pogłaskała go po głowie, jakby nuciła dziecku kołysankę przed zaśnięciem. Przyciągnęła go do siebie, policzkiem przytulając do ramienia. W tym wtuleniu poczuł się dziwnie bezpieczny, choć wciąż się wzbraniał, a równocześnie fala gorąca znów podpłynęła z dołu brzucha w stronę serca. „No, połóż się na wznak. O, tak, dobrze, widzisz?”. Położył się na chłodnej pościeli z głową na poduszce. Nie zamykał oczu. Po suficie sypialni, który widział nad sobą, wędrował w stronę okna siwy pajęczek. Jeszcze chwila, a dosięgnie pręgi księżycowego światła, które przenikało przez szpary w żaluzjach.

Przyłożyły mu butelkę do ust. Pił łapczywie, jakby ciągnął wodę ze źródła życia. Znowu fala gorąca powędrowała w stronę piersi. Był rozluźniony jak płócienna lalka wypchana szmatkami, która nie ma stawów w łokciach i kolanach. „No, pij, pij, chłopczyku – mówiła niższa, przykładając znowu butelkę do ust. – Dobra woda zdrowia doda. To ze źródła świętej Agaty, z ran świętych woda uzdrawiająca”.

Było mu wszystko jedno. W głowie szumiało. Czuł w żyłach przyspieszającą krew, a one zaczęły się nim bawić jak wiotką, szmacianą lalką. Zdjęły koszulę, potem znowu mu ją założyły, potem znowu zdjęły, jakby były uczennicami szkoły pielęgniarskiej, ćwiczącymi, jak się obchodzić z pacjentem w stanie nieprzytomności. Leżał jak niemowlę na plecach, z rozkrzyżowanymi rękami, a one klęcząc na łóżku, rozpięły spodnie i wyjęły męskość, która wzniosła się, co przyjęły wybuchem śmiechu pełnego uznania. „No, nareszcie – szepnęła wyższa – obudził się chłopiec i różdżką szuka źródła, różdżkarz prawdziwy. O, tutaj jest źródło” – uniosła spódnicę i rozchyliła kolana.

Co działo się dalej, Piotr nie pamiętał. Jakieś ciepłe dłonie wędrujące po ciele, palce muskające skórę w najwrażliwszych miejscach, jego nagła furia, nagła uległość kobiet, posapywanie, okrzyki, coś tryskającego jakby laska Mojżesza

uderzyła o skałę. Potem ktoś pochylający się, ktoś unoszący się, gwałtowne ruchy, coś białego, jakiś proszek na blacie stołu, czyjaś sukienka w kwiaty, ręka uniesiona z telefonem komórkowym, błysk...

Gdy się obudził, obu kobiet nie było. Okna rozjaśniały się. Niebo nad ogrodem miało barwę szarego płótna, z jakiego szyje się habity dla nazaretanek. Podbiegł do kredensu, by sprawdzić, czy pieniądze nie zniknęły. Ale wszystko było na miejscu. Nie brakowało niczego. Musiały wstać koło piątej i cicho wymknąć się z domu. Nie słyszał nawet stuknięcia zamykanych drzwi. Tylko na nożu, który leżał na stole w kuchni, zobaczył wilgotny, czerwony ślad zlepiony z okruskami białego chleba, który równie dobrze mógł być śladem szminki lub krwi. Posypany makiem bochenek był przebity w paru miejscach. Otwarte, puste butelki stały w sypialni obok łóżka.

Głowa bolała go okropnie. W ostatniej chwili dobiegł do łazienki. Zwymiotował czymś zielonawym, co pachniało jak rozkładające się glony. Na języku okropny smak, którego dotąd nie znał. Chwiał się na nogach, aż musiał się oprzeć o wykafelkowaną ścianę. Na widok swojej twarzy w lustrze, syknął z przerażenia. Śliska od potu, posiniaczona, pod oczami fioletowawe cienie, dolna warga pęknięta, ze strzępkami przyschłej krwi. To było coś dużo gorszego niż zwyczajny kac. Całe ciało miał obolałe.

Najgorsze jednak dopiero go czekało. Na miękkich nogach wrócił do sypialni, potykając się o toczące się butelki. Pościel była zmierzwiona. Wyglądała jak popękany lodowiec. Na poduszkach ślady rozmazanej szminki i krwi. Na prześcieradle jakieś mokre, żółte plamy. Jednym szarpnięciem ściągnął kołdrę, spod której błysnęły kawałki potłuczonego szkła.

Opierając się wyciągniętą ręką o ścianę, ruszył w głąb domu. Na piętrze poszedł do pokoju Agnieszki. Drzwi były zamknięte. Tknięty niedobrym przecuciem, pchnął je ramieniem. Pokój był spustoszony, jakby przeszła po nim trąba powietrzna. Stał w drzwiach i chciało mu się wyc z rozpacz. Ze ścian zostały zerwane wszystkie zdjęcia, na których była jego córka. Stos ich nadpalonych strzępów leżał na kamiennym parapecie. Ramki były połamane. Szkło rozsypałe obok łóżka. Nie zostało nic.

BOGUSŁAW KIERC

Niby Rdz 32, 25–31

Napadłeś na mnie znikąd i nie obchodziło
mnie, skąd się wziąłeś, jakim cudem tutaj jesteś
i kim jesteś; nie czułem strachu, nawet miło
było mi pod ciężarem ciebie, gdy się przez tę

ciężkość przeciskał do mnie pies czy inne zwierzę,
które jęło się łasić i tkliwie przemieniać
mnie w siebie, wtedy chciałem, gdym się już opierzył
tobą, znać, lecz nie dałeś mi poznać imienia.

Ta kartka

Nabazgrał to jak kura pazurem, do tego
po francusku i spróbuj to teraz odczytać;
odwróć kartkę a zaraz się niesamowita
jego nagość odsłoni, jeszcze nie odbiegaj

od tematu notatki, patrz na zadrapania
na skórze i porównaj z tymi bazgrołami
na kartce i jeżeli cię jeszcze nie mami
ich zakłęcie i z innej przyczyny się słaniasz,

zechciej się opanować i z zimną krwią przyjmij
krwawienie tych zadraśnięć na kartce i skórze
obłądnego przybłądy z nieba, co cię urzekł
wyrazami miłości tak nabazgranymi.

Przelotne

Niosłem go na barana, chociaż jest rodzaju
żeńskiego, gdy po polsku mówię, ale nie
o mówienie mi chodzi, lecz o to, kto najął
mnie sobie na tragarza i każe się nieść

aż do grobowej deski, bo odgrywa postać
tej, co nie ma postaci, więc czemu ją tak
naiwnie wyobrażam sobie, jakbym został
wyróżniony, wybrany przez nią i ten znak

wybraństwa miał na czole pięknie wypisany
niczym w Apokalipsie i od razu chcę
wierzyć, że na barana siedzi mi Baranek
Boży jako Dzieciątko i tak mi się tę

wiarę leciutko niesie, że już bym na słabe
ramiona wziął gorliwie Jego przyszły krzyż,
ale właśnie przeleciał mi nad głową łabędź
i brzeg morza z odbitym niebem wiódł mnie wzwyż.

Cavallini

Dla Rozalki

Było wysoko.
Tam oko w oko

stałem przed Panem.
Namalowanym.

Wróble

Frani na ćwierćwiecze

„Miły mój śnieżnobiały”
(Pnp 5,10)

Usłyszało się ślicznie *ćwierćwiecze*; ćwierkało
mi zgromadzeniem wróbli w koronie jakiegoś
drzewa i było niby ukoronowanie

szarego czasu, szronu szarych godzin; mało
co nie dałem mu głowy (że te wróble strzegą
mnie), pod koroną byłem królem patrząc na nie,

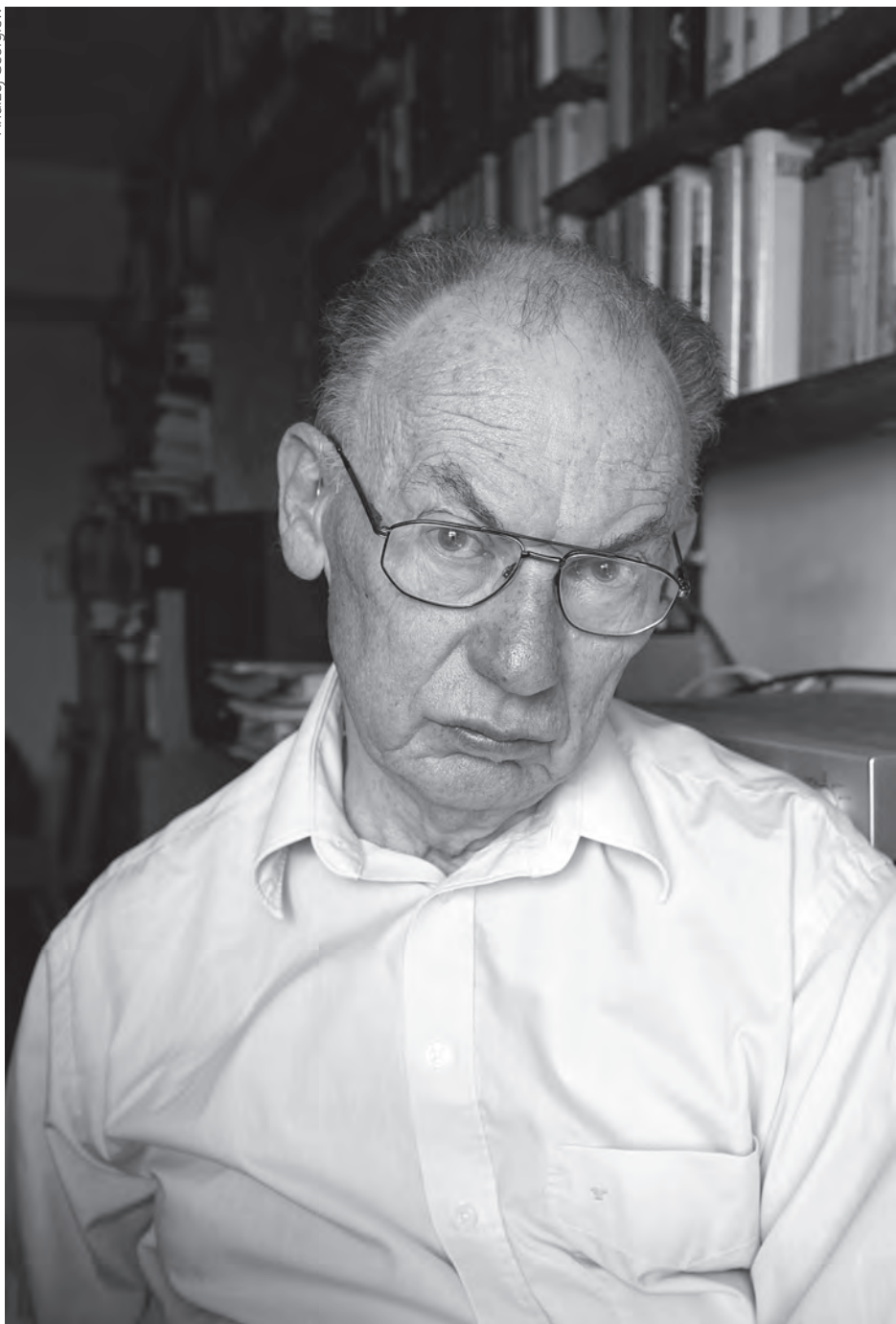
to znaczy jeszcze byłem i już mnie nie było –
tak samo jak z ćwierkania takie coś, co kiedyś
udało nam się słyszeć niewiadomo z jakiej

przestrzeni przychodzące, ale jakoś miło
bliskie naszej radości i tajonej biedy
ducha, co chętnie byłby choćby takim ptakiem

jak wróbel, bo gdzie mu tam do tej Gołębiczy,
co sfrunęła na Pana Jezusa nagiego
w Jordanie, ale kiedy dalej było szaro,

jął nas muskać rzęsami ten Śnieg Białolicy,
a ty stałaś na jednym, ja na drugim brzegu
snu sytego miłością, nadzieją i wiarą.

Andrzej Georgiew



MICHAŁ GŁOWIŃSKI

Wędrówka

Wreszcie znalazłem się w tym mieście, z którego miałem już sporo wspomnień, stało się to po kilkuletniej przerwie spowodowanej różnymi względami, przede wszystkim tym, że w ostatnich czasach odmawiano mi paszportu, byłem – jak widać – zdaniem miłościwie nam panującej władzy zwanej z przekąsem ludową (kiedyś sama tak się określała) niegodny tego, by stanąć na francuskiej ziemi. Nastąpił jednak rok niezwykły, którego dotąd nikt nie widział w naszym kraju, trwało pięknie, choć mocno nerwowe i nie wolne od zagrożeń lato, karnawał osiągnął apogeum – większość rzeczy działa się inaczej niż zwykle, w wielu materiałach odstąpiono od tego, co stanowiło normę, lub przynajmniej obowiązującą rutynę, której w mniej dynamicznych okresach nie chciano naruszać. Zrelaksowały także rygory związane z wydawaniem paszportów, odmawiano ich rzadziej, co świadczyło, że zakaz opuszczania naszej real-socjalistycznej ojczyzny z mniejszą konsekwencją stosowany był jako środek penitencjarny. Dawniej: jesteś niegrzeczny i nieposłuszny, krytykujesz nasz poddawany nieustannemu dalszemu doskonaleniu ustrój, buntujesz się, a więc za karę cię nie wypuścimy, siedź cicho i nie wysadzaj nosa poza nasze opłotki, wielki świat nie dla ciebie! A teraz: skoro tak bardzo tego pragniesz, skoro jesteś na takim wewnętrznym musiku, to sobie jedź, nie zwracaj nam już tylko głowy!

Skorzystałem z tej karnawałowej odmiany i z Medardem do Paryża w piękną sierpniową pogodę wyruszyłem. Powiadomiłem o tym mojego angielskiego kolegę, Paula, którego poznałem chyba przed piętnastu laty, od tego czasu wymieniliśmy wiele listów, dotyczyły one w ogromnej większości spraw zawodowych. Paul był sławistą, interesującym się szczególnie literaturą polską, w tym także jej związkami z literaturą angielską. Z tej właśnie dziedziny napisał obszerną, opartą na rozległych materiałach, bardzo rzetelną i dociekliwą dysertację. Nosiła ona – jeśli dobrze pamiętam – tytuł *Byron, Shelley i Keats w literaturze polskiej przełomu XIX i XX wieku*. Jako historyk literatury zajmowałem się wówczas tą epoką, byłem więc dla niego odpowiednim, być może nawet cennym korespondentem i rozmówcą. W czasie owym przyjeżdżał dość

często do Warszawy, spotykaliśmy się wielokrotnie; następnie, gdy jego zainteresowania polonistyczne zmały, odwiedzał stolicę naszą rzadziej, siłą rzeczy kontakty, choć nigdy całkiem nie zamarły, znacznie się rozrzedziły. Powiadomiłem go o podróży do Paryża niejako mimochodem, z całą pewnością nie myślałem o spotkaniu, nie spodziewałem się jakiegokolwiek reakcji z jego strony, oczywiście poza z natury rzeczy konwencjonalnym zdaniem, iż jest kontent, że wreszcie dano mi paszport, wiedział, że na wyjazdach wielce mi zależało, że każda podróż w jakiegokolwiek miejsce po zachodniej stronie żelaznej kurtyny jest dla osób żyjących w krajach, których ustrój określany był najpierw pleonastycznie jako demokracja ludowa, potem zaś jako realny socjalizm, stanowiła ważne, upragnione z większą lub mniejszą mocą wydarzenie, była traktowana jako odpoczynek od nacisku rzeczywistości, w jakiej przyszło żyć, ale trudno było aprobować; niekiedy wyjazdy na tę drugą szczęśliwszą stronę stanowiły swojego rodzaju kurację psychoterapeutyczną. Zdziwiłem się, gdy mnie powiadomił, że postanowił przyjechać do Paryża, by się z nami spotkać, poprosił o szczegóły, chciał wiedzieć, jak najszybciej z nami się skontaktować (opowiadam historię sprzed trzydziestu kilku lat; młodych ludzi, którzy utrzymują, że bez nich nie wyobrażają sobie życia, uprzejmie informuję, że telefonów komórkowych jeszcze wówczas nie było).

Przyjechał w godzinach południowych. Spotkaliśmy się bez zwłoki, postanowiliśmy spędzić razem jeszcze tego samego dnia kilka godzin na wędrowce po paryskich ulicach i zatrzymać się w którejś z niezliczonych knajpek. Wyruszyliśmy późnym popołudniem. Medard i ja mieszkaliśmy na obrzeżach Montparnasse'u w wielkim, świetnie się prezentującym gmachu, w tak zwanej *chambre de bonnes*, czyli uplasowanej na poddaszu służbówce, do której wchodziło się kuchennymi schodami; wynajął ją dla nas znajomy, od kilku lat mieszkający w Paryżu. Paul zatrzymał się w niewielkim, krańcowo skromnym hoteliku, znajdującym się nieopodal. Byliśmy wszyscy trzej w doskonałych humorach, cóż bowiem może być przyjemniejszego ponad wędrowanie w piękny letni czas po ulicach, placach, zakątkach tego wspaniałego miasta, zresztą całkiem nieźle nam znanego z poprzednich pobytów. Właśnie mieliśmy ochotę na wędrowanie, czyli swobodną włączkę, nie podporządkowaną ustalonemu z góry planowi, improwizowaną. Z całą pewnością nie miało to być zwiedzanie, umożliwiające solidne poznanie kolejnej okolicy, ono musiałoby się wiązać z przyjęciem jakichś, choćby minimalnych założeń i wyznaczeniem jakichś dających się bliżej określić celów. Postanowiliśmy skierować się ku Dzielnicy Łacińskiej – i przemierzaliśmy jej ulice, uliczki, skwery. Było nam dobrze.

Ów dobrostan nie mógł jednak trwać bez końca. Wiele wskazywało, że od momentu, w jakim wyruszyliśmy, czasu minęło sporo, nie trzeba było, by się o tym przekonać, patrzeć na zegarek, nie trudno było spostrzec, że „już się zmierzcha” (przypomniały mi się pierwsze słowa pięknej staropolskiej pieśni). W pewnej chwili zgodnie stwierdziliśmy, że nasze ciała upominają się o swoje prawa, poczuliśmy się głodni. Tutaj sparafrazowałbym apel występujący w pieśni, powstałej kilka stuleci później, w całkiem innych okolicznościach i o zdecydowanie innym charakterze, nie „powstańcie, których dręczy głód”, ale „zatrzymajcie się...”. Miejsc, w których można było to uczynić, na naszej trasie nie brakowało, przeciwnie, było ich pełno, można powiedzieć, że wysyłały one, gdzie spojrzeć, zapraszające sygnały, niejako same się narzucały, właściciele robili wszystko, by przyciągnąć uwagę przechodniów – i skłonić, by dokonali wyboru po ich myśli. Jedyne co mogło sprawiać kłopot, to *embarras de richesse*.

Paul zakomunikował nam, że pragnie, byśmy zakończyli ten przyjemny wieczór w którejś z knajpek nieposzlakowanie francuskich, lubi ich atmosferę, a ponadto gustuje we francuskiej kuchni, która – ze smutkiem stwierdził – jest zdecydowanie lepsza od kuchni angielskiej; nie zamierzaliśmy z tą opinią polemizować, czy ją kwestionować, zwłaszcza że tej drugiej w istocie nie znaleźliśmy. Z poprzednich wizyt w Paryżu pamięta taką, która spełniałaby wszystkie warunki, proponuje, byśmy się do niej udali, nie znajduje się zbyt daleko, bez specjalnego wysiłku ją odnajdzie i do niej trafi. Z ochotą na to przystaliśmy, poddając się jego przewodnictwu, od tej chwili nasza wędrowka miała ściśle wyznaczony punkt docelowy. Po jakimś czasie zorientowaliśmy się, że trudno jednak do niego dotrzeć, on jakby się oddalał, lub wręcz zniknął, Paul dziwnie zmieniał kierunki, na różne sposoby określał miejsce, ku któremu podążaliśmy. Moje zdziwienie narastało, zwłaszcza iż wiedziałem, że wykazuje on z reguły dobrą orientację w przestrzeni, to błędzenie mnie zaskoczyło, wydało mi się niezgodne z jego umiejętnościami, czy wrodzonymi talentami. Mniej zastanawiał mnie upór w dążeniu do celu, bo to wydawało mi się zgodne z cechami jego osobowości. Mimo wszystko jednak coraz silniej dawało o sobie znać podejrzenie, że ów punkt, ku jakiemu podążamy, owa idealna francuska restauracja, która tak dobrze utrwaliła się w pamięci i świadomości Paula, jest celem fantazmatycznym. Po drodze wciąż mijaliśmy niezliczone lokale o podobnym charakterze, on wszelako zachowywał się tak, jakby w ogóle nie dostrzegał ich istnienia, nie zwracał na nie uwagi, jakby możliwość zmiany decyzji i wybranie któregoś z nich w ogóle nie wchodziła w grę. Nie mogło to jednak trwać wiecznie, coś się musiało zmienić.

I się zmieniło. Stało się to wówczas, gdy Medard i ja przestaliśmy udawać, iż wierzymy, że Paul odnajdzie upragnioną restaurację, której – jak się okazało – nazwy nawet nie pamiętał, by nie wspominać o adresie. Wreszcie on sam musiał przyznać, że celu, jaki przed sobą postawił, nie jest w stanie osiągnąć. Wydawałoby się, że od tej chwili wszystko będzie proste i jasne, wejdziemy do którejś z knajpek, których tu nie brakuje, są wysoce zróżnicowane, większe i mniejsze, droższe i tańsze, elegantsze i skromniejsze, o kuchni z precyzyjnie wskazanego regionu, bądź takiej, która ze względu na swe uplasowanie w świecie (lub tylko w kraju) bliżej nie została określona. Do wyboru, do koloru! Medard, jak się szybko zorientowałem, żywił w tej materii bez porównania większe niż ja nadzieje i złudzenia (potem zresztą to potwierdził). O Paulu słyszał to i owo ode mnie, ale znał go słabo, osobiście zetknął się z nim dwa może trzy razy i to przełotnie, w czasie jego pobytów w Warszawie. Sądził, że kłopoty się skończyły, zatrzymamy się gdzieś po drodze, ja wiedziałem już, że to w żadnym razie nie jest ich finał, ale też nie przypuszczałem, że się spotęgują i przybiorą tak zdumiewająco wybujałą postać. Proponowaliśmy kolejne restauracje, obok których przechodziliśmy, żadna jednak Paulowi nie odpowiadała, nasze sugestie odrzucał z zadziwiająca, trudną do pojęcia konsekwencją. Czynił to pod różnymi pretekstami. Ta ma nieładny lokal, inna wygląda podejrzanie, jeszcze inna wywiesiła banalne, zupełnie nieciekawe menu, tamta jest zbyt tania, by była dobra, następna z kolei jest zbyt droga i nas na nią nie stać (choć różnica cen między nimi była minimalna, albo nie było żadnej). Atmosfera między nami pochmurniała, narastało zdenerwowanie. Byliśmy głodni, zmęczenie dawało o sobie znać z coraz większą siłą. Nawet w przypadku zdrowych mężczyzn w średnim wieku (kiedy patrzę na tę wędrówkę z dzisiejszej perspektywy, wydaje mi się, że byliśmy wówczas wciąż młodzi) wielogodzinne kręcenie się po ulicach musiało wywołać taki efekt.

Stało się jeszcze co innego. Zaczęliśmy inaczej postrzegać przestrzeń, w jakiej z własnej nieprzymuszonej woli się znaleźliśmy, tę, którą traktowaliśmy nie tylko jako godną uwagi i kontemplacji, ale sympatyczną i przyjazną. Chcieliśmy w niej przebywać, taki był nasz wybór, taki punkt wyjściowy, więcej, ona nas pociągała i przyciągała, miała w sobie niewątpliwy magnes. Ale stopniowo zaczęła zmieniać charakter, choć materialnie oczywiście nic się w niej nie zmieniło, ulice nie odwróciły biegu, domy się ani nie przesunęły, ani nie zawaliły, ruch, raz większy, raz mniejszy, też żadnym istotnym przekształceniom nie ulegał, a to, czy widzieliśmy ją w świetle dziennym, czy w blasku latarni, nie miało dla nas większego znaczenia. Powoli traciła klarowność, to, co miało być chodze-

niem przed siebie, przeistaczało się w niespodziewane wiercenie się po kole; nie mając takiego zamiaru, znajdowaliśmy się w miejscach, które – jak nam się wydawało – już dawno minęliśmy, mieliśmy wrażenie, że plasowały się gdzieś za nami. W jaki sposób do nich wróciliśmy, czy zagubiliśmy nasze wewnętrzne drogowskazy? Na skutek tego, co się działo, w wyniku owego poszukiwania czegoś, czego nie trzeba było poszukiwać, ta przestrzeń traciła dotychczasową formę i upodobniała się do labiryntu. Wbrew wszelkim oczekiwaniom stała się groźna. Czy uda nam się ją opuścić?

Medard powiedział mi, kiedy wreszcie wróciliśmy do naszej służbówki, że sądzi, iż dziwaczne i w istocie dla kogoś nie wprowadzonego zbyt dobrze w sprawę niezrozumiałe zachowanie Paula, wynikało z chorobliwej nieumiejętności podejmowania decyzji. Ta ciężka, komplikująca życie, przypadłość odzywać się miała także wówczas, gdy chodziło o dokonywanie wyborów banalnych, bez poważniejszych konsekwencji, osadzonych w całej pełni w konkretach codzienności, bo przecież rzecz szła o to tylko, by gdzieś przez pewien czas posiedzieć, zamówić jakieś dania i zjeść je naprędce, bo zrobiło się tak późno, że nie miałobyśmy ochoty się zasiadywać. Przyznałem Medardowi rację, ten względu na pewno grał jakąś rolę, wiedziałem, że w pewnych sytuacjach Paul miał trudności z podejmowaniem decyzji, działo się tak nawet wówczas, gdy dotyczy one miały sprawy błahej, takiej, którą określić można jako przygodną, wolną od poważniejszych konsekwencji. Znałem go wszakże od tak dawna, iż wiedziałem, że w historii, którą opowiadam, składały się one jednak na wątek uboczny. Problemem fundamentalnym było co innego, to on tworzył podstawowe uzasadnienie tego postępowania, które mogło się wydawać głęboko irracjonalne. Wieloletnia znajomość pozwoliła mi szybko usłyszeć melodię, jaka jest tu grana, a zatem rozszyfrować motywację, która w nim się zakotwiczyła, określając z niebywałą siłą i konsekwencją, a także nieprzerwanie, jego czyny, postanowienia, sposób bycia; stała się ona elementem jego egzystencji, takim, z jakiego mógł już sobie nie zdawać sprawy, uformowała się w coś w rodzaju żywiołu naturalnego, podobnie jak oddychanie czy obieg krwi. Trzeba to powiedzieć jasno i dobitnie: w przypadku Paula wydawanie pieniędzy łączyło się ze spotęgowanym stresem, wywoływało ból trwały i dolegliwy, stanowiło przykrość, nie dającą się zestawić z niczym innym. Miało to przejawy i konsekwencje psychiczne, ale też znajdowało wyraz w sferze czystej somatyczności. Kiedy miał sięgnąć po portfel lub portmonetkę (a w czasach dzisiejszych niewątpliwie po kartę płatniczą), zaznawał odrętwienia ręki, był to *trismus*, rzeczywiście podobny do szczękostisku. Z pozoru mógł operować nią równie swobodnie jak przy

wszystkich innych czynnościach, w istocie była jednak bezwładna, wykonanie tych kilku prostych ruchów wymagało od niego nadludzkiego wysiłku, pokonania bólu, przewyciężenia narastającego, wciąż się potęgującego oporu. Paul jakoś żył z tą przypadłością, mniej więcej normalnie funkcjonował, nie głodził się, wszystko to prawda, ale też za każdym razem odwlekał moment wydania danej sumy, chyba niezależnie od jej wysokości, tak jak w takiej czy innej sytuacji odwleka się czynność nieprzyjemną, chociaż wie się, że jest nieuchronna czy konieczna. Jeśli tak jest, to czy owo chorobliwe – to słowo już paść musi – skąpstwo wyjaśnia ten dziwny przypadek, ujawniający się z taką siłą w trakcie czegoś, co miało być spokojnym spacerem po Dzielnicy Łacińskiej i okolicach przyległych, spacerem w jakimś sensie sentymentalnym, bo każdy z naszej trójki miał wspomnienia związane z Paryżem i jego poszczególnymi miejscami, przy nadarzającej się okazji z ochotą odnawiane?

Jak już zaznaczyłem, uświadomiłem sobie dość szybko, co określało to tak z pozoru nierozsądne zachowanie. W tym przypadku chodziło o rzecz znacznie poważniejszą niż odwleczenie momentu, w którym sięgnięcie po portfel stanowi czynność nie do uniknięcia. Jestem pewien, iż Paul obawiał się, że będzie zmuszony do zapłacenia nie tylko za siebie, ale także za nas dwóch, czyli że okoliczności zobligują go do zaproszenia nas na kolację, to zaś było dla niego czymś niewyobrażalnym, nie dającym się pomyśleć, budzącym grozę. Jestem przekonany, że mój domysł w pełni odpowiada faktom, podobnie jak oparta na nim konstrukcja interpretacyjna, znałem go przecież od dawna i widziałem w kilku podobnych sytuacjach. W pewnych okresach bywał w Polsce Ludowej dość często, znał jej realia, wiedział, że nie możemy swobodnie wymieniać pieniędzy, sądził zatem, że jesteśmy biedakami czy wręcz głodomorami ze Wschodu, nie wziął pod uwagę faktu, że surowe przepisy uległy złagodzeniu, można było w podróż zabierać sumy, które się przywiozło z tego, co nazywano wówczas w języku oficjalnym „strefą kapitalistyczną”, a ja pracowałem przez rok na zachodnioeuropejskim uniwersytecie. Ani Medard, ani ja niczego od niego nie oczekiwaliśmy, nawet na myśl nam to nie przyszło. Ale on się obawiał, że sprawy mają się inaczej. Sądzę, że samo myślenie o takiej możliwości napędzało strach, wywoływało dreszcze i stawało się powodem cierpienia.

Zastanawiam się, jaka była w przypadku Paula etiologia tej przypadłości, zwłaszcza że przybrała ona postać tak ostrą, bez obaw popadnięcia w przesadę określić ją można jako radykalną. Sprawa byłaby prostsza, gdyby pochodził ze środowiska ocierającego się o nędzę, z biednej rodziny, która musiała się liczyć z każdym groszem, centem czy fenigiem i z przerażeniem patrzeć na

najbliższą przyszłość, bo uzasadnione były obawy, że nie starczy pieniędzy do dnia wypłaty. Takie wyjaśnienie czyniłoby przynajmniej w pewnej mierze zrozumiałą sytuację, jaka się wytworzyła, tutaj jednak nie ma ono żadnego zastosowania, Paul pochodził z rodziny żyjącej w dostatku, zamożnej, socjolog mówiłby tu może o wyższej klasie średniej, albo po prostu o wyższej. Jego ojciec był świetnie prosperującym lekarzem, wziętym, podobno w swojej specjalności wybitnym (nie pamiętam, jaka ona była), o rozległej, przynoszącej znaczne profity praktyce. Matka, jak spora liczba kobiet z tej sfery, urodzonych w pierwszych latach XX wieku, nie miała konkretnego zawodu, nie był jej potrzebny, wywodziła się z wielkiej burżuazji, mającej jakieś parantele arystokratyczne. Poziom życia tej rodziny był niewątpliwie wysoki, widmo biedy nie zaglądało do jej domostwa – i oczywiście nie zagrażało ono ani jemu, ani nieznacznie młodszemu bratu (nie znałem go, zmarł przedwcześnie na galopującą chorobę nowotworową). Rodzice zapewнили im dostatnie, beztroskie przynajmniej z materialnego punktu widzenia dzieciństwo i dobry start życiowy, z opowieści Paula wynikało wszelako, że w ich wczesnych latach było mimo wszystko coś trudnego, przyniatającego, niepokojącego, burzącego sielankowy obraz. Ojciec miał chyba usposobienie despotyczne i narzucał surowe rygory; mimo że nic go do tego nie zmuszało, był niebywale oszczędny – i cnoty oszczędności wymagał od całej rodziny. Zbyt mało o tym wiem, by wdawać się w szczegóły i – tym bardziej – by formułować jednoznacznie brzmiące twierdzenia, wydaje mi się jednak, że w życie codzienne i w jego ogólne ukierunkowanie wkradała się patologia, że w tej z pozoru aż do przesady lub wręcz bólu normalnej, przykładowej, burżuazyjnej familii ujawniały się dysharmonie, a także działały silne naciski, formujące psychikę i życiową postawę dziecka, a potem młodzieńca. Paul nie zbuntował się przeciw swemu rodzinnemu domowi – w każdym razie w tym, co dotyczyło wymiaru materialnego, przejął i głęboko zinterioryzował wzory i nauki, jakie w tej dziedzinie na różne sposoby narzucał ojciec.

Dochodzę do przekonania, że narażało go to na rozmaitego rodzaju niedogodności, a może nawet na coś więcej, chętnie zatem sparafrazowałbym tytuł dzieła Freuda i mówił, zgodnie zresztą z tym, o czym już wspominałem, o skąpstwie jako źródle cierpień. Myślę, że Paul ich zaznawał również wtedy, gdy od pewnego momentu narażał nas na bezsensowną łazęgę w poszukiwaniu właściwej restauracji, podczas gdy wiele odpowiednich było pod bokiem, wystarczało tylko wejść i usiąść przy stoliku albo wybrać przyjemne miejsce na zewnątrz, w tak zwanym ogródku. Unikanie wydatków w tym przypadku zyskało rangę imperatywu categorycznego. I tak się działo w sytuacjach o różnym

charakterze. Przede wszystkim wówczas, gdy trzeba było wydać choćby niewielką sumę na kogoś, gdy chodziło o zaproszenie spotkanego po latach znajomego na filiżankę kawy. Zapewne mniejsze emocje ujawniały się wówczas, gdy powstawała konieczność ekspensów na siebie i na zaspokajanie własnych (wyłącznie własnych!) potrzeb. Paul był przyzwyczajony do życia na wysokim poziomie, konsekwentnie wprawdzie unikał wydatków na to, co uważał za luksus i traktował jako przejaw rozrzutności, ale poniżej pewnego standardu schodzić nie mógł, musiał go trzymać. Nie zawsze z racji osobistych przyzwyczajzeń i upodobań, one mogły odgrywać rolę mniejszą, ulegać zminimalizowaniu ze względu na kategoryczność imperatywu uwewnętrznionego silniej niż cokolwiek innego. Także z tego powodu, że obracał się w zamożnym środowisku, w którym obowiązują wyraźne zasady, wskazania, przyzwyczajenia. Nie mógł być choćby gorzej ubrany niż inni z tej sfery, nie mógł nie uczestniczyć w pewnych uroczystościach czy rytuałach, a przecież i to wiązało się z kosztami. Ale też nie mógł sobie odmawiać takich czy innych przyjemności, zwłaszcza lubił podróże, a także – przynajmniej niekiedy – wychylić kieliszek alkoholu z najwyższej cenowej półki. Nie rezygnował z tych zbytków, ale – utwierdzają mnie w tym przekonaniu liczne obserwacje – odczuwał w takich sytuacjach męczący dysonans – poznawczy, a może również moralny. Był on jeszcze potężniejszy, gdy trzeba było wydać choćby kilka miedziaków, by komuś coś ofiarować. To wtedy ze wzmożoną intensywnością ujawniał się *trismus* ręki – i podwyższała się skala ogólnego cierpienia. Był człowiekiem towarzyskim, kultywował liczne kontakty, a zwyczaj każe, gdy jest się zaproszonym, przychodzić z czymś, niech to będzie groszowy drobiazg. W czasie jednego z jego wcześniejszych pobytów w Warszawie byłem świadkiem sceny, która mocno mnie zdziwiła (wówczas jeszcze niezbyt dobrze go znałem): zaproszony do znajomych, postanowił kupić kwiaty. Wybieranie trwało długo, wreszcie zdecydował się na podwiewdły bukiet, który miał tę jedynie zaletę, że był tani, jego cena została niewątpliwie dość znacznie obniżona. Esteta, znawca i miłośnik pięknych przedmiotów, nie mógł nie dostrzec, że odwiedzi swych znajomych z wiechciem w rękę.

Ktoś może orzec, że mimo wszystko są to drobiazgi, które należy interpretować jako słabości i dziwactwa ciekawego, wybitnego i mądrego człowieka, a tych cnót trudno byłoby mu odmówić, jako przywary, które winno się potraktować tak, jakby stanowiły dobrodziejstwo inwentarza, przejść nad nimi do porządku – i wybaczyć. Nie mogę jednak nie wspomnieć, że ta przypadłość wpływała nie tylko na tok spraw powszednich, oddziaływała również na wydarzenia, mające w życiu Paula znaczenie ogromne, stała się główną przyczyną rozpadu

małżeństwa. Ożenił się on po długich deliberacjach z piękną Polką. Wszystko wskazywało na to, że będą dobraną, oddaną sobie parą, pani Halina odznaczała się nie tylko urodą, już po krótkiej znajomości skonstatowałem, że jest osobą inteligentną i sympatyczną. Byłem przekonany, że powstał trwały polsko-angielski związek, szybko jednak od wspólnych znajomych zaczęły napływać wieści, że coś się w nim psuje, aż nadeszła wiadomość, że rozpadł się z hukiem, a rozstanie poprzedzone było serią dalekich od łagodności awantur. Ich powody były jednoznaczne: Paul chciał narzucić małżonce swój oszczędnościowy reżim, zgłaszał do niej nieustanne pretensje, że nierozważnie wydaje pieniądze, decyduje się na nabytki zbyteczne, a codzienne zakupy robi w sklepach droższych, choć można znaleźć w okolicy tańsze. Muszę dodać, że pani Halina nie była od swojego partnera uzależniona finansowo, jej kondycji życiowej nie określała archaiczna formuła „przy mężu”. Miała swój zawód, z sukcesem go wykonywała i w Polsce, i w Anglii, była cenioną nauczycielką muzyki. Opowiedziała mi kiedyś swoją małżeńską historię w stylu nader dramatycznym, kładąc szczególnie nacisk na przyczyny rozpadu.

Kiedy po latach wspominam tę naszą z początku zamierzoną, a potem zdecydowanie niechcianą wędrówkę, pragnąłbym się zastanowić nad zachowaniem nas obydwu i poświęcić mu kilka słów. Przecież od pewnego momentu wiedzieliśmy, że uczestniczymy w czymś dziwnym i coraz trudniejszym do zniesienia, uświadamialiśmy sobie coraz wyraźniej, że to, co się dzieje, stanowi wynik aberracji, nie dającej się pojąć, niemożliwej do wyjaśnienia w kategoriach racjonalnych. Dlaczego zatem zachowywaliśmy się biernie, z jakiego powodu nie przejęliśmy inicjatywy, czym wyjaśnić to, że postępowaliśmy tak, jakby odebrano nam wolną wolę, że upodobniliśmy się do owych gryzoni ze znanej bajki braci Grimmów, które dały się uwieść dźwiękom fletu i w ten sposób wyprowadzić w pole. Paul z pewnością nas nie zaczarował, w duchu buntowaliśmy się przeciw temu, w czym niespodziewanie uczestniczyliśmy, jednakże praktycznie nic z tego nie wynikało. Zapewne zaważyły na tym w jakiejś mierze względy towarzyskie. W pewnym sensie Paul był naszym gościem, przyjechał do Paryża, by się z nami spotkać, a więc nie wypadało mu się przeciwstawiać. Chodziło jednak w istocie o co innego, przekonuję się o tym, gdy rekonstruję te wydarzenia po tylu latach, obfitujących w zmiany, pozwalające na nie spojrzeć w nowym świetle i ujrzeć je od strony, która wówczas nie przyciągała naszej uwagi. Byliśmy obywatelami PRL-u i poniekąd jego twórcami, nawet gdy nie przyjmowaliśmy tego do wiadomości. Ten świat tak różniący się od tego, w jakim przyszło nam żyć, nazywany ogólnikowo Zachodem, onieśmiał nas, w ja-

kiejs mierze stanowił rzeczywistość mityczną, a onieśmielenie powoduje niepewność i właśnie bierność. My przybyliśmy z gorszej części Europy, Paul choć w Paryżu też przyjezdny, jest stąd, a więc ma dane, by wystąpić w roli przewodnika, choć myśmy go o to nie prosili, ani – tym bardziej – do tego nie upowalniali. Jestem pewien, że gdyby analogiczna sytuacja ukształtowała się w Warszawie lub w jakimkolwiek innym polskim mieście, zachowałbym się aktywnie, przerwał to bezsensowne i w swej istocie bezcelowe krążenie – i energicznie zasugerował, by wejść do lokalu, który właśnie mijaliśmy.

Powracam do naszej wędrówki. W pewnym momencie Paul oświadczył, że przypomniała mu się dobra restauracja, znajdująca się na Boulevard St. Germain, nieopodal skrzyżowania z St. Michele, pragnie zatem, byśmy się tam skierowali. Dzieliła nas od niej spora odległość, z chęcią jednak na tę propozycję przystaliśmy, zgodzilibyśmy się zresztą na wszystko, co zapowiadało zakończenie naszego wędrowania. Pamiętałem, że we wskazanym miejscu jest duży bar samoobsługowy w stylu amerykańskim, nie mający z kuchnią francuską nic wspólnego, nie sądziłem zatem, że nasz przyjaciel, wielki jej miłośnik, a zapewne także znawca, właśnie ten ma na myśli. Kiedy dotarliśmy, zbliżała się północ. Personel patrzył na nas niechętnie, byliśmy ostatnimi klientami, jakaś młoda para właśnie opuszczała barowe podwoje, pracownikom zależało najwyraźniej na tym, by bez zwłoki pozbyć się gości i wyruszyć do domu. Zrozumiałem dość szybko, z jakich powodów Paul po tylu irytujących wahaniach zdecydował się ostatecznie na *self-service*, choć wybór przeczył temu, co mówił o swoich gastronomicznych preferencjach. Stało się tak ze względu na sposób załatwiania klientów. Trzeba było wziąć tacę i na niej stawiać wybrane potrawy; posuwając się po odgradzonej przestrzeni wzdłuż oszklonych lodówek, docierało się do kasy. System taki niejako z góry zakładał, że każdy płaci osobno, sam za siebie, zwyczaj zapraszania kogoś i płacenia za niego, jeśli nawet nie został wykluczony, to z całą pewnością byłby naruszeniem zasad, tu obowiązuje szybka konsumpcja, nie przewidziano niczego, co przypominałoby tradycyjne sytuacje towarzyskie. Wyszliśmy kilka minut po północy. Udaliśmy się bulwarem St. Michel w stronę Montparnasse'u. Szliśmy w milczeniu.

Na tym mógłbym tę opowieść o tym spędzonym w Paryżu wieczorze zakończyć, dopiszę jednak epilog. Moje kontakty z Pauliem stały się rzadsze, ale nie ustały. Utrwaliło się w mojej pamięci spotkanie o kilkanaście lat późniejsze. Przyjechał do Warszawy jako członek jakiejś oficjalnej delegacji lub w ramach wymiany naukowej, tego już świadom nie jestem, ale też nie ma to żadnego znaczenia. Widzieliśmy się dwa a może trzy razy, po raz ostatni w godzinach

popołudniowych w przeddzień jego odjazdu. Powiedział, że ma zobowiązania wobec znajomej starszej pani, historyczki sztuki, przed przejściem na emeryturę pracującej na tym samym co on uniwersytecie; obiecał jej, że przywiezie jakiś drobiazg z Polski. Zaczęła się wędrówka po sklepach, wybór był ogromny, jednakże nic mu nie odpowiadało. Powtórzyła się historia sprzed lat, z tą różnicą, że przyglądałem się jej obojętnie, a nawet, znając mechanizm, z niejakim politowaniem, na szczęście w żaden sposób ona mnie nie dotyczyła. Paul był człowiekiem solidnym, wiarygodnym, dotrzymującym słowa. Odlatywał wczesnym rankiem. Domyślałem się, że w kiosku na Okęciu kupił jakąś pamiątkę z rzędu najtańszych. Bez wątpienia był świadom, że to marnota, ale przecież niczego lepszego nie było, w poszukiwaniach wykazał dużo dobrej woli i poświęcił mu tyle swojego cennego czasu!

JACEK ŁUKASIEWICZ

Ciała
(ekspozycja)

Panu Mariuszowi Hermansdorferowi

idą
jedni mają głowy
inni tylko
fragmenty
ciał z kolorowych
żywic

jedni trwają gotycko
inni wystawiają
swą drogą tymczasowość
szytą z juty

dajemy wiarę
albo nie wierzymy

gdy na przestrzał galerii
w bezładzie

przez minione dekady
przez sklezione dni

patrzają na nas
nie widząc

pokonują drogę
nieruchomi

chcemy podać rękę
nie podają

chcemy ich napoić
nie przyjmują
chcemy się odczepić
towarzyszą.

Abraham Corneliusz Begayn
(1635 Lejda–1657 Berlin):
Stilleben mit Distel und Vogel

Pamięci Leszka T.

Pośród ostów białe motyle
i ptaszki kolorowe wśród ostów
kto te osty rozchyli, choć na chwilę,
ten zobaczy,
czego strzegą osty.

One strzegą naszego klimatu,
jak te szare wrony przed muzeum.
Strzegą ozonu
i stygmatu,
i wytchnienia chwilowego
strzegą

Hendrick Avercamp (1585–1634) Berlin 2011
Kupferstichkabinett, Kolorowe rysunki
(wystawa)

Różowe światło, przechadzki i tańce.

Lekkość rysunku. Zabawy i gry.

Pies, sanki, łyżwy, zachodzące słońce.

I dwóch wisielców tam nad lodem – w tle.

Kontynuując ankietę, po wypowiedziach Julii Hartwig („Kwartalnik Artystyczny” 2013 nr 1 (77)), Stefana Chwina i Marka Skwarnickiego (2013 nr 2 (78)) zamieszczamy kolejne wypowiedzi. Ciąg dalszy w następnym numerze.

JANUSZ SZUBER

Nie rozminę się chyba z prawdą, jeśli powiem, że moje pierwsze zetknięcie się ze zjawiskiem mistrza, nie tyle w sensie pojęcia, co osoby, nastąpiło mniej więcej sześćdziesiąt lat temu, kiedy jako chłopak, kilkuletnie dziecko, spędzałem wakacje, szereg wakacji, w Krynicy i przyglądałem się wałęsającemu i byle gdzie pracującemu Nikiforowi. Prowokował swoim wyglądem, ale przede wszystkim tym, co robił, jak to robił, i kolorami. Kolorystyka Nikifora była czymś zachwycającym. Stawałem przy pracującym Nikiforze, urzeczone: byłem wyłącznie „tym, który patrzy”, reszta, na długie kwadransy, nie liczyła się. Potem zacząłem sięgać do wydawnictw poświęconych Nikiforowi, kilka jego prac dostałem od wuja Adama, przez kilkanaście szkolnych lat sam namiętnie uprawiałem rysowanie i malowanie – w cudzysłowie oczywiście – nie bez wpływu Nikifora i jego cudownych kolorów.

Myślę, że ta dziecięca fascynacja, która jeszcze nie rozróżniała mistrz, niemistrz, sztuka, rzemiosło wpłynęła na moje zainteresowanie ikonami, a te doprowadziły do poznania i zażyłości z osobą, o której już śmiało mogę powiedzieć, że zaliczam ją do swoich mistrzów: myślę tu o Romualdzie Biskupskim, historyku sztuki i znakomitym znawcy malarstwa cerkiewnego. Podziwiałem jego całkowite oddanie się pracy nad tekstem, nad tematem, który brał na warsztat. Potrafił pracować nad poszczególnymi zagadnieniami przez kilkanaście lat, żeby to, co zostanie opublikowane, miało kształt i zawartość doskonałą, żeby informacja o opisywanym dziele była możliwie najpełniejsza. To było prawdziwe mistrzostwo, tak w sensie merytorycznym, jak i formalnym. I jest jakiś ciąg między dziecięcą fascynacją Nikiforem, a późniejszą dojrzałą fascynacją osobowością Romualda Biskupskiego, mojego Guru – jak go często tytułowałem. Był bardzo cierpliwym tłumaczem zawłości teologicznych i anegdotycznych,

związanych z XV-wiecznymi ikonami, kiedy wypytywałem o pewne szczegóły, stawiając być może naiwne pytania, ponieważ moja dotychczasowa wiedza w tym zakresie była fragmentaryczna i nieuporządkowana. „Romuld” pisywał także ciekawie o sztuce współczesnej, wielbił Mandelsztama, przymuszał do czytania w oryginale.

Z innych mistrzów wymienilibym Adama Fastnachta, mediewistę, autora m.in. monumentalnego słownika geograficzno-historycznego Ziemi Sanockiej w Średniowieczu. To przykład mistrza, który potrafił całkowicie oddać się pracy, bez widoków na sukces materialny czy na robienie kariery. Kiedy dzisiaj patrzę na bezwstydną paradę miernot, nazywanych celebrytami, to nieustannie przypominają mi się oni obaj, którzy oddani byli swojej pracy bez reszty, perfekjoniści, w tym, co robili, byli po prostu absolutnie kompetentni i wiarygodni.

W pewnym momencie mojego młodego wówczas życia zaniechałem rysowania, po latach to wszystko pochłonął piec. Zainteresowałem się literaturą, najpierw jako czytelnik, miłośnik, wreszcie próbując zrobić coś samemu. I tu przywołałam kanon mistrzów, który ustalił się stosunkowo wcześniej i właściwie jest on stale aktualny. Pomijam autorów obcojęzycznych, bo wypowiedź rozrosła by się nadmiernie, ograniczę się do literatury polskiej, bo z tym się wiąże fundamentalna dla mnie kwestia ustawienia języka i poetyckiego idiomu. Przede wszystkim Kochanowski, następnie Sęp-Szarzyński, Krasicki, Mickiewicz, Norwid, z wieku XX Iwaszkiewicz i Miłosz.

Jeśli chodzi o mistrza najważniejszego, wokół którego całymi latami krążyłem i krążę po dziś dzień, to jest nim Zbigniew Herbert. W moim okresie przeddebiutanckim, podglądałem Herberta po to, żeby się czegoś zasadniczego od niego nauczyć, jednocześnie pilnując się, aby u siebie tego nie kopiować; zakładając, że własna odrębna dykcja jest przecież możliwa, a skoro tak, to należy konsekwentnie podejmować próby usamodzielnienia. Herbert był i jest nieustannie tym pisarzem, który stanowi szczególną miarę: nie tylko estetyczną, ale i etyczną. On łączy w swojej twórczości te dwie miary, nie epatując osobno ani etyką, ani estetyką, lecz wypracowaną, znakomitą, rozpoznawalną ich równowagą.

Dzięki Herbertowi dotarłem do jego mistrza, Henryka Elzenberga. W późnych latach sześćdziesiątych Znak wydał *Kłopot z istnieniem* i *Próby kontaktu*, już same tytuły wiele znaczyły. Mój mistrz i mistrz mojego mistrza w moim doświadczeniu w pewien sposób się uzupełniali. Wtedy twórczość Herberta nie była zjawiskiem zamkniętym i było wspaniale być świadkiem, jak ona się rozwija i narasta.

Na koniec dodam: jakkolwiek *Kosmos*, obok *Procesu* Kafki, należały do moich najważniejszych, nie tylko przedmaturalnych, lektur, to jednak Gombrowicz pozostaje poza przedstawioną tutaj listą.

LESZEK A. MOCZULSKI

Moi Mistrzowie pojawiali się na każdym etapie życia – w młodości Przyjaciele Ojca, na studiach Wielki Profesor Stanisław Pigoń. Ale wróćmy do początków praktykowania nieśmiałego u Mistrzów. W dzieciństwie byłem dzieckiem wygnanym z rodzinnego domu przez Niemców i żyliśmy w Puszczy Augustowskiej. Pierwsze Olśnienia moich Mistrzów to oczywiście Rodzice, Rodzeństwo a także przyzwolenie moich ukochanych na uprawianie maleńkiej grządki, gdzie wolno mi było siać i oglądać jak łepki roślin wychylają się z ziemi na świat, jak z dnia na dzień rosną w Mistrzowskim Misterium świata.

*

Przez całe życie z bojaźnią posługuję się szesnastowieczną Wielką Reformacją Polskiej Poezji z regułami dla wszystkich zaznajomionych z zacernianiem kartek papieru. To znaczy wolno Ci uprawiać pieśni liryczne, pieśni okolicznościowe, liryki, w mowie ojczystej albo innego narodu (wtedy to była łacina). Wolno Ci wznieść się tam, gdzie mowa może być szokiem, bo uprawiana nad grobem Kogoś Najbliższego w uczonej albo pełnej prostoty formie Trenów.

Ale że tu możesz pooddychać fraszką, nawet gminną. Ale musisz pamiętać o Psalmach, pracować nad nimi, czy nad ciszą, która chwali Pana Wszechstworzenia. No a co z teatrem? Trochę z Ajschylosa – gdyż trzeba natychmiast wystawić w obronie „myślącej polskości” przedstawienie. Tak jak Wielki Reformator pisał na kształt świeckiego misterium *Odprawę posłów greckich* to po to, by ktoś w ważnej chwili historycznej mógł napisać swoje misterium „myślącej narodowości” czyli III część *Dziadów*.

*

W okresie dojrzewania Moi Mistrzowie to Verne, Lofting z cyklem o doktorze Dolittle. Pogoń, pogoń za marzeniami. Pogoń największa to rok 1954, kie-

dy państwo PeeReLU zdecydowało się wreszcie opublikować w powszechnym nakładzie *Ballady i romanse*.

I oto stoję w Wielką Sobotę przed księgarnią, właściwie przed wystawą księgarską, na której widzę egzemplarz piękny jak błękit północnego nieba, który wyzwala śpiew w mojej duszy do wtorku poświęconego, do wtorku, kiedy otworzą księgarnię, a ja będę pierwszym interesantem, kupując ten błękitno-oki egzemplarz.

Dotąd znam tylko ludową litewską balladę śpiewaną przez moją Mamę przy sprzątanii domu:

kochałam pana tak szczerze
on mnie przysięgał poślubić
teraz inną za żonę bierze...

Otóż odtąd mogę sycić się marzeniami czytania tych ludowych strof przełożonych na język powszechny, czy jak kto chce nazwać, na język poezji ludowej, masowej.

RENATA GORCZYŃSKA

Ilekcroć o nich myślę, przypomina mi się zwięzły wiersz Adama Zagajewskiego, wiele lat temu przetłumaczony (czytaj: przywłaszczony) przeze mnie na angielski:

Moi mistrzowie nie są nieomylni.
To nie Goethe, który nie może
zasnąć tylko wtedy, gdy w oddali
płaczą wulkany, ani Horacy,
piszący w języku bogów
i ministrantów. (...)

W młodości bardzo mi ich brakowało, ale nie miałam szczęścia ich spotkać. Na studiach polonistycznych było wielu dobrych profesorów, ale – prócz jednego – nie mieli oni tej szczypty szaleństwa, które by rozpałiło moją wyobraźnię. Tym wyjątkiem był Jan Kott, ale on z kolei z upodobaniem zadręczał studentki z prowincji pytaniami o życie seksualne postaci u Szekspira. Wydał mi się wtedy podstarzałym satyrem. Dopiero kiedy zaprzyjaźniłam się z nim w Ameryce, zrozu-

miałam, jak wiele straciłam, opuszczając jego seminarium magisterskie. On sam mi te usługi mistrzowskie tam proponował, zachęcał do zrobienia pod jego kierunkiem doktoratu, ale nastąpiło to w czasach, gdy moim mistrzem *par excellence* stał się Miłosz.

Wypowiadałam się o dziele Miłosza tak wiele, że nie chciałabym się powtarzać i tylko wypada mi jeszcze raz potwierdzić, jak znaczącą rolę odegrał w moim życiu i rozwoju świadomości. Ale przecież nie wyklucza to udziału innych, nawet jeśli byli dla mnie pomniejszych mistrzami. Tych mogłabym podzielić na dwie zasadnicze kategorie – takich, których znam wyłącznie z lektur (tu lista byłaby długa) i takich, których poznałam osobiście. Dalej zastanawiając się nad tym tematem, mogłabym uszeregować ich pod względem wpływu, jaki wywarli na mój sposób widzenia świata i wyrażanie tego w piśmie. Czule w tym miejscu wspomnę o Kocie Jeleńskim, który służbę na rzecz gigantów polskiej literatury, wtedy emigracyjnej, Gombrowicza i Miłosza, pełnił z maestrią i skromnością, jej kosztem umniejszając swój dorobek własny. A przecież był erudytą, poliglotą i miał swój odrębny styl, niebywałe poczucie humoru i ów osobisty ton, obecny w jego szkicach. „Hierarchia, Renato, hierarchia jest najważniejsza” – powtarzał mi. I to była jego zasadnicza rada czy raczej imperatyw w odniesieniu do moich wprawek krytycznoliterackich. Gdybym miała dookreślić się stylistycznie, powiedziałabym, że bliżej mi do Kota niż Kotta. Urzekła mnie jego pienista inteligencja i wręcz brak egocentryzmu, która to cecha, jak wiadomo, występuje na ogół w nadmiarze u twórców i artystów. Kott potwierdzał regułę.

Teraz jednak przywołam innego ze swoich mistrzów: Jerzego Giedroyc'a, bo to on odegrał bardzo istotną rolę w moim życiu, zwłaszcza w latach osiemdziesiątych, kiedy długo mieszkałam w Paryżu. Pierwszą wizytę w Maisons-Laffitte odbyłam w asyście Czesława Miłosza w czerwcu 1981 roku, w czasie, gdy mu sekretarzowałam. Redaktor – ku mojemu zdziwieniu – czytał już przedtem moje artykuły w nowojorskim „Nowym Dzienniku” i powitał mnie słowami: „A ja właśnie chciałem do pani napisać, proponując nawiązanie współpracy”. Trudno sobie wyobrazić efektowniejsze *entree* zawodowe.

Dziennikarstwem tekstowym zajęłam się serio jakieś pięć lat przedtem, bo moją wyuczoną specjalnością było radio; dopiero niedawno ostatecznie zrezygnowałam z pracy z mikrofonem. Jest to urządzenie szczególne, bo rejestrując wszelkie odcienie mowy, jest też najdoskonalszym poligrafem, wytropi każde mizdrzenie się lub fałsz. Mogę go więc śmiało zaliczyć w poczet moich mistrzów i fakt, że się nim posługiwałam przez lata, na pewno wpłynął na sty-

listykę moich wypowiedzi. Pragnę mianowicie dążyć do takiego pisania, które byłoby odpowiednikiem żywej mowy. Czy mi się to udaje, to już inna sprawa.

Redaktor zapędził mnie więc do współpracy z „Kulturą”, co trwało z różną intensywnością do końca jej istnienia. Uprzytamniam sobie teraz, że z każdą osobą z tej szacownej wspólnoty ja z kolei przeprowadziłam sążniste wywiady. Moją rozmowę z Józefem Czapskim zamieszczono jako *cover story* pierwszego numeru weekendowego magazynu do „Gazety Wyborczej”. Wywiad-rzekę z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim ogłosił londyński „Aneks”, bo z jakiegoś powodu Giedroyc nie uważał za stosowne zamieszczać go w „Kulturze”. Z nim samym przeprowadziłam szereg rozmów, nadawanych następnie w radiu lub ogłoszonych drukiem, m.in. w mojej książce *Portrety paryskie*. Zofia Hertzowa udzielała mi wywiadów też kilkakrotnie – do książki i do radia. Po ich śmierci przeprowadziłam dla „Przekroju” wywiad z Henrykiem Giedroycem, który pozostał na posterunku w Maisons-Laffitte.

Ten dom jest mi autentycznie bliski i kiedy go odwiedziłam w lutym tego roku, chodziłam po pokojach, usiłując za pomocą aparatu fotograficznego uchwycić jego duszę (czy raczej dusze). Gabinet Redaktora pozostał w takim dokładnie stanie, jaki był za jego życia i można ulec złudzeniu, że za chwilę jego właściciel zasiądzie za biurkiem, sięgając po paczkę papierosów mentolowych Kool, leżących po dziś dzień na blacie. Tam właśnie lub w tzw. *Jardin d’hiver*, przy ogromnym stole zawalonym książkami i pismami przyjmował współpracowników, ale należałam do grona, które bywało zapraszane na posiłek w porze obiadowej, podawany w aneksie jadalnym przy kuchni. Prostemu daniu głównemu zawsze towarzyszyła sałata z sosem *vinaigrette* i kieliszek czerwonego wina.

Nie stronił od plotek o różnych interesujących go ludziach. Zwierzył mi się, że ma wielką słabość do literatury *noir*, czytowanej podczas bezsennych nocy. Jak wiadomo, uwielbiał psy, które potrafiły karmiącą rękę niemiłosiernie pogryźć, więc czasami chodził z obandażowaną dłonią. Po prostu mu się zdarzyło – tłumaczył ataki Blacka czy Faksa. Prawie wmówiłam mu szczeniaka labradora, ale oboje z Panią Zofią byli wierni spanielom. Black, mający zwyczaj sypiania na górnym podeście schodów, o mało co kiedyś nie zabił sędziwego i prawie niewidomego Czapskiego, który się o niego potknął i spadł na sam dół. Pan Jerzy miał też ulubionego kogutka, chyba rasy japońskiej, który przyplątał się do ogrodu, nocował na gałęzi drzewa i rankiem stukał dziobem w szybę, dopraszając się ziarna, wysypywanego mu na parapet gabinetu. Ujmował mnie troską o zwierzęta.

Imponował mi Pan Jerzy licznymi cnotami, przede wszystkim wytrwałością i wręcz norwidowskim kultem pracy. Chyba nie umiał odpoczywać, niezwy-

kle rzadko wyjeżdżał z Maisons-Laffitte, jeśli nie liczyć spraw do załatwienia w Paryżu. Z latami coraz częściej ubolewał nad kierunkiem, do którego zmierzła wolna Polska, bo było to wbrew jego oczekiwaniom. Stopniowo coraz bardziej pojmował, że jego – nazwijmy to – praca od podstaw – poszła w dużej mierze na marne. Do ostatka jednak liczył na młodzież, to ona, nie politycy, podtrzymywała tłącą się w nim nadzieję.

Giedroyc zabierał głos wyłącznie w sprawach zasadniczych. Zresztą chyba wiedział, że nie ma talentu do pisania – pisał, można powiedzieć, innymi. Wręcz podsuwał tematy i nawet ocenę zjawisk. Wymagając bardzo wiele dla Sprawy od siebie, wymagał też od innych. Myślę, że to właśnie bywało powodem jego różnych scysji, nawet z najbliższymi ludźmi. Herling w ostatnich latach życia coraz bardziej poświęcał się pisarstwu, a nie służbie, to samo dotyczyło Miłosza, czy Czapskiego, zaabsorbowanego malowaniem. Giedroyc natomiast oddał się jej bez żadnego marginesu na życie twórcze czy osobiste i najchętniej na zbliżonych zasadach zaprzęgałby współpracowników do wspólnego kierunku.

Miał zwyczaj – jak wiadomo – prowadzenia nieprawdopodobnie rozbudowanej korespondencji, obejmującej bez mała cały świat. Ponieważ pisał przez kalkę, w archiwum „Kultury” znajdują się teraz – już skatalogowane – tysiące jego listów i odpowiedzi na nie. Te listy były krótkie i od razu zmierzające do rzeczy. Nazywałam je żartem rozkazami dziennymi.

Kiedy Herling-Grudziński zapadł na ciężką chorobę serca i po zawale lekarz zakazał mu podróżowania z Neapolu do Paryża, zastępowałam go przez szereg miesięcy i w ten sposób przyjeżdżałam do „Kultury” praktycznie codziennie. Śmiem uważać, że jako osoba z natury pracowita należałam do ulubienic Pana Jerzego – w końcu „Kultura” przyznała mi doroczną Nagrodę imienia Zygmunta Hertza za tom rozmów z Miłoszem *Podróżny świata*, choć o tym zdecydował podobno głos Herlinga, jak sam mi o tym napomknął. Zlecał mi ciągle nowe tematy do pisania; większość jego rozkazów wypełniałam, sporo się przy okazji ucząc, bo miałam do dyspozycji całą bibliotekę i archiwum „Kultury”. Niemniej jednak nawet w nikłym procencie nie umiałabym prowadzić pisma tak, jak to robił Jerzy Giedroyc. Wymaga to zbyt wiele krwi, potu i łez.

Renata Gorczyńska



Biurko Jerzego Giedroycia

JERZY GIEDROYC
Listy do Renaty Gorczyńskiej



INSTITUT LITTÉRAIRE

Société à responsabilité limitée au capital de 50.000 Francs

91, Avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 MAISONS-LAFFITE - Tél. (3) 962-19-04

INSTITUT LITTÉRAIRE
10- SIRET 619-602 901 00010
CODE APE 5120
R. C. VERSAILLES n° B 208
C. C. F. 18228 56 W PARIS
EXPORT
C. C. F. 18228-19 B PARIS

le 21 marca 1986 r.

Droga Pani,

Czy Panią by interesowało przełożenie szkicu Michała Giedroyca o początkach chrześcijaństwa na Litwie¹? Tekst załączam.

Łączę najlepsze pozdrowienia,

ÉDITIONS : Revue «KULTURA» - BIBLIOTEKA «KULTURY» - DOKUMENTY - ZESZYTY HISTORYCZNE

1. Michał Giedroyc (ur. 1929) – kuzyn Jerzego Giedroyca, ochotnik w Armii Andersa, od 1947 roku w Wielkiej Brytanii, profesor Oksfordu, autor sagi rodu Giedroyców *Na krawędzi krateru*. Jego szkic pod tytułem *Chryścianizacja Litwy; (Pierwsze kontakty – XIII wiek)*, skrót artykułu z „Oxford Slavonic Papers”, ukazał się w numerze LXXX „Zeszytów Historycznych”, 1987 w moim przekładzie. [Przypisami opatrzyła Renata Gorczyńska – Redakcja].



N° SIRET 819 802 861 00010
CODE ATE 5120
R. C. VERSAILLES 61 B 206
C. C. P. 1929 36 W PARIS
EXPORT
C. C. P. 18226-34 B PARIS

le 29 sierpnia 1987 r.

Droga Pani,

Dziękuję za list z 24 bm. i bardzo się cieszę, że tak się Pani zainteresowała Hauptem. Noszę się z zamiarem wydania tego opowiadań, które nie weszły do tomu pt. "Pierścień z papieru". Wydanie dwóch tomów przekraczałoby moje możliwości. Będę próbował zainteresować "Pierścieniem z papieru" któreś z wydawnictw podziemnych, aby ten zbiór został wydany w Kraju.

Jeżeli odnajdę w archiwum ostatni adres Haupta, to zaraz go Pani przysię (odnalazłem i podaje: Middleburg, VA 22117). Jeżeli żyje jego żona, to warto ją przepytać, jak się poznali, bo to była b. romantyczna historia.²

Pomysł serii "Druga generacja" jest świetny.³ Rzeczywiście jest masa ludzi drugiego pokolenia np. Andrzej Bek⁴ syn ministra. Postaram się skompletować nazwiska i przysię je Pani. Będzie tu mógł Pani pomóc Zdzisław Bau⁵; znakomity plotkarz, który wszystkich zna.

Jest to naprawdę wielka szkoda, że "Tematy" przestały wychodzić. Trzeba się zastanowić, czy ich wznowienie nie byłoby w obecnej sytuacji aktualne. Może sfinansowałby to Endowment? W każdym razie porozmawiam o tym z Nowakiem⁶ który ma być w połowie września w Paryżu. Nie wiem czy Mayewski⁷ mógłby takie wznowione "Tematy" prowadzić, czy też już za bardzo odstał od tych wszystkich spraw. No, ale Pani się tu zorientuje po rozmowie z nim. Nota bene, czy "Ameryka"⁸ nadal wychodzi, czy nie? Swego czasu redagował to Grynberg⁹ i zdaje się, była to kompletna synekura, bo pisma nie dopuszczano do Polski.

Propozycja Odojewskiego¹⁰ wydaje mi się rozsądna, tym bardziej że ich honoraria są naprawdę humorystyczne. Ale czy będzie Pani Freelanserem, czy też członkiem biura Free Europe w Nowym Jorku? Słyszałem, że to biuro bardzo rozbudowano, bo jest w nim Kalabiński¹¹ i jeszcze ktoś, kogo nazwiska zapomniałem. Ponadto jest tan, zdaje się, Ruszar¹² - taki katolik polski, protegowany Najdera¹³; którego wysłano do Stanów, by omawiał katolicką prasę krajową, a do tego wszystkiego¹⁴ Ruszar nie zna angielskiego. Podobno, mimo zabiegów, Łatyński nie jest w stanie go usunąć. Rzeczywiście trudno się w tych personaliach Free Europe zorientować.

Najlepsze pozdrowienia,

1. Na prośbę Jerzego Giedroyc, który chciał przypomnieć twórczość Zygmunta Haupta (1907-1975), autora wyróżnionej nagrodą „Kultury” zbioru opowiadań *Pierścień z papieru* (IL, Paryż 1963) ogłosiłam w „Kulturze” nr 11 z 1987 roku szkic *Mięszkał ubogi szlachcic na Podolu...*
2. Żona pisarza, Edith, była Amerykanką z Nowego Orleanu, poznali się w wojennym Londynie. Ponieważ Zygmunt Haupt już wtedy nie żył, nawiązałam kontakt z jego synem Arthurem, któ-

- ry udostępnił mi o nim wiele danych biograficznych. Haupt, od 1946 roku w USA, pracował w Waszyngtonie w Głosie Ameryki i w miesięczniku „Ameryka”; był także malarzem.
3. Pomysł nie został w końcu zrealizowany. Miał to być w zamyśle rodzaj ankiety z udziałem dzieci niegdysiejszych notabli, żyjących na emigracji. W USA osiadł na przykład syn generała Karola Świerczewskiego.
 4. Andrzej Beck (1926–2011) – syn ostatniego ministra spraw zagranicznych II RP, od 1940 roku w USA, były prezes Instytutu Piłsudskiego w Nowym Jorku.
 5. Zdzisław Bau (1912–1991) – barwna postać na nowojorskiej scenie polonijnej. Zwolniony z sowieckich łagrów, przystąpił do Armii Andersa; działał tam w biurze prasowym. Po wojnie osiadł najpierw w Argentynie, od 1963 roku w USA. Dziennikarz, poliglota, uprawiający serio publicystykę ekonomiczną, jak i felietonistykę w „Nowym Dzienniku”.
 6. Paweł Mayewski (zm. 1991) – uczestnik kampanii wrześniowej, więzień sowieckich łagrów, żołnierz Armii Andersa. Po wojnie wyemigrował z Wielkiej Brytanii do USA, osiadł na Wschodnim Wybrzeżu. Ogłosił jedyną książkę, *Rzeki* (Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1960), wstrząsające nowele o życiu w łagrach. Założył i redagował znakomity kwartalnik „Tematy”, zawierający teksty czołowych intelektualistów amerykańskich oraz polskich, żyjących na emigracji. Mimo starań, nie dostał debitu na swoje pismo w Polsce Gomułki. Musiał w końcu zarzucić jego wydawanie. W charakterze emisariuszki Jerzego Giedroycja odwiedziłam go pod koniec lat osiemdziesiątych. Był wtedy człowiekiem głęboko przybitym wieloletnią chorobą i zgonem żony. Niedługo potem popełnił samobójstwo.
 7. Z Janem Nowakiem-Jeziorskim (1914–2005) Jerzego Giedroycja łączyły, jak wiadomo, zawile relacje, polegające m.in. na zachowaniu daleko idącej niezależności „Kultury”. W tym czasie Nowak od dziesięciu lat nie kierował już rozgłosnią RWE, natomiast był dyrektorem krajowym Kongresu Polonii Amerykańskiej.
 8. Miesięcznik „Ameryka” – pismo z funduszy rządowych USA w edycji polskiej, wydawane w latach 1959–1980 miało, przynajmniej z początku, debit w Polsce. Ze względu na propagandowy charakter nie miało prawa obrotu w USA, gdzie na mocy konstytucji rząd nie może finansować mediów.
 9. Henryk Grynberg (ur. 1936), prozaik i poeta pracował do emerytury na etacie w U.S. Information Agency, której podlegały zarówno Głos Ameryki, jak i miesięcznik „Ameryka”. Nie był jednak szefem tego pisma.
 10. Włodzimierz Odojewski (ur. 1930), prozaik, w 1971 roku wyjechał do NRF i tam pozostał. W omawianym okresie był kierownikiem działu literacko-kulturalnego RWE. Sugerował, żebym złożyła wniosek o etat w RWE, z którym współpracowałam od 1982 roku. Do tego jednak nie doszło.
 11. Jacek Kalabiński (1938–1988) – dziennikarz prasowy i radiowy, od 1984 roku na emigracji w USA. Pracował w nowojorskim, a następnie waszyngtońskim biurze RWE, od 1991 roku był etatowym korespondentem „Gazety Wyborczej” z Waszyngtonu.
 12. Józef Maria Ruszar – dziennikarz, współzałożyciel Studenckiego Komitetu Solidarności, internowany w stanie wojennym. W latach 1983–1993 publicysta RWE w Monachium, a następnie w Nowym Jorku.
 13. Zdzisław Najder (ur. 1930) – conradysta, działacz „Solidarności”, od stanu wojennego na emigracji, skazany w 1983 roku zaocznie na karę śmierci przez władze PRL, był dyrektorem RWE w Monachium do 1987 roku, kiedy to został z tego stanowiska odwołany.
 14. Marek Łatyński (1930–2003) – dziennikarz, dyplomata. W 1967 wyjechał do USA. W omawianym czasie był szefem nowojorskiego biura RWE, w latach 1987–1989 – jego dyrektorem w Monachium. W wolnej Polsce został ambasadorem w Bernie.



70-18RT 639 802 847 00010
CODE AVE 5126
R. C. VERSAILLES 63 8 296
C. C. P. 38218-56 PARIS
EXPORT
C. C. P. 38228-18 PARIS

le 28 października 1987 r.

Droga Pani,

Przepraszam, że odpisuję z dużym opóźnieniem, ale w domu jest prawdziwe piekło z powodu kłopotów ze zdrowiem Zosi i nawałem spraw i ludzi. Niestety poprawiona wersja o Hauptie przyszła zbyt późno i zamieściłem w "Kulturze" pierwszą wersję /liczę, że Pani dostała korektę/ i Pani szkic ukaże się w numerze listopadowym, który jest w druku.

Jeśli idzie o Pani ankietę dotyczące generacji dzieci żyjących dostojników Drugiej Rzeczypospolitej, to po namyśle myślę, że taka ankieta nie jest zbyt celowa.² Ilość osób jest chyba dosyć ograniczona, bo wątpię, czy będzie więcej niż ponad 50 osób. Myślę, że w tym wypadku wywiady są o wiele właściwsze, gdyż dostarczają o wiele bogatszego materiału. Losy tej generacji są dość szczególne i różnią się od losów ich rówieśników, między innymi właśnie dlatego, że byli nosicielami "sławnych nazwisk". Są to osoby, które przekroczyły 50 lat, jeśli nie są znacznie starsze, np. Andrzej Erenkreutz. Pytać się ich o motywy wyjazdu jest niepotrzebne, gdyż niewielu z nich miało coś do powiedzenia w 39 roku. A potem ich losy były związane z rolą, jaką ich rodzice odgrywali na emigracji. Wrócić do Polski oznaczało by wyrzec się rodziców. Jedynym ciekawym problemem jest ich stopień identyfikacji z Polską, z kulturą, językiem, Kościołem itd. Interesujący jest również ich stopień zaangażowania się w sprawy polskie. Warto by wiedzieć, czy nosiciele znanych nazwisk pozostali wierni tylko własnej historii rodzinnej, czy też poczuwają się do wierności wobec wspólnoty polskiej.

W pozostałych sprawach napiszę do Pani obszernie na początku przyszłego tygodnia. Bardzo liczę, że Pani przyjazd do Paryża jest realny w niedługim czasie.

Łączę wiele serdeczności.

1. Mowa o Zofii Hertz (1910–2003).
2. Jerzy Giedroyc się pomylił – nie chodziło mi o dzieci luminary II Rzeczypospolitej, lecz okresu PRL.
3. Andrzej Erenkreutz (1921–2008) – islamista, profesor orientalistyki na uniwersytecie stanu Michigan. Pochodził ze szwedzkiej (ze strony ojca) i francuskiej (ze strony matki) rodziny zasłużonej dla kultury polskiej; jego dziadkiem był Jan Baudouin de Courtenay. Kombatant II wojny światowej, w USA rozwinął działalność na rzecz wolnej Polski.



INSTITUT LITTERAIRE

SOCIÉTÉ À RESPONSABILITÉ LIMITÉE AU CAPITAL DE 20 000 FRANCS

91, Avenue de Poissy, Le Meuil-le-Roi, 78600 MAISONS-LAFFITTE - Tél. (3) 962-19-04

DN: SIRET 019 802 881 00010
CODE APE 5126
R. C. VERSAILLES n° 2 286
C. C. F. 1829 56 W PARIS
EXPORT
U. C. F. 13229-18 W PARIS

le 16 grudnia 1987 r.

Droga Pani,

Odpowiadam telegraficznie na Pani ostatni list, bo jestem nieustannie w oku cyklonu! Dziękuję za rozmowę z Mary McCarthy o Kocie Jeleńskim.¹ Interesujący przyczynek, który jej zresztą nie wystawia najlepszego świadectwa. Ponieważ numer podwójny styczeń-luty jest już zamknięty - wywiad zamieszczę w numerze marcowym.

Jeśli idzie o Johnsonową, to czy Pani jej już posłała swoje podanie, czy też jest to tekst, który ja bym posłał do Johnsonowej z poparciem? Proszę o możliwie szybką odpowiedź. Wiem, że miała on jakieś kłopoty, m.in. spowodowane defraudacjami Foxa, ale może coś z tego wyjdzie.

Z Vincent Giroud² chętnie porozmawiamy i ewentualnie może udostępni mi jakieś archiwa. Chciałbym wydstać od niego kopie listów Zygmunta Hertza do Czesława, ale muszę się jeszcze porozumieć w tej sprawie z Czesławem. A propos Czesława - liczę na to, że uzyska Pani jego zgodę na opublikowanie jego wrażeń z pierwszego jego pobytu w Stanach, bo to może być rzeczywiście ciekawe.

Jeśli zaś idzie o zbieranie listy osób "drugiej generacji", to ma Pani konkurencję w osobie Danuty Mostwin, która w ostatnim biuletynie Studium Północno-Amerykańskiego ogłosiła ankietę na zbliżony temat (załączam tekst ankiety).

Wiele serdeczności i najlepszych życzeń świątecznych - bardzo oczekuję Pani przyjazdu do Paryża!

EDITIONS : Revue "KULTURA" - BIBLIOTEKA "KULTURY" - DOKUMENTY - ZESZYTY HISTORICZNE

1. Rozmowę z amerykańską pisarką Mary McCarthy (1912–1989), której Konstanty Jeleński (1922–1987) był świadkiem ślubu z jej drugim mężem, eksdyplomatą Jamesem Westem, przeprowadziłam na wieść o śmierci KAJ. Tekst *Kota Jeleńskiego portret z pamięci*, przeprowadzony w USA jesienią 1987 roku, ukazał się w majowym zeszycie „Kultury” z 1988 roku.
2. Był taki luźny pomysł, żebym zaproponowała swoją kandydaturę do pracy w Fundacji Johnsonów w USA, kierowanej przez jej założycielkę, Barbarę Johnson-Piasecką (1937–2013), zna-

ną z wybuchowego charakteru multimilionerkę i kolekcjonerkę sztuki. Na szczęście do tego nie doszło.

3. Vincent Giroud – w latach 1987–2004 był dyrektorem zbiorów rękopisów nowożytnych w Beinecke Library przy Uniwersytecie Yale. Ogromnie zasłużony dla kultury polskiej. Dzięki niemu Beinecke po archiwum Miłosza zakupiła archiwum Aleksandra Wata i część rękopisów Zbigniewa Herberta. Obecnie profesor literatury w swojej rodzinnej Francji.
4. Czesław Miłosz (1911–2004) znalazł w osobie Zygmunta Hertza (1909–1975), współzałożyciela Instytutu Literackiego, powiernika i oddanego przyjaciela od czasu, gdy zwrócił się o azyl we Francji i schronił się w domu „Kultury”. Obaj ze sobą obszernie korespondowali. Sprawa edycji książkowej ich korespondencji przewija się w kolejnych listach Jerzego Giedroyc’a do mnie.
5. Danuta Mostwin (1921–2010) – dr nauk w zakresie opieki społecznej i zdrowia psychicznego, wykładowczyni czołowych uniwersytetów w USA, dokąd w 1951 roku przeniosła się z Wielkiej Brytanii. W młodości sanitariuszka w Powstaniu Warszawskim, żona kuriera Rządu Londyńskiego. Działaczka polonijna, zarazem płodna pisarka. Wspomniany przez Giedroyc’a Biuletyn założył i redagował Andrzej Ehrenkreutz.



INSTITUT LITTÉRAIRE

Travail à responsabilité limitée au capital de 20.000 francs.

91, Avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 71600 MAISONS-LAFFITTE - Tél. (1) 39-62-19-04

№ SIRET 41802283100018
CODE APE 5103
R. C. VERSAILLES 01 B 266
C. C. F. 15228 50 W PARIS
EXPORT
C. C. F. 18228 50 B PARIS

le 29 marca 1988 r.

Droga Pani,

Dziękuję za omówienie książki Stiffela. Myślę, że nie warto jej omawiać – już bardzo jestem zmęczony tematyką żydowską. Natomiast chciałem się zapytać, czy nie interesowałoby Panią omówienie twórczości Parnickiego. Obchodzi teraz swój jubileusz. Jest to dziwny i bardzo trudny pisarz. Byłem z nim zafrzyżniony jeszcze przed wojną, ale to się urwało, jak wróciłem z Meksyku do Polski. Dla zorientowania przesyłam ogromne o nim studium, które ukazało się w "Kierunkach".

Bardzo jestem ciekaw Pani wrażeń z Monachium.

Najlepsze pozdrowienia,

ÉDITIONS : Revue "KULTURA" – BIBLIOTEKA "KULTURY" – DOKUMENTY – ZESZYTY HISTORYCZNE

1. Nie przypominam sobie tego odrzuconego przez Redaktora tekstu o książce lwowskiego Żyda Franka Stiffela *The Tale of the Ring*.
2. Teodor Parnicki (1908–1988), autor ponad trzystu powieści historycznych, żył na emigracji w Meksyku, częściowo utrzymując się z renty ufundowanej mu przez Polskę. Ukończył wtedy osiemdziesiąt lat. Mając słabe rozeznanie w jego twórczości, nie podjęłam się zadania, proponowanego mi przez Giedroyc’a.



le 11 kwietnia 1988

Droga Pani,

Zebrałem chyba wszystkie szkice Haupta, które nie weszły do "Pierścienia z papieru". Myślę, że warto to wydać, może z Pani artykułem o Hauptce, który ukazał się w KULTURZE, w charakterze przedmowy. Czy Panią to interesuje? Chciałbym bowiem zrobić jakiś układ tych szkiców, by nie było chaosu i przypadkowości i nie sądzę, by wszystko warto drukować.

Mam jeszcze inny zamach, który mi przyszedł do głowy w związku ze 125 rocznicą urodzin Rodziewiczówny. Jest fenomenem, że mimo kompletnego przemilczania, książki Rodziewiczówny, Kraszewskiego etc. są ciągle bestsellerami? Nie wiem, czy to jest votum nieufności dla współczesnej literatury, czy skutek kultury ludowej". Książki kupują bowiem, w znakomitej większości, nie inteligencja.

Wycofuję swoją prośbę o omówienie twórczości Parnickiego, gdyż świadczyłem sobie, że wymagałoby się strony Pani ogromnego wysiłku. Nie wiem, czy nie szkoda na to Pani czasu.

Wrazie Pani zgody nadeślę teksty Haupta.
Łączę najlepsze pozdrowienia.

1. Przygotowałam do druku z częściowo uszkodzonych maszynopisów tom opowiadań Zygmunta Haupta, zatytułowany przeze mnie *Szpica* (IL, Paryż 1989). Po latach okazało się, że pełny tekst odnalazł się w bibliotece rękopisów Uniwersytetu Stanford w Kalifornii, gdzie został zdeponowany wraz z całym archiwum tego wybitnego prozaika.
2. Na prośbę Redaktora napisałam szkic o Marii Rodziewiczównie (1863–1944), *Nieśmiertelna Rodziewiczówna*, „Kultura”, nr 10, 1988.



INSTITUT LITTÉRAIRE

Société à responsabilité limitée au capital de 20.000 Francs

91, Avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 MAISONS-LAFFITTE - Tél. (1) 39-62-19-04

N° SIRET 619 882 861 00010
CODE APE 5120

R. C. VERSAILLES 61 B 286

C. C. F. 18228 54 W PARIS

EXPORT

C. C. P. 18228-18 B PARIS

le 23 listopada 1988

Droga Pani,

Tak, jak mówiliśmy przegląd prozy amerykańskiej zamieszczę w numerze styczniowym. Ciekawy, ale dosyć ciężkawy.¹

Jeśli idzie o omówienie "Dziennika" Andrzejewskiego, to chętnie o to proszę, ale tylko w tym wypadku, jeżeli Pani ma w stosunku do niego tak krytyczny osąd jak ja.²

Łączę najlepsze pozdrowienia

P.S. Książkę o Sachsie wysyłam, ale z prośbą o zwrot po przeczytaniu.³

EDITIONS : Revue "KULTURA" - BIBLIOTEKA "KULTURY" - DOKUMENTY - ZESZYTY HISTORYCZNE

1. *Następcy Faulknera poszukiwani*, „Kultura”, nr 1–2, 1989.
2. Jak widać, Redaktor nie ukrywał swoich sympatii i antypatii literackich. *Z dnia na dzień. Dziennik literacki* Jerzego Andrzejewskiego (1909–1983), drukowany w odcinkach w tygodniku „Literatura”, ukazał się w edycji książkowej w 1988 roku. W archiwach „Kultury” nie ma śladu o tym tekście.
3. Mowa o książce Henri Raczymowa *Maurice Sachs, ou les travaux forcés de la revolite* wydanej w 1988 roku nakładem Gallimarda.



INSTITUT LITTÉRAIRE

Société à responsabilité limitée au capital de 20.000 Francs

91, Avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 MAISONS-LAFFITTE - Tél. (1) 39-62-19-04

N° SIRET 619 882 861 00010
CODE APE 5120

R. C. VERSAILLES 61 B 286

C. C. F. 18228 54 W PARIS

EXPORT

C. C. P. 18228-18 B PARIS

le 31 marca 1989 r.

Droga Pani Renato,

Pani omówienie pamiętników Dąbrowskiej zaczyna wzbudzać namietności. Dostałem właśnie omówienie od Nowickiego, które załączam do poufnej wiadomości.² Polemiki chyba nie zamieszczę, bo jakkolwiek bardzo cenię Nowickiego, to jego recenzja bardzo mi się nie podoba: obrona Drewnowskiego, która mnie nie przekonuje; pozytywne oceny Kotta³ itp.

Najlepsze pozdrowienia,

PS. Gustaw⁴, który namietnie kolekcjonuje wszystkie odgłosy o sobie, czeka na tekst wypowiedzi Michnika o nim; podobno mu Pani to obiecała.

EDITIONS : Revue "KULTURA" - BIBLIOTEKA "KULTURY" - DOKUMENTY - ZESZYTY HISTORYCZNE

1. Ukazało się wtedy I wydanie w pięciu tomach *Dzienników* Marii Dąbrowskiej (1889–1965), okrojone przez ich edytora, literaturoznawcę Tadeusza Drewnowskiego (ur. 1926), w dużej mierze ze względu na wymogi cenzuralne. Liczne fragmenty usunięte oznaczono nawiasami kwadratowymi. Pełne wydanie *Dzienników* wydał Czytelnik w trzynastu tomach dopiero w 2009 roku.
2. Chodzi o krytyczne ich omówienie mego autorstwa, *Marsz, marsz Dąbrowska...*, „Kultura” nr 3, 1989.
3. Jan Kott (1914–2001) – szekspiolog, pisarz, profesor literatury, od 1966 roku mieszkał w USA. Giedroyc nie raz wypowiadał się o nim z przekąsem, ale doceniał jego osiągnięcia.
4. Redaktor bywał ironiczny pod adresem Gustawa Herlinga-Grudzińskiego (1919–2000), ale wtedy nie doszło jeszcze do zerwania ich wieloletniej współpracy. Nie przypominam sobie, o jaki tekst Adama Michnika (ur. 1946) mogło chodzić. Zapewne o jakiś publikowany w USA, bo w przeciwnym razie byłby on bez trudu dostępny zainteresowanemu.



INSTITUT LITTÉRAIRE

Société à responsabilité limitée au capital de 20.000 Francs

91, Avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 MAISONS-LAFFITTE - Tél. (1) 39-62-19-04

N° SIRET 519 802 841 00010
CODE APE 5120

E. C. VERSAILLES n° 9 286
C. C. F. JERZY 36 W PARIS

REPORT
C. C. F. 10229-38 B PARIS

le 22 września 1989

Droga Pani,

Bardzo jestem zaskoczony Pani artykułem o Naglerowej¹. Odnosiła się Pani bardzo krytycznie do "Krauzów" stawiając ~~na~~ wyżej ~~to~~ "Noc i dzień" Dąbrowskiej, kiedy w rozmowie z Panią bardzo podkreślałem, że idzie mi o wybitnie "Krauzów" jako książki wybitnej. Rozumiem, że książka mogła się Pani nie podobać, no ale to trzeba było mnie uprzedzić i wtedy zrezygnowałbym z omawiania. W ogóle omówienie twórczości Naglerowej wypadło, jak mówi Janek Chodakowski,² bardzo niebornie: podpieranie się Terleckim³, wykazywanie prawie encyklopedyczne jej twórczości. W sumie nie decyduję się na zamieszczenie Pani artykułu. Przykro, że Pani robię zawód, może jednak, by nie zarnować tekstu, zamieścić go Pani u Odojewskiego czy Smolara⁴. Zapewne ich oceny "Krauzów" nie będą się pokrywały z moją opinią.

Łącząc najlepsze pozdrowienia.

P.S. Liczę, że ta odmowa Panią nie zniszczy i że dostanę Simenona⁵. Tu, na pewno, nie będzie różnic między nami. Proszę tylko by tekst nie był zbyt długi.

EDITIONS : Revue "KULTURA" - BIBLIOTEKA "KULTURY" - DOKUMENTY - ZESZYTY HISTORYCZNE

1. Redaktor, pragnąc przypomnieć nowemu pokoleniu czytelników autorów emigracyjnych, niekiedy kierował się względami subiektywnymi, a ja nie zwykłam oceniać książek pod dyktando. Herminia Naglerowa (1890–1957), więziona w Kazachstanie, przeszła cały szlak z II Korpusu, służąc tam w Oddziale Prasy i Propagandy. Jej powieść *Krauzowie i inni* (1930) miała zapoczątkować wielką sagę rodziny z Galicji. Na emigracji w Londynie wydała m.in. opowiadania *Kazachstańskie noce* oraz *Sprawę Józefa Mosta*.
2. Jan Chodakowski (ur. 1952) – architekt, założyciel i redaktor naczelnny miesięcznika „Puls”, wydawanego w latach 1981–1989 oraz londyńskiego wydawnictwa Puls Publications.
3. Tymon Terlecki (1905–2000) – teatrolog i profesor literatury w Chicago i w Londynie. Redaktor kluczowego kompendium *Literatura polska na obczyźnie 1940–1960*.
4. Eugeniusz Smolar (ur. 1945) – dziennikarz, działacz opozycyjny, w omawianym okresie był szefem sekcji polskiej Radia BBC, z którym współpracowałam.
5. Georges Simenon (1903–1989), belgijski mistrz powieści kryminalnej. Zgadło się, że i Jerzy Giedroyc, i ja należymy do miłośników jego prozy. Mój tekst *Ciemnowielmożny Simenon*, napisany po zgonie pisarza, ukazał się w listopadowym numerze „Kultury” z 1989 roku.



INSTITUT LITTÉRAIRE

Société à responsabilité limitée au capital de 20.000 Francs

91, Avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 MAISONS-LAFFITTE - Tél. (1) 39-62-19-04

N° SIRET 419 802 561 00010
CODE APE 5120
R. C. VERSAILLES n° B 236
C. C. F. 16229 56 W PARIS
EXPORT
C. C. F. 16229-56 B PARIS

le 3 października 1989 r.

Droga Pani,

Bardzo dziękuję za Simenona - tekst rzeczywiście bardzo dobry. Zamieszczę go w najbliższym numerze KULTURY.

Ciekaw jestem, co będzie opowiadał po powrocie z Kraju Miłosz. W każdym razie w Sejnach prawie go obwołano wielkim księciem litewskim! Przyjechało masę Litwinów i była to bardzo ciekawa i pożyteczna manifestacja polsko-litewska.

Najlepsze pozdrowienia,

EDITIONS : Revue "KULTURA" - BIBLIOTEKA "KULTURY" - DOKUMENTY - ZESZYTY HISTORYCZNE

1. Czesław Miłosz gościł w Sejnach we wrześniu 1989 roku. Działa tam Ośrodek „Pogranicze” – Sztuk, Kultur, Narodów, powstały wskutek powołania Fundacji Pogranicze w maju 1990 roku, gorąco popierany przez poetę. Obecnie mieści się w odrestaurowanym dworku, należącym niegdyś do krewnych Miłosza i często przezeń odwiedzany w młodości.



INSTITUT LITTÉRAIRE

Société à responsabilité limitée au capital de 20.000 Francs

91, Avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 MAISONS-LAFFITTE - Tél. (1) 39-62-19-04

N° SIRET 419 802 561 00010
CODE APE 5120
R. C. VERSAILLES n° B 236
C. C. F. 16229 56 W PARIS
EXPORT
C. C. F. 16229-56 B PARIS

le 27 grudnia 1989 r.

Droga Pani,

Czy miałaby Pani może czas i ochotę napisać krótki esej o Samuelu Becketcie do numeru marcowego KULTURY? Jeśli tak, to prosiłbym o tekst do 1 lutego 90 r.

Załączam wycinek dotyczący "Dzienników" Dąbrowskiej. To będzie się jeszcze długo odbijało.

Najlepsze pozdrowienia,

EDITIONS : Revue "KULTURA" - BIBLIOTEKA "KULTURY" - DOKUMENTY - ZESZYTY HISTORYCZNE

1. Ogłosiłam w „Kulturze” z czerwca 1990 roku szkic poświęcony temu genialnemu pisarzowi (1906–1989), pt. *Rozmowy Mistrza Samuela ze śmiercią*.



le 21 sierpnia 1990

Droga Pani,

Załączam polemikę p. Zofii Kotowicz z Panią¹. Nie wiem, czy warto tę polemikę kontynuować, czy ewentualnie Pani się z nią skomunikuje bezpośrednio.

Czy Pani zna takiego historyka, Andrzeja Sulimę-Kamińskiego², który wykłada na Georgetown University, Washington, DC 20057, Department of History. Bardzo mnie on interesuje, gdyż to jest ciekawy historyk a do tego pisze bardzo dobrze. Mimo kilkakrotnych prób nie udało mi się nawiązać z nim współpracy. Nie wiem z jakich powodów. Jeżeli Pani go zna, to będę wdzięczny za wysondowanie, bo miałbym dla niego szereg propozycji.

Czy może Pani mi napisać, jaka jest sytuacja w Stanach Zbigniewa Herberta. Proszę to zachować w największej tajemnicy, a specjalnie przez Miłoszem, ale zastanawiam się, czy nie rozpocząć starań o przyznanie mu nagrody Nobla w przyszłym roku³. Jeżeli idzie o Nobla to mam szczęśliwą rękę (choć nie mogę sobie darować, że przyczyniłem się do nagody dla Wałęsy)⁴, więc chciałbym i tym razem spróbować. Czekam wiadomości ze Sztokholmu jak sytuacja się przedstawia i czy są szanse.

ÉDITIONS : Revue 'KULTURA' - BIBLIOTEKA 'KULTURY' - DOKUMENTY - ZESZYTY HISTORYCZNE

W Ameryce zdaje się, że był bardzo popularny. Wychodziło, czy wychodzi pismo Pana Cogito⁵ etc.

Kończąc numer wrześniowy, który jest całkowicie polityczny. Muszę pomału myśleć o numerze październikowym. Czy mogę liczyć na jakąś Pani kontrybucję? Nie śmiem nalegać, bo nie wiem, czy Pani wyszła chociaż częściowo ze swoich kłopotów.

Łączę wiele serdeczności.

1. List Zofii Kotowicz z Nowego Jorku nie został ogłoszony w „Kulturze”, znajduje się natomiast w archiwum „Kultury”, wraz z odpowiedzią Redaktora.
2. Andrzej Sulima Kamiński (ur. 1935), historyk, od 1970 roku profesor czołowych uczelni w USA, Izraelu i w Polsce, prowadził w latach osiemdziesiątych, na Columbia University otwarte seminarium dla Polaków w Stanach Zjednoczonych, poświęcone najnowszej historii Polski.
3. Podobnie jak w wypadku Nobla dla Czesława Miłosza i Lecha Wałęsy, Jerzy Giedroyc aktywnie zabiegał o przyznanie tej nagrody Zbigniewowi Herbertowi (1924–1998). W odpowiedzi na ten list przekazałam Redaktorowi obszerne wyjaśnienia, podkreślając wielkie znaczenie dzieła Herberta w krajach anglojęzycznych.
4. Gdy Lech Wałęsa (ur. 1943) spotkał się w lipcu 1989 roku z Polakami w Paryżu, wśród obecnych znalazł się Józef Czapski, entuzjastycznie reagując na jego wystąpienie. Redaktor jednak nie pojawił się na tym spotkaniu, ponieważ coraz bardziej krytycznie odnosił się do linii politycznej obranej przez szefa „Solidarności”.
5. Istotnie, pismo studenckie pod tytułem „Mr. Cogito” zaczęło ukazywać się w USA w połowie lat osiemdziesiątych.



N° SIRET 419 802 841 00019
COGIF ADE 5129
R. C. VERSAILLES 41 B 206
C. C. P. 15225 56 W PARIS
EXPORT
C. C. P. 16226 16 B PARIS

le 6 września 1990

Droga Pani,

Dziękuję za list z 29 sierpnia br. i za artykuł, który rzeczywiście trudno nazwać optymistycznym, ale bardzo ciekawy. Chcę go więc zamieścić w numerze październikowym.

"Rok myśliwego"² wysłałem Pani wczoraj lotniczo. Jest już trochę recenzji w kraju, raczej krytycznych, jak np. artykuł Kopczyńskiego w *Ex Libris*. Natomiast bezkrytycznym entuzjastą jest Szaruga.⁴

Wszystko wskazuje, że Herbert ma szansę. Okazuje się, że już od pewnego czasu jest na liście na bardzo dobrym miejscu. Próbuję więc zmobilizować różne wnioski i poparcia. Jest to potrzebne, zresztą biblioteka Nobla ma podobno bardzo dokładną dokumentację jego utworów. P. Bogdana Carpenter⁵ okazuje się, jest naszą prenumeratorką i pisze do niej. Mam nadzieję, że jako tłumaczce Herberta rozwiną energiczną działalność, bo to będzie zresztą w ich interesie.

Jeśli idzie o Andrzeja Kamińskiego to będę na niego polował za pośrednictwem Joanny Krance⁶, która się z nim przyjaźni. Jest ona w Polsce, ale gdzieś w listopadzie powinna wrócić do Nowego Jorku.

Trochę mnie martwi, że pisze Pani, że ze zdrowiem jest "jako tako". Mam nadzieję, że te eksperymentalne lekarstwa Pani pomogą.

Łączę wiele serdeczności od nas wszystkich.

1. Mój artykuł w październikowym numerze „Kultury”, 1990, pt. *Recesja, depresja* był minorową korespondencją z Nowego Jorku.
2. *Rok myśliwego*, zapiski Czesława Miłosza z lat 1987–1988, ukazały się nakładem IL 1990 roku.
3. Krzysztof Kopczyński (ur. 1959) – filmowiec-dokumentalista, wykładowca uniwersytecki. Pisywał krytyki do tygodnika „Ex Libris” pod redakcją Beaty Chmiel, będącego w latach 1996–2000 dodatkiem literackim do „Życia Warszawy”.

4. Leszek Szaruga (ur. 1946) – poeta, krytyk literacki, tłumacz literatury niemieckiej, literaturoznawca.
5. Bogdana Carpenter – wybitna tłumaczka współczesnej literatury polskiej na angielski, obecnie emerytowany profesor Uniwersytetu Stanu Michigan. Doktorantka Czesława Miłosza, który pierwszy wydał przekłady poezji Zbigniewa Herberta (Penguin, 1968). Bogdana i jej mąż, Amerykanin John Carpenter przetłoczyli większość dzieła Herberta, pisali o nim również rozprawy krytyczne.
6. Joanna Kranc (ur. 1943) – mieszkająca w Nowym Jorku od lat sześćdziesiątych. Polka, spowinowacona przez męża-naukowca z Felcją Krance, zaangażowana w kulturę polską.



le

P. Renata Górczyńska, Nowy Jork

Droga Pani Renato,

Dziękuję za fax z 26 br. Nie przyszło mi na myśl, że będzie Pani mogła wykorzystać oryginały listów, które są w YALE! Masz się rozumieć, będę bardzo wdzięczny jeżeli Pani się nimi zajmie. W tym młynku, w jakim żyję, nie zdążyłem jeszcze przesegregować listów Zygmunta razem z Zosią, ale to zrobimy do 15-20 października, to będzie zresztą się należało z Pani wyborem.

Łączę najlepsze pozdrowienia od nas wszystkich.

Joanna Kranc

EDITIONS : Revue 'KULTURA' — BIBLIOTEKA 'KULTURY' — DOKUMENTY — ZESZYTY HISTORYCZNE

1. Czesław Miłosz zdeponował wtedy pierwszą część swego obszernego archiwum w Beinecke Library przy Uniwersytecie Yale, a ja otrzymałam od tej biblioteki rękopisów kilkumiesięczne stypendium w celu przygotowania do druku listów Zygmunta Hertza do Miłosza. W pierwotnym zamiśle miała to być ich korespondencja. Miłosz jednak ostatecznie nie wyraził na taką redakcję książki zgody, tłumacząc to względami osobistymi. Zachowane przez niego listy od Hertza znalazły się w tej pierwszej części dostarczonego do Yale archiwum i miałam do nich dostęp dosłownie w dniu przybycia pudeł do biblioteki, jeszcze przed ich fachowym skatalogowaniem.



INSTITUT LITTÉRAIRE

Société à responsabilité limitée au capital de 50.000 Francs

91, Avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 MAISONS-LAFFITTE · Tél. (1) 39-62-19-04

N° SIRET 849 202 861 00010
 CODE APE 5100
 R. C. VERSAILLES 41 B 246
 C. C. B. 10210 26 W PARIS
 EXPERT
 C. C. F. 18210-30 B PARIS

le

Mrs. Renata Gorczyńska, Nowy Jork

Droga Pani,

Czy nie zechciałaby Pani omówić książki Jana Kota¹ "Four Decades of Polish Essays" wydaną przez Northwestern University Press, Evanston, Illinois. Może wraz z jego pamiętnikami, które ukazały się niedawno w kraju², ma się rozumieć bez taryfy ulgowej.

Jeśli idzie o korespondencję Zygmunta Hertza z Czesławem to praktycznie po raz pierwszy ją uważnie czytam próbując zrobić jakąś selekcję. Może później porównamy to z Pani selekcją. Tymczasem myślę, że trzeba usunąć z niej wszystkie sprawy handlowe dotyczące książek etc., bo to jest mało ciekawe. Tak samo myślę, że trzeba będzie bardzo zredukować listy czy fragmenty dotyczące Jerzego Andrzejewskiego. Tego jest niewątpliwie za dużo - jakaś dziwna fascynacja.

Dostałem entuzjastyczny list od Bogdany Carpenter, która przysłała mi chyba podwójny zbiór wniosków dotyczących Herberta. Bardzo ją podgrzewam, by mobilizowała ludzi popierających ten wniosek. Dotyczy to wszystkich noblistów, profesorów literatury, organizacji kulturalnych jak PEN-Club etc. Te wszystkie wnioski muszą być przesłane do Sztokholmu do końca tego roku. Mam nadzieję, że to zrobi mobilizując również wydawców, ostatecznie to jest dla nich sprawa bardzo ważna. Cały szereg osób wysuwa zastrzeżenia, że może to nie jest chwila dla nagrody dla Polaków. No, ale w tej chwili, i przypuszczam, że przez najbliższe miesiące, będzie o Polakach głośno. Poza tym włączył się do tej akcji Tomasz Jastrun³ - Chałup, który jest kierownikiem Instytutu Polskiego w Sztokholmie, a więc będą zabiegi od strony "urzędowej". Trochę się boję polskiej zawiści, bo już wyczuwam u szeregu osób obawę, że przyznanie nagrody Herbertowi przekreśli ich nadzieje na przyznanie Nobla. Trzeba więc czasami wręcz zaskakujące, jako przykład megalomanii i nadszacowania.

EDITIONS : Revue ~~KULTURA~~ ^{Serdacznosci} BIBLIOTEKA ^{KULTURA} KULTURY. - BOKUMENTY - ZESZYTY HISTORYCZNE

1. Jan Kott wspólnie z Robertem Kostrzewą, socjologiem i pracownikiem naukowym New School of Social Research w Nowym Jorku, byli edytorami tego wyboru eseistyki polskiej minionych czterdziestu lat, wydanego nakładem oficyny akademickiej Northwestern University Press, zainteresowanej dorobkiem naukowym i literackim Polaków. Moje omówienie tej książki ukazało się w grudniowym numerze „Kultury”, 1990 roku.

2. Chodzi o Jana Kotta *Przyczynek do biografii*, Warszawa 1990.
3. Tomasz Jastrun (ur. 1950) – poeta, krytyk literacki, publicysta, po 1989 roku dyrektor Instytutu Polskiego w Sztokholmie, pisywał w owym czasie felietony do „Kultury” pod pseudonimem Witold Charlamp, potem Smecz, żywo komentowane w Polsce. Redaktor pilnie strzegł tajemnicy jego tożsamości.



INSTITUT LITTÉRAIRE

Société à responsabilité limitée au capital de 23 000 francs

91, Avenue de Poissy, Le Menil-le-Roi, 78600 MAISONS-LAFFITTE - Tél. (3) 962-19-04

N° SIRET 419 902 883 00010
COUE APE 3120

R. C. VERSAILLES n° B 236

C. C. P. 10228 56 W PARIS

EXPORT

C. C. P. 38225-18 B PARIS

le 23 października 1990

Droga Pani Renato,

Bardzo jestem ciekaw jak się posuwa korespondencją Czesława z Zygmuntem Hertzem. A propos Czesława, to bardzo mi zaimponował swoim wystąpieniem w Pradze, gdzie niezmiernie ostro potępił przeprowadzoną uchwałę o regulacji urodzin, podkreślając konieczność rozdziału Kościółca od państwa na wzór amerykański. Wygłosił to oświadczenie z prawdziwą pasją. Jest to bardzo odważne, gdyż potem jechał do Polski, gdzie go za to po głowie nie poglądza.

Mam dodatkową prośbę. Ewa Thompson², która wykłada slawistykę na uniwersytecie Rice i wydaje nie bardzo mądry biuletyn "Sarmatian" zamieściła w "Tygodniku SOLIDARNOSC" artykuł, który zaimponował mi się bardzo podobał i myślałem, że jest bardzo trafny, no ale ja zupełnie nie znam Ameryki. Czy nie zechciałaby Pani na ten temat napisać od siebie?

Jak się sprawuje nowa ambasada? Zależy mi przede wszystkim na ocenie działalności Maćka Kozłowskiego³ i Andrzeja Jareckiego⁴. Jareckiego bardzo cenię, ale jaki będzie na terenie Stanów, to zupełnie nie mam pojęcia. Wiem tylko, że zrezygnowano z instytutu polskiego i został radcą czy attaché kulturalnym przy ambasadzie.

Już nie pamiętam, czy nie zanudzałem Panią moją ideą fix. Mianowicie idzie mi o opracowanie, jak wygląda obraz Polaka w popularnej literaturze. Sam będąc, w chwilach bezsenności, czytelnikiem westernów, ciągle znajdowałem postacie polskie przedstawione jako prymitywne: poczciwe, ale bardzo głupie. Parę razy znalazłem jakieś postacie romantyczne powstańców walczących z Rosjanami etc. Temat jest ogromny, a przede wszystkim bardzo czasochłonny. Szukam, jak dotąd bezskutecznie, jakiegoś profesora, który by ten temat dał jako tezę do pracy doktorskiej. Czy mogłaby Pani nam w tej sprawie pomóc?

Nie wiem, czy Pani zna Torzańską⁵. Bardzo ją lubię. Była teraz przez przeszło miesiąc w Warszawie i opowiada dosyć przerażające rzeczy. Warto z nią porozmawiać.

Łączę najlepsze pozdrowienia. *JKL*

*Rekognition, w trakcie realizacji
dzięki mi do manifestacji antykomunistycznej
jako były ambasador RP Tu kłopotem
promocji w Warszawie na tematku w Polsce
Podała tu listy*

-
1. Była to druga podróż Miłosza do Czechosłowacji, po blisko sześćdziesięciu latach.
 2. Ewa Thomson (1937) – literaturoznawca, wieloletni profesor Rice University w Houston. Wydawany przez nią kwartalnik to „Sarmatian Review”. Nie przypominam sobie, bym zareagowała na łamach „Kultury” na jej artykuł w „Tygodniku Solidarność”.
 3. Maciej Kozłowski (ur. 1943) – dyplomata i historyk, został w 1990 roku radcą-ministrem pełnomocnym w ambasadzie RP w Waszyngtonie. Od 1968 roku, przebywając wtedy na emigracji zarobkowej w Norwegii, współpracował z „Kulturą”.
 4. Andrzej Jarecki (1933–1993) – dramaturg, współtwórca Studenckiego Teatru Satyryków. W czasie stanu wojennego pisywał pod pseudonimem do „Kultury”. Był radcą kulturalnym ambasady RP w Waszyngtonie, zginął w wypadku samochodowym w USA. Po jego nominacji przeprowadziłam z nim wywiad, *Nasz człowiek w Waszyngtonie*, zamieszczony w majowej „Kulturze” z 1990 roku.
 5. Teresa Torańska (1944–2013) – dziennikarka i pisarka, autorka pamiętnej serii wywiadów zebranych w książce *Oni*, mieszkała w tym czasie w Waszyngtonie, gdzie jej mąż pracował dla Banku Światowego.



N° SIRET 619 802 861 00010
CODE APE 3120
R. C. VERNAILLES 41 B 286
C. C. F. 18218 56 W PARIS
EXPORT
C. C. P. 14228-18 0 DARES

le 30 października 1990

Droga Pani Renato,

Rzeczywiście jest Pani tytanem pracy. Teraz dokładnie czytam w wolnych chwilach listy Zygmunta i idzie mi to bardzo powoli. Ma się rozumieć, nie ma sensu ogłaszania tych listów in extenso. Pomijając, że trzeba usunąć całą buchalterię, to trzeba również usunąć wszystkie powtarzania się, których jest bardzo dużo. Bardzo liberalnie bym traktował uwagi o żyjących. Nie bałbym się zachowania drastyczniejszych ocen, jak również jego niechętnych aluzji na mój temat. Największy kłopot to jest obsesja Zygmunta osobą Andrzejewskiego¹ i, w mniejszym stopniu, Andrzeja Miłosza.² To jednak trzeba może w maksymalnym stopniu jednak usunąć.

Listy Miłosza do Zygmunta są w kompletnym proszku. Będę pilnował Zosi by je jak najszybciej skolekcjonowała i do Pani wysłała.

Nie wiedziałem nawet, że Miłosz pisywał co tygodniowe korespondencje dla radia BBC jako "Listy z Paryża"³. To może być bardzo ciekawe. Ma się rozumieć, trudno mi odpowiedzieć, czy bym je wydał bez zapoznania się z tymi korespondencjami. Ale gdyby nie mógł się na to zdecydować - bo mam duże kłopoty wydawnicze - to można byłoby je wydać bardzo przyzwoicie w którymś z wydawnictw krajowych. Jest kilka nowych firm wydawniczych, jak "PoMost" czy białostocki "Versus", no ale musi o tym zdecydować Czesław. Czy Pani dysponuje całością tej korespondencji. To jest bardzo ważne, bo nie mam zaufania do archiwów radiowych. Tak np. Wolna Europa periodycznie archiwa niszczy. Miałem z nimi straszne kłopoty jeśli idzie o Gombrowicza.⁴

Dziękuję za recenzję z antologii Kotta i Kostrzewy. Zanieszcze ją w numerze grudniowym.

Rzeczywiście, warto opisać te wszystkie historyjki polskie w Stanach Zjednoczonych, bo to jest naprawdę ogród zoologiczny. Ma się rozumieć, bardzo bym się cieszył gdyby Pani to zrobiła, ale jeśli to byłoby zbyt czasochłonne, to może mógłby to zrobić Kalabiński. Zresztą myślę, że Kalabiński, z którym zdaje się Pani jest w dobrych stosunkach, bardzo by Pani pomógł w zebraniu dokumentacji.

Zosia ciągle się nie najlepiej czuje, ma kłopoty z kręgosłupem i chodzenie jest dla niej prawdziwą męczarnią. W ogóle pomału zamieniamy się w szpital, czy w przytułek dla starców, a już kompletnie niszczy nas Fax, który stał się złodziejem znakomitym, a przede wszystkim niszczy książki i gazety z prawdziwie hitlerowskim zamiłowaniem.

Łączę wiele serdeczności.

1. Z Jerzym Andrzejewskim Czesław Miłosz przyjaźnił od czasów wojennych, co jednak nie przeszkodziło mu w sportretowaniu go jako Alfy w *Zniewolonym umyśle*. W okresie emigracji we Francji spotykał się z nim, gdy po 1956 roku Andrzejewski przyjeżdżał do Francji. Zygmunt Hertz nadzwyczaj troszczył się wtedy o niego, co najwyraźniej nie wzbudzało entuzjazmu Redaktora.

2. Andrzej Miłosz (1917–2012) – młodszy brat Czesława, dziennikarz i dokumentalista filmowy, wraz z nim odznaczony przez Yad Vashem tytułem „Sprawiedliwy wśród narodów świata”. Przez długi czas sekowany w PRL za ucieczkę brata. Poeta starał się pomagać mu finansowo w trudnych czasach i spotykał się z nim we Francji.
3. Czesław Miłosz pisywał te felietony dla sekcji polskiej Radia BBC korespondencje w latach pięćdziesiątych. Większość tekstów zachowała się. Są ciekawym przyczynkiem do powstania niektórych wierszy. Nie ukazały się jednak w edycji książkowej.
4. Chodzi o wydane przez IL w 1977 roku *Wspomnienia polskie. Wędrówki po Argentynie* Witolda Gombrowicza (1904–1969). Wypada przypomnieć, że RWE zamówiło u pisarza cykl pogadek, za które mu wprawdzie zapłacono, ale nigdy ich nie nadano.
5. Fax – kolejny spaniel w „Kulturze”, gryzący nie tylko książki i papiery, ale i ręce właściciela.



N° SIRET 619 602 841 00010
CODE APE 5120

R. C. VERSAILLES 41 B 206

C. C. F. 18129 26 W PARIS

REPORT

G. C. F. 18229 34 B PARIS

le 3 grudnia 1990

Droga Pani Renato,

Bardzo dziękuję za namówienie Kalabińskiego na artykuł, który może być rzeczywiście bardzo ważny i aktualny. Będę niecierpliwie na niego czekał.

Bardzo mnie przyjemnie zaskoczyła wiadomość, że Miłosz studiuje *Rodziewiczówna*. To jest pisarka bardzo niedoceniona i zbagatelizowana, moim zdaniem bardzo niesłusznie. Sam często, w czasie bezsennych nocy, podczytuje sobie "Czaharg" czy "Dewajtisa".

Jeśli Pani czas pozwoli to też liczę, że napisze Pani o sprawach amerykańskich. Nie jest to bardzo pilne, bo kończę już numer styczniowy, który jest podwójny, tak że ten artykuł byłby aktualny do numeru marcowego, więc byłby potrzebny do końca stycznia.

Jak wygląda sprawa Pani przyjazdu do Paryża? Byłoby świetnie gdyby to się udało Pani zrealizować. Moglibyśmy wtedy definitywnie ustalić tekst korespondencji Zygmunt Hertz - Miłosz. Na pierwszy rzut oka wydaje mi się, że są niepotrzebne szczegóły na jakim papierze, jak było napisane - to jest już zbyt pedantyczne. Tak samo będzie trzeba wyselekcjonować przypisy. Jest praktycznie biorąc jeden kłopot: jak można jakoś zmniejszyć Jerzego Andrzejewskiego? To była ze strony Zygmunta prawdziwa obsesja. Sam powoli czytam te korespondencje, a przede wszystkim jestem pod dużym wrażeniem jego ostatnich listów przed śmiercią.

O sytuacji krajowej nie piszę. Wygląda ona dosyć przerażająco. Do tego stopnia, że zdecydowałem się na udzielenie wywiadu pod hasłem "Jakie są drogi wyjścia z sytuacji bez wyjścia"? Powinno się to ukazać w tych dniach w "Życiu Warszawy". Przyśle Pani wycinek i jestem bardzo ciekaw, jak Pani oceni moje "raady cioci Zosi".

Łączę wiele serdeczności.

J. Giedroyc

1. W reakcji na mój tekst Czesław Miłosz ogłosił szkic *Rodziewiczówna*, „Kultura”, nr 3, 1991, zamieszczony następnie w tomie *Szukanie ojczyzny*, Kraków 1992.
2. Jerzy Giedroyc, *Jakie są drogi wyjścia z sytuacji bez wyjścia*, przemówienie wygłoszone 9 listopada 1991 roku w Bibliotece Polskiej w Paryżu z okazji przyznania mu doktoratu honorowego Uniwersytetu Jagiellońskiego. „Życie Warszawy” i „Rzeczpospolita” odmówiły publika-

cji tekstu, natomiast wydrukowały go „Tygodnik Gdański” i „Tygodnik Małopolska” – pocięty i z innymi tytułami, brakuje np. akapitu o Wałęsie – oraz nowojorski „Nowy Dziennik” i kanadyjski „Związkowiec”. „Kultura” opublikowała go w nr. 1/2/ 1991 z wyjaśnieniem autora.



INSTITUT LITTÉRAIRE

Société à responsabilité limitée au capital de 30.000 Francs

91, Avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 MAISONS-LAFFITTE - Tél. (1) 39-62-19-04

N° SIRET 619 862 841 00018

CODE AFI: 5120

R. C. VERSAILLES 41 B 286

C. C. P. 38228 56 W PARIS

EXFORYT

C. C. P. 16228 58 B PARIS

le 5 grudnia 1990

Droga Pani Renato,

Teraz robi się w Stanach duży szum w związku z nowym przekładem "Trylogii" Sienkiewicza robionym przez Kuniczaka. Bardzo jestem ciekaw, czy to będzie miało powodzenie wśród czytelników. Stare wydania Sienkiewicza w Anglii były przekładane potwornym językiem. Czy nie zechciałaby Pani coś na ten temat napisać? Jak również, albo jednocześnie, o samym Kuniczaku, jest on bowiem, poza Stanami, publiczności polskiej kompletnie nieznany.

Łączę najlepsze pozdrowienia.

EDITIONS : Revue "KULTURA" - BIBLIOTEKA "KULTURY" - DOKUMENTY - ZESZYTY HISTORYCZNE

1. Wiesław S. Kuniczak (1930–2000) – urodzony we Lwowie pisarz w języku angielskim, który zdobył rozgłos w USA powieścią o Polskim Wrześniu 1939 roku, *The Thousand Hour Day* (1961), kontynuowanej następnie w dwu kolejnych tomach, specjalizował się w epice wojennej. Był również autorem książki o wkładzie Polaków w historię USA, *My Name is a Million*. Uczestnik wojny koreańskiej, został schwytany w Indiach z niewielką dawką haszyszu, za co skazano go na wieloletnie więzienie. Uwolniono go po trzech latach, m.in. wskutek zabiegów Amerykańskiego PEN Clubu za prezesury Jerzego Kosińskiego. Praca nad przekładem na angielski Sienkiewiczowskiej trylogii, wydanej w 1991 roku przez polonijną firmę wydawniczą Hippocrane Press, zajęła mu blisko dziesięć lat. Kolejne tomy zostały bardzo dobrze przyjęte przez czytelników w USA.



N° SIRET 819 802 841 00018
CODE APE 5120
R. C. VERSAILLES 01 B 286
C. C. F. 10228 56 W PARIS
EXPORT
C. C. F. 10228 58 B PARIS

le 8 stycznia 1992

Droga Pani Renato,

Dziękuję za list. Doskonale rozumiem w jakiej zapaści Pani żyje, ale myślę, że jedynym wyjściem, by z tego się otrząsnąć, jest znalezienie jakiegoś ciekawego zajęcia. Przyszło mi na myśl, że w związku z tym, co dzieje się w Rosji i na Ukrainie, byłoby potrzebne by Stany Zjednoczone zwróciły uwagę na środowiska intelektualne. Nie są może one tak liczne, jak np. w Polsce, ale jednak odgrywają wielką rolę. Przykładem jest chociażby Sacharow. Tymczasem mechanicznie robi się "Amerykę", która wychodzi na glosowanym papierze, bardzo wylizana w sensie graficznym i fotograficznym - tego nikt w tych środowiskach czytać nie będzie. Należałoby odtworzyć miesięcznik czy kwartalnik na wzór "Tematów" biednego Mayewskiego, który byłby panoramą intelektualnej Ameryki we wszystkich dziedzinach. Powinno się to ukazywać w bardzo skromnej szacie graficznej, coś na wzór "Nowowo Mira". Myślę, że przy Pani znajomości Ameryki, byłaby Pani doskonałą redaktorką takiego wydawnictwa. Pisałem w tej sprawie do Zbigniewa Brzezińskiego³, bo to jest mój jedyny kontakt na "wyższym" szczeblu amerykańskim, choć daleki jestem od przeceniania jego możliwości. Zwracałem mu uwagę, że tego rodzaju periodyk powinien być finansowany przez jakąś fundację, jak np. Forda, a nie mieć stempelka oficjalnego. Bez porozumienia z Panią pozwoliłem sobie na zasugerowanie Pani, jako redaktorki tego wydawnictwa. Nie wiem, co z tego wyjdzie, ale zawsze warto spróbować.

Rozmowa z Berberową może być bardzo ciekawa, bo to jest rzeczywiście zdumiewająca staruszka. Byłyby ciekawe jej oceny obecnej sytuacji w Rosji, a może w jej długim życiu znajdują się jakieś polonika. Tak samo chętnie proszę o recenzje ciekawszych książek, bo ten dział niestety bardzo w KULTURZE szwankuje.

Cieszę się, że moje przemówienie w Bibliotece Polskiej Pani się podobało. Ciekaw jestem również Pani uwag o styczniowym numerze, który za kilka dni będzie ekspediovany.

Łączę wiele serdeczności.

1. W październiku 1991 roku zmarł nagle w Nowym Jorku mój mąż Andrzej Górczyński. Po jego śmierci Jerzy Giedroyc i Zofia Hertz rozmawiali ze mną telefonicznie szereg razy, stąd uwaga o nienajlepszym stanie psychicznym.
2. Andrzej Sacharow (1921-1989) - rosyjski opozycjonista, fizyk, laureat Pokojowej Nagrody Nobla, nazywany sumieniem Rosji. „Kultura” wielokrotnie publikowała jego teksty.

3. Zbigniew Brzeziński (ur. 1928) – politolog, specjalista w zakresie sowietologii, mianowany przez prezydenta Cartera na doradcę ds. bezpieczeństwa narodowego USA. Nina Berberova (1901–1993) – biała emigrantka z Rosji, żona Władysława Chodasiewicza, mieszkała przed wojną głównie w Paryżu. W 1950 roku wyjechała do USA. Była lektorką języka rosyjskiego, a następnie wykładowczynią literatury rosyjskiej na uniwersytetach. W liście mowa jest o jej fascynującej autobiografii, *The Italics Are Mine* (*Podkreślenia moje*).



INSTITUT LITTÉRAIRE

Société à responsabilité limitée au capital de 10.000 Francs

91, Avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 MAISONS-LAFFITTE - Tél. (1) 39-62-19-04
Fax (1) 39-62-57-52

N°- STREET 819 802 861 00018
CODE APE 5120

R. C. VERSAILLES 61 B 286
C. C. F. 14228 58 W PARIS

IMPRESY
G. C. F. 14228-58 B PARIS

le 30 lipca 1992

Droga Pani Renato,

Jestem tak ostatnio rozłożony, że na śmierć zapomniałem poruszyć sprawę Pani dwóch rękopisów. Jeśli idzie o szkic "Wywiad"¹ to szczerze się przyznam, że zupełnie go nie rozumiem. To przecież kracza moja inteligencja. Jeśli idzie o drugi tekst "Tłumaczę"² to jest on interesujący, tylko strasznie długi. Bardzo namawiam, by Pani go skróciła. Czy mogę na to liczyć?

Miłosz szaleje z zachwytu nad listami Zygmunta³. Tak samo jego przyjaciel, którzy wrywają sobie tę książkę z rąk. Nie jest to jeszcze bardzo miarodajne, bo Czesław jest osobiście zainteresowany tą książką, ale mam nadzieję, że książka stanie się best-sellerem. Teraz jest niedobry okres, bo wakacyjny, ale rozsyłam ją do księgarni emigracyjnych. W kraju będzie rzucona do sprzedaży 1 września. W każdym razie trzeba ją zalansować. Np. byłoby bardzo dobrze gdyby Pani omówiła ją np. dla BBC i "Nowego Dziennika". Bardzo namawiam.

Czy Pani zna Jacka Niećko⁴, przyjaciela Pawła Mayewskiego? Dysponuje on jego archiwum, które okazuje się jest niezmiernie interesujące. Przesłał mi właśnie listy Bobkowskiego⁵ wręcz znakomite, i takich rodzynek ma sporo. Czy tym archiwum nie zainteresował by się Vincent Giroud? Napisałem do Niećko z sugestią by się z nim skomunikował. Szkoda by było, by tak interesujące archiwum zostało kiedyś zaprzepaszczone. Jest jeszcze inna sprawa, która może p. Giroud zainteresować. Mianowicie dobrych parę lat temu zmarł w Australii Andrzej Chciuk⁶ interesujący pisarz, który również zostawił nie dokończony rękopisy, i to nawet sporą ilość, i tak samo ogromną korespondencję z całym światem. Wszystko to jest w rękach jego żony. Nie znam jej, ale to musi być straszna kobieta. Gdy napisałem do niej, że chciałbym dostać rękopisy Chciuka, bo może byłoby coś w nich do wydania, to odpisała mi, że to bardzo skomplikowane, bo leżą one w piwnicy i musi znaleźć czas by je odszukać. Gdyby Giroud zwrócił się do niej z propozycją zakupu, oraz że chciałby się zorientować co archiwum zawiera, to może chciwość zmusiłaby ją do jakiegoś wysiłku. Bardzo więc proszę, by Pani tę sprawę z nim omówiła.

Czy przejrzała już Pani "Diabła zwycięzcę"⁷ no i Janowskiego.⁷ Bardzo jestem ciekaw, jak Pani to oceni, czy Fayard⁸ będzie nimi zainteresowany.

Wiele serdeczności.

Zm

-
1. Tekst *Wywiad* ukazał się potem w zmienionej formie w mojej książce szkiców *Jestem z Wilna i inne adresy*, Kraków 2003.
 2. *Tłumaczę* jest pierwszą częścią mego opowiadania autobiograficznego pt. *Po*, „Kultura”, październik 1992.
 3. *Listy Zygmunta Hertza do Czesława Miłosza* w moim opracowaniu wyszły drukiem w IL latem 1992 roku i wywołały znaczne zainteresowanie w środowisku literackim. Redaktor, sugerując, bym je omówiła w mediach, z którymi stale współpracowałam, stawiał mnie w dość niezręcznej sytuacji zawodowej. Toteż tego nie zrobiłam, ale książka miała i tak znaczny odzew.
 4. Jacek Niećko (1934–2010) – dziennikarz, tłumacz literacki, od 1965 roku w USA. Pracował w piśmie „Ameryka”.
 5. Andrzej Bobkowski (1913–1961) pisywał z Gwatemali do „Tematów” Pawła Mayewskiego, stąd w archiwum tego ostatniego znajdowały się jego listy.
 6. Andrzej Chciuk (1920–1978) – pisarz o niezwyklej biografii, wydał w IL w 1957 roku *Smutny uśmiech*; był też jednym z pierwszych laureatów Nagrody „Kultury”. Beinecke Library nie była zainteresowana nabyciem jego archiwum.
 7. Zbigniew Janowski, albo w USA Zbigniew S. Janowski – profesor filozofii na Uniwersytecie w Chicago i innych uniwersytetach. W archiwum „Kultury” znajduje się kilka jego listów do Giedroycy. Wydał książki w Stanach, Polsce i we Francji, głównie o Kartezjuszu, ale też o Słowackim, św. Augustynie, Kołakowskim.
 8. Editions Fayard – paryskie wydawnictwo literackie, które w 1986 roku ogłosiło przekłady kilku dzieł Czesława Miłosza, w tym *Milosz sur Milosz* wybór rozmów z nim, przeprowadzonych przez Aleksandra Fiuta i przeze mnie. Od tego czasu datowała się moja serdeczna znajomość zawodowa z szefem literackim Fayarda, przedwcześnie zmarłym Jean-Bernardem Blandenierem. Byłam jego nieformalnym doradcą w sprawach wydawania dzieł polskich twórców i skłoniłam go m.in. do wydania przekładów poezji Zbigniewa Herberta oraz autobiografii Jacka Kuronia *Wiara i wina*, do której przygotowałam obszerne przypisy. Stąd sugestie Redaktora.



INSTITUT LITTÉRAIRE

Unité à responsabilité limitée au capital de 50.000 Francs

91, Avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 MAISONS-LAFFITTE - Tél. (1) 39-62-19-04

Fax (1) 39-62-57-52

N° SIRET 639 802 861 00010
CODE APE 5229
R. C. VERSAILLES 41 B 286
C. C. F. 10228 56 W PARIS
EFFECTIF
C. C. F. 10228 58 B PARIS

le 17 sierpnia 1992

Droga Pani Renato,

Mogłem spokojnie przeczytać pozostawione mi teksty. PO "Tłu-
macze" jest świetnym tekstem. Nie przypuszczałem, że ma Pani taki
pazur narracyjny, bo miałem wrażenie, że ogranicza się Pani głównie
do krytyki literackiej. Natomiast bardzo jest mi przykro, ale "Wy-
wiad" nie bardzo mi się podoba, po prostu nie bardzo go mogłem zro-
zumieć. Taka jest również opinia Gustawa.

Tekst PO zamieszczę gdzieś połkońiec roku; kłopot, że jest to
tekst ogromny. Najchętniej bym go widział w numerze podwójnym sty-
czeń-luty, ale nie chciałbym tak długo zwlekać z drukiem. Może mi
się go uda zmieścić w numerze listopadowym.

Teraz na tapecie jest wschodnia Europa, a między innymi Ukraina,
o której wie się właściwie bardzo niewiele. Nie wiem, czy Pani obser-
wuje artykuły Bohdana Osadcuka w ostatnich numerach. Bardzo go ce-
nie, gdyż to jest człowiek nastawiony nie nacjonalistycznie, a bardzo
rzeczowym stosunkiem do rzeczywistości na Ukrainie, który przypomina
mi stosunek KULTURY do spraw polskich. Był on przez szereg lat kore-
spondentem "Neue Zürcher Zeitung", jest profesorem na wolnym uniwer-
sytecie w Berlinie, współpracuje m.in. z Radio Liberty, no i stale
jeździ na Ukrainę i do Polski, bardzo pilnując aktualnych wydarzeń.
Czy nie warto podrzucić Fayardowi myśl o napisaniu przez niego książ-
ki o Ukrainie? Myślę, że książka byłaby napisana żywo, bardzo obie-
ktywnie, nawet z ciekawą stroną anegdotyczną. Czy nie interesowałoby
Panią zalansowanie tego pomysłu Fayardowi? Na wszelki wypadek podaję
adres Osadcuka: Hellrigelstr. 5, 1000 Berlin 33, tel. 82 31 006.

Co się dzieje w Wolnej Europie? Chodzą tatarskie wieści. Ten Mro-
czyk okazuje się zupełną katastrofą.

Wiele serdeczności.

JM



N° SIRET 419 802 841 0010
CODF APU 5120
K. C. VERSAILLES 41 B 298
C. C. P. 18228 51 W PARIS
EXPORT
C. C. P. 18228-51 B PARIS

le 26 sierpnia 1992

Droga Pani Renato,

Dziękuję za list z 13-go bm. i za skrócony tekst "Po". Zamieszczę go w numerze październikowym, ma się rozumieć uwzględniając Pani poprawki ręczne, które mam na Panioryginałach.

"Nowy Dziennik" jest bardzo nieruchawy. Automatycznie wysyłam im egzemplarz każdej naszej nowej książki i oni wtedy zamawiają lub nie. Zrobiłem to również z "Listami" Zygmunta, ale nie było z ich strony żadnej reakcji ani zamówienia, a książka dotarła w międzyczasie do Kanady. Kanadyjski "Związkowiec" już zamieścił ogłoszenie.

Bardzo liczę, że jednak przełamie Pani skrupuły i przyczyni się do zalansowania Listów w Polsce. Marek Krawczyk¹ na to bardzo liczy. Ja też, bo niezmiernie mi zależy na sukcesie nie tylko prestiżowym ale i finansowym tej książki.

Bardzo zabawne są Pani rozjazdy po świecie. Turystycznie Kenia może być bardzo ciekawa, ale nie mam tam żadnych poloników. Bardzo ciekawym człowiekiem jest arcybiskup Bolonek, który jest nuncjuszem na Wybrzeżu Kości Słoniowej, no ale to jest daleko od Kenii. Na miejscu warto się chyba przyjrzeć działalności polskich misjonarzy, którzy zapewne i tam są.

Jak postępuje praca nad "Książką adresową"²? Bardzo jestem jej ciekaw.

Łączę najlepsze pozdrowienia.

1. Marek Krawczyk (1956–2012) – wydawca, działacz opozycji w PRL, od połowy lat osiemdziesiątych blisko współpracujący z Jerzym Giedroycem. Współzałożyciel Polskiej Izby Książki, zainicjował też powołanie Towarzystwa Opieki nad Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu.
2. *Książka adresowa* to tytuł roboczy esejów, poświęconych moim sławnym sąsiadom z przeszłości, mieszkańcom paryskiej rue de Seine. Wydałam ją dopiero w 2001 roku, pod tytułem *Skandale minionego życia*, co jest cytatem z Racine'a, jednego z opisywanych sąsiadów.

KAZIMIERZ BRAKONIECKI

Stopy Jezusa na sklepieniu kościoła ewangelickiego w Sorkwicach

Wiem, że nie zmartwychwstałeś, bo utknąłeś w suficie kościoła w Sorkwicach. Głowa i ciało zmiażdżone dachem są mazurską, niską transcendencją, bo wystartowałeś z tego ołtarza do nieba wiekuistego, zostawiając miniaturowe stopy, kostki u nóg i pionową ciszę. Reszty ciała możemy się domyślać. Poszło samo w niebiosa? Bez stóp, bo już w locie niepotrzebne? Ostatecznie nie dusza to ani oko święte szcztane. Więc jesteś znakiem albo wstąpienia, albo upadku, co przetrzącił ciało. Z wieży kościelnej nie widać po tobie śladu. Żadnej smugi, gromu, głosu. Jest jezioro, pole do gry w siatkówkę, plebania protestancka, a w niej pies w kojcu, który prostodusznie szczeka na natręta i przyjazny pastor który daje klucz niewiernym do pospolitego, wzruszonego raj, aby Chrystusa ujrzeni mistyczne pięty zaskoczone przez sąd ostateczny.

Do Wenus i Jowisza

Początek marca. Dwie planety przytulone zimnym niebem. Ich światło łączy, dzieli, daje nadzieję, odbiera, po prostu świeci. Jedna planeta mocniej, druga słabiej, ale razem. Transcendencja jest naszą przestrzenią. Urywane głosy przelatujących dzikich gęsi. Wysoko. Pomiędzy mną a kosmosem nie ma nikogo i niczego. Nie rozumiem ani boga, ani diabła, ani historii, ani religii. Żyję i umrę. To światło wspólne jest bezmiarem. Otwarcie i zamknięciem łaknienia. Ta ciemność wspólna jest bezmiarem. Otwarcie i zamknięciem śmierci. Pomiędzy mną a tobą nie ma nic, co by kochało, pamiętało, pragnęło. Kosmos jest chiazmą, stopem żywego i martwego, co w sobie noszę. Urywane głosy przelatujących umarłych. Nisko i wysoko. Osobno. Razem.

Czaple kołujące nad jeziorem Kielarskim

Szpiegujące perkozy w wodzie, szerniały kormorany na olchach,
grążele, mokradła, przesuające się mglisto zapowiedzi i zapominania,
kiedy podrywa się chmara czapli i rozrzuca powietrze na wiry i wykrzykniki.
Cały tutaj chłonący na stercie ściętych sosnowych gałęzi jestem.
Pełen torfu, pełen chmur, krwi, pełen ognia i jego błyskawicznych myśli.
Czaple, które tutaj zimujecie, aby przestrzeni, chłodom, wiatrom udowodnić,
że wola zwycięża wszystko, mówię wam, że świat jest pustą tajemnicą,
cały płonący ze ściętych kości, umysłów, wojen, religii.

P O C O L I T E R A T U R A ?

Kontynuując ankietę, po wypowiedziach Julii Hartwig („Kwartalnik Artystyczny” 2012 nr 4 (76)), Stefana Chwina i Renaty Gorczyńskiej (2013 nr 1 (77)), Piotra Matywieckiego, Leszka A. Moczulskiego, Marka Skwarnickiego (2013 nr 2 (78)) zamieszczamy kolejne wypowiedzi. Ciąg dalszy w następnym numerze.

KAZIMIERZ BRAKONIECKI

Po co, w jakim celu literatura? Po co ją piszemy i po co ją czytamy? Czy pisanie jest powołaniem, służbą społeczną, uzewnętrznianym terapeutycznie dramatem osobistym lub narodowym, literacką pracą zawodową na zamówienie lub pisarskim przyzwyczajeniem obsesyjno-kompulsywnym, a czytanie przyjemnością, chwilą zasłużonego odpoczynku, coraz bardziej staroświeckim instrumentem do zdobywania wiedzy, uczenia się życia, świata, człowieka? Kto czyta ten myśli i odczuwa lepiej, inaczej, pełniej? Jest bardziej rozumny, tolerancyjny, wrażliwy? Potrafi lepiej kochać, myśleć, pracować? A ten kto pisze, to zasługuje na większy szacunek, podziw, poważanie, ponieważ pełni rolę proroka, prawodawcy, celebryty, a przynajmniej inteligentnego i utalentowanego twórcy, który potrafi mądrzej i głębiej niż media ukazać perypetię zewnętrznego i wewnętrznego światožycia? Jest podziwianym i wzbudzającym zawiść autorem bestsellerów czytanych w pociągach, na wielbłądach, w toaletach, w radiu?

Łatwiej byłoby odpowiedzieć, czym jest literatura dla mnie osobiście, co w moim życiu znaczyła literatura (znaczyła wszystko na wszystkich etapach mego życia, począwszy od dziecinnej lektury *Chłopaka na opak* i *Kto mi dał skrzydła*, a skończywszy na ostatnim, starym dzienniku Zygmunta Mycielskiego), a jeszcze bardziej: po co jest moja poezja? Po co czy raczej dla kogo? Po-co-dla-kogo razem? Po nic albo po wszystko, dla każdego i dla nikogo poza mną niewiarygodnie samym, ale mówiącym o sobie dla innych z nadzieją na? Na co? Na przetrwanie? Poezja jest takim pasywnym zapisem narracyjnej tożsamości rozpisywanej w czasie, który sam czas rozsypie, chociaż w procesie poetyckim (w którym doświadczenia życia i śmierci występują razem) zawarta jest

transgresja, transcendencja, ocalenie tego, co jedynie przemijające. Złudzenie? Na pewno, ale jakże pobudzające do uwagi i działania zarazem.

Już wiemy, że wysoka kultura nie chroni nas przed niskim barbarzyństwem, że można pisać marne i dobre wiersze na Kołymie, w Auschwitz (i po Kołymie, i po Auschwitz), w izraelskim apartamencie z widokiem na mur oddzielający podludzi od nadludzi, w apartamentowcu poznańskim czy warszawskim otoczonym murem czy płótem od sąsiadów z bloków czy kwaterunkowych kamienic, że literatura nie zbawia, ale przecież podejrzewamy – przynajmniej my, ci starsi, niezaspokojeni pożeracze idei i książek – że od czasu do czasu ofiarować może nam coś cennego, a co jest pewnym zamachem pojedynczego człowieka na rzeczywistość, wyrazem jego buntu, niezgody na świat, ekspresją jego radości, jego szczerym aż do bólu świadectwem epoki i miejsca, a co jest niczym innym jak Spotkaniem Twarzą w Twarz (ze sobą samym nie do końca jeszcze rozpoznany, z Obcym-Bliskim, ze Światem, Życiem, z Całościową Tajemnicą). Rozpoznanie, wzruszenie, odkrycie tożsamości i jedyności. Olśnienie i zachwyty. Spotkanie z mistrzem, z bratem, przyjacielem, a czemu nie z wrogiem. Realny świat to nie literatura, to nie bajka, ale jednak literatura to coś więcej niż bajka i literatura, papier, strona, miąższ. W każdym razie poezja to nie (tylko) literatura. Nic nie jest już takie samo jak przedtem. Ale czy to spotkanie, taka literatura, takie rzadkie napięcie czytelnicze lub kreatywne, pomaga mądrzej, lepiej żyć? Każdy sam musi odpowiedzieć na to pytanie. Szczerze w swoim sumieniu poety i czytelnika. Ostatecznie chodzi o egzystencję pojedynczego człowieka; w ostateczności to literatura, nawet ta najbardziej samotnicza i skomplikowana formalnie, podąża w stronę komunikacji z kimś lub czymś, jest rozpoznaniem i budowaniem spotkania, sposobem (nawet jeśli kalekim i pełnym rozpacz) nawiązania więzi, a więc kreacją (małego i dużego) Sensu. Nawet jeśli obraz tragedii człowieczego losu jest literatury najwyższym powołaniem.

W zachodniej cywilizacji świętego Pisma, objawionej Księgi (Tory, Koranu, Biblii), w której dzieła religijne objawione są człowiekowi przez Boga (Anioła, Demona) literatura przez stulecia należała do sfery (mniej lub bardziej) sakralnej (co najmniej w rozumieniu romantycznym), chociażby dlatego, że podejmowała absolutnie metafizyczne zagadnienia Dobra i Zła. W tradycji buddyjskiej (a przynajmniej w jej wersji pierwotnej) Pismo po osiągnięciu przez jednostkę oświecenia nie jest już potrzebne, nie jest święte, bo wszystko jest niestałe i przemija. Nie jest potrzebny Kościół, Uniwersytet, Krytyk literacki, Cenzor, a może i Czytelnik. Najważniejszym staje się doświadczenie, praktyka indywi-

dualna. Więc chyba nieprzekazywalna? Raczej przekazywalna, gdyż przecież zapisano i kazania, i pouczenia mądrościowe, jak dostąpić tej łaski Odlotu od ciągu kolejnych wcieleń i przemian. Jednak nie, literatura nie jest odlotem, ale uwagą lotu nad światem i życiem. Po co więc literatura współczesna, niezba- wca z natury? Dla czystej rozrywki? A i sama rozrywka niejedno ma imię. Może po to, aby wyruszyć na poszukiwanie takiej książki, takiego wiersza, eseju, au- tobiografii, które wyzwolą w czytelniku-odbiorcy-kreatorze ten sensotwórczy lot uwagi, skupienia, refleksji, egzystencjalnego drżenia i bojaźni nad przemi- jającym życiem, które za pomocą zdesakralizowanego, ale jednak niezbędnego, pisma dąży do (nietrwałej) wieczności.

Podobno Jezus stał pismo na piasku i zachęcał do duchowego *praxis*, a nie do przestrzegania Litery, Rytuału, Prawa. Ale skoro powiedział też, że nie to nas brudzi, co wkładamy do ust, ale co z tych ust wyjmujemy, to nic dziwnego, że ta starożytna święta moc słowa i do nas jakąś tam duchową czkawką dochodzi. Szukamy w nim albo przez niego transcendencji, epifanii, chociaż doskonale wiemy, że jest to Pusta Transcendencja i może dlatego chcemy pisaną literatu- rę poprzeć własnym (przykładowym, rozpętanym?) życiem (nie spaść poniżej tego, co się napisało), ale czy to jest jeszcze literatura? Czy to jest jeszcze czy- telnik? Może są to ostatni zakonnicy z klasztoru na Górze Szklanych Paciorków.

KRZYSZTOF LISOWSKI

Przeważnie nie zastanawiam się nad tym pytaniem, będąc od półwiecza czytelnikiem, potem pisarzem, wreszcie redaktorem cudzych książek. Ale to pewnie jedno z pytań „pierwszych”. Takich jak: po co świat, po co Bóg, po co życie? I pytań mniejszych: po co wstawać rano ze snu? Jaki sens ma nasze dzia- łanie? Czy idziemy dobrą ścieżką, czy może błądzimy?

Dziś myślę tak: literatura daje mi wolność i szczęśliwsze życie. Zawsze mogę, jak dziś o świecie, znaleźć zdanie w rodzaju: „Karystios, Pergamończyk, opowia- da, że na Kerkyrze kobiety jeszcze i teraz śpiewają grając w piłkę” (to z *Uczty mędrców* Atenajosa). A stąd już niedaleko do podróży Odyseusza, a może i let- nich dni na Kerkyrze. Nic mnie w tej wędrówce nie ogranicza, nawet, chwila- mi, czas ustaje, daje od siebie odpocząć. A jeszcze mogę sobie wyobrazić, że

patrzyłem z rozległej góry Pergamonu na te same widoki, co ów Karystios, po-
grzebany w wiekach.

Mógłbym też, równie prawdziwie, z wiarą odpowiedzieć jak Fernando Pes-
soa:

„Literatura to najprzyjemniejszy sposób ignorowania życia”.

KRYSTYNA RODOWSKA

Pytanie z niedopowiedzeniem, jakby nabrało wody w usta. Dopuszczają-
ce wielość intonacji, a więc i znaczeń. Po co literatura – komu? Mnie? Tobie? Im?
Nam? Jakim nam? Może mu towarzyszyć wzruszenie ramion kogoś, kto po książ-
kę w ogóle nie sięga, nie został w tradycji czytania wychowany i woli czas wol-
ny od pracy rezerwować dla gier komputerowych, ewentualnie wyżywać się na
portalach społecznościowych, „wrzucając” zdjęcia, komentarze, pomnażając
w nieskończoność liczbę „znajomych”, jakby to miało upewnić go w przeświad-
czeniu, że naprawdę jest, liczy się na giełdzie konkurujących z sobą ego. Ale py-
tanie „po co literatura?” może także powtarzać z rozgoryczeniem pisarz, które-
go książki przechodzą prawie niezauważone, albo się „nie sprzedają”, bo akurat
„popelnił” tomik wierszy, czy udało mu się wydać tom esejów. Tak więc pytanie,
sformułowane na zasadzie „uderz w stół, nożyce się odezwą”, adresowane jest
do wielu potencjalnych jego odbiorców, tych, których literatura obchodzi, czy
nawet jest im niezbędna do życia i coraz, niestety, liczniejszych tych, dla których
jest pustym dźwiękiem i regałami bez książek w jakoś bezdusznym mieszkaniu.

Kilka lat temu, francuski poeta i filozof Michel Deguy zadawał w trakcie pub-
licznych debat, dyskusji i na łamach pism literackich podobne pytanie „*A quoi
bon la poésie?*”, zawężając je do „po co poezja?”. Poezja we Francji wiedzie ży-
wot równie „niszowy”, jak jej polska siostrzyca, choć i tu i tam aż roi się od „wio-
sen poetyckich”, targów książki poetyckiej, konkursów i nagród. „Literatura”, to
nie tylko poezja, w ciągu ostatnich dekad zaanektowała przecież także repor-
taż, nobilitowany dzięki twórczości Kapuścińskiego, Krall i innych, i który zdaje
się zaspokajać bardziej ciekawość świata, niż inne gatunki.

Więc po co mnie, im, nam literatura? Każdy, kto połknął bakcyła specyficzn-
ego świata, określanego jako „literatura”, ma z pewnością swoją historię relacji

z tym światem, czasem niewyraźalnie intymną. Nie potrafię powiedzieć, dlaczego czytanie, ba! pochłanianie baśni Grimma czy Andersena we wczesnym dzieciństwie było dla mnie czymś o wiele bardziej niezbędnym, niż zabawy z rówieśnikami. I fakt bycia dzieckiem chorowitym, spędzającym nieraz więcej czasu w łóżku, niż w szkole, także niewiele tłumaczy. Dlaczego z własnej, nieprzymuszonej woli przepisywałam do zeszytu ulubione fragmenty baśni? Żeby raz jeszcze wchodzić w emanujące niezrozumiałym pięknem czy grozą obrazy, przeżywać raz jeszcze sen, ważniejszy niż codzienność? Dlaczego, nastoletnia, stawałam raz po raz do konkursów recytatorskich, żeby recytować z pamięci cudze wiersze? Widocznie tak rodziła się i narastała nieświadomiona jeszcze miłość do literatury, z którą konkurowała przez wiele lat muzyka; jak się okazało – nieskutecznie. Przywołując w tym miejscu strzępy osobistych wspomnień, chcę tylko dać wyraz mojemu przeświadczeniu, że geneza wyboru uprawiania literatury, czy tylko namiętnego jej czytania, wymyka się próbie racjonalnego zdiagnozowania tej „przypadłości”. Czyli – cytując Poetkę – „niektórzy lubią poezję”. Niektórych ciągnie do literatury. I to tej, tradycyjnie szeleszczącej, pachnącej papierem, wymagającej przewracania kartek, nie zamkniętej w komputerze, nie uzależnionej od jego sprawności.

Ale po co ta cała – czy tylko fragmentarycznie, na miarę długości naszego życia, pojemności umysłów, niecierpliwości serca – przyswajana, tworzona literatura?

Po „nic”? Zapewne po nic, które przybliży się nieubłaganie każdym ruchem wskazówek zegara, zagęszczając niektóre chwile do wiecznego Teraz, otwierając je na obecność współodczuwających duchów. Zapisujemy, odczytujemy nałogowo przebłycki wstępu do owego pulsującego Nic. Nagle „my”? Tak, bo poprzez sztukę słowa – może bardziej, niż przez jakąkolwiek inną gałąź sztuki – mamy szansę odnaleźć sens przeżywania nie tylko pełniejszego wymiaru samego siebie, ale także wspólnoty losu z innymi.

*

Po co „im”? Po co im to niezrozumiałe dla nas, już niemal obce nam euforyczne przeżywanie poezji?

Myślę o świeżym doświadczeniu uczestnictwa w XXIII Międzynarodowym Festiwalu Poezji w Medellin. Tak, tym samym kolumbijskim Medellin cieszącym się sławą przestępczego ośrodka handlu narkotykami i masowych zbrodni, popełnianych dla brudnych pieniędzy. Właśnie tam, dwadzieścia trzy lata temu został powołany do życia – bujnego, przyciągającego poetów wszystkich kontynentów – ten Festiwal, którego zawołaniem jest „1000 lat pokoju dla Kolumbii!”.

Że to utopijne zaklęcie rzeczywistości (wciąż jeszcze słyhać w nocy strzały na ulicach czteromilionowego miasta Medellin) zdolne jest ściągnąć do olbrzymiego amfiteatru na odległym od centrum wzgórzu tysiące reagujących entuzjastycznie na poezję słuchaczy, przekonałam się na własne oczy i uszy. Tak, im, Latynoamerykanom, zadającym mi wciąż to samo „naiwne” pytanie: „czy poezja jest w stanie wpływać na rzeczywistość?”, poezja jest najwidoczniej potrzebna jak oddech, woda i powietrze. Ludzie z Medellin i z innych miejscowości w Kolumbii pokochali ten Festiwal, jako panaceum na niezabliźnione wciąż rany okrutnej wojny domowej.

Czy trzeba aż tak wielkich zbrodni i cierpień, by otworzyć poetom przestrzeń publiczną i wsłuchiwać się w ich słowa?

Wróciłam do „niszy”. Naokoło pragmatyzm, komercja i „cięcia kosztów”. Niektórzy, wbrew wszystkiemu, „lubią literaturę”.

1952

- I w ^z Lata wystrzelił porażka (cała ca. do 14)

Lopez schudrowca. Kłótnie z Fr. B.

Gurtyczka - ora z Nacławskaya
- II w ^z 22.11 prototypy i prototypy i Karol na projekcyjny zegar

z Kalkona: Rissużewski, ora cękały P-

Leczenie Lotowicza, Zawrotu, łębiog
- III w ^z Mł. zwane urai do oddawania sprzętu na wól. Zdawawca.

i Salowanda, i twarda obok krowa. Oparowawa.

Bykawa: Pło. Murad, Mucur, etc. Pło. Kanady

uwyżnia (1act) Chyba z Kiu Obaldas. Pło. nie 2

udowny.
- IV w ^z Starunki z Now. Polonoży 2 2 dno 16

Płn plawka z Cierawa z tony jedyni zotowony

IT. V. No. wygnos z Polci - uopozasi

Brył zloty z białe i łupczy zlotony.
- V w ^z Kamil wra cękały - wplawca

Płn opowety ora Płnaga i Salowanda. Nada.

Chyba Morawski - uelronuś płoży (zobolika)

Płnaga degnu z wrał Trawo-B. i tward. Płnaga

zloty (z. m. kłony) Leczenie z tony Chyba i Polci.
- VII w ^z Uprzem 3-g. tward. Jedyni. Płnaga.

uclony z polawka z Cierawa. Leczenie.

Leczenie Cierwa. Leczenie Erig - zloty "Kult: 200\$"
- VIII w ^z Zła niedawna o białe. Płnaga "Płnaga" tony w

na kędol. Leczenie pali fasty. Kult: 150\$

Płnaga: kłony.
- IX w ^z Leczenie w pławka z pławka i zotowany. Płnaga

i tward. Leczenie Płnaga. Płnaga (22) Płnaga

z Płnaga. 2 banki dny pławka ni zotowana.

Płnaga uca wra pławka. Nada. z tony zotowany.

z tward. Trawo - H.
- X w ^z Twardy tward. Twardy pławka. Mł. zotowany

a: pławka z białe. Nada. Płnaga. Twardy

tward. Leczenie. Leczenie Twardy. Twardy i twardy i

twardy i twardy. Leczenie pławka twardy zotowany.

Kłony. Leczenie twardy twardy. Nada. Płnaga. Płnaga.

Cierwa etc. (H. g. z). Mł. uca pławka. Mł. zotowany.

pławka. Leczenie twardy twardy. Nada.
- XI w ^z Leczenie twardy pławka i pławka twardy - wra pławka.

Płnaga do twardy. Nada. Leczenie twardy i twardy i

twardy twardy. Nada. twardy, uca twardy

twardy twardy. Nada. twardy (pławka).
- XII w ^z Stany uca - pławka i pławka

na wól. Płnaga twardy pławka. Nada. Płnaga

Płnaga Al. Płnaga i pławka na L. Nada pławka

twardy twardy (j. k. twardy z J. C.). Płnaga twardy na pławka

twardy

2 dni ugnos Cękały z Płnaga

Hobbs Ea

um gene fipora

in H. twardy

in Twardy

Płnaga

zotowany

zotowany

zotowany

zotowany

zotowany

zotowany

zotowany

zotowany

zotowany

zotowany

zotowany

zotowany

zotowany

zotowany

zotowany

zotowany

zotowany

zotowany

Zolawa: uca twardy pławka. Nada. Płnaga (2) Twardy. Fardy: kłony zotowany

Fardy: kłony zotowany i twardy twardy. Nada. Płnaga twardy pławka. Nada. zotowany

uca twardy pławka. Nada. Płnaga twardy pławka. Nada. zotowany

twardy twardy. Nada. Płnaga twardy pławka. Nada. zotowany

twardy twardy. Nada. Płnaga twardy pławka. Nada. zotowany

twardy twardy. Nada. Płnaga twardy pławka. Nada. zotowany

twardy twardy. Nada. Płnaga twardy pławka. Nada. zotowany

twardy twardy. Nada. Płnaga twardy pławka. Nada. zotowany

twardy twardy. Nada. Płnaga twardy pławka. Nada. zotowany

twardy twardy. Nada. Płnaga twardy pławka. Nada. zotowany

twardy twardy. Nada. Płnaga twardy pławka. Nada. zotowany

Płnaga
Hobbs Ea
um gene fipora
in H. twardy
in Twardy

Płnaga
zotowany
zotowany
zotowany

Płnaga
zotowany
zotowany

Płnaga
zotowany
zotowany

Płnaga
zotowany
zotowany

Płnaga
zotowany
zotowany

AGNIESZKA KOSIŃSKA

Czas i los

30 maja 2013, czwartek, Boże Ciało

Czytam *Kronosa*. Jednym tchem. Oczywiście z pominięciem przypisów. Bo nie o dodawanie wiedzy tu chodzi, a o jej odejmowanie. Zbywanie. I nie wiedzy, a życia i wszystkich spraw jego. Życiowego krzątałstwa zmiatanie. Jest taki późny wiersz Czesława Miłosza (z 2003 roku), który ułożyłam z luźnych kartek, pt. *Pan Syruc*, wiersz o Szymonie Syruciu, przodku Czesława Miłosza, sędzim kowieńskim, mieczniku litewskim z tytułem witebskiego kasztelana, do którego na łożu śmierci przystępuje cyrulik i robi mu lewatywę. „Turbulencje ciała Wasza Miłość mężnie znosiła do końca. / A przecie nie tak łatwo zbywać się żywota / I zasnąć snem na wieki aż do zmartwychwstania”; kiedy to znów Pan Szymon powróci na inspekcję swoich włości i będzie sądzony za zbytne upodobanie w urzędach i godnościach. Nie inaczej czyni Pan Witold. Odwiedza miejsca, gdzie kiedyś, coś, spogląda na ludzi, z którymi kiedyś, coś, jakieś sprawy. Próbuje wspomagać się kalendarzem i układa ten mizerny ludzki drobiazg w inwentarzowe rubryki: przychodów, rozchodów, pasywów i aktywów. Sfera zawodo- wa: ile czego napisałem. Sfera materialna: ile zarobiłem i ile, i na co, wydałem. Sfera relacji (w tym z samym sobą, a więc samopoczucie, dobrostan, choroby) oraz z resztą rodzaju ludzkiego (z kim, gdzie, ile razy), ale także ze światem oży- wionym (psiny, koty, żuczki) i rzeczami (dodawać czy odejmować). Czy coś go poruszyło, ożywiło. Przedłużyło proces. Podtrzymało jego uwagę tu na chw- iłę jeszcze. Cóż za wspaniała szlachecka *silva rerum*, księga domu! I czy wertując tę buchalterię możemy domyślić się jakości sfery duchowej? Siły woli? Dzielno- ści? Innych cnót? A czy musimy się domyślać? Z czego składa się człowiek? Czy można sprowadzić jego życie i jego samego do rubryk? I co się stanie, jeśli tak

Fragment książki pt. *Miłosz w Krakowie*.

zrobimy? Czy ten zabieg go umniejsza? A może wprowadzi w jego życie jakieś miary i wagi? Przywróci proporcje. A kto patrzy, kto pyta? *Cui bono?* Oto piekło współczesnego człowieka uwikłanego w relacje. A gdyby tak sprowadzić wszystko do kronosowego zapisu: fakty na linii czasu. Czy to nie najuczciwsza spowiedź? Jeśli On jest – to i tak wszystko widzi.

Jedyną granicą Wszechświata jest Wielki Wybuch. Jedyną granicą człowieka jest śmierć. I choć kierunki są tu przeciwstawne (wszechświat się rozszerza i to coraz szybciej, a człowiek kurczy), nic nie wiadomo o kształcie ani wszechświata, ani człowieka. To fascynujące, że Gombrowicz przed własnym kresem podjął próbę określenia warunków brzegowych swej egzystencji. Zechciał się do siebie zbliżyć. Przygotował chirurgiczny stół, dłonie były chłodne i nie drżały, aparat i narzędzia wydoskonalone ciągłą praktyką. Uznał ważność swego kresu. Podsumowując rok 1964 pisze: „trzeba opracować śmierć”. To, co czytamy, jest więc kroniką zapowiedzianej śmierci, co może jest banalne, a może mniej, kiedy odbywa się naprawdę. Choć z drugiej strony jesteśmy w XXI wieku, wieku, który udoskonalił śmierć i włączył ją w globalnego *Big Brother*a, a więc jednak nie powinna jednostkowa śmierć robić wrażenia, chyba że, jak w *Kronosie*, składa się z drobnych wydarzeń: ruszające się zęby, zgubienie pióra marki Parker, wrzód na jachach, pierwsze siwe włosy, krostka na nosie. Sprawozdanie z własnej formy, również w sensie dosłownym: czyli jak się ma moje samopoczucie. Bo przecież nawet jeśli czujemy kres, pozostaje czas, z którym coś trzeba zrobić, nadać mu sens lub wręcz przeciwnie, odebrać mu go. „Wyruszałem z Buenos Aires na śmierć... i to się ciągnie...” – pisze w roku 1965. Defilują przed jego oczami ludzkie masy (tak, masy, bo ci ludzie, choć często wymieniani z nazwiska, imienia, inicjału, nigdy nie mają twarzy, zostają utrwaleni zwykle poprzez zdarzenie, które ma związek z Gombrowiczem, a ich osobowość, jeśli w ogóle jest definiowana, to raczej przez jakiś, często zawstydzający, kontekst czy szczegół), masa rzeczy, masa spraw, detale. Wszystko, co znikome. Co zaraz w niwecz. Marność, mizerność (nikczemność), nudność. Ileż rzeczy, ludzi i spraw zaprzęta nasze życie. Ileż banalnej monotonii, ileż rozpadu! I codziennie od rana ta sama musztra i ten sam rozkład pod wieczór. Jakaż męka. Proste czynności. Na przykład zakupy, na które zdecydował się Gombrowicz w ostatnich latach przed śmiercią: nowe pióro, spodnie, palto, abażur, płyty, koszule, auto, jakieś meble. Widać ludzką tęsknotę, żeby coś mieć. Ale co? I ku czemu? Dodać rzecz do rzeczy, czy się wstrzymać? Być bliżej rozpadu czy dalej? I kiedy jest się bliżej? Kiedy się dodaje, czy odwrotnie?

Dla celów prezentacji swojej osobowości twórcy i doraźnych porachunków z formą własną i cudzą pisał Gombrowicz dzienniki. Dla potrzeb ostatecz-

ných rachunków z samym sobą, z własną biografią, wybrał kalendarz. Formę najbardziej obiektywną z obiektywnych wydawałoby się. Tak, ale co się dzieje, kiedy autorem kalendarza jest główny bohater i jest również osobiście zainteresowany? Zdaje się, że Gombrowicz właśnie tego był ciekaw. „Z życia zostaje co?” – by użyć słów Witoldowego współnika w życiowej męce (Czesław Miłosz w wierszu *Notatnik: Brzegi Lemanu*): nagie fakty na ostrej jak brzytwa linii czasu? A przecież nie to tylko zostaje. I pytanie, gdzie zostaje? W ludzkiej pamięci? I nie tylko to, co zostaje, jest ważne. Szczególnie wtedy, kiedy się żyje, robi się własne życie, podlega prądowi i impulsowi, nawet jeśli pod groźbą trypra i więzienia. A czymże jest fakt, jeśli nie przypadkowym wyborem z masy impulsów, które bombardują nasz mózg, a to z kolei pozostaje w ścisłym związku z naszymi uprzednimi odczuciami, doświadczeniem, nastawieniem, z tym, gdzie byliśmy wczoraj, kogo spotkaliśmy, czego nie zrobiliśmy. Przypadek wpływa z przypadku i ginie w morzu przypadku. Życie w swej istocie jest absurdalnie fenomenalne, ale tylko wtedy, gdy damy zgodę na to, że jesteśmy ludzkim planktonem trawionym w brzuchu Kronosa.

Tylko autor kalendarza może dotknąć tak bezwzględnie bezsensu nagiego faktu i jednocześnie umowności danej wersji życia. I piszę to ja, owładnięta pasją i obsesją robienia kalendarza Miłoszowego, dziobania, jak kura za ziarnem, każdego drobiazgu i nanoszenia na siatkę chronometru, i znoszenia do coraz bardziej pęczniejących teczek.

Czyżby Gombrowicz chciał po swojej śmierci zorganizować także ludzką pamięć o sobie? Narzucić swoją pamięć tym, co po nim przyjdą? Będzie miał do dyspozycji dużą przewagę: przewagę Kronosa.

Wydaje się, że Gombrowicz w kalendarzu przeprowadził na sobie jeszcze jeden zabieg. Widać to bardzo wyraźnie na podstawie zapisów o jego żonie Ricie. Porównując świadectwo Rity, spisane 1 grudnia 1987, a zamieszczone w jej książce *Gombrowicz w Europie 1963–1969* (Kraków 1993, poszerzone wydanie Kraków 2002) oraz korespondencję Gombrowicza z różnymi ludźmi z okresu bycia z Ritą (to, co pisze o Ricie Labrosse do innych) można powiedzieć, że w *Kronosie* udrapował się na chłodną bestię. Podkreślił wymowę faktów, a może oddał im sprawiedliwość, a może jest to kwestia nagości konkretnie właśnie, który, jak pisze Rita (w *Gombrowiczu w Europie*, Kraków 2002), „wypędział sentyment”? Otóż według *Kronosa* Gombrowicz jest dużo gorszym, nieznośniejszym towarzyszem życia dla Rity, niż zapamiętała to i opisała w swym świetnym wspomnieniu ona sama. Biorąc pod uwagę wszystkie możliwe okoliczności wypada się zgodzić, że Gombrowicz celowo ograniczył się w *Kronosie* do bycia „potworem”,

przyjął jakby punkt widzenia młodej kanadyjskiej studentki, robiącej doktorat z bogu ducha winnej Colette, studentki, która niczego nie podejrzewając rzuciła się w przygodę z ekscentrycznym polskim pisarzem. Dla kogoś tak kompletnie nieprzystawalnego nie mógł nie być tyranem i nieznośnym starcem mającym swoje narowy i nawyki. Ten punkt widzenia uznał być może za uczciwszy i bliższy wyobrażeniu, jakie miał o sobie samym. Oczywiście chcielibyśmy wiedzieć, czym była Rita rozzarowana i co mu wyznała, czego dotyczyły pierwsze obrazy i następne, a czego awantury i kryzysy, dlaczego Rita popłakuje, za co on się na nią obraził, co „z Ritą udało się, oprócz”. A przy okazji, co z tymi podatkami? Dlaczego się nimi tak zamartwiał?! To zresztą wcale niebłaży temat w intymistyce wielkich. Ale, czy to wszystko w istocie jest ważne? Gombrowicz zatrzymuje naszą ciekawość na progu degradującej banalności. Mógłby rzec, modyfikując nieco Tołstoja, że ludzkie życie, szczęśliwe czy nieszczęśliwe, układa się w ten sam wzór i niestety to samo wypełnienie (odwieczne tańce godowe, rozzarowań, ambicji, dominacji, poniżenia, rządu władzy i pogoni za szczęściem). Wszystko, co ludzi najbardziej interesuje, jest w gruncie rzeczy podrzędne. Organizowanie naszej ciekawości, czym zajmuje się współczesny świat, już nie tylko mediów, oczywiście jest z punktu widzenia zachowania gatunku słuszne, bo jest za życiem. Zatrzymanie się jednak Gombrowicza na progu podrzędnej ludzkiej ciekawości właśnie otwiera nam oczy na fantastycznie bogaty rysunek tego krótkiego związku. Bo przecież z tych oszczędnych zapisów dowiadujemy się także, że dzięki niej „naprawdę odetchnął” dopiero w Vence, że (ku swojemu zaskoczeniu) zaznał miłości z kobietą, że zaznał tzw. normalnego życia, że spacerował, wyprawy, pikniki, wigilie i święta, urządzenie domu, i ślub, i „pozawałowy” taniec z Ritą, i jej opieka, i wspólna praca, musiały ułożyć się w jakiś wzór nieoczekiwanego dopełnienia. Tyle ludzkich i na pewno potrzebnych doświadczeń spotkało go u kresu życia dzięki Ricie i dzięki temu, że odważył się wpuścić ją do swojego kosmosu i starał się wypracować z nią jakiś kompromis.

Ale było jeszcze coś, i intymny dziennik pisarza był rozgrywką *va banque* przede wszystkim na tym polu. Wiedział, że zakochana kobieta jest bardzo plastycznym materiałem i jeśli będzie cierpliwym nauczycielem, ukształtuje dobrą żonę pisarza, a ta zrobi wiele dla ich wspólnej przyszłości. Różniła ich tylko wiedza o czasie. On wiedział, że nie ma przed nimi żadnej wspólnej przyszłości i w gruncie rzeczy przygotowuje Ritę na bycie wdową po zdobywającym coraz większą sławę pisarzu.

Prawdziwą bohaterką *Kronosa* jest bowiem Rita Gombrowicz. To ona jedyna dostała od Gombrowicza informację, a nawet instrukcję, jak cenna jest papierowa teczka w łososiowym kolorze, zatytułowana ręką Gombrowicza, zawierająca luźne kartki. Była też, zostając jedyną spadkobierczynią praw autorskich, wyłączną dysponentką tego manuskryptu. Mogła zrobić z nim wszystko. Jak musiała się czuć, kiedy czytała o sobie częste (od czerwca 1964 roku do końca pojawia się właściwie co miesiąc na kartach dziennika), ale jednak bezceremonialne i po prostu okrutne linijki? A właściwie nie czytała, tylko były jej tłumaczone z polskiego przez Marię Paczowską. A więc podwójne poniżenie, podwójne ranienie. Komu wierzyła bardziej wówczas? Czy swojej pamięci wyjątkowych z Witoldem chwil i ulotnych, intymnych wrażeń, które tak sugestywnie opisała we wspomnieniu? Czy obojętnej relacji męża, który potraktował ich związek i ją równorzędnie z innymi zapisami w „księdze domu” i z regularnością lekarza dyżurnego notował temperaturę związku oraz rokowania Rity-pacjenta? Co podpowiadała jej ambicja? Co czuła do Witolda wtedy? A zaraz potem, kiedy została z całym dobrodziejstwem inwentarza po zmarłym, z umowami, wydawcami, tysiącem spraw i dwiema walizkami papierów. Kiedy wpadała coraz głębiej i głębiej w kosmos „chłodnego olbrzyma”, i to w dodatku zaszyfrowany, bo w obcym jej języku? Ile i czego trzeba, żeby to załatwić ze sobą? W jednostce czasu: trzeba więcej niż połowy życia. Właśnie mija ponad czterdzieści lat od tej pierwszej lektury *Kronosa* przez Ritę uczynionionej. „Umieściłam go w centrum mego życia, niczym siłę tajemną, inspirującą do działania” – pisze we wstępie. Tak, trzeba wiedzieć o Witoldzie prawie wszystko, by móc uczciwie, bez uprzedzeń, tak, jak został napisany, czytać *Kronos*. Czyli Rita, nawet jeśli na początku nie wiedziała (nie znała języka polskiego, polskiej literatury, ludzi, obyczajowego idiomu), została niejako pośmiertnie zmuszona przez męża do odrobienia zadanej lekcji. *Kronos* jako edukacja Rity (*nomen omen*), zadanie domowe dla Rity. Oczywiście, pod warunkiem, że zechce i znajdzie siły. Podążyła śladami męża, odwiedzała miejsca i ludzi. Robiła notatki, zbierała świadectwa. Poprzez książki o pisarzu oraz sprawowanie pieczy nad spuścizną Witoldową (a kto nie zajmował się spuścizną po pisarzu, nie zdaje sobie sprawy z góry pracy, niewymiernej, niewidocznej, na której szczycie pręży się i świeci jego dzieło) budowała, a potem doskonaliła dystans do męża i jego pisarstwa. Dała czasowi czas. Ale najtrudniejszą operację wykonała Rita Labrosse na swojej wrażliwości, ambicji i niezależności. Udoskonaliła tym samym rzadkie cechy dobrej żony: wierność, miłość oraz to, że go nie opuściła, przede wszystkim po jego śmierci. Jakże mądrze wybrał Gombrowicz. Bo właściwie powierzył

się Ricie. Jej roztropności. Czy kiedy zadawał jej te pytania (czy jest punktualna, porządna, zorganizowana, czy podróżuje z dużą ilością bagaży – por. świadectwo Rity w *Gombrowicz w Europie*, Kraków 2002) wiedział? Mam w pamięci Carol Thigpen-Miłosz, Amerykankę, drugą żonę Miłosza, i samo ciśnie się na usta: być może zagraniczna żona jest najlepszym wyjściem i ratunkiem dla polskiego pisarza? „Żyję jak mniszka” – wybuchła pewnego dnia młoda kanadyjska żona do polskiego pisarza i starego męża (*Kronos*, wrzesień 1968). Czy podejrzewała, że życie spędzi w zakonie Witoldowym? Los Carol był inny. Trzydzieści trzy lata młodsza od Miłosza, zmarła na raka dwa lata przed Miłoszem, choć właściwie, nie bez przesady, można rzec, jak drzewiej ludzie mawiali, że wzięła go ze sobą. Ale i Carol doświadczyła tego, co Rita: żyła w zakonie przez dziesięć lat i była przygotowywana przez Miłosza na całą resztę, która miała nastąpić, gdyby *Kronos* nie miał innych planów.

Nie mogę nie napisać o Miłoszu. Miłoszu, który był tak dumny z rozmów, jakie miał z Gombrowiczem w kwietniu i maju 1967 w Vence. Z tego, że, według Czesława Miłosza Gombrowicz docenił żonę poety, Janinę, mieli podobno znaleźć wspólny język. W *Kronosie* znajdziemy jedynie: „Miłosz. Przyjechał do Saint-Paul z żoną (nudnawa), dyskusje, dominuję”. Nie byłby Czesław zadowolony z tej książki. Zmartwiłby się. Węszyłby podstęp. Może uznałby Gombrowicza za błazna? Taka okrutna szczerłość jednak nie mieściła się w głowie stale kontrolujące go się, zasznurowanego do imentu Czesława. I choć pod koniec życia on również uległ pokusie uporządkowania swojej biografii i w 2000 roku napisał *Materiały do mojej biografii* (pozostają nadal w maszynopisie), jakież one są pocziwe w porównaniu z operacją, którą zaaplikował sobie Gombrowicz. W tym rzecz cała. Cała różnica między nimi. I znów trochę jak w przypadku Rity, w tym rodzaju dziennika nie znalazło się dość miejsca dla Miłosza, nie dlatego, że nie był dla Gombrowicza ważny, ale dlatego, że nic nie wносił do jego intymnej konstrukcji psychofizycznej. I *vice versa* można właściwie rzec. Wszystko, co mieli sobie do powiedzenia – powiedzieli gdzie indziej. Byli sobie z gruntu obcy i odlegli. Są linie przecięć, jak książka o bólu. Obaj chcieli w późnym wieku taką napisać. *Kronos*, w którym tak wiele miejsca zajmuje ciało i jego „turbulencje”, w jakimś sensie jest kalendarium bólu. Czesław Miłosz, w maju i czerwcu 2004 roku, dyktował mi w szpitalu i w domu notatki o poniżeniu ciała i całym tym duchowym galimatiasie, jaki człowieka nachodzi w takim stanie i miejscu.

Choć kto wie, może było między nimi jeszcze coś do dogadania. Podobno *Dziennik* Lechonia był jedną z ostatnich lektur Gombrowicza. *Dzienniki* Gomb-

rowicza (we fragmentach) były jedną z ostatnich lektur Czesława Miłosza. 23 lipca 1969, na dzień przed śmiercią, Gombrowicz dyktuje Izabeli de Neyman po polsku list do Czesława Miłosza, nie kończy, atak duszności przerywa myśl. W ostatnim wykładzie pt. *Przyrodnik*, nad którym pracował Miłosz wytrwale pod koniec 2002 i na początku 2003 roku, odczytanym przez autora 21 stycznia 2003 roku, Gombrowicz zajmuje miejsce kluczowe. Czy te fakty mówią coś o tych pisarzach? W jaki wzór się układają? Życie Gombrowicza, życie Miłosza. Jakież bogate. Jakież ubogie. Fascynujące. Mizerne. Spełniane na piargu przypadku, nad Kronosową przepaścią.

Obsesję Czasu mieli obaj, jego gargantuicznej natury, jego mechanicznej obojętności, niezależnie od systemu, linearnie czy po kole. Tytan, co pożera własne stworzenie. Czyż możemy wyobrazić sobie lepszy tytuł dla zapisków ostatecznych? Jednym pociągnięciem pióra zespolił Witold Kronosa, ojca bogów, z tym, czemu i oni, a szczególnie greccy, są podlegli: upływowi, zmianie, przypadkowi, kaprysom losu, co wywyższa lub strąca, bez specjalnej zasługi czy przewiny.

KRYSTYNA RODOWSKA

Arcanum

Na karcie delikatna kobieta
rozchyła paszczę lwa gołymi rękami
W jej włosach drzemie rudość jego grzywy

Przewrócona ósemka jak motyl
nieskończoności nad jej głową,
fantazyjny kapelusz, rodzaj aureoli

Siłaczka?

Maga?

Wiedźma?

(a przecież z nie-wiasty)

Dziki instynkt poskramia
czułością

Kot Dialogu

Mój stary piękny kot
(na głowie i ogonie lwia rudość, śnieżne futro)
patrzy na mnie bez lęku złotymi oczami
Czarne kropki na różowym nosie
tulą się do mojej ręki

Baciaku – mówię – (to imię
nie dorasta do żadnej z jego mocnych łap),
bądź zdrowy, szczęśliwy i mnie uszczęśliwiaj
mrużącym unisono twojej tajemnicy
Mówię do niego, pytam, a on odpowiada,
bo urodził się jako Kot Dialogu
i nie przeszkadza mu wcale
że nie potrafię do końca rozszyfrować
partytury wszystkich intonacji w jego głosie

Bądź zdrow – zaklinam, bo przeczuwam,
że pójdzie sobie i się nie powtórzy

Paradoks królem

a ponieważ jesteś
tylko stąd – dotąd (serce bije, przyspiesza,
uderzenia są policzone, nie przez ciebie) –

oddajesz życie za wieczność
twojego tutaj i gdzie indziej,
dzwoniącą ogonem na anioł pański

Paradoks jest królem
Każe wrazić palec
w krwawiącą ranę jakże pięknej bajki

Bez wydruku

Mężczyźni którzy wynieśli mnie kiedyś na orbitę
moich kilku biografii w jednej,
zapadli się teraz tak głęboko,
że nie mogłabym nawet po nich deptać

Mężczyźni którzy opuszczają
nawet moją pamięć,
ukrywają się przede mną w chaosie
niezrozumiałych fotografii

podczas gdy niedawni wirtualni
przyjaciele z odcieniem *amoroso*
zawieruszyli się na drodze do zapisania
w kopii roboczej

I wydruku nie będzie

Krotochwila

Leszkowi Szarudze

dobrze byłoby jeszcze
przez chwilę po-kroto
chwilić
po stokroć w chwili
być

IWONA SMOLKA

Na uwięzi rzeczy niewidzialnych

Od debiutu Krystyny Rodowskiej minęły czterdzieści cztery lata. To dobra liczba, aby przyjrzeć się sobie „z najdalszego lustra”. Zobaczyć, jakie nastąpiły zmiany, a co jest trwałe, zawsze obecne, stanowiące jądro tej poezji.

Krystyna Rodowska debiutowała w roku 1968 tomem *Gesty na śniegu*. Wcześniej dała się poznać jako tłumaczka literatury hiszpańskojęzycznej. Dwukrotny pobyt na stypendium w Meksyku w latach siedemdziesiątych zaowocował wydaniem antologii poezji polskiej w tłumaczeniach i w wyborze poetki. Przekłady poezji francuskiej i eseistyki, poezji krajów Ameryki Łacińskiej ugruntowały jej pozycję znakomitej tłumaczki. Dopiero jednak drugi zbiór poezji *Stan posiadania* z roku 1981 ukazał wszystkie możliwości jej liryki odkrywczej językowo, zmysłowej i zarazem intelektualnej. Odwaga porównań, metafor, skrótów językowych, związków frazeologicznych, wykorzystywanie wieloznaczności słów – to najbardziej charakterystyczne cechy tej poezji, która przedstawia świat w ciągłej zmianie, w dramatycznych napięciach między „ty” i „ja”.

W swoim posłowniu do tomu z roku 1995 *Szelest półmrok sens* napisała: „Autentyczny poeta jest rozpoznawalnym sobą, nie do podrobienia, właśnie poprzez swoistą grę z językiem, którą uprawia w sposób mniej lub bardziej oczywisty. Myślę także, że energia języka poddana ciśnieniu formy, jest miarą pożądlivosti ontologicznej poety: byt nie jest dany, byt się roziskrza w napięciu wytworzonym przez pole magnetyczne języka i gaśnie”. Gra z językiem, „przesłuchiwanie linijka po linijce” każdego wiersza, co najczęściej oznacza przesłuchiwanie samej siebie, wykorzystywanie wieloznaczności słowa, a także podobieństw dźwiękowych – to pierwsza z niezmiennych cech. Jest to uwaga skierowana na język, jakim się mówi, na jego przemiany, na moment, w którym nagle w ułożonym wersie, w oczywistym związku frazeologicznym, jak sama pisze „coś dziczeje”. Drugą niezmienną cechą jest szacunek dla konkretności i co więcej zawierzenie własnemu doświadczeniu. Inaczej mówiąc, każdy wiersz jest poświadczany własnym przeżyciem, odczuciem, sposobem pojmowania rzeczywistości. I tu od razu zastrzeżenie – ja liryczne, pomijając erotyki i liry-

ki miłosne, jest przede wszystkim podmiotem wiersza, osobą, na którą można patrzeć z pewnym dystansem, uważnie śledząc jej poczynania. Owo *ja* uczestniczy w dialogu ze światem, z inną osobą, z własną pamięcią, a z biegiem lat – coraz częściej z samą sobą, tą którą pisze i tą opisywaną.

Tym, co zmieniło się najbardziej, co określa tę poezję od czasu wydania tomu z 2002 roku *Blżej nagości* i co jest tak wyraźne w chwili obecnej, to oczyszczenie wiersza z nadmiaru metafory, delikatne przesunięcie tej poezji w stronę epiki. Tom *Gesty na śniegu* powstaje w czasie panowania poetyki Orientacji. Oznacza to niezwykle mocne nasycenie wiersza spiętrzonymi metaforami, symbolami, silną ekspresją wypowiedzi. Pamiętajmy jednak, że patronował tej młodej poezji nie tylko Przyboś i krakowska Awangarda, ale również Stanisław Grochowiak. A to oznacza czułą lirykę zderzoną z ostrym, często brutalnym widzeniem człowieka-mięsa. To poezja kochająca się w kontraście, a także w zmysłowym dotknięciu materii. Krystyna Rodowska tak postrzega Ofelię:

W śpiewnym wianku odchodząc,
podwodna
dziurawiona ujadaniem gwiazd
idzie prosto na ostrze ryb
w mrocznym mule zaniemówienia

Łagodność zderzona z brutalną przemocą, czułość pierwszego wersu przywołującego „śpiewny wianek” – z odebraniem głosu w mule zaniemówienia. Ten tom jest również badaniem własnego głosu. Słowa są, jak pisze poetka „znakami życia”. Po utraconym słowie, „moje życie jest sierotą”. W tym pierwszym tomie z 1968 roku, pojawia się zapowiedź tego wszystkiego, czym karmić się będzie ta poezja, co stanie się jej coraz bardziej pogłębianymi i drażnionymi tematami.

Moją uwagę przykuły trzy wiersze – *Dojrzewanie winogron* – niezwykle zmysłowy utwór dedykowany Stanisławowi Grochowiakowi, *Własna twarz* oraz wiersz *Prośba o śmiertelność*. Oczywiście jest wprowadzenie do miłosnego wiersza drugiej osoby, ale zupełnie nieoczywiste określenie miłosnego związku, jako tego, o którym decyduje „śmiertelność”. Oznacza to przecież tymczasowość, nietrwałość, ale także doraźność, wyrazistość, zanurzenie w tu i w teraz. Tu i teraz jest konkretne, namacalne, dla Rodowskiej także zmysłowe, erotyczne. „Ciało siostrzane w nietrwałości” prosi o śmiertelność, gdyż tylko w niej może się spełniać, czuć, doznawać, uzyskiwać jednię z ty w krótkiej chwili, w *teraz*. „Własna twarz” oznacza konieczność nadania jej nazwy. Nazwać to znaczy osiąść, za-właszczyć. Gest demiurga, który stwarza – wymawiając, określa tę „miarę pożądlivości ontologicznej” poety i ciągle ponawianą próbę utrwalenia nowo

powstałego bytu. W tym wierszu jednak Własna twarz zostaje oddana ukochanemu, jest to „twarz od spodu”, utajona, która objawia się tylko w miłości.

Od tego pierwszego tomu, aż po najnowsze wiersze wyraźny jest wysiłek, aby przeciwstawić się nicości, aby zrozumiała dla nas, a zarazem przecież niepojętą śmiertelność uczynić tylko stanem przejścia, aby odkryć to nieuchwytnie, nieoczywiste, co kryje się w bycie i niesie nadzieję, że nie jesteśmy doraźni, chwilowi. Owo rozdarcie między doraźnością a wiecznością, to pęknięcie między scaleniem a oddzieleniem, między ulotną chwilą a poczuciem ciągłości, byciem zdomowioną w tu i teraz a statusem obcej, wyzutej ze swojego miejsca, a nawet z siebie samej, będzie przez cały czas towarzyszyć tej poezji. Stan posiadania jest naznaczony tą samą ambiwalencją. Oznacza radość macierzyństwa, odkrywanie wyobraźni, także wyobraźni językowej, dziecka, rodzinnych powiązań. Ale w tej poezji stan posiadania oznacza także stan wyzucia z posiadania. Posiada się również sny „przejęzyczenia nocy”, pamięć, która przynosi koszmary i wtedy pojawiają się ci „odkopani z muzeów okrucieństwa”, próżno szukający schronienia, żyjący w ciągłym strachu przed pogonią, przed chwilą, w której będą wydani. Stan posiadania określany jest przez negację, jest spisem tego, czego się nie ma:

nie mam rzeczy
nie mam lat
nie mam spokoju
nie mam końca
nie mam słów
nie mam ciebie
nie mam siebie
nie mam sposobu

Nic ma
we mnie niepokorną
należność

Nic staje się czymś. Posiadać Nic to jakby zaprzeczyć jego istocie, a tym samym zmanifestować swój bunt i „niepokorną należność”.

Do tomu *Stan posiadania* wszedł cykl *Przyjrzeć się sobie z najdalszego lustra*. Odległość, dystans zapewnia podróż. Jest stanem zawieszenia między tu i tam, między dwoma językami, dwoma kulturami. Co można zobaczyć z oddalenia? Widać „przerastające nas góry i warstwy rzeczywistości”, ale nade wszystko w tym lustrze, jak pisze poeta „...zobaczyłam / jarmarczną śmierć Tarasków. / Trzymała cukrową czaszkę / ze złotkiem liter imienia Cristina”. Cristina pisana przez C jest i nie jest polską Krystyną, jarmarczna śmierć przebrana w kostium jest i nie jest prawdziwa. Wcześniej, w poemacie *Tatuaże* podróżująca, wpatrzona

na w samolocie w rozgwieżdżone niebo, i w „niewidzialne tatuaże ziemi” – stała się „narkotycznie Wszystkim”, a także tknięta „wietrznym palcem”. Ten wietrzny palec fatum jest też wiecznym palcem. W takiej podróży zawiera się oczekiwanie na inność, jest euforia i uważny ogląd. W poemacie *Pocztówki świąteczne z Mazatlan* pierwszy raz, tak wyraźnie w tej poezji dochodzi do głosu ton epicki. Metafory są mniej bujne, nie rozrastają się piętrowo, zastępuje je niemal reporterski opis. Lekka ironia i autoironia zabarwia humorem obrazy poczynañ międzynarodowych tłumów turystów. Świetna obserwacja życia, wydarzeń politycznych ani przez moment nie skłania się ku publicystyce, nie pozwoliłby na to sam humor języka, wykorzystywanie jego wieloznaczności. Podobnie dzieje się w wierszu dedykowanym Jarosławowi Markiewiczowi, wierszu pytaniu *Czy nie jesteś głodna*. Od niemal realistycznego opisu:

Posążek Buddy w pozycji lotosu
Rośliny i obrazy kochają się po ścianach
Słyszę ich oddech
Nieliczne sprzęty przekazują ideę niezbędności
Bocianie gniazdo łoża
Czuwa nad utrudzonym życiem dolin

Przyjaciół zapytał po raz pierwszy
Czy nie jestem głodna

poetka przechodzi do wieloznacznego stwierdzenia „Zobaczymy się gdy odleczę” i wtedy „W naszych oczach stanęło życie wieczne”. I wówczas pytanie „czy nie jesteś głodna” nabiera innego sensu, tego głodu nie zaspokoi ani chleb, ani nalewana w ciszy herbata. Intelktualne napięcia tych wierszy wyłaniają się jakby mimochodem, problemy nigdy wprost nie są formułowane, wynikają ze zdarzeń, z przywołanych sytuacji, z przenikania się słów zmieniających swoje znaczenie. W tym tomie pada określenie „moje ciało jest zbuntowanym cmentarzem”. I „ostrzega że nie jest wieczne”. Głód życia, poczucie przemijania, pragnienie wieczności, ponawiana próba chociaż przybliżenia się do nieśmiertelności będzie odtąd towarzyszyć tej poezji, szukając swojego spełnienia.

W roku 1993 ukazuje się tom *Nuta przeciw nucie*, jeden z najbardziej odważnych, świetnych zbiorów poezji miłosnej i erotyków. Ogromna jest pożądlivość tej poezji, która dążąc do uchwycenia jedności bytu, do przeniknięcia w miłosnym akcie drugiego człowieka, do tak ścisłego dialogu ze światem, Bogiem i każdą istotą, aby „Ty” stało się „Ja”, musi wciąż mierzyć się z niespełnieniem. Autorka najbardziej ostrych, najpiękniejszych erotyków pragnie zgłę-

bić tajemnicę pragnienia, tajemnicę ciała i jego suwerenności. Wie, że poezja musi odczytywać znaki tajemnicy. Pragnie odczytać, odczuć, poznać, aby znaleźć dla języka gestów, języka ciała ekwiwalent słów. Łamane są prawa języka literackiego, wchodzi do wiersza kolokwializm, w ostrych erotykach odzywa się trawestujący modlitwę nakaz bluźnierczy: „Bądź rozkosz twoja”. Ziemską wieczność uzyskiwana w chwili miłosnego aktu złapana jest w siatkę języka, unieruchomiona. Dzieje się miłość, trwa *teraz*. Ta erotyka jest poza wstydem i bezwstydem, niczego nie przełamuje, nie jest buntem ani wyzwaniem obyczajowym. Jest naturalną odwagą bycia, gdyż jak mówi poetka: „Tu jest za nago na błąd”.

Wiersze miłosne poddane są rygorowi formy, namiętność wydana ascezie słów, niebywała intensywność odnotowanych doznań zmysłowych ograniczana z całą świadomością do lapidarnych zwrotów. Ten kontrast między szaleństwem namiętności, czyli najbardziej intymnym zbliżeniem, a jego zapisem, który obiektywizuje i tym samym stwarza dystans jest czymś absolutnie nowym, oryginalnym w polskiej liryce. Żadnego rozchełstania, żadnych lirycznych westchnień, są wyłącznie konstatacje, gdyż to, co się dzieje między kochankami ma temperaturę płonącego ognia i żadne określenia, ubarwiający przymiotniki nie są potrzebne.

W tomie z roku 1996 *Na dole płomień. W górze płomień* dokonuje się próba uchwycenia równowagi między tym, co na górze, a tym, co na dole, między męskim a żeńskim, chwilowym i wiecznym, suwerennym „Ja” i „Ty”. „Ja” poznaje siebie w spotkaniu z kimś innym. Z męskim – koniecznym dopełnieniem. Bieguny się przyciągają i odpychają. Męskie i żeńskie w zwarcu i natychmiastowym rozdzieleniu. Miłosna jednia pozwala zbliżyć się do odczucia nieskończoności, ale zarazem przywołuje świadomość przemijania, kruchości życia, rozpadu ciała. Przez moment byt się „roziskrza”, aby tym ostrzejszy był głód całości, tego, co wieczne i przed nami zasłonięte. Czytanie siebie w innym człowieku jest nieustanną pracą, wysiłkiem psychicznym i intelektualnym. W tej liryce miłość nie zna spoczynku, nie może się lenić, być zadowolona ze spełnienia. Natychmiast otworzy się przed szukającymi w miłosnym akcie „wspólnego ciała” – „ziemska groza szczeliny”. „Wezwanie do czynu” to nie tylko przywołanie chwili „małej śmierci”, ale również unaocznienie tej ostatecznej –

zrób to ze mną zrób
śmierci przejście

nie znam wezwań żarliwszych

Scalenie i natychmiastowe oddalenie, bliskość i dystans – być może z tego rodzi się „Szelest, półmrok, sens”. Śmierć nie jest tak zwanym odchodzeniem, jest brutalną agonią, tak jak w wierszu *Czarna droga do Obór*, gdzie widzimy „skurcz drzew przedśmiertny”. W czasie „Awarii światła” – jakże znanej nam z dawnych lat sytuacji, nagle, w tej ciemności odczuwa się siebie jako „wór na ciało, / przewiewny, cały z czarnego oddechu / niewidzialnych” i wtedy poetka wyznaje „Lękam się Wietrzę / kształty Utajenia”. Żadnego pocieszenia nie ma w rytualnym stawianiu zniczy

W miejscu gdzie ciało
Zmieniło się w lepką plamę
niedopitą przez kamień i kamienne
słońce – (...)

Jest natomiast drastyczny opis miejsca, o którym możemy sądzić, że tu właśnie zdarzył się śmiertelny wypadek, skoro widać jak „czytelny ślad rudawy / wybiega spod piasku”. Samo wydarzenie okrywa tajemnica. My odczytujemy je z mowy symboli (znicze, rzucona róża), ze śladów, które pozostały, gdy zniknął człowiek. Krystyna Rodowska każe nam czytać między wierszami. Powściągliwa narracja kontrastuje z niemal barokowym obrazem otwierającym wiersz. Ta niemal barokowa dosadność pojawia się także w poemacie *Wielką mi uczyniłeś podróż*. Pogrzeb ojca, żałoba matki, która jest „Obgryziona przez fioletowe i czarne mrówki telegramów do kości łoż”, staje się podróżą do miasta „z wylupionym wnętrzem”. Ten poemat prowadzi w czas historii, do miejsca urodzenia – Lwowa, które jest zarazem miastem mitycznym, bo przecież niemożliwym do zobaczenia i poznania przez dziesiątki lat. Taka podróż w realną mityczność przywołuje pamięć rodziców i dziadków, pozwala również zrozumieć siebie. Poemat *Czyjaś ciemna dłoń*, w którym starzenie się, przywołana choroba matki pozwala poetce na podróż w czasie, na dotarcie do siebie przemienionej, jest zarazem poematem o odwadze miłości. Jest to podjęcie podróży przeciwko nicości, a wtedy okazuje się jak ważny jest ciąg pokoleń, więź rodzicielska, więź podtrzymująca trwanie,

kto tobie, która już wiesz, że nic się nie umie,
ni żyć ni umierać,
kto ci matkować będzie, rodząca się
w moich oczach córko – moja mammo?

Podróż-przemiana w tych wierszach bywa: wypatrzona – pojawia się wówczas zapis reportażowy, przemyślana jako uzewnętrznienie własnego stosunku do „innego” i zarazem do siebie samej, staje się refleksją nad czasem i miej-

scem spotkania z obcym światem. Najczęściej podróż jawi się w tych wierszach jako możliwość, a zarazem nakaz – zwielokrotnienia *Ja*, które przyjmuje w siebie całe bogactwo widzialnej rzeczywistości.

Przełomowym tomem, w każdym razie ja tak go postrzegam, jest zbiór z 2002 roku *Bliżej nagości*. Całkowicie giną spiętrzone metafory, wiersz się oczyszcza z wszelkich ozdobności, jakby śmierć rozbierała utwór do niemal przezroczystego komunikatu. Coraz wyraźniejszy staje się ton eschatologiczny. Oswajanie umierania dokonującego się już nie w akcie miłosnym, lecz na szpitalnym łóżku, jest zdejmowaniem kolejnych warstw zasłaniających rzeczywistość. Jest uczeniem się dystansu, także do siebie samej. Są to *Ćwiczenia nie tylko z gramatyki*.

Ostatnio coraz częściej mówię
do siebie ty
(...)
teraz ty jest zaimkiem pęknięcia
we mnie samej,
i jest w tym coś z utraty
niewinności

Im bardziej podejrzane okazuje się ciało ulegające starzeniu się i rozpadowi, im więcej znaczy, tym bardziej dominujące w tych wierszach staje się poczucie nieskończoności innego, niepoznawalnego świata.

Czujesz że wróg jest gdzieś tutaj
choć dobrze się ukrył

Przyszła kolej na rzeczy niewidzialne
odzywają się z głębi twego ciała
gotowe je zrzucić

Rzeczy niewidzialne niemal od początku towarzyszyły tej poezji, a tropienie tajemnicy stawało się jej zadaniem. Dwa wiersze w tomie *Bliżej nagości* poświęcone są kotce o imieniu Czaszka. Okrutne w swojej rzeczowości, prawdziwe w odwadze pozbawionej złudzeń i pocieszenia. „Trzymając Czaszkę w ramionach / jestem / Hamletem i Yorickiem naraz” – pisze poetka, a my sobie dopowiadamy – „biedny Yorick”. W następnym wierszu Rodowska uzupełni –

Dlatego głaszcząc ją, próbujesz
przynajmniej patrzeć przez pozór

Tak samo lecz trochę inaczej
zlizujesz z siebie kolejne poranki

W tej poezji nigdzie nie znajdziemy nawet śladu sentymentalnego pocieszenia. Niczego, co stanowiłoby ów pozór zaślaniający rzeczywistość. Niekiedy jedynie można usłyszeć „odgłos Przejścia”, albo tak jak w wierszu *De profundis* z tomu *Na dole płomień w górze płomień* słyhać bijące dzwony

monotonne przewiewne wołanie
o udział w wieczności

W świątyni bez murów bez dogmatów
całej z oddechu galaktyk

wołam więc Jesteś

Dlatego żarliwy erotyzm utworów Krystyny Rodowskiej należy również odczytywać jako sublimację metafizycznej tęsknoty. Wyraża się ona także w opisach przetwarzanych pejzaży, w czasie podróży, odkrywania innych miejsc, obcych, a zarazem wpisujących się w mityczny krajobraz. Tak dzieje się w najnowszym tomie *Miejsce na Feniksa*. Jest to miejsce dla odradzającego się życia, dla Przeistoczenia. *Dym, Zwierzyniec, Zaduszki w Xochicoatlan*, a nade wszystko przepiękna *Ballada o Mostach Wielkich* to wiersze, które są, cytując poetkę, „na uwięzi rzeczy niewidzialnych”. One prowadzą do miejsc, które odeszły, a trwają w opowieści, są w pamięci innych czasów – pejzaży dzieciństwa, pejzaży straszliwej historii, czasów niewinności i zbrodni. Pojawia się ton elegijny i katastroficzny zarazem. Cykl *Środki czyszczące* już bez żadnych osłon, żadnych poetyckich wykrętów, wydobywa na pierwszy plan tę ciemną nutę, która od początku towarzyszyła poezji Krystyny Rodowskiej. Śmierć, powiada poetka, zjada mnie „bakterię myślącą / wśród zębów wszechświata”. Czas nas „wywabia jak plamę z ubrania”. A wszystko to dzieje się tak naturalnie, w trakcie tak codziennych, oczywistych czynności jak mycie zębów, czy pranie. I wciąż trwa ta sama, uparta walka, aby nie zastygnać w raz danej formie, aby istniało w nas wciąż „nieuchwytnie”, a przecież to

niespełnienie sprawia
że wiersz póki żyje wymyka się
z formy

I nadal czytamy tę tryumfującą odwagę życia, tę poetycką wiarę, że „odradzam się z zapatrzienia”.

SUSANA SZWARC

w przekładzie Krystyny Rodowskiej

Na straży

Pewna kobieta (może twoja matka) ociera
sobie pot z czoła. Czyżby płakała,
lub wyciskała sok z winogron?
– Jasne, że nie – odpowiada –
moje oczy już dawno wyplakane. I przeciąga
swoją modlitewny zaśpiew niczym dobry żart.

„aaa kotki dwa szare bure obydwą” –
śpiewała po polsku babcia
w piecu – jeszcze po śmierci strząsa z siebie mąkę.

„aaa kotki dwa” – śpiewają matki,
córci, lalki wyczerpane
życiem w eterze i muzyką.

I wciąż słyhać „aaakotkidwa” – z ust rzucanej o ścianę,
ze stopami zbryzganymi błotem,
a mama dodaje:
ach, jak bolą mnie nogi,
lecz ja wyuczyłam się lekcji,
jakie to szczęście – mówię –
że jeszcze są nogi które mogą boleć.

A więc tańczmy. Ona z kieszeni wyciąga
pudełko od zapalek wiecznego śniegu.

Ścieg po ściegu wyszywam jej odpoczywanie,
kotki dwa kiedy indziej śpiewałaś
i kłamałaś,
lecz ja wyuczyłam się lekcji:
twoje ziemie obiecane istnieją.
Są na przykład odgłosy miłości
ciał złączonych, obojętnych na skandal.
Są ptaki z piórami jak litery.
(I śmiejemy się z tych słodkich kłamstewek).

I sam na sam ze sobą (za oknami)
oszczędzamy na sicie winogrona.

Kiedy indziej znów *kotkidwa* i nie wiemy
co to znaczy,
lecz ta piosenka brzmi po prostu groźnie.
Jest wspomnieniem wyjętym z biblioteki
pieców.
Przyświecamy sobie
latarką. Na marginesie widnieje notatka:
niech dzieciom naszym bardziej się poszczęści.

(z tomu *Que bailan las estepas (Niech zatańczą stepy)*, 1999)

Susana Szwarz, ur. w 1954 roku w Quitilipi (prowincja Chaco), Argentyna. Poetka argentyńska, pisarka, autorka wielu opowiadań i książek dla dzieci, pochodzenia polsko-żydowskiego. Uprawia także krytykę literacką i jest autorką kilku dramatów, wystawianych przez teatry w Buenos Aires. Jest autorką kilku zbiorów wierszy, m.in. *Bailen los estepas (Niech zatańczą stepy)*, 1999), z którego pochodzi przedstawiony na łamach „Kwartalnika Artystycznego” wiersz, *Barbara dice (Barbara mówi)*, 2004) i wydanej ostatnio antologii osobistej jej wierszy i narracji poetyckich *La mesa roja (Czerwony stół)*, 2012). Wiersze Susany Szwarz były tłumaczone na języki: angielski, francuski, niemiecki, rumuński, kataloński i chińsko-mandaryński. Za swoją twórczość poetycką i prozatorską otrzymała wiele nagród krajowych i zagranicznych. Mieszka w Buenos Aires.

K.R.

IVAN OÑATE

w przekładzie Krystyny Rodowskiej

Psychoanaliza szczęścia

Doktorze Freud,
chciałem zrobić panu prezent
ogromny jak moja wina,
wystawiając w gablocie z wyprzedzą
moje przecenione ja.
obok utopii z przeterminowaną datą konsumpcji,
obróconych w proch.

Ale moje życie zmieniło się nagle: któregoś popołudnia:
wróciła Natalie Wood
i trzymając się za ręce,
szliśmy przez łąkę usianą parami
uczniów. Ona zarzuciła sobie damską torebkę
na plecy
i stał się cud, doktorze Freud,
byliśmy wolni
od jarzma ojcowskiej dyktatury
i wszystkich więzień, które kondensuje
w sobie język, zaś Natalie
zmieniła się w najpiękniejszą licealistkę
z dziewczynskim plecakiem.
Nie chcę do niczego wracać,
doktorze Freud.
Od tej pory
będę żyć w samym sercu tego wiersza.

Jeżeli potrafi pan czytać między wierszami
– jak ktoś, kto przybliży oko do krat celi więziennej –
zobaczy pan jak ja i Natalie
biegniemy wolni
przez wieczne łąki słonecznego blasku.

Kości Cezara Vallejo

Nie zobaczę już więcej Paryża.

Albowiem pociąg, do którego wsiądę,
będzie przeciążony, pełen krów i oblepionych muchami bananów,
cieląt wiezionych na ubój, młodych ludzi,
wróżących sobie przyszłość z pożyczonych książek
i obcych gwiazd,

transwertytów
w trakcie pośpiesznej depilacji, przy pomocy dwóch monet,
piany
złudzeń,
z ładunkiem oczu, takich jak moje,
będzie się włókł

Przetarłszy sobie twarz byle jaką szmatą,
pójdę, w towarzystwie robociarzy z Filipin,
wraz z młodymi niewolnikami
z krajów arabskich,
wypić litr wina w taniej knajpie

przy jakimś zacisznym stoliku
opnę się na łokciach i zasnę,

będę spał tak długo,
aż natknę się na kości Cezara Vallejo,

z adresem w ręku
kogoś, kto okazał się ziemią jałową

lub z oczyma
portierki,
która budząc mnie ze snu,
przepędzi stąd precz
i znajdę się znów na placu
otoczony
przez zagubionych młodzieńców, którzy tak jak ja,
nic nie wiedzą
o tych, co dotarli
lub nie dotarli, tych co zostali na morzu
albo w knajpie,
zabłąkani w Paryżu

jak w tym śnie.

(z tomu *Anatomia pustki*, 1988)

Ars Poetica

Własnymi rękami
wykopałem przepaść

i w zawrotnym
spadaniu bez końca

dojrzałem jeszcze
anioła w locie,
od zawsze nie z tego świata

Czyż mogłem bardziej
uskrzydlić swe życie?

Ivan Oñate, ur. w roku 1948 w Ambate, Ekwador. Poeta, autor opowiadań, eseista ekwadorski. Studiował literaturę i filozofię w Quito, Buenos Aires i Barcelonie, gdzie zrobił doktorat z semiotyki. Jest wykładowcą semiotyki i literatury na Universidad Central de Ecuador w Quito. Autor wielu tomów i wyborów wierszy, których tytuły, takie jak *En la casa del ahorcado* (*W domu powieszzonego*, 1977), *Anatomia del Vacío* (*Anatomia pustki*, 1988), *La Nada sagrada* (*Święte Nic*, 1999), *El país de las tinieblas* (2008) wprowadzają w rozpoznawalny klimat poetyckiego świata naznaczonego piętnem egzystencjalnego tragizmu. Oñate to także bardzo interesujący prozaik; jeden z jego zbiorów opowiadań *El hacha enterrada* (*Zakopany topór*, 1987) miał aż siedem wydań w Ekwadorze, a kilka opowiadań z tego tomu zostało przetłumaczonych na francuski, angielski i niemiecki. Uczestniczył w wielu międzynarodowych spotkaniach poetów i festiwalach poetyckich w Ameryce Łacińskiej, Stanach Zjednoczonych, Anglii i Francji, reprezentując poezję swego kraju. Wiele z jego wierszy zostało przetłumaczonych na główne języki europejskie. W Polsce, jego poezja została przedstawiona dwoma wierszami w moim przekładzie, opublikowanymi w dodatku kulturalnym „Europa” w 2008 roku.

K.R.

PAWEŁ TAŃSKI

U podstaw liryki Władysława Sebyły

Przypomnijmy fragmenty *Traktatu poetyckiego* Czesława Miłosza:

Ostatni wiersz epoki był w druku.
A jego autor, Władysław Sebyła,
Lubił wieczorem wyjąć z szafy skrzypce,
Kładąc futerał przy tomach Norwida.
Haftki munduru wtedy miał rozpięte
(Bo na kolei pracował, na Pradze).
W tym swoim wierszu, jakby testamentem,
Do Światowida przyrównał ojczyznę.
Zbliża się do niej świst i werbli trzask
Od równin wschodu i równin zachodu,
A ona śni o brzęku swoich pszczół,
O popołudniach w hesperyjskich sadach.
Czy za to strzelą w tył głowy Sebyle
I pochowają go w smoleńskim lesie?

Komentując te słowa Elżbieta Cichła-Czarniawska w książce *Władysław Sebyła. Życie i twórczość* pisze:

„Zbiorowe mogiły ofiar egzekucji dokonanych przez NKWD na polskich jeńcach wojennych z obozu w Starobielsku odkryto w szóstej kwaterze tzw. lesoparku na przedmieściach Charkowa w pobliżu osady Piatichatki. (...) Kiedy Czesław Miłosz pisał *Traktat poetycki*, te miejsca zbrodni były jeszcze nieznanne”.

Ale w wydaniu *Traktatu poetyckiego* w serii *Dzieła zebranych* z roku 2002 Miłosz skomentował ten fragment swojego utworu następująco: „Sebyła został zmobiliowany w początku wojny jako oficer rezerwy. Wzięty do niewoli przez armię sowiecką i internowany w obozie jenieckim, został zamordowany w słynnej masakrze polskich oficerów w kwietniu 1940 roku. Liczba polskich jeńców zabitych tej wiosny na rozkaz Stalina wynosiła 23 653”.

Miłosz w *Traktacie* przywołuje wydarzenia biograficzne z życia Sebyły – jego zamiłowanie do gry na skrzypcach, estymę wobec twórczości Cypriana Norwida, pracę, którą musiał poeta wykonywać. Od roku 1935 Władysław Sebyła pracował również w Polskim Radiu, gdzie co dwa tygodnie omawiał nowo wydane książki poetyckie.

Wiersz Sebyły, o którym mowa w traktacie Miłosza, to utwór bez tytułu, rozpoczynający się od słów „I znowu tupot nóg żołdackich...”, w którym poeta pisał o Ojczyźnie zwracającej ku wrogiemu światu „światowidową mroczną twarz” – znajdziemy ten wiersz w tomie *Poezje zebrane* z roku 1981, ze wstępem i opracowaniem Andrzeja Z. Makowieckiego. Edytor pisze: „Tom *Poezji zebranych* Władysława Sebyły obejmuje wszystkie teksty poetyckie tego autora, łącznie z przekładami. (...)»Uzupełnienia« obejmują te utwory poetyckie Sebyły, których autor do tomów nie włączył bądź powstały po roku 1938. Podstawą przedruku jest wówczas pierwodruk czasopiśmienniczy. Znalazły się tutaj także te wiersze, których autor nie publikował w ogóle i które pozostały w rękopisie, ale które zostały do druku podane przez żonę poety, Sabinę Sebyłową, w jej książce *Okładka z Pegazem* (1960) i tym samym zostały już wprowadzone w obieg czytelnicy”.

W roku 1981, w którym zostały opublikowane *Poezje zebrane*, wiersz, o którym mowa, został przez cenzurę dopuszczony do druku. Natomiast po czternastu latach – jak pisze Czarniawska – ten wiersz „otworzy książkę pt. *Katyń w literaturze. Międzynarodowa antologia poezji, dramatu i prozy*”. O śmierci Sebyły Andrzej Z. Makowiecki pisze zaś tak: „Dalej jego ślad się urywa. Był jednym z tych, którzy zginęli w Katyniu”.

Komentując *Traktat poetycki* Miłosz pisze: „Wiersz Sebyły, o którym tu mowa, przedstawia Polskę jako kraj wiejski, bezbronny i przywiązany do mitu o początkach pod władzą chłopów-królów. Światowid, jeden z bogów pogańskich, miał cztery twarze, patrzące w przeciwne strony”.

Wiersz Sebyły został napisany w roku 1938 i ogłoszony drukiem najpierw w „Pionie”, a następnie w wydanej konspiracyjnie przez Miłosza antologii *Pieśń niepodległa* (1942). Miłosz przygotował również i zaopatrzył w komentarz wybór wierszy Sebyły z okazji stułetniej rocznicy urodzin poety – w „Tygodniku Powszechnym” 2002, nr 7.

W przemówieniu z okazji otrzymania Literackiej Nagrody Nobla w grudniu 1980 roku Miłosz mówił tak: „Antologii poezji polskiej podają nazwiska moich przyjaciół, Władysława Sebyły i Lecha Piwowara, oraz datę ich śmierci, 1939. Jest absurdem, że nie wolno napisać, jak zginęli, chociaż każdy w Polsce zna prawdę: podzielili los wielu tysięcy oficerów polskich, rozbrojonych i internowanych przez ówczesnego współnika Hitlera, i są pochowani w masowym grobie. I czyż młode pokolenia na Zachodzie, jeżeli w ogóle uczą się historii, nie powinny wiedzieć o dwustu tysiącach ludzi poległych w 1944 roku w Warszawie, mieście skazanym na zagładę przez obu współników?”.

Przypomnijmy zatem ów wiersz Sebyły – opublikowany zresztą po latach w „Kwartalniku Artystycznym” (2004, nr 3), wybrany przez Miłosza jako jeden z trzech ważnych utworów poetyckich XX wieku:

I znowu tupot nóg soldackich,
i grzmiących sotni gwizd kozackich,
gwiaździsty nad Europą but,
i mrowi się ludami wschód.

A na zachodzie werbli trzask,
rozgwar motorów z nieboskłonu
i krok miarowy – wzywa łask
boga mocniejszych batalionów.

Ojczyzno moja, a ty trwasz
w żelaznym pogrążona gwarze,
światowidową mroczną twarz
zwracając w cztery strony wraże.

I marzy ci się chleb i miód,
i szklane domy w rodnych sadach,
i szczęśliwości pełen trud,
pod gałęziami lip biesiada.

A niebo wokół się czerwieni,
ocknął się kontuszowy trup,
przystają mędrzy przerażeni,
opustoszały widząc grób.

I znów? Czy znów? Kołowrót dziejów
w płonący krąg porywa nas,
skończyły się sny kołodziejów,
stalowy szumi groźny las.

Żelazne dęby dudnią głucho,
toczy się mur, żelazny bór.
Nad konarami, zawieruchą
znów szumi wiatr, znów śpiewa chór.

O mój rozmarynie...

W ten oto sposób – w poetyckim traktacie o sztuce wierszy oraz w różnych działaniach redakcyjnych i wypowiedziach publicznych – Czesław Miłosz pielęgnował pamięć o Władysławie Sebyle – ważnym poecie, który został zamordowany w wieku trzydziestu ośmiu lat.

Niewątpliwie zasługą Sebyły było stworzenie w poezji postaci Szczurołapa w *Pieśniach szczurołapa* – symbolu poety, który próbuje walczyć ze złem świata,

buntować się wobec wszelkiej niesprawiedliwości. Drugim ważnym symbolem są „młyny” – które oznaczają okrutne siły przemijania, potęgi zła i okrucieństwa losu. Niezwykle pesymistyczna wizja świata i człowieka wyłaniająca się z twórczości autora *Śmierci fletu* bywa jednak przełamywana nutą epifanijnych zapisków, migotliwych „błysków” nadziei i światła, tego, co Adam Zagajewski nazwał „poezją jako poszukiwaniem blasku” – i temu warto bliżej się przyjrzeć, to bowiem bywało przez krytykę mało opisywane, często ledwie wzmiankowane przy okazji skupienia się właśnie na tej stronie czarnej i mrocznej – rozpacz, śmierci, nicości, kruchości życia człowieka.

W tomie *Pieśni szczurołapa* (1930) w cyklu pod tym samym tytułem znajdziemy wiersz, który może być tej tezy dowodem – jego główną myślą jest poczucie sensu istnienia, nadziei i wiary w lepszą rzeczywistość; to wiersz bez tytułu:

Nocami w ciemnem niebie białe kwiaty kwitną.
A bywa to wczesną wiosną,
Kiedy się dusza ludzka pełni nienasytną
Krwi tęsknotą.
Kiedy samotni chodzą wieczorami,
(...)

Po fragmencie o ludzkim smutku, melancholii, bólu, przemijaniu i krótkości ludzkiego życia, następuje finał wiersza, który w poincju przynosi nadzieję i jest zapisem zachwytu nad pięknem świata i istnienia:

A bywa to wczesną wiosną,
Gdy ptaki śpiewem pomęczone posną.
A w ciemnem niebie białe kwiaty kwitną.

Mamy tu, tak charakterystyczne dla poezji Sebyły, określenie „ciemne” – niebo jest ciemne, co oznacza tajemnicę metafizyczną, tajemnicę życia pośmiertnego, istnienia Boga, ale równocześnie pojawia się symbolika ptaków i ich śpiewu jako piękna tego świata, świata ziemskiego oraz „białych kwiatów”, z Norwida wziętych jako znak nadziei, wiary w Boga, w dobro człowieka – to symbol jasnej strony bytu.

Niezmiernie istotnym problemem poezji Sebyły jest namysł nad słowem jako narzędziem poznania człowieka i świata, narzędziem wypowiedzi człowieka o grozie rzeczywistości i pięknie bycia. Poeta ukazany jest tu jako ktoś, kto słowo spleta z muzyką; ta archetypiczna rola poety-pieśniarza ma za zadanie ukazać rolę sztuki w poznawaniu, rozświeclaniu Bytu: „Ja jestem szczurołapem, gram słodko na flecie, / Chodzę, lunatyk nieba, po ogromnym świecie” – pisze Sebyła. Poezja jest w tej twórczości nazwana „śpiewem” – jak u Leśmiana, który po-

wiadał: „Romans śpiewam, bo śpiewam! Bo jestem śpiewakiem!”. A nieprzypadkowo tomik Sebyły ma w tytule słowo „Pieśni”. Można powiedzieć, że owe „białe kwiaty” z przywołanego wyżej wiersza są również metaforą poetyckiej twórczości, która zostaje uprawiana po to, by „ciemne niebo” rozświetlić, ciemne niebo tej poezji rozjaśnić epifanijnym błyskiem zapisu zachwytu nad pięknem istnienia:

Poezjo! Wracam do ciebie pokorny,
nie wyżebrawszy żadnej prawdy światu,
choć wiem,
żeś tylko kołami na wodzie.
... a możeś ty kołami, które wzbudził
plusk kamieni lecących z zaświata?...

(*Koncert egotyczny, I*)

W mrocznym świecie poetyckim autora *Obrazów myśli* chwilami jasności, i światła są chwile spędzone z muzyką – cykl *Modlitwa* z tomu *Pieśni szczurołapa* zamyka znaczący i ważny wiersz *Beethoven*, napisany dystychami, w którym znajduje się istotny fragment:

Ze źródła ukrytego radość strumieniem wytrysnie,
Nad lesistemi wzgórzami bezgłośnie słońce zawisnie.

Cały wiersz można odczytać jako pochwałę muzyki, kompozycji Beethovena. Przywołany jest motyw głuchoty wielkiego artysty, stąd słońce w przywołanym fragmencie jest „bezglębne” – ale istotniejsza jest tu sama symbolika słońca – jako elementu przeciwstawionemu „nocy”, to metafora sensu istnienia. W cytowanym dystychu najważniejsze jest słowo „radość”, które znajduje się również w ostatnim wersie liryku, tu jednak zestawione zostało ze słowem „ból”: „Splotą się – radość i ból nienapisanej symfonii”. Można powiedzieć, że ocaleniem w świecie rozpaczy jest dla Sebyły muzyka – nawet głuchoniememu kompozytorowi los nie odebrał twórczych możliwości, mimo że symfonia jest „nienapisana” – ale może to oznaczać: j e s z c z e nienapisana, twórczość jest możliwa, mimo przeciwności losu. W tej perspektywie – drogę ocalenia w świecie Sebyły może wyznaczać również twórczość poetycka, a zatem zarówno słowo, jak i kultura są drogami do odzyskania sensu i poczucia ładu.

W poezji autora *Ośmiu nokturnów* odnajdziemy jeszcze jeden wiersz poświęcony wybitnemu kompozytorowi – w tomie *Obrazy myśli*, w cyklu *Mity i inne*, znajduje się utwór, złożony z ośmiu tercyn, pod tytułem *Zmarły. Pamięci Karola Szymanowskiego*. Tematem tego liryku jest refleksja nad tym, w jaki sposób wypowiedzieć w wierszu śmierć bliskiej osoby, jak język może udźwignąć niepojętą tajemnicę śmierci:

Jak to nieludzkie brzemie
słowami ściągnąć na ziemię,
gdy jesteś już tylko – sen?

Perspektywą nadziei jest to, co po artyście pozostaje – jego dzieło; w tym znaczeniu wiersz o Szymanowskim zdaje się być lirykiem o poszukiwaniu wiary w trwałość pamięci po zmarłym, przejawiającej się w akcie pielęgnowania owej pamięci, także poprzez poetyckie słowo.

Jest jeszcze jedna, ważna kategoria, która służy tej „jasnej” perspektywie w „ciemnym” świecie poetyckim autora *Koncertu egotycznego* – tą wartością jest miłość rozumiana również (bowiem nie jedynie jako miłość do drugiego człowieka – rodziców, żony, dziecka itp.) jako epifanijne stany zachwytu nad światem: „Kłęknij i całuj ziemię! Jest dobra, jak matka” (*Gniew* z tomu *Pieśni szczurołapa*), „Tylko raz krzaki stają w białym śniegu kwiatów” (* * * (*Tylko raz...*) z tomu *Pieśni szczurołapa*), „Jabłonie biało jak co roku kwitną” (II z cyklu *Koncert egotyczny. Poemat refleksyjny* z tomu *Koncert egotyczny*), „Upij się światem, / ciała przymierzem wspaniałym zachłyśnij, / (...) / A powierzy ci tajemnicę / zapach kwitnącej wiśni, / wody oblane miesiącem, / dreszcz wiatru i kołysanie traw, / i śpiew skowronków nad zoranyimi polami” (*O głodzie*, z cyklu *Trójspiew prosty* z tomu *Koncert egotyczny*), „Ja mam swojego boga, który jest obłokiem. / Krzepkokorzennym drzewem (...). / Jest wichrem (...).” (*Spowiedź szczurołapa* z tomu *Pieśni szczurołapa*).

U podstaw liryki Władysława Sebyły znajduje się „klimat przygnębienia i rozpacz”, „niepokój egzystencjalny płynący ze świadomości rozpaczliwego istnienia skończonego, rozpiętego pomiędzy cielesnością a duchowością, jedyne gatunkowo powtarzalnego, broniącego się przed rozpaczliwą wiedzą o kresie (...)” – jak mówi Andrzej Z. Makowiecki, ale jest tam również poczucie sensu istnienia – to prawda, że głęboko w tej poezji ukryte – które sam poeta w taki oto sposób wyraził w utworze *Dialog w ciemności*: „Ja jestem ciemna siła, która uderzając o rzecz błyska światłem. Jestem w o l ą dnia”. Poszukiwanie przez poetę Boga i wieczności okupione jest w tej twórczości cierpieniem, z nielicznych, ale istotnych, jak starałem się w tym szkicu ukazać, epifanijnych zapisów, płynęła jednak nadzieja oraz wiara w piękno i sens istnienia – zarówno w wymiarze ziemskim, jak i metafizycznym.

KRZYSZTOF LISOWSKI

Kenoma

Januszowi Szuberowi z podziękowaniem

Niemrawość i daremność
Syjamskie siostry zimy
Wynurzają się z mokrych zasp

Co trwa? Oczekiwanie na
Spełnione prawdziwe
Co się nareszcie ziści

Na razie tylko sny gęste
Jedwabne jak sierść jamnika
Rozkoszna błyszczą delta Annaleny

Słowniki stycznia milczą na temat marzenia
Chwila chwili podobna
Jedno co się odmienia: obłok

Jak tamte różowe UFO
Słońcem prześwietlone
Stado wysokie w popłochu

I ostre powietrze popasu
Na przełęczy przed tunelem i lasem
Zapowiedź stolicy w dolinach

17 stycznia 2012

Noc w zimie

Noc w obcym pokoju
Pociąg gwizdże biorąc zakręt
Po ciemnej łące nad rzeką

Nad ranem stukot kopyt
Chrobot szklanych butelek w metalowych pojemnikach
Równy krok żołnierzy idących tak wcześniej
Na strzelnicę
I jeszcze pianie koguta krzyk sroki
Kochanek dyskretnie zbiega po schodach
Włoska trąbka
Dzwonek na roraty

Może za ścianą imitator
(widzieliśmy takie rzeczy na filmach)
Przy pomocy pokrywki dwóch łyżek solniczki
Krzesła skrzypiących zawiasów kawałka
Tektury i pary podkutych butów
Samotnie produkuje
Te wszystkie języki i głosy

A świat zawsze śpi
Milczący głuchoniemy

25 stycznia 2013

O czym będziemy rozmawiać przy Wigilii?

O świetle i wędrawaniu Magów przez mroźne pustynie

Naszym pradziadom rozpraszały ciemność lampy naftowe
A wcześniej odwieczne świece kaganki łuczywa
Lampki oliwne

W ciemności lepiej było słyszeć czas
Jego posuwisty krok za zasłonami

Porozmawiamy o głowach pochylonych nad książkami
W kręgu światła gdy za plecami
Świat istniał albo nie

O tym że sny bywały gęstsze
Wypełnione czarną sierścią
Czasami księżycem

Młode głosy psów uruchamiały alarm
Broniły przed naporem niewiomego

I że z zapaleniem żarówki czary odeszły
Ciemność przeniosła się szybko
Do wnętrza

Całe Mare Tenebrarum



NAGRODA SAMUELA LINDEGO

Laureatami osiemnastej, wręczanej co roku **Nagrody Miast Partnerskich Torunia i Getyngi im. Samuela Lindego** zostali: **Brigitte Kronauer i Eustachy Ryłski**.

Nagroda Miast Partnerskich Torunia i Getyngi im. Samuela Lindego jest jedyną polsko-niemiecką nagrodą literacką przyznaną w szerokiej formule poetom, pisarzom, dramaturgom, krytykom literackim, publicystom i tłumaczom, „których słowo tworzy ideały i wartości, łącząc ludzi, społeczeństwa i narody we wspólnej rozmowie” – to sformułowanie wpisane jest do dyplomów jako preambuła.

Pierwszymi laureatami tej **Nagrody** zostali w 1996 roku **Wisława Szymborska i Gunter Grass**, w kolejnych latach m.in. **Zbigniew Herbert i Karl Dedecius, Tadeusz Różewicz i Siegfried Lenz, Ryszard Kapuściński i Christa Wolf, Hanna Krall i Marcel Reich-Ranicki, Jan Józef Szczepański i Henryk Bereska, Sławomir Mrożek i Tankred Dorst, Adam Zagajewski i Durs Grünbein, Wiesław Myśliwski i Herta Müller**.

W skład **Kapituły Nagrody** wchodzi od listopada 2007 roku: **Claudia Stockinger-Martus, Matthias Freise, Heinz Ludwig Arnold, Dagmar Schlappeit-Beck, Leszek Żyliński, Krzysztof Cwikliński, Aleksander Nalaskowski i Michał Staśkiewicz**.



JANUSZ SKUCZYŃSKI

W stronę pytań o wspólnotę

O II Festiwalu Debiutantów – Pierwszy Kontakt, Toruń 2013

Toruński Pierwszy Kontakt poświęcony jest prezentacjom debiutanckich występów reżyserów i aktorów w teatrze zawodowym. Tak się złożyło, iż to, jakie problemy stają przed młodymi twórcami, wprost zostało pokazane w jednym z festiwalowych spektakli (*Freddie* reż. *Irminka Kant* Agaty Puszcz, debiut reżyserski; Teatr Studio im. Stanisława Ignacego Witkiewicza w Warszawie). Postacią główną jest tu Freddie (którego pierwowzór to założyciel słynnej grupy rockowej Queen F. Mercury), ale w centrum uwagi staje nieoczekiwanie sam proces tworzenia przedstawienia. Reżyserka (która kiedyś musiałaby się jawić przede wszystkim jako znawczyni literatury), karmi się lekturami z kręgu antropologii kulturowej, a aktorzy mają, według niej, objawić „ontologiczną dwoistość bohaterów”, łącząc w sobie rolę z osobą prywatną. Więcej, kiedy dojdzie do buntu przeciw reżyserce – wizjonerce, aktora w roli głównej może... w ogóle nie być! To przerysowana, groteskowa wizja aktorów i reżyserów w dzisiejszym teatrze, rozpiętym w swej estetyce między iluzją a anty-iluzją, choć coś na rzeczy w tej wizji jest.

W tym roku wśród festiwalowych prezentacji bezsprzecznym popisem sztuki reżyserskiej okazali się (poza konkursowi) *Ślepcy* Jerzego Zonia według *Miasta ślepców* Jose Saramago (Teatr KTO, Kraków). Ten spektakl porywa wyobraźnię widza, wytrąca go z pozycji tylko obserwatora, anektuje wewnętrzną przestrzeń jego myśli i uczuć. Trudno nie znaleźć w sobie po obejrzeniu przedstawienia indywidualnie przeżytego orzeczenia portugalskiego pisarza: „Jesteśmy ślepcami, którzy widzą, ślepcami, którzy patrzą i nie widzą”.

Na czym zasadza się siła artystycznego oddziaływania teatru Zonia? Na pewno na wyrazistości interpretacji powieści. To, co dzieje się w miejscu niedookreślonym, w mieście nienazwanym, i dotyczy losów zbiorowości bez imion i nazwisk, reżyser odczytuje nieomal jednoznacznie jako zapis „świata nieludzkiego”, zawsze – jak to miało miejsce w rzeczywistości lagrowej – budowanego

na gruzowisku wzniosłych idei postępu, Sofoklesowych peanów o człowieku – twórcy cywilizacji. Bo każda banalnie zwykła chwila oczekiwania przed skrzyżowaniem na zielone światło (by się odwołać do motywu fabularnego utworu Saramago) otwierać może czas katastrofy człowieczeństwa jako wartości, obnażyć atawistyczne zło ludzkiej natury.

Jaką narracją teatralną wywieść historię oprawcy i ofiary, przemocy, gwałtu i cierpienia? Zoń niemal marginalizuje użycie słowa; w jego przedstawieniu, z pełnym otwarciem na możliwości, jakie daje forma widowiska plenerowego, tworzywo literackie przekłada na formę raz dojmująco pięknych, raz brutalnością przenoszonych treści szokujących obrazów scenicznych – budowanych w języku teatru stawiającego na plan pierwszy fizyczność ciała i głosu aktora, muzykę, ruch sceniczny (rozwijany kompozycyjnie nieomal w całe etiudy choreograficzne). Wszystko to, dodawszy jeszcze artystyczną funkcjonalność rytmu postępowania scen, adekwatność jego falowania od krótkich zwolnień po gwałtowne przyspieszenie, czytelnie metaforyzuje plan fabularny, chwilami prawie na poziomie nadekspresji wiąże w jedno myślową puentę kolejnych wydarzeń, aż po wyniesienie historii o okrutnym świecie wyłaniającym się z mlecznobiałej mgły na piętro teatralnej paraboli.

Czy jeśli głowy męża, żony i kochanki z *Komedii* nie będą wystawać z urn, a Winne ze *Szczęśliwych dni* zapadać się coraz głębiej w piach, to czy bez tych poetyckich znaków zespolenia w oksymoroniczną jedność istnienia i śmierci, Beckettowskiego człowieka już nie ma? I nie ma już Becketta, który „ukazuje wzniosłość człowieka w jego skrajnym opuszczeniu”? I dalej: czy da się ocenić oryginalność artystyczną formy poszczególnych dramatów irlandzkiego noblisty łącząc trzy jego jednoaktówki (do już wymienionych trzeba tu dodać *Ostatnią taśmę Krappa*), kompilując z nich świat przedstawiony jednego widowiska? Pytania tak stawiane muszą mieć raczej charakter retoryczny. Coś istotnego z Becketta, z tej jego bezkompromisowości w rozważaniu kwestii natury egzystencjalnej musi ulec amputacji. A może – nie? Może opór autora *Czekając na Godota*, rygorystycznie broniącego za życia swoich tekstów jako partytury teatralnej przed reżyserskimi „pomysłami”, jak w przypadku każdego klasyka, przełamywać się musi w nowych odczytaniach?

„Życie jest jednorazowe. Tego obsesyjnie bał się Beckett i o tym jest mój spektakl” – mówi w wywiadzie Paweł Świątek (debiut reżyserski), autor inscenizacji *Szczęśliwe dni/Komedia/Ostatnia taśma Krappa* (Teatr im. Jana Kochanowskiego w Opolu). I dodaje: „(...) spektakl dedykowany będzie młodym osobom, bo one szczególnie mocno odczuwają jednorazowość życia”, tym bardziej że – by

pojść dalej tropem dookreśleń formułowanych przez Świątka – „upadły wszelkie wartości, takie jak Bóg czy solidarność. (...) Żeby to pokazać, posłużyłem się bezlitosnym tekstem Becketta”.

Konceptowi reżyserskiemu zdaje się iść w sukurs scenografia. Tworzy przestrzeń wyobcowaną z realności. Sala szpitalna, bo – łóżka, sterylna pleksiglasowa podłoga? Może pomieszczenie, gdzie układa się ciała zmarłych? I inaczej: miejsce dla nieobecnych, którzy chwilę wcześniej wstali z pustych teraz krzesła. Do tego kostiumy – bielizna jako znak obnażenia z prywatności, odarcia z tego, co intymne.

Wybór jednoaktówek wydaje się nieprzypadkowy. *Szczęśliwe dni* i *Ostatnia taśma Krappa* to awers i rewers tej samej historii o starości, w ujęciu kobiecym i męskim, swoisty dyptyk, dla którego kontrapunktem jest *Komedia* z wpisaną w nią grą trójkąta małżeńskiego. Z listy bohaterów wyłącza Świątek Willego. Tym mocniej wybrzmiewa, tak przekonująco podana w aktorskiej interpretacji Judyty Paradzińskiej, czułość Winnie wobec jej partnera. To najbardziej poruszający fragment spektaklu. Drugi tego rodzaju moment, będący niejako kontynuacją monologu Winnie, ale też nawiązujący do bohatera *Ostatniej taśmy Krappa*, to końcowe wystąpienie „dodanej” postaci starszej kobiety – w jej wystudiowanym do najmniejszego szczegółu akcie czesania się i ubierania w elegancki kostium widzimy niebeckettowską harmonię świata.

Czy to wystarczy, by mówić o artystycznie udanym przedstawieniu? Szkoda, ale – nie. To bardziej „bryk z Becketta”, aniżeli próba powołania nowej, autonomicznej rzeczywistości teatralnej.

Tej samej miary co w przypadku autora *Ślepców* dyscyplinę pracy twórczej reżysera, który (tym razem chodzi o klasykę dramaturgii polskiej) nie tylko „wystawia” gotową partyturę słowną, ale przede wszystkim organizuje własną wypowiedź na temat zastanego materiału literackiego, odnaleźć można w *Emigrantach* Wiktora Rubina (Teatr Łaźnia Nowa w Krakowie). Choć z dramatu prawie nic tu nie ubywa w sensie dosłownym: tekstowym, fabularnym i ideowym, atrybuty dzieła pisanego teatr Rubina używa tak, by na wszystkich wymienionych poziomach strukturalnych uruchamiać nieustanny dyskurs między tekstem a spektaklem, dyskurs, którego wątki myślowe wynikają z prawie czterdziestoletniej odległości czasowej od roku powstania *Emigrantów* do naszego „dziś”, oraz wiążą się z koncepcją roli społecznej teatru, wypracowywaną w projektach Łaźni Nowej, włącznie z refleksją nad kondycją aktora. Ten ostatni motyw programu artystycznego Łaźni wpisuje się zresztą w żywe pytanie o status aktora we współczesnym teatrze. I niejako od niego zaczyna się koncepcyjna gra, istota zamysłu

twórczego reżysera, u podstaw której leży dążność do jednoczesnego utrwalania i nieustannego rozbijania związku spektaklu z tekstem. Na ciąg scenicznej prezentacji świata przedstawionego Mrożka nakładany jest u Rubina plan wyższy, interpretujący, a raczej – reinterpretujący, ten pierwszy. Niemożność wejścia bohaterów dramatu na teren wspólny, przestrzeń partnerów w dialogu, ich „nocną rozmowę” opatruje teza o wzajemnej obcości, nieprzystawalności statusów społecznych inteligenta i chłoporobotnika. Krakowski spektakl to orzeczenie poddaje weryfikacji, a raczej czyni przedmiotem dyskusji z perspektywy współczesności. Podając rzetelnie tekst Mrożka, równocześnie obudowuje jego wystawienie działaniami rozbijającymi iluzję, które podważają rzeczywistość sceniczną regułą teatru w teatrze. I tak aktor (Krzysztof Zarzecki), zanim w kwestiach mu przypisanych tekstem ujawni swą pozycję w dramacie jako AA, od początku rolę do zagrania bierze niejako w cudzysłów. W nieco błazeńskiej czapeczce ze zmiętej gazety z napisem „Inteligent” pełni funkcję niby gospodarza wydarzenia teatralnego, usadza widzów na workach – siedziskach i ostrzega ich, aby nie opierać się o dekorację, gdyż grozi to jej zawaleniem. I tę niestabilność elementów scenografii – ścian układających się półkolistnie wokół widzów, odczytać można jako znak tymczasowości przestrzeni dla kreowanego wydarzenia – spotkania, czy też przestrzeni, w której stawiane problemy podlegać będą demontażowi.

Pomysł jest prosty: w scenariuszu dramaturgicznym Jolanta Janiczak odwołuje się do mechanizmu zamiany ról. Gdy w miejsce wykonawcy zadań aktorских dla Mrożkowskiego XX (chłoporobotnika), poprzez *casting* wprowadzony zostaje amator Mariusz Cichoński (debiut nagrodzony przez festiwalowe jury), prywatnie inkasent, deklarujący, że aktorstwo jest dla niego „przede wszystkim pokazaniem własnego charakteru”, relacja między nim a aktorem zawodowym w roli inteligenta staje się scenicznym tematem. Myślową prowokacją. Demonstacja zhierarchizowanego świata teatru, struktury ustanowionej tradycją, staje się w swym przebiegu procesem równoczesnego „rozmontowywania” Mrożkowskiej diagnozy społeczeństwa polskiego *Anno 1975*. Tyle że w eksperymencie z zamianą ról wpisany jest niepokój jego autorów co do pewności zakończenia go sukcesem. Bohaterowi Cichońskiego i jemu samemu (a przecież świetnie sobie radzi na scenie) potrzebna jest co rusz, demonstracyjnie manifestowana przed widzami, pomoc suflerki. I tym samym cudzysłowem obaw objęty jest, kluczowy dla dialogizujących ze sobą narracji Mrożka i narracji naddanej, gest wymiany kostiumów między aktorami oraz przejście kwestii AA przez XX, akt anulowania jakichkolwiek dystynkcji zawodowstwa i amatorszczyzny, zna-

ków przynależności społecznej. Gdy w finale zdarzenia teatralnego obydwaj na równych już prawach demontują dekorację, to ich działanie wyznacza koniec spektaklu, ale i staje się metaforycznym orzeczeniem końca epoki formowania się nowych relacji społecznych.

Twórcze, nowe odczytanie *Emigrantów* tu się dopełnia. I chyba tak jest, że żyjemy w czasach powszechnej nijakości. Dystynkcje społeczne? Autorytety? W społeczeństwie odhierarchizowanym to anachronizm. Wszyscy jesteśmy w życiu amatorami. Ale – ten sufler... Co z suflerem? No i co z „nocnymi Polaków rozmowami”?

Cezary Iber (debiut reżyserski; Teatr Polski we Wrocławiu), reżyser spektaklu pt. *Blanche i Marie* według tekstów (powieść i dramat) Per Olova Enquista, wyznał, iż tekst, który przygotował, „bardzo go dotyka”. Rzeczywiście, Enquist z małej wzmianki, na którą natknął się szukając materiałów do zamierzonej pracy literackiej, wysnuwa historię frapującą, choć niekoniecznie w pewnych motywach faktograficznych prawdziwą: z wątkiem Marii Skłodowskiej-Curie, napiętnowanej przez opinię publiczną całej nieomal Europy za romans z żonatym mężczyzną, i jej (rzekomej) współpracownicy i przyjaciółki Blanche Wittman – „królowej histeryczek”. „Dotknijmy wielkiej tajemnicy ery odkryć – kobiety” mówi dalej Iber. I pytanie o kobiecość za Enquistem podejmuje, biograficzne przypadki swoich bohaterek zderzając ze stereotypami – kształtowanymi na gruncie obyczajowym jako ciąg powinności i zakazów, dyskryminującego podporządkowania kobiety mężczyźnie czy wręcz zdumiewających poglądów medycznych na temat kobiecej psychiki. „Nic takiego by się nie stało gdybym była mężczyzną” – w tych słowach pisanych na ścianach *Blanche i Marie* puentują swą autorefleksję, narrację przeżytych historii, upokorzeń. Marie ma w sobie wewnętrzną moc, bo jako kobieta i naukowiec przeszła zwycięsko lekcję walki o swoje miejsce w świecie zdominowanym przez mężczyzn, Blanche rozumie, że ma prawo iść drogą największego swego pragnienia – miłości. I to ona, właśnie poprzez miłość, osiągnie tę jedynie nobilitującą władzę nad drugim człowiekiem – Charcotem, lekarzem, który wystawiał ją jako „przedmiot nauki” na publicznych pokazach w roli znakomitego przykładu kobiety – histeryczki: poprowadzi czule ukochanego ku śmierci. To ona zobaczy w wizji z Freudem w masce wilka – kobiecą słabość.

Wszyscy bohaterowie przeszli tu przez próg śmierci, wszyscy istnieją nadal – tu i teraz zanurzeni są w emocjonalnym żywiole najciemniejszych doznań, najważniejszych spraw swego życia. We wzajemnej polemice, w polemice z samym sobą – jako kobiety i mężczyźni. Polemice ubranej w gorset

historyczny, odwołujący do schyłku wieku XIX i wstępnych lat XX stulecia, która swój atrybut zaprzeczłości traci wobec dzisiejszej aktualności pytań o równość płci.

Po której stronie stoi teatr? Po żadnej. W przeźroczystym emocjonalnie ukształtowaniu przestrzeni scenicznej panuje chłód badawczego dystansu. Widzowi w tej aurze teatralnego laboratorium przynależy się tylko rola obserwatora. I tylko. Bez dramaturgii napięć, naznaczona emocjami sprawa dwu Marii (bo i prawdziwe imię Wittman tak brzmiało), profesora neurologii Charcota i jego asystenta Freuda pozostaje literaturą, nie przenosi się żywym przeżyciem na widownię.

„Witaj Mamo / Złe wieści / Bohater umiera / Na początku powieści” – śpiewa Zemfira, rosyjska wykonawczyni nurtu rocka alternatywnego. I te słowa nieprzypadkowo – poprzez wyświetlany teledysk – włączają się w sceniczną historię dwu szesnastoletnich bohaterek *Marzenia Nataszy* Jarosławy Pulinowicz w reżyserii Wojciecha Urbańskiego (Teatr Powszechny w Warszawie). W jakiś sposób metafora wpisana w ten lakoniczny „komunikat” poetycki odnosi się do sensu wspólnego sytuacji Nataszy Buliny i Nataszy Wiernikowej (wykonawczynie obu ról, a więc odpowiednio Joanna Osyda oraz Anna Próchniak, otrzymały *ex aequo* I nagrodę za debiut aktorski): utraty przez nie obie wewnętrznej czystości, niewinności. Tradycyjnie kategoria młodości wiązała ten wstępny fragment życia z idealizmem, potrzebą formowania własnego obrazu świata i jego przemiany. U Pulinowicz przypadek młodości jest przedmiotem unieważnienia przez współczesne społeczeństwo, które brutalnością i bezwzględnością swych norm testuje najmłodszych w umiejętnościach przystosowawczych, stawia wobec konieczności włączenia się do gry lub od razu odrzuca. Nie ma tu bowiem przyzwolenia na „pensjonarskie” błędzenie wśród meandrów rzeczywistości. Jury festiwalowe, przyznając nagrodę Wojciechowi Urbańskiemu za debiut reżyserki, podkreśliło jako zaletę „powściągliwość” w sposobie powoływania rzeczywistości teatralnej. Wyeksponować samotność bohaterek, przełamać ton sentymentalizmu, wpisany przecież w stylistykę tekstów, poprowadzić grę aktorską poprzez proces rekonstrukcji psychologicznego ukształtowania postaci, aż do odtworzenia jej indywidualności normami mimetyczności – te intencje twórcy spektaklu pozostają w głębokiej spójności z przekonaniem Pulinowicz, iż „teatr ani literatura nie mogą w niczym człowiekowi pomóc. Najwyżej dadzą impuls, by coś przemyśleć”. A w teatrze siłę tego impulsu osiągnąć można właśnie poprzez wiarygodność postaci. Tak określone zadanie aktorskie wykonawczynie obu ról wykonały znakomicie. Ich postaci to dwie różne nastolatki, ale też każ-

da z nich znajduje się w takim momencie swojego losu, który rozstrzygnąć ma, jak będą dalej żyć. Obie odstaniają pełnię bezkompromisowości w dążeniu do celu. Różni je źródło przemiany wewnętrznej, dziewczyna z „bidula”, wraz z narastającym uczuciem do Walerego, łagodnieje. Natasza z „dobrego domu” swą gotowość do spełnienia wysokich oczekiwań dorosłych wobec niej osadza na pogłębiającej się nienawiści do dziewczyny z sąsiedztwa, wychowywanej w patologicznej rodzinie, ale to przecież ona ma w sobie to „coś” – bez dodatkowych lekcji baletu czy śpiewu. Eksperyment pierwszej Nataszy z próbą nadania sensu swemu istnieniu poprzez walkę o kogoś, kto by i ją pokochał, bo to – jak mówi – „najważniejsze”, finalizuje się czynem przestępczym. Zwycięstwo córki „psycholożki z korporacji” w *castingu* na prowadzącą telewizyjny program dla młodzieży uświadamia dziewczynie jej wewnętrzną pustkę. Nie było jej dane najwyyczajniej w świecie być sobą.

U Kafki: miasto Józefa K. z przestrzeni „zwyczajnego” życia przeobraża się w przestrzeń labiryntu bez wyjścia. W *Procesie* Jacka Bały (debiut reżyserski; Teatr Polski, Bielsko-Biała) – scenograficzny cytat z Matrixowej symulacji świata fałszywie idealnego to wyraźnie zamierzona paralela między światem powieściowym i scenicznym. Buduje ją też chłodny poblask neonów, nadający miejscu do grania jakąś niepokojącą tonację mroczności, a dopełnia – czern tylnych „ściany” sceny pocięta zieloną kratą. I – kamera, narzędzie nieustannej obserwacji bohatera, z której obraz rzucany na biały ekran podwaja plan czasowy wydarzeń scenicznych. Rejestruje je, ale jest też „okiem” tych, którzy znają sprawę Józefa K. Tak uruchamiana, pozasłowna, narracja o człowieku, zwróconym w stronę pytań natury egzystencjalnej, wyraźnie odwołuje się do rzeczywistości współczesnej. Czy łatwej do jednoznacznego określenia? W jakimś stopniu – tak. Tropy (choćby kostiumy) zdają się prowadzić do – nazwijmy to – „wspólnoty korporacyjnej”. W tak zawężonym kręgu ludzkiej zbiorowości w pewnym sensie stać się musi Kafkowski *everyman*, człowiek nijaki wewnętrznie, powierzchowny w pragnieniach, instrumentalnie traktujący innych, w tym kobiety. Jeszcze po stronie biografii i w ogóle tworzenia postaci „korporacyjnego” Józefa K. postawić trzeba przywołane w spektaklu motywy ze słynnego *Listu do ojca* autora *Zamku* – ów kompleks dominującego, dotkliwie raniącego wrażliwą naturę dziecka, ojca. Ale na tym zdaje się kończyć w spektaklu Bały przejrzystość paraleli świata powieściowego i dzisiejszej rzeczywistości. Reżyser zatrzymuje się tu jakby w pół drogi w próbie wyeksponowania najbardziej go interesującego wątku – źródeł lęku i samotności człowieka. Albo – inaczej rzecz ujmując – staje pośrodku: między klasycznym odczytaniem sytuacji egzystencjalnej bo-

hatera Kafki a usiłowaniami opowiedzenia dylematów tej natury autonomicznym językiem teatru.

W przedstawieniu Wojciecha Farugi *Wszyscy święci* (debiut reżyserski; Teatr Polski w Bydgoszczy) wszystko wydaje się być na swoim miejscu. Funkcjonalna, dobrze pomyślana, scenografia, uwzględniająca potrzebę zróżnicowania przestrzeni dla rozgrywanych anegdot, a przy tym naddająca akcji scenicznej metaforyczną wykładnię. Sprawna, jeśli chodzi o prowadzenie aktorskich ról, reżyseria. Wreszcie temat – w naszych „po-smoleńskich” czasach aktualny i na tyle żywy, na ile zdumiewający był na przykład obrońca krzyża, sam w kształt krzyża położony przed Pałacem Prezydenckim, i cały ów fenomen religijności fanatycznej, tętniącej zaskakującą nienawiścią do wszystkiego, co fanatyzm wypiera z kręgów tematów dyskusji, która nie chce popaść w martyrologiczną śmieszność. Dlaczego wobec tych rozlicznych zalet spektakl bydgoski wywołuje tęsknotę do Polaków portretu własnego pióra ks. Jędrzeja Kitowicza, skąd Mikołaj Grabowski zaczerpnął niegdyś motywy dla teatru, który bawiąc, pokazywał grozę fanatyzmu religijnego i śmieszność umysłowego zaścianka? Dlaczego wreszcie chciałoby się tu przywołać teatralną i pisarską oryginalność tandemu Strzępka – Demirski, którym tak fenomenalnie udaje się absurd, karykaturę, groteskę przełożyć na powagę mówienia o narodzie, społeczeństwie w perspektywie procesu kryzysu tożsamości? Ten temat bydgoski spektakl bada aż nadto literalnie. W tekście dramaturgicznym Jarosława Jakubowskiego zabrakło owej „iskry bożej”, za sprawą której przykłady egzemplaryczne (takie jak na przykład dziewczyna kolekcjonująca hostie, ojciec ekwipujący syna na pielgrzymkę, żona szantażująca męża próbami samobójczymi), cały w ogóle podjęty tu wątek wspólnoty religijnej, włącza w dyskurs w swym przebiegu nabierający mocy artystycznej prowokacji.

O ile *Wszyscy święci* to próba dekonstrukcji obrazu Polaka–katolika, w myśl, rekapitulującego sceniczne historie, słów Rekonstruktora: „Męczennik musi się zgodzić na cierpienie, ale nie może go prowokować”, spektakl Macieja Podstawnego *Przełamując fale* (Teatr im. Wojciecha Bogusławskiego, Kalisz) wprowadza temat wspólnoty, dla której probierzem sądów o świecie i człowieku jest od początku do końca surowy kodeks protestantyzmu. W dzisiejszym świecie bez wyrazistych norm powołana na scenie tak określona rzeczywistość religijna jest wręcz egzotyczna, do tego wspiera ją piękna historia miłosna ze zjawiskową Bess (Sara Celler-Jeziarska, debiut aktorski). Tyle że przejęta z filmu Larsa von Triera anegdota w odsłonięciu teatralnej gmatwa się, między innymi za sprawą wtrętów multimedialnych. Niewiele też pomaga, dopisana specjalnie na użytek

przedstawienia, scena sądu członków zboru nad Bess: w ich projekcji ta, która chce być wierna miłości, jest kobietą występną. Po zakończeniu przedstawienia nie wiemy, jak to ładnie określił jeden z widzów w sondzie na gorąco – co w całym powołanym świecie scenicznym jest „głosem Boga” i „komu o tym sądzić”. W tym spektaklu nie ma Boga i nie ma kapłanów, nie ma wyznawców. A na tym powinna polegać w ostatecznym rozrachunku siła tego spektaklu.

Absurd, groteska i – komedia muzyczna. Albo na końcu tej stylistycznej triady – czarny humor. Wspólne, ale w wymowie odbiegające od siebie dwa teatralne obrazy wspólnoty narodowej zbudowały kolejne festiwalowe spektakle: *My w finale 2014* Marca Beckera w reżyserii Iwony Jery (Teatr Bagatela, Kraków) oraz *Porucznik z Inishmore* Martina McDonagha w reżyserii Any Nowickiej (Teatr im. Wilama Horzycy, Toruń).

W pierwszym przedstawieniu grupowe „my” stwarza wydarzenie sportowe: mecz narodowej jedenastki, który całą strefę kibica – i Harcerza ze Smutną Przyszłością, i Kobietę Psychologiczną, też Kibica Bardzo Zaangażowanego, całą tę galerię typów tak świetnie wypatrzonych w pejzażu społecznym (za sprawą twórczej adaptacji tekstu niemieckiego dramaturga dokonanej przez Michała Olszewskiego) jednoczy wspólną nadzieją pokonania przeciwnika. Wtedy wszyscy (no, prawie wszyscy...) Polacy są naprawdę wspólnotą. Na chwilę, na te parę minut oczekiwania na karny (w roli strzelca w góralskich kierpcach uzdolniony debiutant Patryk Kośnicki), który wreszcie pozwoli znaleźć się wśród najlepszych. Na czas trwania spektaklu.

W *Poruczniku z Inishmore* poetyka czarnego humoru odwołuje się do wydarzeń z irlandzkiej historii współczesnej – terroryzmu jako formy walki o niezależność polityczną Irlandii Północnej. Spektakl rozpoczynający się jak najbardziej serio ukazującą przemocą, szybko przechodzi za sprawą wątku śmierci kota Tomaszka, *spiritus movens* całej akcji teatralnej, w serię gagów rodem wręcz z komedii *dell'arte*. Realizowane są one na scenie z reżyserską inwencją oraz aktorską wirtuozerią i niejako orientują się na artystyczne zaistnienie (świetnego zresztą) debiutanta Arkadiusza Walesiaka w roli Davey'a, miejscowego rudzielca. Wprawnie animuje on pluszowego kota, który ma zastąpić nieżywego Tomaszka, jeździ po scenie na rowerze, poskramia z odwagą, ale i lękiem gwałtowność emocji głównego bohatera – psychopaty. Natomiast finał przedstawienia, kiedy kończy się gra absurdem, należy do Padtraic'a, tytułowego porucznika z Inishmore (Tomasz Mycan) i siostry Dovey'a – Mairead (Aleksandra Bednarz), którzy śpiewają irlandzką balladę o treści narodowej. Wieje z wszystkich ich działań autentyczną tym razem grozą.

Teatr zwrócony ku wspólnocie etnologicznej, etnograficznej – kolejny krąg zbiorowości, która pojawiła się jako festiwalowy temat. Śmiało można powiedzieć, że już w drugiej połowie XIX stulecia wskazywał tę drogę Ryszard Wagner, gdy dla swoich teatralnych festiwali wybrał nie małe bawarskie miasteczko Bayreuth, nawet nie jego przedmieścia, ale do swego teatru na zielonym wzgórzu prowadził przez pola i lasy. Tę, tzw. ideę bayreuth’owską, podjęły między innymi zespoły takich teatrów, jak Gardzienice czy Węgajty, odrzucając kosmopolityczny świat miejskiej cywilizacji, żeby powołać nowe uczestnictwo w sztuce poprzez zwrot ku wspólnocie etnicznej. W tym kręgu problematyki tożsamości lokalnej sytuuje się spektakl Igora Gorzkowskiego pt. *Kalino malino czerwona jagodo* (Studio Teatralne KOŁO, Warszawa). Przełamując stereotyp starości jako świata już zamkniętego, Gorzkowski (również autor scenariusza) odrzuca bieg czasu, by cztery zmęczone życiem wiejskie baby stać się mogły znów obiektem zalotów, opowiadać trud codziennej pracy, ale i śpiewać wiejskie „zalecanki”. A przy tym wszystkim chodzi o świat Kurpiów, który – podobnie jak podhalański – przez wieki izolacji zachował żywość swych tradycji i obyczajów. Aktorki przygotowując się do swych ról, spędziły jakiś czas w chatach kurpiowskich, by zobaczyć, jak ich mieszkanki „inaczej pracują” czy manifestują „przyprawiający człowieka o zawrót głowy temperament” – jak relacjonuje swoje wrażenia, debiutująca aktorsko w spektaklu, Diana Zamojska. Stało się jednak tak, iż bardziej niż próbę wykreowania nowego języka teatru (zgodnie na przykład z ideą Wagnerowską, nawiązującą do tragedii greckiej), otrzymujemy coś na wzór scenicznej cepeliady. Barwnej, ale pozbawionej mitu i metafizyki.

Promotorem teatru etnicznego był nie tylko Wagner, jak była mowa wcześniej, ale też komentujący go Fryderyk Nietzsche ze swoimi *Narodzinami tragedii z ducha muzyki*, a potem między innymi Jerzy Grotowski. Warto to przypomnieć, bo kolejny spektakl inspirowany tym nurtem – *Korzeniec* Zbigniewa Białasa w reżyserii Remigiusza Brzyka (Teatr Zagłębia, Sosnowiec) na pierwszy rzut oka wydaje się nie mieć z tymi twórcami wiele wspólnego. W sferze tematyki stanowi on sceniczną monografię miasta, a w sferze poetyki wyrasta z inspiracji teatru epickiego Brechta.

Na scenie oglądamy epizody z historycznej przeszłości Sosnowca, (wplecione w wątki obyczajowo-społeczne oraz odwołujące się do czasów Trójkąta Trzech Cesarzy. (Swoją drogą ten sam region przywołał wcześniej Andrzej Kijowski jako autor scenariusza *Wesela Wajdy*). Na styku trzech państw – Austrii, Rosji i Niemiec – na przełomie XIX i XX wieku powstała przestrzeń codziennej konfrontacji reprezentantów wielu narodów: Polaków, Rosjan, Niemców,

Żydów, a także innych obcych przybyszy. Fermentowały tu ruchy społeczno-narodowe, rozwijały się podejrzone interesy, wyczuwało się aurę nadchodzącej Wielkiej Wojny. Osnuła na tym tle fabuła sensacyjno-kryminalna w przedstawieniu ilustrowana jest napisami, fotografiami, mapami, pocztówkami, nagłówkami gazet, artefaktami z epoki; aktorzy sami się przedstawiają (aktor w roli Janka Kiepurzy mówi nawet to, co jest uprzedzeniem przyszłości tej postaci), grają po parę ról. Wyjątkowo, typowo Brechtowskiego, dystansu do swej bohaterki nie demonstruje jedynie Edyta Ostojak w roli Ester Plawner (II nagroda za debiut aktorski), zaś Agnieszka Okońska jest bohaterką niezwyklej projekcji wędrownicy aktorki po sosnowieckim cmentarzu w poszukiwaniu grobu kreowanej przez nią autentycznej postaci fińskiej bony. Takimi sposobami i środkami, w widowiskowej formie, została powołana na deskach Teatru Zagłębie mała ojczyzna, zademonstrowana w punkcie wyjścia przed własnymi widzami, mieszkańcami Sosnowca.

Przez zaprezentowane na tegorocznym Festiwalu Debiutantów – Pierwszy Kontakt spektakle wyraźnie przewija się tematyka wspólnoty: tej najszerzej pojętej – ludzkiej, poprzez społeczną, religijną, narodową, a na etnicznej kończąc. Natomiast od strony estetycznej był to festiwal teatru sytuującego się między tradycyjnym teatrem iluzjonistycznym a postmodernistycznym, sprowadzającym przedstawienie do dziejącego się tu i teraz zdarzenia.



EWA BATHELIER FARTUCH

Wernisaż **11 X** GODZ. 19

___ Od 11 do 24/10/2013 Wt. | Czw. | Pt. 15.00-20.00 Sob. | Niedz. 12.00-18.00 ___ Kurator wystawy AGA PIETRZYKOWSKA



Centrum Sztuki FORT Sokolnickiego

ul. Czarnieckiego 51 // 01-541 Warszawa // www.nowyfort.pl // www.facebook.com/NowyFort // info@nowyfort.pl // tel. +48 507 670 075

51. BYDGOSKI FESTIWAL MUZYCZNY

klasyka i jazz

■ BYDGOSZCZ

■ TORUŃ

■ CHEŁMNO

13.09 – 4.10.2013

ROK JUBILEUSZÓW

Lutosławskiego ■ Góreckiego ■ Pendereckiego

Filharmonia Pomorska im. I. J. Paderewskiego w Bydgoszczy

dyrektor ELEONORA HARENDARSKA



MINISTER KULTURY
I DZIEDZICTWA NARODOWEGO
Bogdan Zdrojewski

PATRONAT HONOROWY



MARSZAŁEK WOJEWÓDZTWA
KUJAWSKO-POMORSKIEGO
Piotr Calbecki

Lutosławski Górecki Penderecki
muzyka klezmerska pieśni synagogalne
muzyka jazzowa
choraś sarmacki gospel songs
kolaż muzyki i filmu

Festiwali organizowane ze środków:
AMBIENTALNA KULTURA TOŻSAMOŚĆ IAKI NARODOWEGO
MIEJSCOWOŚCI KULTURNO-POMORSKIEGO
BYDGOSZCZY



Filharmonia Pomorska w Bydgoszczy
ul. Ignacego Jana Paderewskiego 6
85-080 Bydgoszcz
tel. 52 321 04 67, fax 52 321 07 52



Festiwali organizowane jest w ramach projektu „Kujawsko-Pomorski Miasto Kultury”
2014-2016 współfinansowanego ze środków Europejskiego Funduszu Regionalnego
w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego „Kujawsko-Pomorski”
na lata 2014-2020 oraz ze środków budżetu Województwa Kujawsko-Pomorskiego

PRACOWNICY

TVP

TVP

TVP

TVP

TVP

TVP

TVP

TVP

TVP

TVP

filharmonia.bydgoszcz.pl



WISZCIE
FINANSOWY

SOLJET

PIOTR PIASZCZYŃSKI

Stille Nacht

Najchętniej bym go zabił, drania, z zimną krwią,
który mi zakłóca nocny spokój święty.
Bo cicha musi być noc, gdy moce złe śpią...
Jak w słowach kolędy.

Bo cicha ma być noc, przepastna i czarna.
Z tego względu błyskawic sobie nie życzę
ani też innego w tym rodzaju światła...
Prócz gwiazd i księżyca.

Kościół sióstr Klarysek w Kolonii

Kościół zastałem
zamknięty. Żelazną kratę
u wejścia zatrzaśniętą
na głucho.

Coś podobnego
nie zdarzyło się wcześniej.

A było tak dobrze:
w sobotni wieczór
posiedzieć sobie tam samotnie
w mroku, ciszy wiekuiestej...

Odmówiwszy udziału,
odmówić modlitwę.

Apocalypse Now!

Dzień po domniemanym
końcu świata – potop.

Najdosłowniej: rzeką
deszcz się leje z nieba.

Może to jednak teraz, już?
Nie mylili się Majowie...

E tam, popada i przestanie.
Otrzepiemy się, pójdziemy dalej...

Na szczęście i na nieszczęście:
tak się znów nie skończy świat,
tak się znów nie skończy świat...



Alberto GIACOMETTI, 1963

ALBERTO GIACOMETTI

Trzy teksty

w przekładzie Marka Kędzierskiego

Wczoraj, lotne piaski¹

W dzieciństwie (między piątym a ósmym rokiem życia) w świecie na zewnątrz widziałem tylko te przedmioty, które mogły mi dać przyjemność. Były to przede wszystkim kamienie i drzewa, najczęściej pojedyncze. Pamiętam, że przez co najmniej dwa lata spośród tego, co mnie otaczało, widziałem jedynie ogromny głaz, znajdujący się mniej więcej w odległości ośmiuset metrów od naszej wioski, tylko ten głaz oraz przedmioty, które miały dla mnie bezpośredni z nim związek. Był to monolit złocistej barwy, który tuż przy ziemi otwierał się i zamieniał w pieczarę – całą dolną część wydrążyła woda. Wejście, niskie i długie, było nie wyższe niż ktoś naszego – ówczesnego! – wzrostu. Głębiej, w pewnych miejscach woda jeszcze bardziej wydrążyła kamień, a z tyłu, na końcu, powstała jakby druga, mała pieczara. Ten kamień pokazał nam raz ojciec. I nagle wielkie odkrycie: głaz natychmiast stał się moim przyjacielem, istotą pełną wyłącznie dobrych intencji wobec nas – wołał nas, uśmiechał się do nas, jak ktoś, kogo znamy z dawnych czasów i bardzo lubimy, więc przy przypadkowym spotkaniu odczuwamy bezgraniczną radość. Naraz cała nasza uwaga skupiła się wyłącznie na wielkim głazie. Przesiadaliśmy w pobliżu niego całymi dniami, rano i popołudniu. Było nas pięcioro, sześcioro, wciąż w tym samym składzie, nierozłączni. Codziennie rano, ledwie otworzywszy oczy, wypatrywałem mojego głazu. Z domu widać go było w najdrobniejszych szczegółach, tak jak ścieżkę, która prowadziła do niego wąską nitką. Wszystko inne było niewyraźne i jakby pozbawione substancji, rzekłbyś powietrze, które całkiem się rozplywa. Schodziliśmy tą ścieżką, nigdy z niej nie zbaczając, nigdy też nie oddalaliśmy się od terenu w bezpośrednim sąsiedztwie pieczary. Zaraz po jej od-

¹ *Hier, sables mouvants*, pierwodruk: „Le Surréalisme au Service de la Révolution”, nr 6, 15.05.1933, wydanie książkowe w tomie *Ecrits*, Hermann, Paris 1990.

kryciu, zaczęliśmy myśleć, jak zamaskować wejście do niej. Powinna to być zaledwie szczelina, na tyle tylko szeroka, byśmy mogli przedostać się do środka. Gdy tylko znalazłem się wewnątrz, skulony w najgłębszej części pieczary, która ledwie mogła mnie pomieścić, moja radość sięgała zenitu, spełniały się wszystkie moje pragnienia. Pewnego razu, już nie pamiętam dlaczego, odszedłem od mojej pieczary trochę dalej niż zazwyczaj i po niedługim czasie znalazłem się na małym wzniesieniu. Przedemną, trochę niżej, w zaroślach, wyrósł olbrzymi, czarny kamień, przypominający wąską, ostro zakończoną piramidę o niemal pionowych bokach. Nie sposób opisać, jak przykro mi się zrobiło, tak bardzo poczułem się zbity z tropu. Ten kamień podział na mnie natychmiast, jak ktoś żywy, wrogi, groźny. Zagroził wszystkiemu: nam, naszym zabawom, naszej pieczarze. Fakt, że istniał, był dla mnie nieznośny, od razu poczułem, że – skoro nie mogłem mu nakazać, by znikł – jedynym wyjściem było go ignorować, zapomnieć, nikomu o nim nie wspominać. A jednak podszedłem bliżej, zbliżyłem się, choć przekonany, że wdaję się w coś nagannego, nieuczciwego, śliskiego. Musnąwszy go dłonią, wzdygnąłem się z obrzydzeniem i ze strachem. Obszedłem wokół, drżąc na myśl, że nagle znajdę do niego wejście. Ani śladu pieczary – przez co kamień stał się jeszcze bardziej nie do zniesienia, no ale mimo wszystko odczułem ulgę: gdyby w tym kamieniu był otwór, wszystko jeszcze bardziej by się skomplikowało, łatwo było sobie wyobrazić, jaką męką byłoby dla naszej pieczary, gdybyśmy jednocześnie musieli zaprzętać sobie uwagę drugą. Uciekłem daleko od tego czarnego kamienia – ani słowem nie zdradziłem się przed innymi dziećmi, zignorowałem jego istnienie i już nigdy więcej go nie widziałem.

* * *

Pod koniec tych czasów z niecierpliwością wypatrywałem śniegu. Napawał mnie jakiś niepokój, aż do dnia, w którym, uznawszy – wiele razy przedwcześnie – iż spadło go już tyle, że mogę wreszcie, uzbrojony w wystrugany kij, ruszyć samotnie, z workiem w rękę, na łękę nieopodal naszej wioski (to była moja tajna misja). Tam zaczynałem drążyć dziurę, zaledwie tak dużą, żebym się mógł w nią wcisnąć. Od zewnątrz nikt nie miał prawa widzieć czegokolwiek prócz okrągłego wejścia, jak najmniejszego. Widziałem się, jak rozkładam worek na dnie dziury, a potem, jak sobie wyobrażałem, miało być bardzo ciepło i ciemno, wierzyłem, że znajdę tam jakąś wielką rozkosz. Wybiegając myślami, już wiele dni wcześniej na zapas delektowałem się tą oczekującą mnie przyjemnością, całymi dniami potrafiłem rozmyślać, jaką technikę zastosuję do mojej konstrukcji, wykony-

wałem w myślach pracę aż do najdrobniejszego szczegółu, chciałem zawczasu się upewnić co do najmniejszego gestu, wyobrażając sobie moment, w którym wszystko zabezpieczę przed zawaleniem. Bez reszty oddawałem się rozkoszy, jaką zaznam na widok dziury już całkiem gotowej, czekającej tylko, aż w nią wejdem. Spędziłbym w niej i całą zimę, sam, zamknięty w środku. Smutkiem napawała mnie myśl, że będę jednak chyba musiał wracać do domu, jeść w nim i spać. Jednakże, mimo wszelkich moich starań, zapewne też z powodu niekorzystnych warunków zewnętrznych, pragnienie moje nigdy nie doczekało się spełnienia.

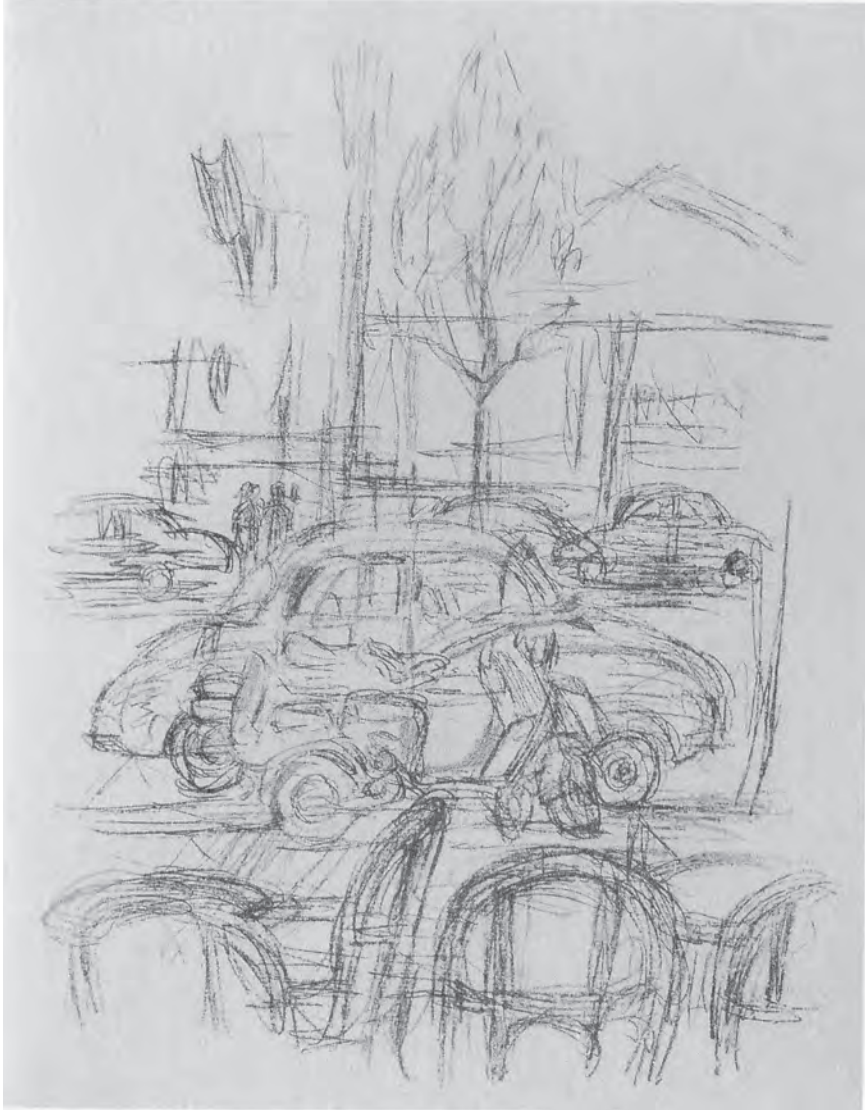
* * *

Kiedy zacząłem chodzić do szkoły, pierwszym krajem, który w moim mniemaniu musiał być cudowny, była Syberia. Widziałem się tam pośród niekończącej się równiny, pokrytej szarym śniegiem. W tym kraju nigdy nie świeciło słońce i ani na chwilę nie lżał mróz. Równinę zamykała po jednej stronie, dość daleko ode mnie, puszcza sosnowa, monotonna i czarna. Patrzyłem na tę równinę i puszcę przez małe okienko *izby*² (było to bardzo ważne słowo dla mnie), w której przebywałem i w której panował wręcz upał. To wszystko. Ale bardzo często przenosiłem się myślami w te okolice.

* * *

Pamiętam jeszcze inne natrętne myśli, które nie dawały mi wtedy spokoju. Całymi miesiącami wieczorem nie mogłem zasnąć, dopóki nie przedstawiłem sobie, że, przemierzwszy o zmierzchu gęsty las, docieram do szarego zamku, który wznosił się w miejscu najbardziej skrytym i nikomu nieznanym. Tam zabijałem dwóch mężczyzn, którzy nie mogli się bronić. Pierwszy, w wieku około siedemnastu lat, wydawał mi się zawsze błady i strachliwy, natomiast drugi miał na sobie zbroję, na której po lewej stronie błyszczało coś jak złoto. Potem gwałciłem dwie kobiety, zdarłszy z nich suknie – pierwsza miała trzydzieści dwa lata, cała w czerni, z alabastrową twarzą, druga, jej córka, w powiewnych białych woalach. Ich krzyki i jęczenie roznosiły się po całym lesie. One też ginęły z mojej ręki, ale bardzo powoli (w tym momencie było już ciemno), często obok stawu przed zamkiem, wypełnionego butwiejącą, zielonkawą wodą. Za każdym razem to samo, z niewielkimi zmianami. Potem podpalałem zamek i z rozkoszą zapadałem w sen.

² W oryginale: „isba”. W wydaniu książkowym tekst opatrzone *postscriptum* z 1958 roku: „Ponowna lektura ostatniego fragmentu tekstu uzmysławia mi, że moje wyobrażenie Syberii, było dokładnym opisem kraju, w którym wówczas mieszkałem”.



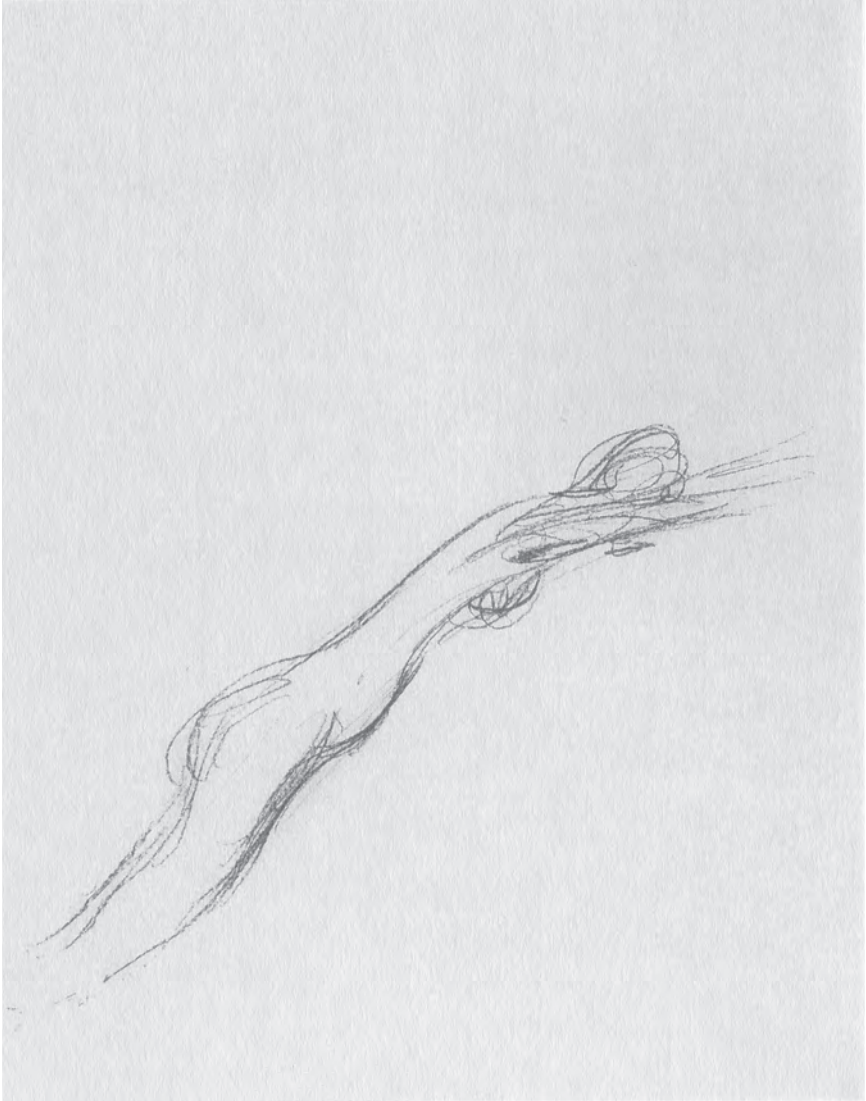
Paryż bez końca³

Piętnastego, nie, szesnastego maja 1964 roku w moim pokoju, a raczej w przerobionej na mieszkanie pracowni; na łóżku trzydzieści litografii, które mam na nowo opracować do odłożonej dwa lata temu książki; próbowałem znowu się do tego zabrać, widoki ulic, wnętrza, to już się nie nadaje, więc jak mam się zabrać? Paryż sprowadza się teraz dla mnie do jednego: żebym choć trochę zrozumiał nasadę nosa w rzeźbie: czuję wokół siebie całą przestrzeń na zewnątrz, ulice, niebo, widzę siebie – z teczką z rysunkami pod pachą chodzę po różnych dzielnicach, po całym mieście, przystaję, rysuję. Na quai Montebello nawę, chór Notre-Dame, tak jak je widziałem niedawno, dobrze więc, ruszam, ale jakoś bez entuzjazmu, z równym powodzeniem mógłbym rysować oparcie krzesła przede mną bądź mały, okrągły, czarny budzik na stole, który wypełnia... nie, nie wypełnia pokoju, ale stanowi jakby punkt, od którego wychodząc, zobaczy się wszystko, przeszkloną ścianę, sufit, drzewo na zewnątrz – o świecie, nawet przed świtem, śpiewa na nim kos, jego śpiew w czerwcu zeszłego roku, 1963, sprawiał mi ogromną radość tak w dzień, jak i w nocy. No i akty, muszę je zrobić na nowo – jakie akty? Danny, stojąca nago w wielkim, prawie pustym pokoju hotelowym przy Vavin – a może inna? Słońce, ulica, przez niemal cały rok Paryż nieobecny, Paryż już tylko jako odległe wspomnienie, zamazana szaro-czarna plama w oddali, zamazana i głęboka – byłem w innym życiu. Ubiegłej zimy, w mroźny dzień, przechodząc przez zamarznięty kanał, zmiatając na bok kawałki lodu, albo w taksówce z kliniki Remy-de-Gourmont przy Buttes-Chaumont, z długą, metalową, błyszczącą rurką gastroskopu – uciskała w gardle, czułem ją w żołądku jak w próżni, czułem próżnię w żołądku, ryczałem jak ciele, głowa odchylona do tyłu, zaciśnięte zęby, czuć się jak ryczące zwierzę, co za przyjemność, mały otwór w brzuchu, wprowadzono przezeń żółtawą rurkę, jakie to urocze, mały, głęboki otwór, z drugiej strony pani doktor. No ale wszystkie te stronice przeznaczone były przecież na litografie, na tekst drukowanymi literami zarezerwowaliśmy dwadzieścia stron – co z tym teraz zrobić? Może jedno i drugie? Początek książki, punkt wyjścia: zjeżdżam taksówką rue Saint-Denis, w kierunku zachodzącego słońca. Och, to pragnienie przedstawienia Paryża niemal wszędzie, wszędzie tam, dokąd zawiodło mnie życie, dokąd mnie jeszcze zawiedzie, wszystko kredką litograficzną, nie ma innej możliwości, nie wchodzi w rachubę ani malarstwo, ani rysunek, ta kredka to jedyne narzędzie, pozwala-

³ *Paris sans fin*, 1964, *texte paru aux Editions Verve*, Paris 1969, *Écrits*, Hermann Ed. 2007.

jące zrobić to szybko, nie można już wrócić, zmasać, zetrzeć gumą, rozpocząć od nowa. Zrobiłem ich sto, dwieście, więcej, na każdym etapie próbując dwukrotnie, trzykrotnie, już nie wiem, ile to lat, mniej więcej od 1957 roku, i wreszcie kiedyś przed południem wspólnie z Tériadem skomponowaliśmy książkę ze stu pięćdziesięciu litografii, ale według mnie trzydzieści już się nie nadaje, muszę poprawić. Przed paroma dniami znowu się do nich zabrałem, ostrożnie, miałem kontynuować dzisiaj, bez przekonania próbowałem tu, w pokoju, i jakby wbrew sobie zacząłem pisać, a nie rysować. Wezmę się do tego wieczorem... może jutro... a na pewno w poniedziałek u Annette.

No proszę, książka już gotowa, litografie, jak szybko, nagle. A jeszcze miesiąc temu wydawało mi się, że się zmarnuje, że nigdy nie będzie mogła powstać. Poczucie winy, jeszcze pięćdziesiąt plansz do zrobienia, ale kiedy? jak? to zmęczenie, brak entuzjazmu, żeby ruszyć z teczką pod pachą, w dzień, czy nocą, dokąd? Wszystko się gubiło w niemożliwym „nie do narysowania”, za dużo rzeczy, ów natłok rzeczy luźno ze sobą powiązanych, niemożliwość jakiegokolwiek wyboru – ograniczyć się do nogi krzesła, prześcieradła na łóżku, jakiegoś kąta, nieważne skąd widzianego, tu butelka terpentyny, przed skrzynką obok ramy, tu miotła w drugiej pracowni, tej z telefonem i puszkami po pokarmie dla kota, ale teraz wszystko to skończone już i odległe, te trzy lata, w czasie których z długimi przerwami, przerwami na sześć, siedem, osiem miesięcy, robiłem te litografie. Jak niebywale odległy wydaje mi się dzień, kiedy pod wieczór wracałem rue Saint-Denis od Mourlota, przejrzyste niebo, pochyła ulica rozpięta między skałami w czerni, wysokimi, czarnymi, i żółte niebo, żółte, wieczorne niebo, już się tam widziałem: pragnąłem już tam być, ze zniecierpliwieniem, rysować w pośpiechu wszystko, co odsłania się moim oczom, wszędzie wokół, całe miasto stało się naraz nieznanym olbrzymem, biegać wszędzie, odkrywać owo bogactwo bez kresu, na każdym kroku. Myślałem o formacie, stronicach, papierze – a teraz nagle jestem już po drugiej stronie. Dopiero dziś po południu, kiedy książka leży już skomponowana, odsłania się przede mną to, co zrobiłem, widzę te poprzednie lata poprzez to, co w ciągu nich zrobiłem i chyba żałuję, że już skończone, widzę się wszędzie na nowo, widzę wszystko jakby odbywało się jednocześnie, ów wieczór listopadowy w Jardin des Plantes, cały krajobraz był już czarny, widzę w nim siebie: idę, wlokąc się ze zmęczenia z żalem kierując się do wyjścia, wszystko to, co mi się nie udało, przeszklona sala, która połykuje jeszcze ostatnimi promieniami światła dziennego poprzecinanego czar-



nymi prążkami poprzeczek, zdezorientowany, zagubiony w całej tej posępnej pustce sali z bezimiennymi wężami.

Ten tekst staje się jednak niemożliwy, liczyliśmy osiemnaście, nie, dziewiętnaście stron, które trzeba wypełnić, ale czym? Nie mam właściwie nic do powiedzenia, ponieważ przed oczami mam same obrazy, wyłącznie wspomnienia obrazów.

Początkowo zamierzałem powiedzieć, jak powstała ta książka, ale nie ma to już, moim zdaniem, żadnego sensu, teraz jestem sam w tym pokoju, niemal ze smutkiem myślę o tym, że książka dziś wieczór leży już złożona w teczce na stole w redakcji „Verve” przy rue Férou, ja zaś siedzę tu sam wobec wszystkiego, co pozostało mi jeszcze do zrobienia, oprócz tej książki – i wobec snu. Minęła trzecia w nocy, jeszcze przed chwilą, po kolacji w La Coupole, chciałem coś przeczytać, ale zasnąłem, sny przekształciły i zniekształciły to, co miałem czytać, po jednej linijce, dwóch, w gazecie, oczy zamknęły się same, na zewnątrz chłód, chłód i słońce przegnały mnie do domu, położyłem się i mimo lęku zatopiłem się we śnie.

Na kanapie wszystkie te książki, spiętrzone na chybił trafił, rzadko kiedy je otwieram, przekładam tylko, szukając szczotki czy zagubionego listu.

Taka cisza, jestem tutaj sam, na zewnątrz noc, wszystko w bezruchu, ogarnia mnie sen. Nie wiem, kim jestem, ani co robię, ani czego chcę, nie wiem, czy jestem stary, czy młody, mam przed sobą może jeszcze paręset tysięcy lat życia do śmierci, moja przeszłość gubi się w szarej otchłani, byłem wężem, a teraz widzę, jestem krokodylem, otwarta paszcza; to ja byłem tym krokodylem pełzającym z otwartą paszczą. Krzyżeć, wrzeszczeć, aż zaczniesz od tego drzeć powietrze, a tam na ziemi zapalki jak okręty wojenne rozrzucone po szarym morzu.

Moja rzeczywistość⁴

Rzecz jasna, maluję i rzeźbię, już od początku, od pierwszego rysunku, pierwszego obrazu, żeby nadgryźć tę rzeczywistość, żeby się bronić, żeby się żywić, żeby nabrać ciała, nabrać ciała, by lepiej się bronić, żeby lepiej napierać, lepiej

⁴ Odpowiedź na ankietę Pierre'a Volboudta *A chacun sa réalité*, w której wypowiedziało się siedemnastu artystów.

się zapierać, żeby zdobywać teren, w każdym względzie, w każdym kierunku, żeby bronić się przed głodem, przed chłodem, przed śmiercią, żeby być wolnym, na ile możliwe – wolnym, na ile możliwe, aby próbować – używając wszelkich dostępnych mi dzisiaj środków – lepiej widzieć, rozumieć lepiej, co mnie otacza, rozumieć lepiej, żeby być wolnym na ile możliwe, nabrać ciała, by się palić do tego, na ile możliwe, żeby się spalać w tym, co robię, żeby wdać się w przygodę, żeby odkrywać nowe światy, żeby prowadzić moją wojnę, dla samej przyjemności? samej radości? z wojny, przyjemności wygrywania i przegrywania.

Dziesięć lat po ukazaniu się monograficznego numeru poświęconego twórczości Alberto Giacomettiego „Kwartalnik Artystyczny” przypomni sylwetkę artysty w Dodatku do numeru 80 (4/2013)



MICHEL LEIRIS

Alberto Giacometti

w przekładzie Marka Kędzińskiego

Żyjemy w okresie pod każdym względem bez polotu, a fetyszym, który, podobnie jak w najdawniejszych czasach, leży u podstaw naszej ludzkiej egzystencji, z rzadka jedynie ma okazję zadowolić się, występując w niezamaskowanej postaci. I dlatego – miłośnicy słabowitych fantomów (naszych imperatywów moralnych, logicznych i społecznych) – czepiamy się fetyszymu przekształconego, czyli imitacji tej jego postaci, która ożywia nas dogłębnie. Ów zły fetyszym pochłania największą część naszej aktywności, nie zostawiając niemal miejsca na fetyszym autentyczny, jedyny, który naprawdę ma wartość dla nas, ponieważ jest całkowicie siebie świadomy i nie ucieka się do oszustwa.

Pośród dzieł sztuki niewiele znajdziemy przedmiotów (obrazów czy rzeźb)⁵ zdolnych z grubsza choćby sprostać wymaganiom tego prawdziwego fetyszymu, to znaczy miłości – rzeczywiście pełnej miłości – nas samych, uzewnętrznionej i zawartej w solidnym pancerzu, który więzi ją w obrębie rzeczy konkretnej i umieszcza, tak jak mebel, którym możemy się posłużyć, w tej rozległej, obcej izbie, zwanej przestrzenią.

Przedmioty te, będące przecież tworam ludzkich rąk, wydają się na ogół jeszcze dalsze od nas niż produkty natury, których stanowią zaledwie uległy, a zarazem bardzo osłabiony refleks, ledwie mającące, niemal karykaturalne cienie, niezdolne służyć nam za przeciwny biegun wewnętrznego bieguna naszej miłości.

To dlatego, że nie są one wewnętrznie spójne, że nie są autonomiczne, dzieła sztuki w znakomitej większości są przeraźliwie nudne, *nudniejsze niż deszcz*, w sumie bowiem nie wyczuwamy w nich tej bliskości, którą mają dla nas krople

⁵ Documents 4/1929.

wody, piękne, ciekłe kulki, które przywodzą na myśl łyzy, przynajmniej swą formą, jeśli nie smakiem, a ta wilgotność, ta płynność, ewokuje fale błogości, przepływającej przez nasze członki, kiedy kochamy się, albo kiedy poczujemy czyjś dotyk.

W chwili obecnej niewielu jest artystów, których dzieło wymyka się tej okropnej nudzie. A w przeszłości było ich jeszcze mniej. Wszakże wśród rzadkich nam współczesnych, którzy dzięki szczególnemu darowi nie podlegają tej regule, można wymienić Giacomettiego.

Są takie momenty, które można określić mianem *kryzysu*, i tylko one są ważne w życiu. Chwile, kiedy nagle to, co zewnętrzne, zaczyna zgadzać się z żądaniami wysyłanymi w jego stronę z naszego wnętrza, chwile, w których świat na zewnątrz otwiera się po to, by między nim a naszymi sercami zawiązała się nagle nić porozumienia. Przywołuję w pamięci kilka tego rodzaju przeżyć – wszystkie odnoszą się do zdarzeń z pozoru daremnych, wypranych z wartości symbolicznej, tudzież, jeśli chcecie – bezinteresownych: na rozświetlonej ulicy Montmartre Murzynka z trupy Black Birds trzyma obiema rękami bukiet zroszonych wodą róż, parowiec, na pokład którego dopiero co wsiałem, z wolna oddala się od nabrzeża, docierają do mnie strzępy jakichś piosenek nuconych przypadkowo, w ruinach w Grecji natykam się na jakiegoś dziwnego ptaka, który musiał być chyba czymś w rodzaju olbrzymiej jaszczurki... Poezja zrodzić się może tylko z takich „kryzysów” i tylko te dzieła się liczą, które dostarczają ich ekwiwalentu.

Lubię rzeźbę Giacomettiego, ponieważ wszystko, co tworzy, utrwala według mnie, tak pojęty kryzys w kamieniu, odznacza się intensywnością nagłego zdarzenia, błyskawicznie schwytanego i zastygłego w bezruchu, kamieniem przydrożnym, który daje temu świadectwo. Mimo to, nie ma w jego rzeźbach niczego martwego, wręcz przeciwnie, wszystko jest, jak w prawdziwych fetydach, którym można oddawać hołd (prawdziwych, to znaczy tych, które są do nas podobne i stanowią zobiektywizowaną formę naszego pragnienia), żywe aż do przesytu, eksponujące powab życia, mocno nasycone humorem, pięknym wyrazem tej uczuciowej ambiwalencji – temu delikatnemu sfinksowi dajemy wciąż strawę, zazwyczaj sekretnie, w samym centrum istnienia.

Więc nie domagajcie się ode mnie jakiegoś wywodu o *rzeźbie*. Ja wołę dywagacje – ponieważ te piękne przedmioty, które mogą zobaczyć i dotknąć, są z czynnem tyłu moich wspomnień...

Niektóre z jego rzeźb są puste jak szufelka albo wydrążone owoce. Inne są pełne dziur, przez które przechodzi powietrze, to poruszające struktury ustawione między wnętrzem a światem zewnętrznym, sita zżerane przez wiatr, ukryty wiatr, wciągający nas w olbrzymi czarny wir, w te minuty niesamowite, które przyprawiają nas o obłąd.

Giacometti urodził się 10 października 1901 roku w Szwajcarii (w kantonie Gryzonia). Jest synem malarza. Do czternastego roku życia przebywał w rodzinnym miasteczku, potem w 1915 roku rozpoczął naukę w liceum, które po czterech latach rzucił, aby uprawiać malarstwo i rzeźbę, czemu już od wczesnych lat chciał się oddać. Przez pół roku studiował w Ecole d'Arts et Metiers w Genewie, ale nie przypadło mu to do gustu. Cały rok 1921 spędził, podróżując po Włoszech. Dziewięć miesięcy upłynęło mu w Rzymie. W 1922 roku przyjechał po raz pierwszy do Paryża. Przez trzy lata był tam od czasu do czasu, a od 1925 roku zamieszkał w Paryżu na stałe, z wyjątkiem dwóch, trzech miesięcy w roku, które spędza w rodzinnych stronach. Początkowo uczęszczał na Akademię żeby pracować według natury, ale od kilku lat pracuje sam.

Giacometti to zatem rzeźbiarz bardzo młody. Idiotyczne jest bawić się w przepowiadanie przyszłości, ileż to razy prorocy nie różnili się od zwiastunów nieszczęścia. Ale jak nie szczędzić pochwał na widok tych figur powstałych pod jego palcami, tak konkretnych, tak oczywistych, absolutnych jak twory, które się wielbi, skamieniałe w ulotną sól, ale bez cierpkości śniegu, jak kurz opadający pod palcami tego, kto je poleruje – nieuchwytny popiół, który dla pasjonatów powinien stać się relikwią – i ta cudowna sól, którą tylu dawnych poszukiwaczy pragnęło wydobyć z łona ziemi, słoność fal i gwiazd, które też mają własne przypiływy, a wreszcie sól łez, łez od śmiechu, łez z rozpacz, czy łez w obłądnie, łez lekkich i jakby złośliwych, łez przedziwnie karkołomnych, czy też ciężkich łez nasączonych solą kośćca i zlodowaciałych szkieletów, wciąż te krople wody, które padają niestrudzenie, czasami w niemej skale istnień, dowiercając się oślepiających źródeł, zgęszczonych kropli wody przypominających tę sól, która zawsze będzie zaspokajała nasz głód, sól morską, sól gorzką, sól łamiącej się falangi, sól zębów, sól potów, sól spojrzeń... I w końcu kamienna uczta, potrawa z brązu, cudownie żywa, i na długi czas zdolna nas pobudzać, podsycać nasz wielki głód.

STEFAN CHWIN

Wprowadzenie do dyskusji „Zło – doświadczenie i literatura”

Wielu pisarzy uważa, że odpowiedź na pytanie, czym jest zło, jest oczywista. Złem jest przemoc, okrucieństwo, zadawanie bólu, faszyzm, nazizm, stalinizm, czystki etniczne, dyktatura, prześladowania religijne, porywanie przeciwników politycznych i ich rodzin, zdrada, zagłada masowa, tortury, deportacje, rabunki, gwałty, rzezie, poniżenia i upokorzenia. Można tak wyliczać bez końca.

Literatura na usługach szlachetnego protestu przeciwko złu po prostu wie, co to jest zło, dlatego zwykle nie zawraca sobie głowy pytaniem, co to jest zło. Wszystko się jednak zmienia, jeśli odważymy się wyjść poza perspektywę pedagogicznego humanizmu i postawimy pytania naprawdę poważne. Takie pytania stawiał Miłosz.

Już w dzieciństwie Miłosz przeżył prawdziwy szok w chwili, gdy uświadomił sobie, że to nie dobry, łagodny Chrystus, lecz Darwin może mieć rację. Że brutalna darwinowska wizja świata, w której nie ma miejsca ani na dobro, ani na zło, jest do szpiku kości prawdziwa, a lament duszy, która nie chce przyjąć do wiadomości tego, co mówi Darwin, jest tylko żalną, rozpaczliwą niezgodą na twardą prawdę, że na tym świecie zawsze zwyciężali i będą zwyciężać silniejsi i lepiej przystosowani.

Wynikałoby z tego, że – jak pisał Miłosz w *Ziemi Ulro* – ludzka potrzeba wolności i dobra jest żalnym krzykiem duszy, która bezsilnie zderza się z nieubłaganym, przyrodniczym porządkiem świata. Podejrzenie, które spędzało sen z oczu Miłosza: ustrój totalitarny jest najgłębiej zgodny z naturą człowieka i strukturą świata. Leszek Kołakowski dodawał do tego: epoka demokracji i cywilizacji praw człowieka to zaledwie mikroskopijny procent dziejów ludzkiego gatunku na Ziemi, drobny epizod, po którym być może nie zostanie żaden ślad. Dziewięćdziesiąt procent ludzkiej historii to bowiem dzieje tyranii i despo-

tyzmu. Podobne rzeczy pisał już dużo wcześniej Tadeusz Borowski, który w jakiejś chwili uznał, że obóz koncentracyjny Auschwitz jest prawdziwym modelem rzeczywistej struktury świata.

Myśl Miłosza rozdzierały fundamentalne sprzeczności, które były także fundamentalnymi sprzecznościami nowoczesnej myśli zachodniej. Miłosz żywiołowo potępiał Holokaust, a równocześnie z przerażeniem konstatował, że Holokaust był najzupełniej zgodny z przyrodniczym porządkiem świata, był więc w istocie drobnym, nic nie znaczącym epizodem w trwającej miliony lat historii Ziemi, na której było i będzie jeszcze tysiąc Holokaustów, ponieważ zagłada jest najzupełniej zgodna z porządkiem natury. Nasze biedne, ludzkie serce mówi nam, że Holokaust był czymś straszliwym, nasz rozum dodaje jednak, że Holokaust był czymś najzwyczajszym w świecie, jednym z tysięcy zdarzeń, które nie odbiegały nawet o milimetr od ontologicznej normy.

Literatura, która wie, co to jest dobro, co to jest zło, unika naprawdę poważnych pytań. Jedyną prawdziwie poważną rozmową o Dobru i Złu jest rozmowa o konkretach, to znaczy o tym, jakie to konkretne zdarzenia i czyny możemy i powinniśmy uznać za zło. Nie ma nic łatwiejszego niż filozofowanie o Złu w ogóle oraz potępienie zła czy nawoływanie do potępienia zła.

Łatwym pytaniem jest pytanie, czy Holokaust był złem. Dużo trudniejszym i naprawdę poważnym jest pytanie, czy polityka eugeniczna, która była fundamentem Holokaustu, a praktykowana jest zresztą na świecie do dzisiaj skutecznie i bez rozgłosu, jest dobra dla gatunku ludzkiego czy nie? Łatwym pytaniem jest pytanie, czy gułag był złem. Dużo trudniejszym pytaniem jest, czy system carskiego samodzierżawia – bezwzględny i podły – zasługiwał na to, by go utopić w morzu krwi winnych i niewinnych, bo przeciwnikami rosyjskiej rewolucji – podobnie jak przeciwnikami każdego rządu – byli nie tylko ludzie o gołębih sercach. Nawet zwolennicy monarchii konstytucyjnej i demokracji potrafią być łajdakami, a okrucieństwa kontrewolucji bez trudu potrafią prześcignąć okrucieństwo rewolucji. Łatwo przedstawiać Stalina jako zbrodniarza, dużo trudniej pytać, czy gdyby Stalin nie zabił swoich przeciwników, oni pozwoliliby mu żyć. Łatwym pytaniem jest pytanie, czy złem była napaść Hitlera na Rosję, dużo trudniejszym, czy gdyby Hitler nie napadł na Rosję, Rosja nie napadłaby na Hitlera?

Łatwym pytaniem jest, czy wojna jest złem. Dużo trudniejszym, jaką funkcję pełnią wojny nie tyle w politycznej, lecz w biologicznej historii ludzkiego gatunku. Łatwym jest współczucie dla ofiar Zagłady, dużo trudniejsze jest pytanie, jakie funkcje w historii gatunku ludzkiego pełnią powtarzające się co ja-

kiś czas morderstwa milionów ludzi, które pewnie nadal się będą powtarzać. Czy istnieje coś takiego, jak biologiczna homeostaza gatunku, który co jakiś czas sam ogranicza liczbę swoich egzemplarzy, żeby zwiększyć szansę swojego przetrwania na Ziemi, a przyczyny ekonomiczne, polityczne, religijne wójen to tylko gra pozorów? Łatwo potępiać czystki etniczne, dużo trudniej pytać, czy istnieje granica etnicznego zróżnicowania społeczeństw, której przekroczenie powoduje nieuchronnie wybuch masakry. Łatwo litować się nad kobietami gwałconymi podczas wojen, trudniej pytać o to, jaką rolę odgrywały wojny w mieszaniu się genów, kiedy to na przykład Azja szła na Europę, gwałcąc miliony kobiet i powodując przy okazji powstawanie całych generacji mieszaićców, lepiej przystosowanych do przetrwania na Ziemi niż osobniki czyste etnicznie. Jedynym polskim pisarzem, który zajmował się tą sprawą był Teodor Parnicki. Poza nim nikt.

Łatwym pytaniem jest, czy tortury są złem. Dużo trudniejszym pytanie, czy wrywanie paznokci, które pozwala zapobiec eksplozji bomby podłożonej na dworcu, albo pozwala ocalić porwaną rodzinę, jest złem czy dobrem. Łatwym pytaniem jest pytanie, czy terroryzm jest złem, dużo trudniejszym pytaniem, jak ma walczyć słaby naród z tysiąc razy od niego silniejszym imperium, które bez żadnych skrupułów rabuje jego ropę i bogactwa naturalne. Łatwym pytaniem jest pytanie, czy rasizm jest złem. Dużo trudniejszym, czy rasizm jest wyuczoną postawą, efektem błędnej edukacji czy raczej biologicznym odruchem ciała, które instynktownie reaguje odrazą na inną odmianę ciała?

Literatura, którą uważam za poważną, zajmuje się takimi właśnie sprawami, ale takiej literatury jest niewiele. Prawdziwym poważnym pisarzem, który dotknął tych spraw, był Nietzsche, kiedy zapytał: czy rzeczywiście to, co uważamy za zło, jest złem, czy może raczej przeciwnie, właśnie to, co uważamy za dobro, jest fundamentalnym złem. Jako jeden z nielicznych potrafił wyjść poza humanistyczno-pedagogiczne myślenie.

Nieważne, jakie odpowiedzi Nietzsche dawał, bo nie zawsze to były odpowiedzi przekonujące. Ważne było samo postawienie pytania, bo to właśnie on pozorną oczywistość dobra i zła uczynił problemem. I to właśnie on był najbliższy Biblii, która wyraźnie mówi, że Bóg nie chciał, byśmy dowiedzieli się, co to jest dobro i zło, dlatego wygnał z Raju prarodziców, kiedy próbowali zdobyć tę wiedzę.

Mnie samego od dawna nie interesuje pytanie *unde malum*, podobnie jak nie interesują mnie szlachetne wezwania, by literatura była w służbie dobra, albo naiwne zapewnienia, że prawdziwa poezja jest zawsze po stronie do-

bra. Dużo bardziej interesuje mnie pytanie, co to jest zło. Wszystkie moje książki krążą wokół tego pytania. Interesuje mnie też sprawa grzechu istnienia, co mnie zbliża do Miłosza, bo i jego ta sprawa dręczyła naprawdę. Kiedy Różewicz stwierdzał z właściwą sobie kategorycznością: Zło bierze się z człowieka i tylko z człowieka. Miłosz odpowiadał na to: „Niestety panie Tadeuszu / dobra natura i zły człowiek / to romantyczny wynalazek”. Zło jest zawarte w samym akcie naszego istnienia, bo zgadzając się na istnienie, zgadzamy się istnieć wedle podłych praw istnienia, jakie narzuca nam przyroda. Głównym podejrzeniem Miłosza było, że świat został stworzony przez złego boga, dlatego sama jego podstawowa struktura jest złem.

Jakie są najstraszniejsze słowa w ludzkim języku? To dwa określenia. „Dachau koników polnych”, „mrówek Oświęcimie”. Nie znam słów straszniejszych. Miłosz umieścił je w wierszu *Przyrodzie pogróżka*, który napisał w roku 1944 po zagładzie getta w Warszawie i upadku powstania warszawskiego. Lecz co te słowa właściwie oznaczają? Co to znaczy „Dachau koników polnych”, „mrówek Oświęcimie”? Oburzenie Miłosza skandalem zagłady? Wstrząs wyjątkowością zbrodni? Czy raczej coś zupełnie przeciwnego: myśl, że to, co się działo w Auschwitz, dzieje się od tysięcy lat na każdej łące, w pierwszym z brzegu mrowisku i będzie się dziać zawsze? Że Auschwitz jest normą istnienia, a anomalią, niepojętą przerwą w dziejach, chwilowym antraktem, jest właśnie czas, kiedy Auschwitzu na świecie nie ma?

I jeśli zachwycamy się światem – tak jak Miłosz zachwycał się nim w wielu swoich wierszach – zapominamy o tym, co w nas najczystsze: o moralnym obowiązku niezgody na świat stworzony, bo aby przeżyć chwilę zachwyty, musimy zamknąć oczy na zło świata? Tak przedstawia się warunek podstawowy przeżycia estetycznego, z czego Miłosz doskonale zdawał sobie sprawę. W tym sensie sztuka jest zawsze przeciw dobru, nawet jeśli dobra broni ze wszystkich sił, bo podstawą przeżycia estetycznego jest gest zapomnienia o fundamentalnej skazie, jaką jest naznaczony świat i nasze w świecie istnienie?

MICHAŁ GŁOWIŃSKI

Małe szkice

Muzyka i straszne czasy

Wszystkie dziedziny polskiej sztuki szybko zareagowały na to, co się działo w latach 1939–1945 – i czyniły to na różne sposoby. Wyjątkiem jest muzyka, nie ma w niej bowiem niczego, co można byłoby traktować jako odpowiednik genialnego w swej zamierzonej brzydocie *Ocalałego z Warszawy* Schönberga, wspaniałych symfonii Honeggera i Szostakowicza, czy poematu Bohuslava Martinů *Lidice*. Może jakieś utwory, mające podobne aspiracje, napisali w czasie okupacji lub tuż po niej także kompozytorzy polscy, niewątpliwie nie były to jednak dzieła wybitne, skoro w tamtym czasie nie zostały dostrzeżone i popadły w całkowite zapomnienie. Prawda, w latach późniejszych powstało kilka liczących się dzieł, kantat i symfonii z partiami wokalnymi, będących upamiętnieniem i homagium, jest to wszakże zupełnie inna historia, o bezpośredniej reakcji nie sposób mówić. Można zapytać, co wpłynęło na ten trwający tak długo brak zainteresowania – aż do czasu, kiedy Penderecki, Górecki i Meyer skomponowali swe wybitne utwory. Nie jestem muzykologiem, pozwolę sobie jednak sformułować pewne przypuszczenie: wydaje mi się, że czynnikiem, jeśli nie głównym, to z pewnością doniosłym, był fakt, że stylem dominującym w ówczesnej muzyce polskiej był neoklasycyzm. Styl ten, zwłaszcza w wersji ukształtowanej w międzywojennym Paryżu, mający zresztą piękne osiągnięcia, z założenia dystansujący od patosu i silnej ekspresji, antyromantyczny i antyekspresjonistyczny niejako z powołania, nie miał żadnych danych, by dawać wyraz reakcjom na to, co wokół się działo, był w pewnym sensie bezradny. A gdy podjęto pewną próbę w tej materii, nie zakończyła się ona powodzeniem. Przypominam sobie, że niegdyś wskazywano na powstałą w czasie okupacji *Uwerturę tragiczną* Andrzeja Panufnika jako na dzieło będące odpowiedzią kompozytora na straszność czasu. Przed kilkunastu laty zdarzyło mi się ją usłyszeć, moje rozczarowanie było wielkie, przymiotnik „tragiczna” w tytule odebrałem jako uzurpację. Uwertura ta wydała mi się wprawdzie dość efektownym, ale schematycznym, by nie powiedzieć: banalnym kawałkiem, nie na miarę czasu, w którym powstała. Nie dziwię się, że mało kto o niej obecnie pamięta.

Paradoksy operetki

Przez długi czas uchodziła za dziecię opery z nieprawego łoża, gatunek podrzędny, lubiany przez niezbyt wyrobioną publiczność, łasą na głaszczące ucho melodyjki i wesołe historie z życia wyższych sfer. W tej ostatniej dziedzinie zaznaczało się jednak pewne ograniczenie: w niezliczonych operach występują królowie i królowe, nie słyszałem o operetkach, w których pojawiłby się monarcha i jego dostojna małżonka, roi się zaś w nich od hrabiów i hrabin, baronów i markizów, pojawia się także wielka księżna. To klasowe ograniczenie nie przeszkadzało jednak drobnomieszczańskiej publiczności, podziwiała ona sceny osadzone w świecie, który był dla niej niedostępny, pomarzyć nawet o nim nie mogła, jeśli nie chciała ulegać fikcjom, nie pozostającym w żadnym stosunku do realiów, wśród jakich istnieć jej przyszło. Wielbiono operetkowe diwy, które – jak Lucyna Messal w Warszawie na początku XX wieku – stawały się noszonymi na rękach celebrytkami. I cóż z tego wspaniałego gmachu operetki pozostało? Można powiedzieć: nic i wiele. Nic, bo większość operetek popadła w zapomnienie – przede wszystkim z tej racji, że dzisiejsi widzowie i słuchacze, będący odpowiednikami entuzjastów i wielbicieli z dawnych czasów, od niej odeszli, słuchają czego innego i na co innego patrzą. Wiele, bo okazało się, że istnieją arcydzieła operetkowego gatunku, a ich autorzy mają wszelkie po temu dane, by im przyznać rangę wybitnych kompozytorów. Czy operetka ze swymi przyjemnymi i łatwymi melodiami, z librettami, które w wielu wypadkach można zasadnie określić jako idiotyczne, stała się gatunkiem dla koneserów i estetów? Na koniec dodam, że kultura polska – w przeciwieństwie do austriackiej, węgierskiej i francuskiej – nie wydała żadnej wybitnej operetki, jej ozdobą jest jednak genialny dramat, będący parodią reguł obowiązujących w tym gatunku.

Przypisy dla starszych państwa

Często sporządza się przypisy do tekstów klasycznych, ale także powstałych współcześnie, z myślą o czytelnikach najmłodszej generacji, jeszcze niezbyt doświadczonych, ze zrozumiałych powodów nie sięgających pamięcią w czasy, które nawet nieznacznie wyprzedzają ich pojawienie się na świecie. Takie przypisy tłumaczą się same przez się, nie wymagają specjalnych uzasadnień, ich cel jest oczywisty. Jeśli chodzi o komentarze do pozycji pochodzących z lat dawnych, zróżnicowanie wieku odbiorców nie ma większego znaczenia, wszyscy jesteśmy w podobnej sytuacji, wyjaśnianie znaczeń słów archaicznych czy podawanie podstawowych informacji o biografii przywoływanej postaci jest korzystne dla ogó-

łu. W tekstach powstających obecnie przydałyby się w wielu wypadkach przypisy dla sędziwych osób w moim wieku, wyjaśniające słowa i realia. Zdarza się, że nie rozumiem terminów, czytając rozprawy młodych autorów z dyscypliny, którą zajmuję się od wczesnych, jeszcze studenckich, lat. Niektórym nadano nieznane dotąd, w moim odczuciu dość egzotyczne znaczenia, inne stanowią nowe nabytki. Osobna sprawa to komentarze odnoszące się do realiów, do różnego rodzaju nowin technicznych, pojawiających się w coraz większej liczbie i wpływających z dużą siłą na kształty codzienności. Zapanowałem nad pewnym zestawem podstawowych kategorii komputerowo-informatycznych, jakże niewielkim i nie wystarczającym, zapanowałem z dużym trudem, nie szczędząc wysiłku. I w dalszym ciągu nie wiem tego, co dla pokolenia młodego jest niejako danym z góry, oczywistym wręcz składnikiem rzeczywistości, w jakiej istnieć im przyszło. Często proszę o wyjaśnienia młodzieńców w takim wieku, że mogliby być moimi wnukami. Żyjemy w różnych światach?

Księżniczki

Przypomniały mi się dwie drobne sceny sprzed wielu lat, poniekąd paralelne. Jestem na drugim, może na trzecim roku, spotykam koleżankę silnie zazięzioną. Zadaję w istocie konwencjonalne pytanie: czy długo czekała w kolejce na wizytę w przychodni uniwersyteckiej. Usłyszałem w odpowiedzi słowa wypowiedziane tonem urażonej księżniczki, którą posądzono o coś wybitnie nieestosownego, dużo poniżej jej godności: ja tam nie chodzę, mam Ministerstwo Zdrowia. Zabrzmiało to tak, jakby rzeczywiście była jego posiadaczką. A chodziło o to, że miała dostęp do ministerialnej przychodni, przeznaczony dla elity. Pochodziła z rodziny nomenklaturowej.

Drugą koleżankę z lat studiów spotkałem ćwierć wieku później na osiedlu, na którym przed kilku laty zamieszkałem. Zdziwiłem się, że mieszkamy w pobliskich domach i nigdy nie spotkaliśmy się choćby na przystanku tramwajowym. Zareagowała tak, jakby moimi słowami poczuła się dotknięta i również w tonie urażonej księżniczki powiadomiła: my z miejskiej komunikacji nie korzystamy, mamy samochód. Żeby sytuację zrozumieć, należy pamiętać, że wówczas, w latach siedemdziesiątych, niewiele osób prywatnych miało samochody, były one czymś więcej niż środkiem lokomocji, stanowiły oznakę wysokiej pozycji, statusu, dobrobytu.

Kobiety wywodziły się z różnych środowisk. Pierwsza z rodziny inteligentkiej o tradycjach komunistycznych, sięgających początków XX wieku; druga

ze skrajnej biedoty, z rodziny – jak słyszałem – lumpenproletariackiej o patologicznym charakterze. Z pozoru dzieliło je wiele, choć łączyło to, że nosiły w torebkach legitymacje tej samej przewodniej siły i że 5 marca roku 1953 płakały rzewnymi łzami. Elementów wspólnych było więcej, także pogarda dla PRL-owskiego plebsu, który musi leczyć zaziębienie w jakichś marnych przychodniach, do jakich trudno się dostać, i jeździć zatłoczonymi tramwajami. O ile wiem, biografie urażonych księżniczek układały się jednak rozmaicie. Pierwsza – jak słyszałem – od pewnego momentu okazywała sympatię opozycji demokratycznej, druga krytykowała generałów po ogłoszeniu stanu wojennego, bo jej zdaniem zbyt łagodnie obchodzili się z wrogami Polski Ludowej i socjalizmu.

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI

Addenda (30)

Widziany z góry skrawek Morza Śródziemnego i brzeg Izraela.

Z Tel Awiwu do Tyberiady. Skały, kamienie i niebo. Niebieski, brązowy, biały, zielony i szary. Widoki w powtarzających się przemianach.

Suche drzewa, krzewy i krzaki, spalone słońcem trawy i spękana ziemia. Palmy, liściaste kaktusy i słoneczniki, ogrodzenia, zagrody, wielbłądy i brązowe krowy. Systemy nawodnień i folie. W oddali złote kopuły meczetów i minarety. Krąg nieba, od zachodu płynące obłoki.

Skały, doliny, kamienie i strome urwiska. Otchłań nieba, otwarta przestrzeń.

Na wzgórzach miasta i osady jak twierdze.

Przenikanie światła.

I nagle z lewej strony z góry Jezioro Genezaret.

Serpentyną w dół do Tyberiady.

Via Maris. Miasto Talmudu i Miszny. Mur, wewnętrzne przejście, kościół Świętego Piotra. Promenada, światła na wodzie.

Panoramiczne okno z widokiem na niebo, jezioro i wzgórze. Z prawej oświetlona droga na szczyt.

Kształt cytry, instrumentu Dawida.

Północno-zachodni brzeg. Palmy, oliwki, drzewa figowe i bananowce. Uprawy, żyzna ziemia. Majestatyczna Góra Błogosławieństw. Cień Tabghy. Cud rozmnożenia chleba i ryb.

Mozaika z ptakami i roślinami delty Nilu i nilometrem i druga z koszem z czterema chlebami i dwiema rybami po bokach. Pod ołtarzem blok skały wapiennej.

Dwanaście pełnych koszy ułomków.

Gniazdo i loty jaskółek.

Siedem źródeł. Kościół Prymatu i Stół Pana. Kamienne schody, zejście do jeziora. Sześć wielkich kamieni ma brzegu. Po drugiej stronie Tyberiada, miasto nieczyste, Jezus nigdy w nim nie był.

Zielone góry Karmelu. Tam siedział Eliasza, herold Mesjasza. Jego oczy – uważne. Duch niebieski w ciele człowieka.

Pola, bazaltowe skały i niebo. Ziemia jak jabłko granatu. Sady, cyprysy, gaje oliwne i winnice. Zieleń na górach i pagórkach. Jasny krąg nieba i światło.

Miasta i kościoły wzniesione na dawnych warstwach. Na północy Hermon, cztery źródła Jordanu i Cezarea Filipowa, z której wyruszył do Jerozolimy.

Wysokie wzgórze i przyjazne pagórki. Skały wapienne, doliny i lasy. Klif – wyrobisko kamieniołomu. Czarne i szare kamienie.

Karmel, od doliny Jizreel do morza. Szare i białe skały, zielone lasy i czarne otwory grot.

Białe domy Hajfy. Złota kopuła i wiszące ogrody. Jasny i ciemny błękit nieba i morza. Szeroki widok na zatokę. Stella Maris. Ołtarz i pod nim grota, w której ukrywał się Eliasz. Na południowo-wschodnim krańcu walczył z prorokami Baala.

Żertwa, kamienie, drwa, woda i ogień od Pana.

Baal to ułuda.

Z lewej strony latarnia morska.

Port, reda i widok na Akkę. Błękit i światło. Otwarty horyzont zaprasza do podróży.

Białe domy i zielone drzewa Nazaretu. Pogoda ducha i wdzięczność, bez słów.

Siedzenie na murku i jedzenie fig.

Arkady przed Bazyliką. Zejście do Groty Zwiastowania. Tajemnica Wcielenia, słowo i ciało. Wejście do góry. Balustrada. Gołębie latające pod kopułą.

Kościół Świętego Józefa, mała synagoga i źródło Marii.

Kana Galilejska, pierwszy cud – z wody wino.

Nad rozległą równiną Rogi Hattin, pole kłęski.

Karmel. Lasy i rozrzucone rożki jaskiń, jakby zgrupowane w jednym szyku.

Krajobraz, który karmi, ożywia i wyostrza. Pod ciemnobłękitnym niebem. Przenikanie i blask.

Cienkie pnie i rozłożyste korony. Suche, sponiewierane, jakby skazane na zagładę trwają i odradzają się. Obok liściaste i iglaste krzewy.

Na Górze Błogosławieństw. Spokój, który spływa, obmywa, koi.

Park i ogród z widokiem na jezioro i niebo, które jest jak namiot.

Siła słowa dobrego. Wielka jest siła złego słowa, ale większa dobrego.

Śpiewy i głosy ptaków, lekkie podmuchy wiatru.

Przyroda i krajobraz są tu genialną improwizacją, która opracowana jest w szczegółach.

Sklepienie nieba, które jest żywe jak nic wokół.

Słońce, skwar i delikatny wietrzyk. Mieszające się głosy i śpiewy modlitw i ptaków.

Dziewięć Błogosławieństw – ich niewyczerpana moc.

Na niebie i na wodzie są wszystkie odcienie błękitu.

Drzewa z pięknymi kwiatami, wśród nich kilka suchych.

Może jest to wejście do raju? Brama raju. To tu?

Cztery wielkie czarne kamienie na brzegu.

Jordan wypływa z drugiej strony i dąży na południe, do Morza Martwego.

Kafarnaum – ruiny domu Piotra. Kamienny mur w kształcie ośmioboku. Tu mieszkał, uzdrowiał chorych i ratował opętanych. To tu uzdrowił sparaliżowanego, którego spuszczone na łożku przez otwór w dachu.

Obok ruiny domów z czarnego bazaltu, za nimi zbudowana z wapiennych bloków biała synagoga w miejscu tej, w której nauczał i wypędzał złe duchy. Trzy wejścia, rzędy kolumn, z prawej wyjście na dziedziniec.

Jak z tej spalonej słońcem ziemi tyle pięknego, różnorodnego i z takim charakterem wyrasta?

Statkiem na drugą stronę, do kibucu Ein Gev. Gładka torń. Jak w niecce otoczony górami i niebem.

Z lewej kraj Gadareńczyków, gdzie wypędzone demony weszły w stado świń, które skacząc z urwiska utopiły się.

Brązowo-biały kamień z brzegu Jeziora Genezaret.

Szeroka dolina i Góra Tabor. Wijącą się wąską serpentyną wśród skał i drzew na szczyt. Blisko nieba. Mojżesz, Eliasz, Jezus i trzech apostołowie. Ich cienie. Tajemnica Przemienienia. Ruiny, mozaika, bramy, wieże i wiatr.

Widok na dolinę Jizreel, góry Gilboa i Karmel. Megiddo. Od północy wzgórze Galilei, wśród nich Nazaret i Jezioro Genezaret, za nimi Hermon, od południa wzgórze Samarii.

Cztery czarno-białe kamienie ze szczytu.

Wieczór zapada powoli, ale w jednej chwili robi się ciemno.

O świcie gruchanie dwóch szarych gołębi.

Palmy, plantacje, kwiaty i skały. Nagrzane słońcem kamienie, sucha, spieczona ziemia i żyzne brzegi Jordanu.

Przez Samarię w stronę Judei, do Jerozolimy i do Betlejem. Po lewej zielone drzewa i pola, po prawej pustynia i skaliste stoki. Raz jedno, raz drugie lub na krótko jedno lub drugie z dwóch stron. Na błękitnym niebie szare strzępiaste obłoki.

Z jednej strony skały, z drugiej pola, winnice, sady i oliwniki.

Rów Jordanu.

Spalone trawy i czarne plamy. Na wschodzie Wzgórza Golan. Pustynia, skały, kamienie i zielone meandry. Żyzna ziemia i pustki. Wyżyny i niziny i feeria światła.

Góry, skały i niebo. Kurz, proch, pył i promienie słońca. Wśród zielonych i żółtych traw i wzdłuż skalistych wzgórz posuwamy się w stronę Jerusalemu.

Czyste niebo, błękit, biel, brąz, czerń, popiel, żółć i ich odcienie. Pagórki, wzgórza i pustynia, skały i kamienie i pola z uprawami, palmy i las i naraz przez chwilę z jednej i z drugiej strony pola i drzewa i po chwili znowu z jednej jedno, a z drugiej drugie.

Tak jak z jednej strony jest grzech, a z drugiej – odkupienie.

Zmienność i stałość w jednym i w drugim widoku. Przenikające się formy i dopełnienia.

Góry z piasku i skalne kraterzy, sterty kamieni i ostre krawędzie. Pod niebem, które jest jak znak.

Moszaw Tomer. Od zachodu góry Samarii, od wschodu góry Moabu. Spice skał i grzbiety wzgórz. Nawadniane gaje palmowe. Upał i kurz. Objuczony osiołek na białym piasku. Juki. Ziemia, gdzie nie ma nic i gdzie jest wszystko. Niebo i duch, asceza, surowość i nadmiar.

Pustynia Judzka i doliny wokół Jerycha. Oazy, ogrody, sady i palmy. Beduin na osiołku, pasące się wielbłądy, kiście zielonych bananów. Błękit i szare szczyty gór.

Jordan, miejsce chrztu. Wąska rzeka porośnięta szuwarami, śliskie stopnie drewnianego mostku. Ludzie na drugim brzegu. Zamoczenie stóp.

Tu, wśród tych gór i wzgórz, na pustyni i w oazach żył Jan Chrzciciel, ostatni prorok.

Jakiś zastój. Zastój i ruch.

Zdumiewająca różnorodność jest w tej jednolitości. Surowe formy, które rodują tyle pięknych linii i kształtów.

Żar, żółte pagórki i bujny gąszcz na brzegu, warzywniki, krzewy i ogrody.

Jerycho, kościół Dobrego Pasterza.

Suchy piach, gorące kamienie i kępy zakurzonej zieleni. W dali góry i skały.

Jozue i mury. Jozue zwycięzca. Upał czterdzieści stopni. W dolinie drzewa i uprawy. Cierniste krzewy granatów.

Pod sykomorą, drzewem Zacheusza.

W krainie Kanaan, w Hebronie – mieście Abrahama, Izaaka i Jakuba i królewskim mieście Dawida.

Jasnobrzózowa, jakby usypana z piasku Góra Kuszenia. Na zboczu dziury nor, z lewej zabudowania i krużganki i krzyż na wzniesieniu. Na dole drzewa, zielone pola i białe domy. Wysokie niebo i szczyt. Kamienie, klęczący wielbłąd, kram Araba. Dwadzieścia jeden kilometrów do Jerozolimy.

Piaszczyste góry i pagórki pustyni Judzkiej.

Morze Martwe. Za białą dalą wzgórza. Palący stopy piasek, ciepła woda, na dnie błotne grzęzawisko i kamienie. Idzie się jak po magmie, raz po raz zapadając się lub wpadając w dół i łatwo można upaść, uderzając o kamień.

Co w głowie nad brzegiem Morza Martwego? Same niepokoje. Co jest na ziemi najważniejsze? I w jednej chwili odpowiedź: dobro, łaska i wiara, w tej kolejności. Nie prawda, nie miłość i nie nadzieja? Dziwne. A może jednak miłość jest najważniejsza?

Przy stoliku pod baldachimem. Palmy, drzewa i kwiaty. Gwar głosów, ruch, krążenie, chodzenie tam i z powrotem.

I do Betanii. Spalona słońcem ziemia, pył i kurz. Suche pola, wzgórza i góry, nieliczne kręgi zieleni. Zbocza z kamieni i z piasku.

Podjazdy, zjazdy, wzniesienia i spadki, jak fale morza, które jest raz bardziej, raz mniej wzburzone.

Skaliste grzbiety, zręby, doliny i równiny i znowu falowanie, pagórki, wzgó-
rza i góry. Pojedyncze szałaszy i osady beduińskie.

Wśród skał i kamieni przebijamy się w stronę Jerozolimy. Tu niebo nie jest
tak otwarte jak w Galilei, jest bardziej oddalone i przysłonięte.

Jerusalem – 15 kilometrów.

Przyczepione do skał altanki beduinów.

Drzewa i trawa, sucha zieleń. Betania. Trzy kilometry od Jerozolimy, która
jest tuż za Górą Oliwną. Grób Łazarza. Prostokąt w kamiennym murze. Wąskie
strome zejście, wysokie schody, dwie komory. Pieczara. Z ulgą wychodzi się na
światło. Zawodzenie muezina.

Przez tunel i na światło. Poniedziałek, 8 lipca, godzina 17.09. Z lewej strony
białe mury Jerozolimy. Góra Syjon, Kopuła Skały i Cedron.

Jest osadzona mocno, ale rozrzucona, jakby bez planu, ukształtowana we-
dług terenu, na wzgórzach i w dolinach.

Wysokie mury z blankami. Miasto bez jednolitego stylu i bez zwartości – roz-
rzucone i różnorodne, jakby było w ruchu, w przemianach. Jest w nim tak jak
i w drodze do niego wszystko co jest najważniejsze między dwoma biegunami.

Domy w zielonej dolinie Gehenny.

Wjazd za betonowy mur z zasiekami, posterunek, Bajt Dżala. Wieczorem
głośny śpiew muezina. Przez godzinę na wprost błyszcząca gwiazdka, sama na
całym niebie, a gdy zniknęła, pojawiło się dziesięć.

Betlejem, miasto Jezusa i Dawida. Bazylika Narodzenia. W białoszarym mu-
rze obronnym niskie i wąskie wejście. Kaplica Świętej Heleny. Błyskotki naszych
Świąt i to, co dokonało się tu, w tych surowych ascetycznych grotach.

Słowo i tajemnica Wcielenia. Spokój, ale inny niż ten na Górze Błogosła-
wieństw czy w Nazarecie, bliższy spokojowi Morza Martwego.

Jasne mury, sklepienia i posadzki. Skalne bloki i równo ociosane kamienie. Na kolumnie święty Hieronim z piórem i czaszka u jego stóp. Obok, w przejściu, święty Jerzy, który zabija smoka.

Ciasnym wejściem między czterema kolumnkami i wąskimi krętymi schodami w dół. Biała Grota Mleczna – miejsce, które wskazała gwiazda.

I biała kamienna grota Hieronima, jego pracownia. Chropowate ściany, okno u góry i jakby schody, przejście. Około dwadzieścia na dwadzieścia metrów i tyle samo wysokości. Tu wykuwał Wulgatę.

Pochowany jest w sąsiedniej grocie, z prawej strony. Obok grota świętego Józefa, w której ukazał mu się anioł i dalej grota Młodzianków.

Tymi grotami dochodzi się do Groty Narodzenia, przy której są ołtarze Żłóbka i Narodzin. Mógł tam chodzić, nie wychodząc na powierzchnię.

Trzy święte miejsca: Grota Narodzenia, Grota Grobu i Grota na górze Oliwnej, gdzie nauczał prawd ostatecznych i słów modlitwy Ojcze Nasz.

Pole Pasterzy w słońcu. Tu biedni beduini paśli swoje stada. Ich ciemna grota i siedzenie tam.

Zachodnia Jerozolima. Piaskowiec i wzgórze En Kerem, za górą Miasto. Jan Chrzciciel i jego miejsca – tam czuje się ducha.

Wieczorem gwiazdka, na wprost, nad wieżami i dachami Betlejem – wędruje z góry na dół i po godzinie znika. I pojawia się dziesięć rozrzuconych po całym niebie.

LESZEK SZARUGA

Jazda (27)

71.

Przedzieram się przez trzeci tom *Dzienników* Sławomira Mrożka i z narastającym zdumieniem śledzę mrówczą zaiste pracę profesora Macieja Urbanowskiego, który dzieło to opatrzył przypisami. Oczywiście – mistrzostwo świata w tej dziedzinie, jakim są przypisy Hanny Kirchner do dzienników Zofii Nałkowskiej pozostaje chyba poza zasięgiem każdego. Tu natomiast zadziwia co innego – powiadamanie czytelnika o tym, co kryje się za wielce tajemniczym pojęciem „Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego”, dopowiedzenie co to takiego miesięcznik „Twórczość”, ujawnienie tego, o jaki obiekt chodzi w wypadku King Konga czy uświadomienie maluczkim kim jest pan Jourdain. Ale w zasadzie nie powinno mnie to dziwić. Niedawno jeden ze znamienitych aktorów ujawnił w którymś z programów telewizyjnych, iż połowa kandydatów na studia w szkole teatralnej nie ma pojęcia o tym, kim był niejaki Molier. Moi, urodzeni już w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia studenci mają oczywiście problemy z rozpoznawaniem tak skomplikowanych skrótowców jak pzp czy zms, nie mówiąc już o sp czy nawet ormo, ale mają też kłopot z umiejscowieniem w czasie Powstania Warszawskiego, a nawet powstania „Solidarności”. To jednak kłopoty innego zupełnie typu niż te, które ujawniają przypisy Urbanowskiego, gdyż w tym wypadku nie chodzi o fakty historyczne, lecz o zasób wiedzy pozwalający na względnie swobodne poruszanie się w przestrzeni kultury. Bo niewątpliwie takie problemy poświadczą fakt, iż pisząca pracę licencjacką studentka, gdy musi przywołać z jakichś powodów nazwisko Goethe, pracowicie opatruje je przypisem, gdyż nie tylko sama przedtem nie wiedziała, z czym to-to kojarzyć, ale zdaje sobie sprawę, że dla wielu jej rówieśników to postać nierozpoznawalna.

Gdy niedawno omawiałem problemy związane z minikonstelacją wierszy Tadeusza Różewicza poświęconych jego recepcji poezji Ezry Pounda, na wstępie zacytowałem poświęcony tej samej problematyce wiersz Ryszarda Krynickiego, w którym nazwisko poety się nie pojawia – jest tylko imię autora *Cantos* w zwrocie: „Cóż, Ezra...”. Z sali padło pytanie: „Co to za Ezra?”. No właśnie...

Sporo ostatnio wysypało się dzienników, niektóre, jak podejrzewam to w wypadku książki Macieja Cisły *Błądźnik*, już częściowo zablogowane czyli wyrastające z blogów lub w nie wrastające, co pokazuje, jak powoli zmienia się sam sposób tworzenia literatury (bo wszak o literackość tu chodzi, a nie tylko o eksponowanie własnej osobowości – jeszcze nie czytałem *Kronosa* Gombrowicza, ale bardzo jestem ciekaw jego zmagania się w tych zapisach z Formą, możliwością uwolnienia się od pozy, co swego czasu trafnie pochwycił Herling-Grudziński, gdy pytał, zdając sprawę z lektury dziennikowych zapisków Samuela Pepysa, o to, gdzie przebiega granica pomiędzy szczerością i prawdą). Dziennik Cisły, owszem, interesujący, mieszający gatunki, pełen poezji, własnej i cudzej, opisujący szmat życia – choćby przez wstawki wspomnieniowe. Ale zatrzymał moją uwagę fragment osobliwy. Otóż 14 października 2004 roku notuje autor: „Dziś Ania [Janko] w Dreźnie, zaproszona przez Petera Gehirscha, poetę i redaktora »Ostragehene«. Ulubionym zajęciem Gehirscha jest tłumaczenie Norwida. Podobają mi się *Wiersze częstochowskie* Cypriana Kamila w przekładzie Petera, na przykład ten o Brysiu i Mysiu:

*Hinter dem Schimmeltier
Hinter Ochsegehörn
Mit Hunden in Frost, im feuchten Revier
Von gelben Hunden durchstreunt.
Einer heisse Rex,
Der andere, Grauhaar, Petz,
Und noch eine Hundin in Fleckenflanell
Die auf den Goldfeldern Ausschau
Hält nach einem Mausfell,
Nach Maulwurfsbeute am Zaun“.*

Za siwymi wołami,
Za rogatymi,
Po mokrym lesie, z psami,
Z psami chadzam żółtymi.
Jeden zwie się B r y s i o,
A drugi, bury, M y s i o,
A jest i suka w łaty,
Co po rżysku, po złotem,
Szuka myszy kosmatej,
Kretów szuka pod plotem“.

I otom się zadziwił. W „powrotnym” przekładzie bowiem, skupionym na treści, a nie formie tłumaczenia Gehirscha, niemiecki czytelnik dostaje następujący wierszyk: „Za siwkami / Za wołów porożem / Z psami na mrozie, w wilgotnym

rewirze / Z żółtymi psami się wałęsa. / Jeden nazywa się Rex, / Ten drugi, siwo-
włosy, Petz. / I jeszcze suka w plamiastej flaneli / Która na złotych polach wypa-
truje / Mysich łapek, / Kretów pod płótem”.

Ja wiem, takie „powrotne” przekłady to swego rodzaju skandal i każdego można tym niezłe skołować. Ale skąd się wzięły „siwki” (jako żywo chodzi o ko-
nie), skąd mróz (dość dziwny w okoliczności złotego rżyska u Norwida), dlacze-
go nieszczęsna suka przyodziana zostaje w plamiastą flanelę, gdzie się podział
las, no i co z B r y s i e m i M y s i e m? Co zostało z sympatycznego skądinąd
wierszyka kumpla Cisty, Cypriana Kamila? Tym bardziej mnie to interesuje, że –
pomijając stereotypowego Rexa – imię Petz kojarzy się w niemieckim z „Petze”
czyli „skarżypyta” bądź z „petzen” czyli „skarżyć”. Rozumiem, że, jak powiada
przysłowie poetyckie, „na dobrym rymie wszystko się trzymie”, ale przecież nie
wszystko można i wolno tłumaczowi dla rymu poświęcić. Imiona psów (nie przy-
padkiem w oryginale zapisane drukiem rozstrzelonym, myślę, że nie od rzeczy
będzie przypomnienie takich choćby zwrotów, jak nazywanie kogoś „Mysiem-
Pysiem” czy „Kizią-Myzią”; z kolei w śląskiej mowie „bryś” = „chłopak”; zapew-
ne i Norwid miał tu jakieś swoje odniesienia, ale że były ważne, o tym zaświad-
cza forma zapisu) są tu znaczące – w tłumaczeniu ich w ogóle nie ma, są zastą-
pione byle czym, jakimś Rexem czy Petzem. Tak zatem zadziwiam się dalej: co
mianowicie Maciejowi Ciśle się w tym przekładzie podoba? I pytam: kogo jesz-
cze poza Cyprianem Kamilem tłumaczy Peter?

73.

Prowadząc zajęcia zatytułowane *Problemy przekładu literackiego* staram się
uniknąć zbytniego teoretyzowania, a skupiam głównie na konkrety, na często ol-
brzymiej pracy, którą dla próby ocalenia tekstu w nowej wersji językowej musi
wykonać tłumacz. Oczywiście jest fakt, iż każdy przekład jest interpretacją
– tu zresztą polski termin „tłumaczenie” jest wyjątkowo szczęśliwy, gdyż obej-
muje zarówno sam przekład, jak wyjaśnianie i interpretację. Pierwszy z brzegu
przykład: Celan. By dotrzeć do znaczenia różnych warstw wiersza *Sibirisch* (tytuł
„muzycznie” po polsku nie do zrobienia, gdyż odwołuje się do dźwięku skrzy-
piec: polski tytuł *Syberyjsko*, choć wierny „treści”, nie niesie w sobie owego wiz-
gu, jaki budzi przesuwanie smyczka po strunach), trzeba spróbować zrozumieć,
do kogo ten wiersz jest zwrócony: pojawia się tu bowiem tajemnicze „ty”. By
do tego dotrzeć, warto sobie uzmysłowić – zdobyć o tym wiedzę – że Celan był
światnym tłumaczem poezji Mandelstama (w ogóle tłumaczenia z rosyjskiego

odgrywały w jego twórczości trudną do przecenienia rolę i bez wątpienia wpływały na jego własną poetykę; tłumaczenie jednego z wierszy rosyjskich uznała Ingeborg Bachmann za szczególnie ważny wkład Celana w niemieczyznę). I gdy zastanawiałem się dlaczego niemiecko-żydowski poeta sięga nagle po pozornie egzotyczny temat „syberyjski”, wówczas uświadomiłem sobie, że owym „ty” może być właśnie ów „wdzięczny gość Boga”, jak go w tytule swej znakomitej książki określił Ryszard Przybylski – właśnie Osip Mandelsztam. Jest, oczywiście, w tym wierszu także jakaś nuta chagallowska, lecz to już dalsze skojarzenie. Mandelsztam natomiast, tak ze względu na swą poezję, jak i na swój los był bez wątpienia dla Celana ważny. W końcu śmierć Mandelsztama to potwierdzenie wspólnoty losów w różnych rejonach „wilczego wieku”.

Podobnych przykładów można mnożyć wiele, niekoniecznie zresztą w odniesieniu do tłumaczenia poezji. Znakomicie to opisała Elżbieta Tabakowska w znakomitej książce *O przekładzie na przykładzie* (pyszna gra słów) poświęconej perypetiom translatorskim towarzyszącym tłumaczeniu przez nią *Europy* Normana Daviesa. I gdy się nad tym zastanowić, okaże się, że właśnie tłumacze są jednymi z najbardziej kompetentnych, najwszechstronniej wykształconych ludzi na naszej planecie. Miał też zapewne rację Richard Rorty, gdy w jednym ze swych wystąpień powiedział, już dość dawno temu, że wiek XXI będzie należał do tłumaczy, albo go nie będzie. Zobaczymy. W każdym razie ważną wskazówką w tej materii powinna być uwaga Karla Dedeciusa, tłumacza o wielkim i znaczącym dorobku, powiadająca, że tłumaczenie zaczyna się tam, gdzie się kończą słowniki. W szczególności zaś dotyczy to tłumaczenia poezji, gdyż język poetycki jest tym, który najbardziej dynamizuje nasze słownictwo i reguły jego użycia, co zresztą nie tak trudno wykazać.

74.

Na łamach „Tygodnika Powszechnego” (nr 23/2013) Paweł Bravo zastanawia się nad tym, „jak i kiedy nad dyskursem okołoliterackim w mediach zaczęły ciężić maniery i chwytły wzięte z bogatych gałęzi showbiznesu” i powiada dalej: „Ponieważ kreowanie skandali i medialnej klaki potrafi być relatywnie tanie, to już w latach dziewięćdziesiątych, kiedy wydawców ściśle literackich nie stać było na profesjonalny marketing, zdarzały się udane zajazdy piarowe na terytoria dziewicze, strzeżone kiedyś przez kapłanów krytyki”. To wszystko prawda i prawdą jest również fakt, że nastąpił „uwiad krytyki i czasopism, w jakich się pojawiała”. Ale co to znaczy i dlaczego tak się dzieje?

Przyczyn jest zapewne sporo i mają one różny charakter. Osobiście sędzę, że „nad dyskursem okołoliterackim” zawsze ciążyły jakieś maniery – a to ideologiczne, a to opozycyjne, a to buntownicze. Lecz dawniej literatura po prostu inaczej była ulokowana na mapie życia publicznego – zajmowała na niej, z powodu braku konkurencji „medialnej”, nieporównanie większe obszary niż to jest dziś możliwe. Gdy opowiadam moim studentom, że pierwszy telewizor pojawił się w moim domu, gdy miałem lat osiemnaście, patrzą na mnie jak na okaz prehistorycznego jaszczura, który jakimś cudem, jak te na wyspie Galapagos, zdołał przetrwać do współczesności. W okresie peerelowskim z kolei doszła do tej dominacji literatury jej atrakcyjność „polityczna” – dość przypomnieć poczytność takich koszmarków jak *Kolumbowie* Bratnego czy *Małowierni* Putramenta – działa się tak za sprawą połączenia pewnych umiejętności rzemieślniczych ich autorów z lekkim poluznieniem cenzury (komuna przecież miała swoich literatów, którym było „więcej wolno”). Połączenie artyzmu i dążenia do powiedzenia prawdy o naszych losach, jak choćby w wypadku powieści Konwickiego w sposób oczywisty budziło zainteresowanie czytelników, którzy – co tu dużo gadać – niewiele poza tym mieli do wzięcia. Dość przypomnieć nakłady: przecież dość powszechnie uważano, że „podstawowy” nakład, jaki się przyzwoitej książce „należy”, wynosić winien dziesięć tysięcy egzemplarzy, niższy uważano za „karę”. I to „schodziło”! Nakład *Poezji* Wisławy Szymborskiej z roku 1977, a zatem z okresu, gdy o Noblu dla niej nikomu się nie śniło, wyniósł właśnie owe dziesięć tysięcy (plus dwieście dziewięćdziesiąt egzemplarzy), a pamiętam, że zdobyłem ten tom „spod lady” i z niemałym trudem, „po znajomości”. Jej *Wybór wierszy* wydany dwa lata później ukazał się w nakładzie trzydziestu tysięcy sztuk, a jego „zdobycie” graniczyło z cudem. Nawet po Noblu w nowych okolicznościach literackiego funkcjonowania takie nakłady, o ile mi wiadomo, bo dziś przecież tego się na ogół nie ujawnia, to senne marzenie.

Ale daleki jestem od stwierdzenia, że „dziś jest gorzej”. Dziś jest po prostu inaczej. Inne jest miejsce literatury „wysokiej” – zapewne została ona zbyt zmarginalizowana, ale, prawdę mówiąc, na wiele więcej liczyć nie powinna. Za literaturę sprawy „załatwia” wolna publicystyka, wielogłosowa, dużo bardziej niż dawniej drapieżna, nawet agresywna. Jej połączenie z wypowiedziami polityków, zarazem spłaszczenie dyskursu dotyczącego sfery publicznej sprawia, że „żeromszczyzna”, by posłużyć się pewnym skrótem myślowym, zepchnięta została do nisz i, jak to przed laty skonstatował Miłosz, „żyjemy na wyspach”. I tak już będzie: nie ma powodu do dramatyzowania, choć oczywiście chciałoby się więcej. Ale więcej nie będzie. Czytanie utworów literackich jest sztuką trudną, do

której trzeba jej adeptów porządnie przygotować, a przede wszystkim w ogóle zdobyć ich w konkurencji z innymi „sztukami”. Kto ma to robić? Ale, rzecz jasna, trzeba się zastanowić nad tym, jak wspierać wydawców owych z definicji już niskonakładowych ksiązek. Sami zresztą też muszą się o to zatroszczyć, gdyż wiedzą przecież, że dobra i ambitna powieść z filozoficznym „bagrandem”, jeśli się na rynku jakoś przebije, to i tak jej sprzedaż ledwie zwróci koszty publikacji (poza wyjątkami, rzecz jasna).

PIOTR SZEWC

Z powodu i bez powodu (32)

Bez tytułu i daty (XXVI)

Indyk robił trzy, cztery, pięć kroków przed siebie, po czym zawracał. Zatrzymywał się i znowu ruszał w tę lub inną stronę, by zaraz zawrócić. Gulgotał, wciągał i z sykiem wypuszczał z wola powietrze. Wole częściowo było odsłonięte – można by powiedzieć: łyse – bez piór, dlatego przypominało bęben. Z jego środka zwisał podobny do końskiego włosia pędzel. Indyk opuścił skrzydła, wystrzępionymi końcami lotek dotykał zamrażającej ziemi, jakby nieustająco salutował, i szurając kreślił lotkami niewidzialne ślady. Pomarszczona skóra na głowie zmieniała kolor: jaśniała, czerwieniała, stawała się fioletowa, sina. Może złościł się, może gniewał się, a może się cieszył. Popisywał się. Tokował na mrozie w ostrym słońcu na powierzchni paru metrów, tylko mnie miał za widza swego przedstawienia. W sąsiedztwie były drewniane komórki, kurniki, chlewy, ogrodzone siatką wybiegi dla zwierząt. Znalazłem się tam podczas którejś z cotygodniowych praktyk nieopodal budynku mojej szkoły średniej. Który mógł to być rok? 1977? 1978? Nie mogłem, nie chciałem oderwać od niego wzroku. Był, jest arcyindykiem.

Koleżanka Marysi i Mamy, Teresa, opowiada w drodze z kościoła, że zmarł ktoś z jej domu. I po zmarłego – powtarza kilkakrotnie – „przyjechał parawan”. Jakbym słyszał Jaśkę. Zresztą Teresa i Jaśka oczywiście znają się.

Nawet nie zauważyłem, kiedy późny wieczór zmienił się w noc, żar w kuchennym piecu obrócił się w popiół, na wystygłej płycie woda w dużych garnkach zrobiła się ledwo letnia, za uchylonymi drzwiami w pokoju bezgłośnie i uporczywie migotał telewizor, spała Babcia i Dziadek, czasem, tylko żeby przypomnieć o swoim istnieniu, na podwórku zaszczekał któryś z dwóch psów, po framugach drzwi sieni koty wdrapywały się na dach i z dachu wchodziły na strych, ćmy odbijały się od szyby, a ja ścierpięty, nie pamiętając o Bożym świecie, siedziałem koło lodówki i czytałem *Witraż*.

Niepisany – intencjonalny i emocjonalny – kod pejzażu, czyli widoków natury, ukształtowania pól, dróg, budowli i oznak kultury życia mieszkańców (np. zamiłowania do porządku, typu uzewnętrznianej estetyki), przemawia natychmiast i nieomylnie. Odnajdujemy się w nim ze swoją wrażliwością – a wtedy „rozumujemy”, „czujemy” i traktujemy jak własny – lub nie odnajdujemy. Kod pejzażu jest jakością skomplikowaną, nieoczywistą, zwykle subiektywną.

Jeszcze jeden, mimo upływu wielu lat, bolesny włos pod powieką: stałem na przystanku autobusowym na ulicy Hanki Sawickiej, naprzeciwko mojej ówczesnej szkoły – Technikum Rolniczego. Do komina na dachu szkoły przymocowany był pęk szczipionego drutu, sterząc wystawał ponad komin. Chyba przez nieostrożność, bo jakże inaczej, pośród tych metalowych prętów, uwięzło skrzydło gawrona. Gawron szamotał się i padał z siłą, unosił się na jednym swobodnym skrzydle szarpany przez silny wiatr. Walczył ze swoją bezsilnością, z wiatrem, z pułapką. Nadaremność jego wysiłku wyglądała groteskowo i makabrycznie. Gawron był wolny, wysoko ponad dachem w powietrzu, i uwięziony nieodwołalnie i nieumyślnie.

Krynicky przerabia się: skraca, destyluje, kondensuje swoje utwory. Im będzie go mniej, tym będzie więcej? O co w tej pracy chodzi? Sylabizuję jego nazwisko, jakbym miał uzyskać podpowiedź: Kry-nic-ki.

Na mszy wielkanocnej w 2013 roku w „moim” kościele stałem pod wizerunkiem XI stacji Drogi Krzyżowej: Pana Jezusa do krzyża przybijają. „Ofiara młodzięży z Kalinowic” – informowała tabliczka o fundatorach. Jak przebiegała – zastanawiałem się – ówczesna zbiórka w podzamajskich wsiach? Kto ją prowadził? Młody ksiądz Giermakowski? Pod nogami nieskończenie wiele małych kwadratowych płytek układało się w monotony wzór, który wiódł mnie w stronę dawnych grzechów. Już ich dokładnie nie pamiętam, zostały w konfesjonałach, lekkie i ciężkie, nie wszystkie banalne. Oparcie drewnianej ławy wolno rozgrze-

wało się od mojej dłoni, a może drewno w milczącym porozumieniu zwracało mi cząstkę energii, którą kiedyś na nim zostawiłem?

Kto policzył źródła i źródelka Łabuńki? Podobno bije ich około dwieście. Można je znaleźć na podzamojskich łąkach, w okolicach Łabuń, Łabuniek, Barchaczowa. Prawym dopływem Łabuńki jest Czarny Potok, czyli, jak powiedzielibyśmy w domu, Granicznik. W Ruskich Piaskach pod Zamościem Łabuńka wpływa do Wieprza. Światło nad Łabuńką zapamiętałem i widzę jako zielononiebieskie.

W słoneczne, suche i bardzo ciepłe południe 18 kwietnia 2013 roku na stacji Łódź Kaliska, gdy wysiadłem z pociągu Arkadiusz Morawiec powiedział mi, że lubi zapach podkładów kolejowych, bo przypominają mu wakacje i są zapowiedzią przygody. I mnie podkłady kolejowe kojarzą się z rozgrzanym powietrzem wakacyjnych dni. Jak najbardziej z przygodą. Pachną drewnem i smarami, które kapią na nie z przejeżdżających lokomotyw. Moje najdawniejsze tory i podkłady znajdują się przed Starym Miastem w Zamościu, przecinają ówczesną ulicę Partyzantów. Przy chodniku, obok ulicy i przejazdu, stała budka dróżnika, który opuszczał szlabany, gdy zbliżał się pociąg. W kolejce stały autobusy miejskie, auta i furmanki. Na chodnikach, po obu stronach ulicy, cierpliwie czekali przechodnie. Dla mnie, w latach sześćdziesiątych, przejeżdżający tamtędy pociąg był atrakcją. Liczyłem wagony. Zwykle były to wagony towarowe.

Koniec kwietnia. Najpierw w poniedziałek wydało mi się, że zza ściany lub z mieszkania nade mną słyszę heblowanie. Ale już we wtorek rano byłem pewny: to gołębie. Założyły gniazdo w kanałach wentylacyjnych, a te przeciągłe odgłosy, huczenie, wydają przed zniesieniem jaj. Ósme piętro i dają radę. Zastanawiam się, jak młode wydostaną się stamtąd na świat.

Niespodzianka na straganie u zbiegu Broniewskiego i Włociańskiej: jest pani, u której kupowałem warzywa i owoce zeszłego roku. Uśmiechnięta, energiczna, sympatyczna, jak przypuszczam ma pięćdziesiąt kilka lat. W kilku zdaniach powiedziała mi „wszystko”: jest z południa Polski, z okolic Zawiercia, tam spędziła zimę, wróciła na sezon, będzie tu do jesieni. W Łomiankach wynajmuje pokój za 400 zł, ma dobry dojazd autobusem na Żoliborz. Cieszy się, że poznają ją klienci. Ma młodą kapustę po 6 zł. – Jak pan kupi dwie – proponuje mi – sprzedam za 10 zł. Moja poprzedniczka trzymała sztywno ceny i kilka kapust wyrzuciła. Ja inaczej.

Z końcem sierpnia rósł w nas niepokój: za kilka dni mieliśmy kolejny raz iść do szkoły... Z piłką lub bez piłki popołudniami spotykaliśmy się na boisku. Obok, w małym sadzie dojrzewały jabłka i orzechy włoskie dyrektora Antoniego Flisa, pomiędzy rzędami drzew owocowych na zachwaszczonych grzędach czekały na swoją coraz rychlej zbliżającą się porę ziemniaki, marchew, buraki i cebula. Główny, piętrowy budynek szkoły stał zamknięty i głuchy jak pusta twierdza. Za trzema ciemnymi oknami klasy „fizycznej” widziałem cień pani Aliny Bodysowej – pokazywała nam, jakich cudów potrafi dokonać pocierana o sukno czarna ebonitowa laska.

Trasę Wyścigu Pokoju wyznaczaliśmy na gliniano-żwirowym chodniku wzdłuż drewnianego płotu, za którym na Polnej mieszkali Oberdowie. Chodnik był suchy i pylił albo po deszczu mazał się i brudził buty. Podobnie tuż obok chodnika koleiny i wyboje nieutwardzonej ulicy-drogi: pyliły albo stały w nich lusterka kałuż. Do Wyścigu Pokoju podchodziliśmy ambitnie. Środkowy palec miałem w końcowej części zaczerwieniony i poraniony od kapsli.

Którzy to moi rówieśnicy wyjmowali matkom spod noża głów kapusty przy krojeniu i natychmiast zjadali? Nie pamiętam.

Przez wiele lat jajka owijaliśmy w podarte na kawałki gazety: „Gospodyni”, „Sztandar Ludu”, „Kurier Lubelski”, „Kamień” i inne tytuły, które Mama i Marysia przywoziły do Babci. Owinięte w papier, jajka pakowaliśmy w torebki po cukrze. I tak, z innymi wiktuałami, jechały do Zamościa. Można się było pochwalić, że żadne jajko się nie zbiło.

W końcu maja obserwuję, jak para wron siwych karmi młode w gnieździe w koronie wysokiej brzozy na ul. Broniewskiego, między domami 20 a 22. Trochę w związku z tym, a trochę bez związku przypominam sobie, jak wiele kurcząt utopiło się na Czołkach w wiadrach i wannach napełnionych wodą, które zapomnieliśmy nakryć. Wiadra i wanny, większa i mniejsza, stały przy studni, piły w nich krowy i koń.

W piątej klasie, w latach 1972–1973, chodziłem na „tańce” do Młodzieżowego Domu Kultury na ulicy Kołłątaja w sąsiedztwie ratusza. Nabór na „tańce” odbył się w szkole na zasadzie łapanki, bo raczej nie było chętnych. Moją partnerką była Elżbieta Kawałko z Kalinowic z równoległej klasy „a” (ja byłem w „b”). Nie-

wiele z „tańców” pamiętam, odbywały się chyba raz w tygodniu. Łączyły rytmikę z podstawami tradycyjnych tańców. Nie zostałem tancerzem, wszelkie wysiłki, żeby mnie czegoś nauczyć, poszły na marne.

– Edziooo – wołał w ciepły letni wieczór do swego pracującego jeszcze w polu syna wujek Mietek Mazurek, mąż ciotki Marysi (Marysieńki), młodszej siostry Babci Szewcowej. W ciszy głos wujka Mietka brzmiał donośnie i niósł się daleko. – Edziooo – powtarzała Babcia, otwierając szeroko usta. Robiła to na domowy użytek, dla śmiechu.

– Małgoniu – tak pani Bilowa zwracała się do kilkuletniej Małgosi. A Babcia oburzona mówiła do pani Bilowej: – Przecież ma pani w rodzinie Małgosię, ją może sobie pani nazywać Małgonia! – Chodziło o siostrzenicę Bilowej z Łapiguza, już mężatkę, z domu Szczygłównę. W Małgoni oburzenie u Babci wzbudzała „gonia”. Babcia uważała, że pani Bilowa zwracała się tak do Małgosi złośliwie. – Ale ja nic złego nie chciałam powiedzieć, Małgonia to tak ładnie – odpowiadała pani Bilowa. Babcia na to: – Niech pani tak nigdy więcej do Małgosi nie mówi, stanowczo panią proszę.

KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

20 lat

kwartalnik.art@pl.

Błoński

Herbert

Beckett

Miłosz

Różewicz

Krynicky

Hartwig

Szyborska

Chwin

Celan Krynickiego

W książce Johna Felstinera, poświęconej Paulowi Celanowi (*Paul Celan, poeta, ocalony, Żyd*), z której wiele skorzystałam pisząc poniższy tekst, jej autor pisze, że „Celan urodził się w niewłaściwym czasie i miejscu. Przyjął swój los, ale nigdy się z nim nie pogodził”. Wydany w Polsce tom jego poezji, *Psalm i inne wiersze* poraża swoim okrutnym pięknem przenikającym tę poezję, którą Celan opłacił ceną swojego tragicznego losu.

Urodził się w roku 1920, w rodzinie niemieckojęzycznych Żydów, zamieszkałej w Czerniowcach, stolicy Bukowiny, która w roku jego urodzenia znalazła się w Rumunii. Po sowieckiej, a następnie niemieckiej okupacji w latach 1940–1944, po okresie pracy przymusowej, deportacji rodziców poety i powrocie Rosjan w 1944 roku, Celan przeniósł się do Bukaresztu, a następnie do Wiednia, by w 1948 roku osiąść w Paryżu.

Częste podróże do Niemiec i regularne publikacje poetyckie w tym języku sprawiły, że uchodził za poetę niemieckiego. Znał cztery języki i rozmiłowany był w poezji francuskiej.

Tłumaczył poezje Apollinaire’a, Paula Eluarda i surrealistów. Uwielbiał i tłumaczył Rilkego, Emily Dickinson, czytał Hoffmanstahla, Kafkę, Trakla i Nietzschego.

W poezji Celana pojawiają się zwroty hebrajskie, ukryte aluzje, cytaty i nazwy biblijne. (W jego rodzinie szabaty odprawiane były po niemiecku i po hebrajsku). Dostojna forma psalmu pojawia się w jego twórczości kilkakrotnie. Jeden z ostatnich jego wierszy kończy się słowem: szabat.

Zna obrządki, urodził się w domu, gdzie panowała duchowość żydowska, pieczołowicie przechowywana przez matkę, która znalazła uprzywilejowane miejsce w twórczości syna. Od młodości jest świadom, że żydowskość jest nieodłącznie związana z jego losem i stanowi przyczynę jego cierpienia i prześladowania. Swoje bóle i rozterki wyraża w poezji, której nadaje formę trudną, czasem nawet niedostępną dla niejednego czytelnika. „Moje wiersze zawierają w sobie judaizm” – pisze.

„Nie znaliśmy dotąd takiej poezji” – pisze jeden z krytyków. Znaleźć sposób na wyrażenie bólu bez hałaśliwej ekspresji i nie tracąc przy tym siły wyrazu i prawdy, to było zadanie, jakie stanęło przed Celanem, kiedy postanowił swoją poezją stawić

czoła grozie holokaustu. Jego wiersze to mowa rozedrgana, wymagająca współpracy czytelnika, często chropawa, pełna przeskoków myślowych, znaczeń symbolicznych, to znów uderzająca nieoczekiwaną otwartością. Bywa, że bogactwo obrazów niespodziewanie ustępuje miejsca prostocie, która może najlepiej wywiązuje się z bolesnego zadania. Jak w poruszającym wierszu *Śluz*:

(...)
Dla
wielu bogów
utraciłem słowo, jakie mnie szukało:
Kadysz.
(...)

Szuka w liryce własnej drogi, żadna przymiarka nie pasuje. Jeśli jest tam surrealizm, to w odmianie nigdzie niespotykanej, tragicznej. Nie można targować się o terminy, ponieważ powaga tematu przerasta tu zabiegi o sztukę. Nie dziwi nas więc zarzut, jaki Adorno postawił Celanowi, że piękno jego poezji nie licuje z grozą spraw, jakie podejmuje. W końcu jednak ugina się przed wymową wierszy Celana i przyznaje mu prawo do rozporządzania sobą w poezji.

Życie poety upływało w stałym napięciu i niepokoju, nawet w obozach pracy próbował pisać, walczyć o uratowanie swojej osobowości, o duszę swej poezji. Notuje: „Nigdy nie opuszczać głębi i trwać w dialogu z mrocznymi siłami”.

W tym czasie powstaje jeden z najbardziej poruszających utworów Celana: *Todes Fuge (Fuga śmierci)*. Celan nigdy nie powiedział, jak i kiedy została napisana, najprawdopodobniej w 1944 roku, w środku wojny. Miał wspomnieć kiedyś, że *Fuga śmierci* powstała na podstawie relacji opisującej Żydów grających muzykę taneczną w nazistowskim obozie. Wiersz, wielokrotnie czytany przez autora publicznie, robił na słuchaczach wielkie wrażenie. To w *Fudze* znajduje się słynny, budzący zgrozę zwrot: „Ta śmierć mistrzem jest z Niemiec”.

Pod koniec kwietnia 1945 przenosi się z Czerniowców do Bukaresztu, gdzie pokazuje swoje wiersze uznanemu bukowińskiemu poecie, Alfredowi Margul-Sperberowi, i znajduje uznanie. Pisze prozy poetyckie po rumuńsku, dużo tłumaczy z kilku języków. Ukazują się jego przekłady z Sofoklesa, Rilkego, Apollinaire’a, Marianny Moore i Emily Dickinson; z największym oddaniem tłumaczy Mandelsztama, mówi, że przekłady jego wierszy znaczą dla niego tyle, co jego własne. Po dwuletnim pobycie w Bukareszcie, wypełnionym zajęciami redakcyjnymi i tłumaczeniami Czechowa i Lermontowa na rumuński, przenosi się do Wiednia, gdzie spotyka młodą poetkę, Ingeborg Bachmann, z którą połączy go uczucie i poezja; jej twórczość rozwija się i dojrzewa pod wpływem poezji Celana. Pobyt w Wiedniu sprawia, że

poeta pisze teraz wiersze niemal wyłącznie po niemiecku, w języku znanym mu od dzieciństwa. Trudno mu jednak pogodzić się z tym, że jest to język oprawców i morderców.

Pielgrzymuje do Jerozolimy, na jego wieczory poetyckie przychodzą tłumy słuchaczy. Mówi do nich: „Przybyłem do Was, do Izraela, ponieważ tego potrzebowałem”.

Podobny, żydowski los sprawił, że zaprzyjaźnił się z pisarką Nelly Sachs, która uciekła przed antysemityzmem niemieckim do Szwecji. Korespondencja przemienia się w przyjaźń. Nelly Sachs zgadza się odwiedzić go, mimo niechęci do powrotu w świat, który opuściła.

Zmęczony monotonią ówczesnego wiedeńskiego życia Celan przeniósł się do Paryża. Wielu wspaniałych ludzi żyje w jego zasięgu, filozofów, poetów, myślicieli: Jaspers, Buber, Gershom Scholem, Adorno, T. S. Eliot, Trakl, Habermas, Gadamer, Beckett. Nigdy nie zetknął się z Beckettem, ale napisał kiedyś: „To prawdopodobnie jedyny człowiek, z którym byśmy się zrozumieli”. Nie wahał się też zawrzeć znajomości z filozofem o nastawieniu antysemickim i szowinistycznym, z Heideggerem, ciekaw jego wiedzy filozoficznej. Pogląd Celana na znaczenie poezji ulega z biegiem lat ewolucji: w 1954 roku zrywa z surrealizmem. Teraz widzi sens poezji w tym „by poruszyć sumienia

i oczyścić duchowy krajobraz”. Przez wielu uważany jest za następcę Hölderlina.

Ostatnie lata życia przebywa w Paryżu, o którym mówi, że to miasto zimne. Prowadzi tam żywot bardziej regularny niż poprzednio. Wykłada literaturę i język niemiecki w elitarnej Ecole Normale.

W jego życiu zachodzi duża zmiana: poślubia Gisèle Léstrange, ma z nią dwoje dzieci. Ale już w roku 1962 pisze w liście do przyjaciela: „W zeszłym roku koło świąt Bożego Narodzenia cierpiałem na dość ostrą depresję, ale udało mi się pod koniec września w końcu pozbiierać się i wrócić do Ecole”. Niestety, ataki te z czasem zaczęły przybierać na sile, wskutek czego musiał w roku 1965 spędzić kilka miesięcy w szpitalu. Był to zapewne jeden z powodów, że wyprowadził się od Gisèle i zamieszkał w małym, nędznie urządzonej pokoiu, gdzie prowadził życie samotne, ale nie przestawał pisać. Jego wiersze stają się coraz bardziej obolałe. Na zarzuty, że pisze poezję niezrozumiałą, odpowiada: „Co do mojego rzekomego kodowania, określiłbym je raczej nieprzemilczaną wieloznacznością”. Niestety, znaczna część jego twórczości nie poddaje się tłumaczeniu ani interpretacji. Cóż w tym dziwnego, skoro sam powiedział, że „poezja to mistycyzm”. Znaczący krytyk, Erich Kahler, który pisał

o dezintegracji w sztuce, stwierdza, że „tylko u Celana proces ten przybrał wymiar wewnętrznej, paradygmatycznej konieczności”.

Pozostawiony przez niego zbiór książek wskazuje, jak szerokie miał zainteresowania, daleko wybiegające poza literaturę. Kupuje książki poświęcone ludzkiej fizjologii, a zwłaszcza melancholii i psychiatrii – co zrozumiałe, interesuje się zoologią, mineralogią, fizyką, ornitologią. Jego życie jest nieustającą próbą zadomowienia się w świecie, od którego wciąż odpycha go choroba.

Udręczony coraz głębszą depresją popełnia samobójstwo rzucając się do Sekwany. Stało się to około 20 kwietnia 1970 roku. Żaden zapewne biograf Celana nie pominie faktu, że po jego śmierci znaleziono na biurku otwartą książkę Hölderlina, z zakreślonym zdaniem: „Czasem geniusz ten zaciemnia się i zatapia w gorzkiej studni jego serca”.

Psalm i inne wiersze, wzorowy, dwujęzyczny wybór wierszy Celana, jest owocem wieloletniej pracy Ryszarda Krynickiego, który pisze w posłowiu: „Tłumacząc wiersze Celana nieraz musiałem dochodzić do granic swoich możliwości i granic swojego języka. Ta poezja jest bardzo osadzona w różnych rejestrach i pokładach języka niemieckiego, który jest znacznie starszy i bogatszy, niż mowa, w jakiej przyszło mi się urodzić”. Jakie to szczęście,

że tłumaczenia tych wierszy podjął się tak znakomity poeta.

Julia Hartwig

Paul Celan, *Psalm i inne wiersze*, tłumaczenie, wybór i opracowanie Ryszard Krynicki, Biblioteka Poetycka Wydawnictwa a5, pod redakcją Ryszarda Krynickiego, Kraków 2013

Gombrowicz bez marynarki i z marynarzem

Spojrzyć na *Kronos* z perspektywy przyległej do Gombrowiczowskiej, wychowanej na Gombrowiczowskiej – oznaczałoby uznać go nie za „intymistyczny autentyk”, tylko za nową „provokację”, „konstrukcję”, która miałaby np. pokazywać, że jest wiele możliwych sposobów wyzyskiwania elementów z własnego życia do konstrukcji różnych autonarracji biograficznych. Jednakże Rita Gombrowicz w wypowiedziach prasowych oraz we wstępie do *Kronosu* podkreśla brak autokreacji w tym dzienniku i jego suplementary pod tym względem charakter wobec *Dzienników*, co miałoby oznaczać: te same fakty ujęte raz *sauté*, raz z *rodzenkowym sosem*, Albertyna naga vs. Albertyna ubierana. Można zatem przyjąć, że Rita Gombrowicz podtrzymuje grę męża, na którą część publiczności

się „nabiera”, traktując nowy dziennik jako autentyczny, część się „nie nabiera”, traktując go na podobnych prawach jak znany dziennik, a wszystko to zostało przewidziane. Od razu zaznaczę, że chciałbym się usytuować poza taką opozycją. Wskażę więc inny niż podsuwany przez Ritę Gombrowicz sposób czytania *Kronosu* (czyli równoległe z *Dziennikami*), inny także niż gombrowiczologiczno-filologiczny, a wciąż pozostający w zgodzie z Gombrowiczowską grą – można zatem na nowy dziennik spojrzeć z perspektywy *Kosmosu*: oto zestaw niezbornych czy chaotycznych danych, które czytający może sobie poukładać/zaaranżować w swoje uniwersum, niekiedy według zasad z powieści kryminalnej. Dotyczy to zwłaszcza pierwszych partii. Mówiąc jeszcze inaczej, można *Kronos* potraktować jako odpowiednik tego, co Hayden White nazywa „kroniką”, czyli przed-narracją, z której historyk konstruuje dopiero artefakt narracji historycznej.

Mnie natomiast kusi inne odczytanie. Uchylam się od opowiedzenia się po stronie „autentycznej osobowości Gombrowicza” czy „kreacji”, nie znaczy to natomiast, że nieistotne dla mnie będzie pragmatyczne pytanie „po co?”. Otóż narracja *Kronosu* dość dokładnie odpowiada temu, co Freud określił jako „osobowość analna”. Przypomnę cechy wskazane przez twórcę psychoanalizy: upór (tu także przekora, skłonność do

złości i mściwość), wytrwałość, oszczędność i obsesyjne zainteresowanie pieniędzmi (ich przybywaniem i ubywaniem), systematyczność i pragnienie uporządkowania (tu także – czystości), wyliczanie, podliczanie, kumulowanie i podsumowywanie tego, co się ma, zdobyło, co ubyło. Zasadność powyższej charakterystyki wobec wątku finansowego w *Kronosie* jest może najbardziej oczywista dla czytelnika.

Z pozoru dość wątpliwą kategorią, wskazywaną przez Freuda, może być „uporządkowanie”, jako że część *Kronosu*, zwłaszcza pierwsze partie, jawią się jako chaotyczne. To jednak paradoks pozorny, ponieważ „systematyczność i uporządkowanie” „osobowości analnej” nie oznaczają, że nie dostrzega ona, nie porusza się w przestrzeni chaosu, raczej zaś, że nie może jej znieść w takiej postaci, podejmuje więc stałe wysiłki poukładania, poszeregowania; a tym chyba w zamiarze autorskim był *Kronos* (przy tym to, co dla czytelnika jawi się jako „efekt chaosu” zapewne było czytelne i „uporządkowane” dla autora notatek). Przede wszystkim jednak te cechy osobowości ujawniają się także w podejściu do życia erotycznego i na tę sferę próbuję spojrzeć nieco bardziej szczegółowo (jeżeli do pewnego stopnia podobny w skłonności do podliczania dziennik Parnickiego dotyczy głównie „napisałem tyle a tyle” i „piłem/nie piłem”, dziennik Gombrowicza ma dwie dominujące kategorie:

„miałem” w sensie erotycznym i „zrobiłem”). Najpierw jednak spróbuję udzielić odpowiedzi na wskazywane wyżej pytanie „po co”, które wykracza już poza asercję o tym, że *Kronos* jest wyrazem „prawdziwej” osobowości Gombrowicza czy jakiejś jego istotnej części, przechodzi natomiast nieco ku biegunowi „gry”, „kreacji”, „konstrukcji”. (A jak jeszcze uzasadnić, że to może być konstrukcja? Czyż ten sposób pisanania nie przypomina raczej raportów *à la* Banco Polaco, czyli pracy, której – chyba wolno w to wierzyć – pisarz nie nawidził i starał się odrywać od niej ku „literackości”?). Otóż taka właśnie konstrukcja „ja” jako „osobowości analnej”, będąc się trzymał tego określenia Freuda, jest zaskakująca i nowa na tle dotychczasowych konstrukcji literackich, w tym „ja” w *Dziennikach*. Czy Gombrowicz chciał, aby jego czytelnicy pomyśleli: popatrzcie, jaka nudna, monotonna, pedantyczna, żmudna forma stoi za tymi kolorowymi, dowcipnymi, migotliwymi, „podkreconymi” (etc., etc.) konstrukcjami? (Być może także, w ekstrapolacji: „powietrzna” sztuka jako taka powstaje z „ziemi”, „nawozu”). „Oralne” (w znaczeniu: nastawione na kontakt, „wygadane”, mające „szwung”) dzieła Gombrowicza jako efekt przewycięzania, pracy w ciężkiej materii.

Próbuję zasugerować, że Gombrowicz postąpił ryzykownie, ujawniając „brudny” warsztat, ale ostatecznie

w celu obronienia „czystego” efektu, produktu: zaryzykuję, pokażę wam „nudną” („brudną”?) prawdę o moim życiu erotycznym, to, czego byliście tak ciekawi, co chcieliście przeniknąć, pokażę wam to w takim nadmiarze, nagromadzeniu, że doznacie uczucia przesytu i znudzenia, tym bardziej więc docenicie destylaty i może przestaniecie mieć do nich pretensje, że nie dopowiadają „wszystkiego”. Innymi słowy, takie ryzykowne obnażenie ma właściwie być obroną sublimacji, gdzie miast siermiężnych wyliczeń są finezyjne aluzje, dwuznaczności, *double entendres* etc. Po pierwsze uważam, że jest to alternatywa fałszywa, a Gombrowicz wykreował ją świadomie. Także w jego czasach wszak można było sobie wyobrazić dyskurs niesublimacyjny w zakresie erotyki, a nienudny i „artystyczny”: przykładem Genet; oczywiście w odniesieniu do literatury powstającej współcześnie jest to truizm. Po drugie, zdaję sobie sprawę z tego, że powyższe odczytanie sprzyja przydaniu sensu *Kronosowi*, broniению go przed głosami, że jest niewypałem, książką zbędną, nudną, rozczarowującą itd., co niejednokrotnie zdarzyło się słyszeć lub czytać w dotychczasowej recepcji tekstu; a jednocześnie jest to argumentacja inna niż zaprojektowana przez Ritę Gombrowicz i marketing wydawcy.

Przedstawię teraz kilka swoich prób „uspójniania” („kosmoizowania”)

dyskursu erotycznego w *Kronosie*. „Sandauer, badający moje zбочenia erotyczne? Ależ musiałyby naprzód ustalić, czy one doprowadziły do jakiejś prawdy. Jeśli nie, nie warto nimi zawracać głowy, ani sobie, ani innym. Taki *casus* nadawałby się tylko do szpitala. (...) Ale obawiam się, że Sandauer niezbyt się nadaje do tego konfesjonału”. Interpelowani „na Sandauera”? Zdaję sobie sprawę z tego, że próba wczytywania się, wyczytywania czegoś z notatek nt. erotyki w *Kronosie* może narażać na replikę Gombrowiczowskiego obruszenia na Sandauera, zwłaszcza ze strony „reprezentantów” („obrońców”?!), pisarza (szczególnie, że ci wiedzą więcej; jak się zdaje, więcej niż aparatura filologiczna, skądinąd bardzo rozbudowana, wskazuje). Czy jesteśmy zatem w obrębie gry z ustaloną z góry zasadą? – Zachęcam nieciąglą formą *Kronosu* do interpretacyjnego wysiłku poskładania tego jakoś, ale każdą taką próbę powitam krytycznie, karą? Zrób to sam, ale i tak zrobisz źle? (Freud: przekora „osobowości analnej” ma źródło we wczesnodziecięcej sytuacji decyzji nocnikowej: „nie zrobię kupy tylko dlatego, że rodzice mi każą teraz, zrobię kiedy mi się zechce; ale jak zrobię, to mają ją podziwiać”). Powyższy cytat o Sandauerze z *Dzienników*; a w „niesublimowanym” *Kronosie*: „Z Sandauerem przejażdżki, rozmowy (o eseju), jest gadatliwy, ciasny i zabawny”. Umberto Eco w *Szaleństwie*

katalogowania odwołuje się do rozróżnienia między listą praktyczną a listą „poetycką” (opisanego wcześniej przez Roberta E. Belknapa). Czy mamy uznać listy partnerów i partnerek w *Kronosie* za listę praktyczną czy „poetycką”? Pierwszy wariant pociągałby za sobą uznanie, że mamy do czynienia z dziennikiem bez autokreacji, bez gry, drugi – rzecz przeciwną. W pierwszym Gombrowicz chciałby nie zapomnieć, z kim spał, w drugim..., no właśnie: oszołomić? Podkreślić hiperboliczną egzemplifikacją swoją tezę, że nie wierzy w filozofię nieerotyczną (w nieerotyczny sposób myślenia, życia)? Infantylnie się przechwalić? Pokazać, że pomimo iż w sferze „oficjalnej” homoseksualność (ona zwłaszcza), w tym w literaturze artystycznej, w tym tej współtworzonej przez Gombrowicza, jawiła się jako rzecz rzadka i trudno dostępna jak zakazany owoc, była w gruncie rzeczy dostępna bardzo łatwo, w dużych ilościach, różnych miejscach i sytuacjach i nie dotyczyła tylko elit, ani pewnie tylko „zdeklarowanych” gejów? – Ta odpowiedź jest mi najbliższa. Spróbuję teraz na podstawie dość suchych danych z dziennika scharakteryzować nieco różnice (narracyjne, retoryczne) w podejściu Gombrowicza do zachowań homoseksualnych i heteroseksualnych. Używam pojęcia „zachowania”, ponieważ nie interesuje mnie definiowanie pisarza (tego czy innych) w kluczu tzw. „orientacji seksualnej”.

Jeżeli zawierzyć wyznaniu pisarza z 1964 roku: „Miłość z kobietą po dwudziestu latach co najmniej. (...) dziwna przemiana, nawrócenie” – to *terminus a quo* zachowań wyłącznie homoseksualnych należy datować na okres 1943–1944. Wspominam o tym dlatego, że w zapiskach z tego okresu niekiedy napotykamy żeńskie imiona bądź żeńskie końcówki, a przede wszystkim formuły ambiwalentne. Od 1943 roku kilkadziesiąt razy pojawia się formuła „*chico/a*” lub „*muchacho/a*”. Oba te słowa są właściwie synonimami, a znaczą „chłopak/dziewczyna”. W *Nocie wydawniczej* czytamy: „w dwóch przypadkach, nie mając pewności, o który rodzaj gramatyczny chodzi, pozostawiono obie formy, żeńską i męską, na przykład »*chico/a*«. Jeżeli dobrze rozumiem, dotyczy to przypadków dwóch z kilkadziesiątu. O kogo może chodzić? Jest pewne prawdopodobieństwo, że o osoby transpłciowe, ponieważ pierwszych operacji zmiany płci dokonywano od lat dwudziestych, ale wydaje się to mało prawdopodobne. Sądzę raczej, że chodzi o tzw. *travestí*, co, mam wrażenie, po hiszpańsku nie znaczy dokładnie tego samego, co polskie „transwestyta”, część takich osób postrzegała siebie – i była postrzegana jako – tzw. „trzecia płć”, część była bliższa obecnemu pojęciu *drag queen*. W krajach Ameryki Południowej, w tym w Argentynie, wiele *travestís* pracowało jako prostytutki.

Być może Gombrowicz zdecydował się na taką formę zapisu z tego względu, że nie istniał polski odpowiednik, albo jeśli „transwestyta” już wtedy funkcjonował, to nie pokrywał się dokładnie z latynoskimi „desygnatami”. Inna możliwość jest taka, że Gombrowicz określa w ten sposób tzw. przejętych gejów. Jak czytamy w przypisie edytorskim (rok 1952), „Gombrowicz używał – jak wspomina Rússovich – końcówek żeńskich dla zakamuflowania płci osób w kontaktach erotycznych, czasami na określenie zbyt kobiecych mężczyzn”. Trudno potraktować „zbyt kobiecego” jako ścisły, deficytowy wyznacznik (brzmi on raczej jak diagnoza endokrynologa), ale może jest to właśnie eufemizm oznaczający *travestí*. Trzymając się jednak wyznania z 1964 roku o dwudziestoletniej „karencji”, można chyba przyjąć, że chodziło raczej o osoby o „męskiej” budowie ciała i genitaliach; także chyba w takich wypadkach jak „*chica* z Retiro” (dosłownie dziewczyna), ponieważ miejsce – pikieta gejska – na to wskazuje. Sądzę, że warto pod tym kątem przemyśleć jeszcze raz kreację Gonzala (i jego piesków) w *Trans-Atlantyku* nie tylko jako „homoseksualisty”, ale jako „*travestí* i homoseksualisty”, tzn. uwzględniając to, że część ówczesnych latynoskich *travestís* uznawała, że posiada odrębną tożsamość „trzeciej płci”. Szczególnie ciekawa pod względem gier rodzajem

w *Kronosie* jest proustowska historia z „Aldo”. W listopadzie 1952 roku Gombrowicz czyta Prousta, nic nie pisze, chadza do Retiro. W grudniu spędza wigilię z Luisem Aldo, o którym powiada „pijak”. Dalej następuje intrygujący ciąg: „Samotność. Proust. Szukam Al. Spotykam ją przypadkiem na Leandro Alem przy Corrientes. Jestem zadurzony (jak dawniej z J.C.)”. Wiemy zatem, że Aldo jest mężczyzną, ale dosłownie po kilku zdaniach zmienia się on w kobietę – z Proustem pomiędzy. Jak się zdaje, Gombrowicz dość mocno przeżył lekturę *W poszukiwaniu straconego czasu* i zaczął swoje życie stylizować na wątki z tej powieści. Pamiętamy jak desperacko zakochany narrator Marcel szuka Albertyny, snując paranoiczne obrazy jej jako lesbijki. Gombrowicz udaje się na poszukiwania i nawet skraca imię do „Al.”, aby bardziej przypominało „Albertynę”, a przede wszystkim odczytuje Proustowski dyskurs homoerotyczny dokładnie tak, jak większość czytelników nieco „wtajemniczonych” to czyniła w czasach publikacji powieści i krótko potem – jako „sublimację poprzez zamianę płci” (tj. Albertyna = Albert). Zarazem: w 1952 roku. zaczyna powstawać *Operetka*, co tylko wzmacnia Proustowski trop w niej. Już w lutym 1953 pojawia się równolegle Aldo i „żołnierz P.”. Wydaje mi się, że poetyka mówienia w rodzaju żeńskim o mężczyznach w jakimś stopniu może mieć

zastosowanie także do okresu przed 1944 rokiem, tj. że w każdym razie nie można tego wykluczyć. W okresie tym występują zastanawiające różnice w charakteryzowaniu kochanków obu płci. Mężczyźni na ogół są charakteryzowani poprzez zawód – zwykle „proletariacki” – np. „lokajczyk”, „portier”, „czyścibut”, „śmieciarz”, „piekarz”, „pomywacz”, „murarz”, „rzeźnik”, „żołnierz” i wielu „marynarzy”. (Zostawiam na boku charakterystykę Gonzala: „i dalej za Czeladnikami, Rzemieślnikami młodymi, Żołnierzami lub Marynarzami”; zostawiam na boku donjuanowski kontekst pożądania przekraczającego bariery klasowe – obok dam wieśniaczki itd.). O kobietach natomiast najczęściej „ta kurwa”, „histeryczna kurwa z Hali, w pociągu inna głupka, z kurwy z Mokotowskiej, 9 kurew”, „kurwa z tryprem”, „Ja, z kurwą z tryprem spotkaną, odzyskałem możliwość”, „puta”. Rzadko kochanki są wymienione z zawodu lub z określeniem jakiejś cechy, w odniesieniu do jednej kobiety w Wiedniu używa określenia „ prostytutka”; ponadto „ta jakaś, której nie mogłem zgwałcić” i „dziewczyna, której nie mogłem zgwałcić”. Jednocześnie można przypuszczać, że niektórym kochankom Gombrowicz też płacił (por. podczas rejsu z Argentyny, kiedy, jak wiadomo, pisarzowi ukradziono pieniądze, w porcie w Las Palmas: „chico/a w porcie. Nie ma pieniędzy”), a jednak nie ma wypadku, by

o osobie w wyraźnie męskim rodzaju lub rodzaju zamazanym wyraził się „puta” czy „kurwa”. Jakie z tego można wysnuć wnioski? Po pierwsze, pomijając sytuacje, w których pisarz „wyrwał” chłopaków przypadkiem, np. czyści-buta czy portiera, a zatem wiedział, czym się zajmują, wydaje się, że był osobliwie zainteresowany tym, czym jego kochankowie się zajmują (może to było nawet jakimś kryterium; innym, jakie można wyczytać, jest to, że podczas całego okresu emigracyjnego nie spał z żadnym Polakiem – a niekiedy zamiast zawodów wskazywał na kraj pochodzenia, np. „młody Czech”; oczywiście jest to istotne do przemyslenia w kontekście *Trans-Atlantyku* i wątku Ignaca), a zatem chyba przeprowadzał z nimi jakieś konwersacje. Kobiet – w świetle zastosowanej w dzienniku retoryki – tak ciekawy nie był. Po drugie, przypuszczalnie nie wszystkie kobiety określone mianem „kurwy” trudniły się prostytutką. Po trzecie, jak wskazywałem, pisarz nie stosował tej samej miary wobec partnerów za pieniądze płci męskiej i żeńskiej. Można postawić ryzykowną, być może, tezę, ale „nie z kosmosu (*Kosmosu*)”, że nagromadzenie „kobiet-kurw” w początkowych partiach, tych rekonstruowanych w 1952 czy 1953 roku, ma charakter wyparcia i projekcji. Jak wiadomo, Reinaldo Arenas, kubański pisarz gej, na podstawie informacji Virgilia Piñery, z którym

Gombrowicz się przyjaźnił, napisał w swojej dysydenckiej autobiografii *Zanim zapadnie noc*, że w początkowych latach pobytu w Argentynie Gombrowicz, wyglądając bardzo młodo, a będąc biednym, prostytuował się za pieniądze w łaźniach (pisze o tym także Allen Kuharski). Tu dochodzimy do kilku sytuacji wzmiankowanych w *Kronosie* – pobytów na komisariatach i szantażach oraz wydobywaniu z policji przez przyjaciół; otóż homoseksualność zdepenalizowano w Argentynie w 1887 roku, co nie znaczy oczywiście, że policja nie urzędowała znanych z historii wielu krajów, także Polski, „rajdów” na pikiety czy miejsca spotkań (w Argentynie np. na popularne burdele na godziny). Kłopoty pisarza może wynikały jednak nie z samych zachowań, które musiały w ówczesnym Buenos być dość widoczne i powszechne. Tu zgadzam się z Krzysztofem Tomasikiem, który analogicznie rzecz ujął w recenzji w „Replike” (maj-czerwiec 2013). Dodam jeszcze, że prostytutka była w Argentynie legalna od 1875 roku, ale prostytutkę homoseksualną traktowano według innych kryteriów (o czym pisze np. Carlos Alberto Barzani, historyk prostytutki i homoseksualności w Argentynie). Chcę zasugerować, że jeśli przyjąć taką interpretację, to język Gombrowicza w odniesieniu do kobiet służyłby odsuwaniu od siebie wstydlivego przypuszczalnie epizodu. Myślę, że dość

podobne prawo projekcji dotyczy wyrażenia „dziewczyna, której nie mogłem zgwałcić”. Zapewne nie chodzi o gwałt w sensie ścisłym, tylko o stosunek za obopólną zgodą. Sądzę, że Gombrowicz doznawał niekiedy uczucia presji na okazanie się mężczyzną i odbycia stosunku (o takiej presji mówią też fragmenty *Historii*; przy czym nie chodzi mi o presję, której doznają tylko geje – takiego rodzaju presji mogą doświadczyć także heteroseksualiści), a zatem uczucia presji i gwałtu na sobie, ponieważ jednak to on był podmiotem „aktywnym”, to w pewnym sensie nie mógł być „gwałcony”, nawet jeśli tak się czuł, stąd „gwałcił”. Język ten wskazuje ponadto na to, że erotyka kojarzyła się Gombrowiczowi ze wzburzeniem, gwałtownością, kotłującymi się namiętnościami, niepokojem. Wzmacniają to przeświadczenia nagromadzone w późniejszych partiach określenia w rodzaju „uspokojenie erotyczne” czy „spokój erotyczny”; nie oznaczają one bodaj nigdy harmonijnego pożycia z kimś, tylko brak kontaktów przy braku potrzeb. Erotyka zatem „niepokoi” i „odciąga” (od czegoś) – warto o tym pamiętać, zastanawiając się, w jakiej modalności każda wiarygodna filozofia musi być erotyczna według Gombrowicza. Ostatnia rzecz w wątku erotycznym, jaką chciałbym zasygnalizować, dotyczy Rity. Flirt zaczyna się w sierpniu 1964 roku. W październiku

notatki mówią o „rozczarowaniu Rity”, następnie zaś „Wyznanie Rity. Jan. Po strachu”. To jeszcze przed pożyciem (Gombrowicz ją podszczypuje, ona „włazi mu do łóżka” 26 X). Można się domyślać, że gdzieś w tle tych zanotów jest „homoseksualna tajemnica” pisarza, ale dlaczego w takim razie wyznanie, które usuwa strach, pochodzi od Rity, nie odwrotnie? (Być może stałoby się to jaśniejsze, gdybyśmy wiedzieli, kim jest „Jan”, o ile to osoba, ale przypisy tego nie rozszyfrowują). Co znaczy w podsumowaniu tego roku: „nawrócenie, Rita, ale to obosieczne (od 26 X)? Gombrowicza „nawrócenie” na kobiety – ale obosieczne, a więc obustronne? Rity na mężczyzn?”

Znalazłem jeszcze inny interesujący dla siebie wątek w *Kronosie*, o którym pokrótce tu napiszę, naruszający nieco obraz pisarza bezkrytycznie zakochanego w swoich dziełach i walczącego o ich dobre imię; w tej chwili wydaje mi się raczej, że o niektórych swoich tekstach Gombrowicz miał zdanie krytyczniejsze, jednak „dbał o twarz”, publicznie bronił wszystkich z jednokowym zaangażowaniem. Rzecz dotyczy *Pornografii*, książki, której nie lubię (ceniąc za to i owo), a którą sam pisarz, mam wrażenie, także uważał za utwór słabszy. Zaczęła ją pisać w 1955 roku, ale w podsumowaniu roku pisze tak: „Literat: nic specjalnego. Zaczęłem nową powieść”. Gotowy tekst pisarz chowa do szuflady, gdy w czerwcu

1959 roku pod wpływem nagłego impulsu postanawia ją wysłać Konstantemu Jeleńskiemu. Kiedy pisarz trzyma w ręku w lipcu 1960 roku już wydrukowaną książkę, z niejakim zaskoczeniem stwierdza: „dosyć mi się podoba w czytaniu”. Następnie odnotowuje wiele pozytywnych reakcji od swoich korespondentów, szczególnie istotny jest tu komentarz do listu Ireny (siostry): „*Porno* w Polsce najlepszą książką stulecia. Czyżby?” – Stąd w podsumowaniu roku pisze o „niespodziance z *Porno*”. Jak sądzę, dotyczyła ona tego, że tekst, który sam pisarz mniej cenił, jest tak dobrze (mimo krytycznych opinii Giedroycia i Sandauera) przyjmowany. A czy przyjęcie *Kronosu* byłoby „niespodzianką”?

Piotr Sobolczyk

Witold Gombrowicz, *Kronos*, opracowanie Rita Gombrowicz, Jerzy Jarzębski, Klementyna Suchanow, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2013

Dar życia i „grzech istnienia”

W obszernej rozprawie *Samobójstwo i „grzech istnienia”* Stefan Chwin podjął temat ważny, interesujący i z poznawczego punktu widzenia pierwszorzędny. Mimo, że istotne dla narracji wątki sięgają czasów

starożytnej Grecji i wczesnego chrześcijaństwa (św. Augustyn i Pelagiusz), to warto najpierw odpowiedzieć sobie na pytanie o sens prowadzenia rozważań o samobójstwie w szerokiej perspektywie historycznej bez możliwości ujęcia problemu w kategorii socjologiczne (jak Émile Durkheim), psychologiczne (James Hillman), filozoficzne (Ireneusz Ziemiński) czy etyczne (John Donne). Sądzę, że jest to zadanie trudne i ryzykowne, obarczone dużą dozą możliwości popełnienia błędu metodologicznego, wynikającego z faktu diachronicznego opisanego zjawiska mocno związanego z konkretnymi warunkami społecznymi, obyczajowymi i duchowymi danego okresu. Samobójstwo jest faktem społecznym i zarazem psychicznym lub – powiedzieć by trzeba – duchowym, dotyczy pewnej zbiorowości i zarazem odnosi się do jednostki. Złożoność zjawiska samobójstwa tkwi w sposobach zakreślania obszaru jego przyczyn i stosowaniu do analizy właściwych narzędzi, które podsuwa kryminologia, medycyna sądowa, psychiatria, filozofia i wspomniana już socjologia. Sądzę, że gdyby Chwinowi udało się podczas prac nad książką dotrzeć do znakomitej rozprawy *Metafizyka śmierci* Ireneusza Ziemińskiego (Kraków 2010), to zyskałby ważną filozoficzną podstawę dla swoich rozważań.

Zamach na jedyną istotną wartość, którą posiada człowiek, na życie,

niczego nie odkrywa, niczego nie wyostrza i nie dramatyzuje, ba – nie czyni spojrzenia człowieka przygotowanego do samobójczego czynu mędrszym. Tam nie ma głębi większej niż wśród tych, którzy ulegli „złudzie” sensu istnienia i podążyli ku codzienności, by żyć. Nie odrzucam istoty samobójstwa egzystencjalnego jako pewnego kulturowego faktu, ale odrzucam jego konsekwencje: zmaganie się z nieistnieniem nie może być dla człowieka ważniejsze niż zmaganie się z istnieniem, podważanie sensu istnienia nie może być ważniejsze od poszukiwania w życiu sensu.

Na ile przeszłość, objęta przez Chwina obszarem badań, uległa współczesności autora, wyłącznie jego perspektywie, a na ile zbalansowana została dostępną wiedzą na temat świadomości człowieka z okresu starożytności i kolejnych okresów? Lektura omawianej tu rozprawy skłania mnie do postawienia tezy o takim prowadzeniu naukowej narracji, by kolejnych bohaterów i związane z nimi wydarzenia – pojawiające się także w *Samobójstwie jako doświadczeniu* – ułożyć w opowieść spójną i spójną, bez pęknięć, niedopowiedzeń i wątpliwości. Może jedynie pominięcie w dyskursie średniowiecza, renesansu, baroku (wraz z owocem przemyśleń Johna Donne’a, autora *Biathanatos*, o którym Chwin zaledwie dwa razy wspomina) w odniesieniu do kategorii samobójstwa

stanowi jakiś ślad zagadki o metodologicznym charakterze. Tak jak dziwnym wydaje się pominięcie choćby współczesnego stanu badań w zakresie kulturowo-antropologicznego ujęcia samobójstwa.

Samobójstwo, tak jak każda kategoria opisująca doświadczenie człowieka, jest historycznie zmienne, niestabilne i wielopostaciowe; by uchwycić ową wewnętrzną dynamikę samobójstwa egzystencjalnego – tak jak szaleństwa, przemocy, miłości – trzeba wyzbyć się przeświadczenia o możliwości uchwycenia go bezpośrednio przy użyciu kategorii nam współczesnych. Autor *Samobójstwa i „grzechu istnienia”* poszedł inną drogą – wybrał z kultury zdarzenia, postaci mityczne, literackich bohaterów, osoby historyczne dla pokazania w zasadzie dwóch oblicz samobójstwa: jako czynu godzącego w ład świata ufundowanego na chrześcijańskich podstawach (św. Augustyn) oraz czynu kwestionującego co prawda wartość życia, ale będącego w swojej istocie jego obroną, gestem rozpaczliwego porażonego bezwzględnością świata wrażliwego człowieka, świadectwem, by użyć określenia Pelagiusza z jego *Komentarza do Listu św. Pawła do Rzymian*, woli człowieka.

W wypadku postaw pokoleń Greków i Rzymian, bardzo mocno związanych obywatelskimi więzami ze swoimi ojczyznami, postępujących wobec nich odmiennie niż współcześni nam

wobec swoich nowożytnych krajów, sprawy posłuszeństwa i honoru uważali za znaczące. Ten fakt Chwino wi umknął, gdy przywoływał literackie przykłady czynów samobójczych obecnych w starogreckich dramatach. Zupełnie odmiennie samozagładę traktował jeden z czterech Ojców Kościoła – św. Augustyn. Tu wartość życia bezwzględna było życie, a jego negacja, wszelka negacja, także wynikająca z sytuacji w kraju, poszanowania wolności, prawa człowieka do samostanowienia nagle znika, jeśli nie całkowicie, to niemalże zupełnie rozpada się w idei Państwa Bożego. Dar życia, w którym przeglądać się może człowiek i próbować dostrzegać doskonałość planu Boga, stanowi fundament myśli św. Augustyna. W tak ujętym darze życia nie ma granicy między tym, co dzisiaj nazywamy cierpieniem (również fizycznym) a przyjemnością (także zmysłową), utwierdzającą „błądzącego” człowieka w przekonaniu, że warto żyć. To dla biskupa z Hippo ny nie ma znaczenia, gdyż traktował ludzką egzystencję w kategoriach bezwzględnych, a nie względnych. Stąd samobójczy czyn Lukrecji – jak słusznie zauważa Chwin – nie mógł zyskać w oczach św. Augustyna pochwały. Nie o pochwałę heroicznej postawy kobiety, miłującej czystość ciała, tu szło, tylko o sprawę pozajednostkową, o ład w ziemskim państwie Bożym. Porządku ludzkiej egzystencji wedle

starożytnych Greków nie daje się porównać z ideą człowieka w koncepcji św. Augustyna, to dwa rozłączne kulturowe zjawiska, których zestawianie prowadzi raczej na manowce. Nie znaczy to jednak, że całe chrześcijaństwo, także w swojej wczesnej fazie, miało wyłącznie formę nadaną mu przez św. Augustyna. Raczej było odmiennie, tu wciąż ścierały się różne projekty ideowe, sposoby traktowania przyjemności zmysłowej, sposobów – że się tak wyrażę – użycia ludzkiego ciała, dysputy wokół znaczenia i funkcji rodzi ny, a zatem i przyjemności płynących z płodzenia dzieci, oraz wobec wagi bezżeństwa, czystości moralnej i fizycznej, jednym słowem dziewictwa (tu warto wspomnieć o studium P. Nehringa *Dlaczego dziewictwo jest lepsze niż małżeństwo?: spór o ideał w chrześcijaństwie zachodnim końca IV wieku w relacji Ambrożego, Hieronima i Augustyna*).

Interesująco rysuje Chwin obraz wyłaniającego się w okresie oświecenia nowożytnego świata z samobójcą w tle. To był właściwy czas kształtowania się artystycznych wizji samobójców. Werter, choć łączony jest z romantyczną koncepcją człowieka, wyrasta z idei oświeceniowych, w których miejsce nakazów religijnych i Boga zostaje ograniczone. Tu dopiero za sprawą geniuszu Goethego w całej pełni może rozwinąć się artystyczna kreacja osobowości złożonej i skomplikowanej, umykającej przed jednoznaczny mi

kategoriami: dobry – zły, szlachetny – niegodziwiec, moralny – niemoralny. Słusznie Chwin wydobyl z tego arcybohatera, zagarniętego przez „antropologię” romantyzmu, wątki oświeceniowe. Dodałbym do tego jeszcze Wertera ironię i zdolność do autoanalizy. Ta część rozważań w książce jest najbardziej przekonująca, rzetelna, choć i tu zbyt wiele jest powrotów do spraw dawno załatwionych i omówionych; szkoda, że autor nie rozwinął myśli ważnej dla oświecenia Wertera z innej strony, właśnie antropologicznej: „Opowiadając historię Wertera Goethe poświęcił wiele uwagi sposobowi istnienia pojęcia grzechu w świadomości nowoczesnej. Pojęcie paradoksalne, bo grzechu Werter – człowiek ery wolteriańsko-libertyńskiej – nie pojmuje wcale w kategoriach religijnych”. W tym właśnie klucz do zrozumienia nie tylko Wertera, targającego się na swoje życie, ale także innych „cierpiących” tak bardzo, że planujących samobójstwo.

W wypadku *Raju utraczonego* Johna Milтона dramat samobójstwa rozgrywa się w innych rejonach niż w *Cierpieniach młodego Wertera*, choć wśród czytelników budził nie mniej emocji, wątpliwości i dyskusji. Aspekt metafizyczny walki dobra ze złem każe widzieć w eposie Milтона rozterki wątpiącego w sens trwałości „rzeczy tego świata” angielskiego erudyty, który odważnie włączył się w politykę, użyzając swojego pióra Cromwellowi. Chwin

tłumaczy zwycięstwo życia nad myślą o zadaniu sobie śmierci wpływami w dziele Milтона tradycji gnostycznej i pelagiańskiej, być może tak jest, ale autor nie odpowiada na pytanie „dlaczego?” – dlaczego Milton miałby aż tak głęboko sięgać dla uzasadnienia wartości ludzkiej egzystencji, mimo panoszącego się na świecie zła? I jeszcze dorzucić należy pytanie o sposób artystycznej kreacji Zła w dziele Anglika, dlaczego jest tak pociągające, by nie powiedzieć szlachetne, dumne, arystokratyczne z ducha? Trudno uwierzyć w przypadkowość literackiego konceptu, ale też i trudno posądzać Milтона o „mimowolny” satanizm.

W dalszej części książki Chwin rekonstruuje motyw samobójstwa w literaturze europejskiej XIX wieku, zwracając konsekwentnie uwagę na jego augustiańskie, gnostyczne i pelagiańskie, a także miltonowsko-shelleyowskie źródła. Ważne jest to, że autor dostrzegł rozwijającą się różnorodność kreacji postaci samobójców, których jednak łączy pogłębiony rys psychiczny, niebanalność osobowości. I znów w XIX wieku na sprawy o metafizycznym charakterze, dotyczące istnienia świata w takim porządku, o którym mówił Kościół, nakładają się odkrycia z zakresu geologii, ale również antropologii. Znaczenie twórczości Byrona dla nowoczesnego oświecenia sprawy Zła i Dobra oraz miejsca w tej metafizycznej psychomachii człowieka są

oczywiście duże i brzemiennie w skutki dla europejskiego, w tym i polskiego romantyzmu. Wywołany przez Chwina w tytule książki „grzech istnienia” w ciągu całego wieku XIX – bo nie tylko romantyzmu – przedstawia się jako skutek istnienia w życiu człowieka bólu, cierpienia. Myśl o śmierci własnej, planowanie samozagłady staje się zatem jedynie skutkiem problemu o wiele poważniejszego, a mianowicie poszukiwania sensu życia. W jakich okolicznościach należy je chronić, a w jakich trzeba zdobyć się na wywołaną smutną refleksją destrukcję: koniec. Sądzę, że romantycy, co można wyczytać także z tekstu Chwina, w wypadku samobójstwa egzystencjalnego coraz mniej przejmują się teologią, nauką św. Augustyna, a więcej czerpią z nauki im współczesnej o pochodzeniu życia na ziemi, o ewolucji gatunków, o umyśle człowieka (*vide Frankenstein, czyli nowy Prometeusz* Mary Shelley). Warto w tym dostrzec przede wszystkim efekt pracy intelektualnej i studiów, rozwój protopsychologii i psychologii, słowem to wynik racjonalnej roboty, a nie tylko owoc płodów genialnej wyobraźni. Krytyczna analiza człowieka – jego możliwości i ograniczeń, racjonalny opis ludzkiej pożyteczności zmysłowej i wszelkich psychicznych aberracji – sprzyjają budowaniu przez Byrona arcyciekawych postaci literackich: Kai-na, Jafeta, Manfreda. Za ich pośrednictwem rozpoczęła się intensywna budowa nowoczesnej

podmiotowości opartej na wolności, niosącej – obok przyjemności wyzwolenia – poczucie tragizmu istnienia.

Przykładem owych tragicznych w swych skutkach spostrzeżeń jest omawiana w książce biografia i twórczość Heinricha von Kleista, wobec którego koncepcji człowieka Chwin stosuje termin „antropologia nieciągłości”. Mam wątpliwość, co do operatywności takiego właśnie metaforycznego w gruncie rzeczy zestawienia, gdyż antropologia jako nauka (kulturowa, literacka, widowiska, społeczna) sytuuje się na innym poziomie niż zjawisko tożsamości, będące sposobem ujawniania się człowieka sobie (tożsamość indywidualna) i innym (tożsamość społeczna); nie można zatem konstytuować „nauki” jedynie na fragmencie opisywanego przedmiotu badań. Doświadczenie nieciągłości tożsamościowej, wszelkie zaburzenia o schizofrenicznym podłożu niekoniecznie w perspektywie antropologii kwestionują obraz człowieka jako istoty „ciągłej”. Ale przypadek Kleista jest o tyle znaczący – co wydobywa na światło dzienne Chwin – że życie i dzieło przenikają się, dopełniają i wzajemnie potwierdzają. Coraz trudniej, biorąc pod uwagę ten przykład, wyznaczyć klarowną granicę między zmyśleniem a życiem. I zapewne z tego powodu autor poświęca biografii Kleista niemal tyle samo uwagi, co materii literackiej niemieckiego pisarza „psychology”.

Polska literatura romantyczna, zdaniem Stefana Chwina, samobójstwo egzystencjalne ukazuje z perspektywy problemów zniewolonego narodu jako gest o politycznym i moralnym znaczeniu. W odróżnieniu od piśmiennictwa europejskiego rodzime teksty odbierają aktowi samobójczemu wymiar fizyczny, sensualny i lokują go w rejonach określonej ideologii – jako protest narodu zniewolonego. Akt samobójczy staje się narodową projekcją artystyczną, zjawiskiem imaginacyjnym gotowym do użycia literackiego, a więc czymś, co jest przede wszystkim potencjalnie i „nie boli”, przynajmniej nie aż tak, jak Wertera.

Druga książka Stefana Chwina poświęcona kategorii samobójstwa, wydana trzy lata po *Samobójstwie jako doświadczeniu wyobraźni*, mimo zgłoszonych wątpliwości i zastrzeżeń jest interesującym przykładem dość konsekwentnego pogłębiania kulturowych zjawisk przez jednego badacza. Dodam, że omawiane studium nabiera istotnego znaczenia w kontekście „spowiedzi” autora umieszczonej na jej końcu, tuż za indeksem osobowym; przez jej edytorskie wyodrębnienie Stefan Chwin raz jeszcze przemówił w innym nieco trybie do czytelnika. Od tego głosu można w ogóle rozpocząć lekturę *Samobójstwa i „grzechu istnienia”*.

Maciej Wróblewski

Stefan Chwin, *Samobójstwo i „grzech istnienia”*, Wydawnictwo Tytuł, Gdańsk 2013

Herbert – przyjaciel

Gdyby tom korespondencji Julii Hartwig, Artura Międzyrzeckiego i Zbigniewa Herberta nie był autentyczną wymianą listów, ale powieścią epistolarną, streścić by ją można tak: nie jest to utwór o wartkiej akcji, spokojny i pogodny, wręcz idylliczny, obejmuje lata 1962–1998, gdy w Polsce wrzało i kipiało od emocji, dogorywał i zawałił się ustrój, a i potem nie nastąpiły czasy nudne i wypełnione dobrobytem. W tym czasie wiele przyjaźni zmieniło się w zajadłą niechęć, wielu znajomych zerwało dawne kontakty, wielu poetów powiedzieć by sobie mogło jak ongi Słowacki Mickiewiczowi:

Bądź zdrów! – a tak się żegnają nie wrogi,

Lecz dwa na słońcach swych przeciwnych –
bogi.

Ale nasza powieść epistolarna z burzliwego czasu o niczym takim nie opowiada, rafa wymija, konflikty ledwie wspomina, a różnice – albo przemilcza, albo pokrywa deklaracją dobrej woli. Większe zdarzenie – w zasadzie jest jedno: oto w latach 1971–1972 roku państwo Międzyrzecy zza Oceanu udzielają swego

mieszkania Katarzynie i Zbigniewowi Herbertom. To by ewentualnie mogło zwiastować dramatyczne sceny, skandal, a nawet poważny konflikt ale do niczego takiego nie doszło, państwo Herbertowie wyprowadzili się w porę do własnego mieszkania, pozostawiając nawet pewne rzeczy w większym porządku niż zastali. Trudno powiedzieć, by taka wizja artystyczna spotkała się z dobrym przyjęciem. Idylla od lat dwustu nie ma dobrej opinii, współczesność łatwiej rozpoznaje się w demonicznych i apokaliptycznych klimatach.

To jednak nie wizja literacka, ale autentyk. Byłyby też pewne powody, by Hartwig z Międzyrzeckim i Herberta umieszczać na „przeciwnych słońcach”, istniały one już w przeszłości i aby się o tym przekonać wystarczy w tym celu wziąć do ręki wydany także niedawno (Wydawnictwo Literackie, 2012) obszerny tom *Korespondencji* Julii Hartwig i Artura Międzyrzeckiego z Czesławem Miłoszem obejmujący podobny czas. Międzyrzecki Miłosza radził się, prosił go o pomoc i zwierzał mu się, zwłaszcza podczas pobytu w Ameryce. W 1968 roku wybuchnął konflikt Miłosz – Herbert i doszło do zerwania osobistych stosunków między nimi, nie przeniosło się to jednak na dalsze relacje. W październiku 1968 roku z Warszawy, mimo atmosfery trudnej do zniesienia, Julia Hartwig, dopisując się do listu męża, przy pomocy bajkowej

paraboli prosiła przebywającego w Paryżu Herberta:

„Kochany Panie Zbigniewie, coraz to Pan dalej, i coraz mroźniej, i coraz samotniej, i coraz górzyscie, i coraz więcej rzek, i coraz więcej mórz, i coraz więcej rzuconych grzebieni. Ale mimo to, przez te góry i mrozy, i grzebienie my Pana ściskamy i pozdrawiamy, wciąż te same...”.

Różnice dostrzegać jest łatwo, podobieństwa – trudniej, jedno należą do gatunku oczywistości, pokrywa je codzienność i widać je tylko z oddalenia, inne – mniej oczywiste, wydają się mało jaskrawe i przegrywają z ostrymi konturami. A jednak: Julia Hartwig, Artur Międzyrzecki i Zbigniew Herbert to autorzy omówieni w programowej książce Ryszarda Przybylskiego *To jest klasycyzm*. Program klasycyzmu nigdy nie wykreował grupy, powinna by ona obejmować także Miłosza, na co nie było wtedy, czyli w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych warunków, ale pewna wspólnota myślenia, poszukiwania i kręgu inspiracji istniała. Ci poeci wyobrażali sobie poezję jako rodzaj nowoczesnej antropologii, daleką od kręgu Przybosa i ekwilibrystyki metaforycznej, umiarkowaną w pomysłach artystycznych, tworzącą mosty z Zachodem. Hartwig i Międzyrzecki przyjaźnili się z europejskim Herbertem, poszukującym inspiracji w wielkim malarstwie i w Grecji, pozostawiając na boku inną jego stronę, którą z dużą przesadą

pokłócony z nim Miłosz w liście do Międzyrzeckiego z 1971 roku określił jako „*anima naturaliter endeciana*”. W listach Międzyrzeckiego do Miłosza widać z kolei pewien żal wobec Herberta, że nie był wystarczająco aktywny jako członek redakcji „Poezji”, wołał podróżować, niż toczyć ciężkie boje, zakończone zresztą koniecznością odejścia obu z redakcji.

Przyjaźń Zbigniewa Herberta z Julią Hartwig i Arturem Międzyrzeckim od początku jednak, jak można się domyślać, obejmowała założenie niepełnej tożsamości i uwzględniała spore różnice. Opierała się na dobrej woli, wzajemnej grzeczności i galanterii. Już na początku, w 1963 roku Herbert na wieść o spodziewanym przybyciu Julii do Londynu raczy ją zdaniem:

„Od tego czasu czterech moich ludzi ćwiczy się w sprawnym rozścielaniu czerwonego chodnika na peronie. Wychodzi to zupełnie nieźle”. Do przyjazdu nie doszło, ale cóż to szkodziło zawczasu zapowiedzieć jej przyjęcie jako udzielnej królowej? Do Artura z kolei, zapracowanego w „Poezji”, Zbigniew Herbert pisze w *post scriptum*: „Załączam trzy wierszyczki”. Za nadesłane książki przyjął Herbert dziękuje zawsze serdecznie i bez zwłoki, zapewniając, że tomik Julii „Bardzo mi się podoba i leży przy moim wezgiwaniu”. Za dłuższą zwłokę w korespondencji przeprosza, a robi to z takim wdziękiem, że nawet po latach trudno się nie uśmiechnąć. Dowcip, inwencja

stylistyczna dobytą specjalnie na użytek adresata, w poczet jego uśmiechu stanowią małe podarunki, bezustannie przesyłane z Paryża, Londynu, Włoch lub zza Oceanu; jest to przyjaźń z gatunku nie angażujących do końca, nie zmuszających do zwierzeń ponad te, do których dochodzi spontanicznie, ale obligujących do starań i wzajemnych grzeczności.

Istnieje spore podobieństwo przyjętego stylu życia obu par: w momentach trudnych, korzystając z nadarzających się możliwości dość wąskiego nawet zaczepienia się Międzyrzeccy i Herbertowie wyjeżdżają zagranicę. Ta „zagranica”, niezależnie od położenia za Oceanem lub w Europie, stanowi jakby jeszcze jedną, lepszą stronę życia. Raz tylko Julia Hartwig w roku 1971 postanowiła udzielić lekkiej nauki Herbertowi, który przecież mógł zapomnieć, na czym polega różnica między życiem za granicą a krajową codziennością:

„Uważajcie na siebie po przyjeździe. Niechaj Zbyszek pamięta i wybaczy mi to, co piszę: że nic nie jest już tam na tym samym miejscu, gdzie było. Przecież poprzemieszczał ludzi, często wbrew ich woli, czasem przy ich pomocy – na miejsca »znaczące«. Każdy więc Wasz gest towarzyski i oficjalny będzie coś znaczył. Piszę to, bo za granicą człowiek się przyzwyczajają, że część jego posunięć jest konwencjonalna, bez wagi i następstw. Warto sobie przypomnieć, że u nas właściwie

nigdy tak nie było. Zbytńia łagodność bywa poczytana za ustępstwo, z milczenia nawet wyczytuje się deklaracje polityczne. Teraz – szczególnie – pełno jest obolałości w życiu prywatnym i społecznym. Nieufności, i to uzasadnionej. Zbyt wielu ma nieczyste sumienie”.

Herbert skwitował ten fragment zdaniem: „Wskazówki Julii przyjmuję jako przyjazne instrukcje – ale ja naprawdę nie jestem ani łobuzem, ani pijanym dzieckiem we mgle”. Trudno więc powiedzieć, by je odrzucił, raczej uznał je za zbyt oczywiste. Były to rzeczy, o których się nie mówiło, potrzeba wyjaśnień sygnalizowałaaby jakieś wahania.

Tak wygląda najbardziej dramatyczne spięcie tej korespondencji.

Stefan Themerson napisał kiedyś, że państwa i ustroje są śmiertelne, a tylko „dobre maniery są nieśmiertelne”.

Jest to pogląd z gatunku interesujących, raczej fałszywych, zapisanych dla paradoksu. Dobre maniery? Coś tak kruchego? Przypisywać im nieśmiertelność... A jednak dobre maniery triumfują, formy pozwalają wyminąć rafy, konfliktów nie da się uniknąć, ale można nie przeżywać ich w postaci wybuchowej, i – jak mówi przysłowie – zgoda buduje.

Ukazały się w niedługim czasie trzy poważne bloki listów Julii Hartwig i Artura Międzyrzeckiego: z Anną i Jerzym Turowiczami, z Czesławem Miłoszem i z Herbertem i jego żoną Katarzyną. Wydaje mi się bardzo znaczące, że tę wymianę listów opublikowały „Zeszyty Literackie”, pismo mocno związane z wizerunkiem Herberta-Europejczyka.

Anna Nasiłowska

Julia Hartwig, Artur Międzyrzecki, Katarzyna i Zbigniew Herbertowie, *Korespondencja*, Fundacja „Zeszytów Literackich”, Warszawa 2012.

NUMERY MONOGRAFICZNE I TEMATYCZNE „KWARTALNIKA ARTYSTYCZNEGO”

JERZY ANDRZEJEWSKI: 4/1997 (16), 4/2009 (64)

FRANCIS BACON: 4/2005 (48)

SAMUEL BECKETT: 4/1996 (12), 4/1999 (24), 3–4/2006 (51–52), 1/2007 (53), 4/2008 (60), 4/2010 (68)

THOMAS BERNHARD: 2/2009 (62), 3/2009 (63)

JAN BŁOŃSKI: 1/2010 (65)

LOUIS BOURGEOIS: 4/2011 (72)

LOUIS-FÉRDINAND CÉLINE: 1/1998 (17)

STEFAN CHWIN: 3/2010 (67)

EDITIONS DE MINUIT: 2/2000 (26), 3/2001 (31)

ALBERTO GIACOMETTI: 2–3/2003 (38–39)

ALLEN GINSBERG: 3/1997 (15)

MICHAŁ GŁOWIŃSKI: 2/2010 (66)

JULIA HARTWIG: 3/2011 (71)

ZBIGNIEW HERBERT: 2/1999 (22), 2/2008 (58)

KAZIMIERZ HOFFMAN: 1/1999 (21), 4/2008 (60)

RYSZARD KAPUŚCIŃSKI: 1/2006 (49)

RYSZARD KRYNICKI: 2/2013 (78)

MICHAŁ ANIOŁ: 1/2008 (57)

ARTUR MIĘDZYRZECKI: 3/2007 (55)

CZESŁAW MIŁOSZ: 2/2001 (30), 3/2004 (43), 3/2005 (47), 3–4/2006 (51–52), 4/2007 (56), 3/2008 (59), 2/2011 (70)

ROBERT PINGET: 2/1998 (18)

HAROLD PINTER: 1/2005 (45)

EZRA POUND: 3/1998 (19)

TADEUSZ RÓŻEWICZ: 3/2002 (35), 2/2006 (50), 4/2011 (72)

WIŚŁAWA SZYMBORSKA: 1/2012 (73), 1/2013 (77)

SUHRKAMP VERLAG: 4/1998 (20)

KS. JAN TWARDOWSKI: 3/1998 (19)

LITERATURA CZESKA: 2/1997 (14)

LITERATURA IZRAELSKA: 1/2000 (25), 4/2004 (44)

LITERATURA ROSYJSKA: 2/1996 (10)

POECI AMERYKAŃSCY: 1/1999 (21)

POECI CHORWACCY: 1/2008 (57)

POECI MACEDOŃSCY: 1/2009 (61)

POECI Z SARAJEWA I ZE SŁOWENII: 3/1995 (7)

GŁOSY I GŁOSY W „KWARTALNIKU ARTYSTYCZNYM”

1996 nr 4 (12)

– Samuel Beckett

Samuel Beckett, Vaclav Havel, Edward Beckett, Andre Bernold, Roger Blin, Harold Bloom, Gottfried Büttner, John Calder, Steven Connor, Ria Endres, Charles Julliet, Martin Esslin, Georges Pelorson (Belmont), Rosemary Poutney, David Warrilow, Billie Whitelaw, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Myszkowski

1997 nr 4 (16)

– Jerzy Andrzejewski

Aleksander Fiut, Henryk Grynberg, Jarosław Klejnocki, Julian Kornhauser, Ryszard Matuszewski, Czesław Miłosz, Krzysztof Myszkowski, Andrzej Wajda, Andrzej Fiett

1998 nr 3 (19)

– 5 lat „Kwartalnika Artystycznego”

Jacek Bocheński, Jerzy Giedroyc, Henryk Grynberg, Julia Hartwig, Zbigniew Herbert, Ryszard Kapuściński, Zygmunt Kubiak, Stanisław Lem, Czesław Miłosz, Jarosław Marek Rymkiewicz, Jan Józef Szczepański, ks. Jan Twardowski, Andrzej Wajda

1999 nr 2 (22)

– Zbigniewowi Herbertowi *in memoriam*

Alain Besancon, Mirosław Dzień, Aleksander Fiut, Jerzy Gizella, Krzysztof Karasek, Julian Kornhauser, Stanisław Lem, Bronisław Maj, Czesław Miłosz, Grzegorz Musiał, Krzysztof Myszkowski, Leszek Szaruga, Jan Józef Szczepański, Janusz Szuber, Adriana Szymańska, ks. Jan Twardowski, Zbigniew Żakiewicz

2001 nr 2 (30)

– Czesławowi Miłoszowi w 90. rocznicę urodzin Julia Hartwig, Joanna Pollakówna, Stanisław Lem, Krzysztof Myszkowski, Jan Józef Szczepański, Jan Błoński, Irena Sławińska, Aleksander Fiut, Janusz Szuber, Zofia Zarebianka

2002 nr 1 (33)

– o *Drugiej przestrzeni* Czesława Miłosa

Jacek Bolewski SJ, Mirosław Dzień, Krzysztof Myszkowski

2002 nr 4 (36)

– o *Orfeuszu i Eurydyce* Czesława Miłosa

Krzysztof Myszkowski, Irena Sławińska, Zbigniew Żakiewicz

2003 nr 2–3 (38–39)

– Alberto Giacometti

Jacques Dupin, Jean Genet, Magnus Hedlund, Tahar Ben Jelloun, Charles Juliet, Jean-Paul Sartre, Ernst Scheidegger, David Sylvester

2003 nr 4 (40)

– 10 lat „Kwartalnika Artystycznego”

Julia Hartwig, Czesław Miłosz, Krzysztof Myszkowski

2004 nr 3 (43)

– Czesławowi Miłoszowi *in memoriam*

Jan Paweł II, Marzena Broda, Mirosław Dzień, Aleksander Fiut, Jacek Gutorow, Julia Hartwig, Aleksander Jurewicz, Grzegorz Kalinowski, Julian Kornhauser, Ryszard Krynicki, Antoni Libera, Rafał Moczkoan, Grzegorz Musiał, Krzysztof Myszkowski, Marek Skwarnicki, Ewa Sonnenberg, Piotr Szewc, Janusz Szuber, Wisława Szymborska, Zbigniew Żakiewicz

2005 nr 3 (47)

– w 1. rocznicę śmierci Czesława Miłosa

Kazimierz Brakoniecki, Mirosław Dzień, Aleksander Fiut, Michał Głowiński, Henryk Grynberg, Julia Hartwig, Aleksander Jurewicz, Bogusław Kierc, Janusz Kryszak, Krzysztof Lisowski, Krzysztof Myszkowski, Grażyna Strumiłło-Miłosz, Janusz Szuber, Adriana Szymańska, Bolesław Taborski, Zbigniew Żakiewicz

2006 nr 2 (50)

– na 85. urodziny Tadeusza Różewicza

Wisława Szymborska, Robert Cieślak, Mirosław Dzień, Anna Frejlich, Aleksander Jurewicz, Bolesław Kierc, Olga Lalić, Jacek Łukasiewicz, Piotr Michałowski, Stanisław Różewicz, Andrzej Skrendo, Piotr Sommer, Agata Stankowska, Leszek Szaruga, Zbigniew Żakiewicz

2006 nr 3–4 (51–52)

– o *Wierszach ostatnich* Czesława Miłosa

Mirosław Dzień, Julia Hartwig, Aleksander Jurewicz, Julian Kornhauser, Agnieszka Kosińska, Krzysztof Myszkowski, Marek Skwarnicki, Piotr Szewc, Janusz Szuber

2007 nr 3 (55)

– o Arturze Międzyrzeckim

Aleksander Jurewicz, Wojciech Ligeża, Piotr Matywiecki, Arkadiusz Morawiec, Krzysztof Myszkowski, Anna Nasiłowska, Leszek Szaruga, Piotr Szewc

2008 nr 2 (58)

– w 10. rocznicę śmierci Zbigniewa Herberta

Stefan Chwin, Mirosław Dzień, Henryk Grynberg, Julia Hartwig, Maria Kalota-Szymańska, Bogusław Kierc, Wojciech Ligeża, Krzysztof Lisowski, Jacek Łukasiewicz, Paweł Mackiewicz, Piotr Matywiecki, Piotr Michałowski, Krzysztof Myszkowski, Anna Nasiłowska, Kazimierz Nowosielski, Marek Skwarnicki, Leszek Szaruga, Piotr Szewc, Janusz Szuber

2008 nr 4 (60)
– o *Znakach* Kazimierza Hoffmana
Julia Hartwig, Bogusław Kierc, Piotr Matywiecki,
Leszek Szaruga

2009 nr 1 (61)
– o *Tutaj* Wisławy Szymborskiej
Edward Balcerzan, Aleksander Jurewicz, Julia
Hartwig, Bogusław Kierc, Zofia Król, Krzysztof
Myszkowski, Piotr Szewc, Janusz Szuber

2009 nr 2 (62)
– o *Jasne niejasne* Julii Hartwig
Krystyna Dąbrowska, Jacek Łukasiewicz, Krzysztof
Myszkowski, Anna Nasiłowska, Leszek Szaruga,
Piotr Szewc, Janusz Szuber

2009 nr 4 (64)
– w 100. rocznicę urodzin
Jerzego Andrzejewskiego
Julia Hartwig, Antoni Libera, Krzysztof Myszkowski,
Dariusz Nowacki, Leszek Szaruga

2010 nr 1 (65)
– w 1. rocznicę śmierci Jana Błońskiego
Aleksander Fiut, Marek Kędzierski, Paweł Mackiewicz,
Anna Nasiłowska, Marek Skwarnicki,
Leszek Szaruga

2010 nr 2 (66)
– o *Kręgach obcości* Michała Głowińskiego
Julia Hartwig, Wojciech Gutowski, Wojciech
Ligęza, Jacek Łukasiewicz, Arkadiusz Morawiec,
Krzysztof Myszkowski, Andrzej Skrendo, Leszek
Szaruga, Piotr Szewc, Wojciech Tomasiak

2011 nr 2 (70)
– najważniejsze książki i wiersze Czesława Miłosza
Jacek Bolewski SJ, Kazimierz Brakoniecki,
Václav Burian, Stefan Chwin, Aleksander Fiut,
Olga Glondys, Michał Głowiński, Renata
Gorczyńska, Henryk Grynberg, Jacek Gutorow,
Wojciech Gutowski, Julia Hartwig, Grzegorz
Kalinowski, Bogusław Kierc, ks. Janusz A.
Kobierski, Antoni Libera, Krzysztof Lisowski,
Paweł Mackiewicz, Piotr Matywiecki, Leszek
Aleksander Moczulski, Krzysztof Myszkowski,
Anna Nasiłowska, Mieczysław Orski, Jerzy
Plutowicz, Jan Polkowski, Marek Skwarnicki,
ks. Jan Sochoń, Sergiusz Sterna-Wachowiak,
Leszek Szaruga, Piotr Szewc, Andrzej Szuba,

Janusz Szuber, Marta Wyka, Joanna Zach,
Andrzej Zawada

2011 nr 3 (71)
– na 90. urodziny Julii Hartwig
Jacek Bocheński, Kazimierz Brakoniecki, Renata
Gorczyńska, Anna Janko, Grzegorz Kalinowski,
Bogusław Kierc, Piotr Kłoczowski, Krzysztof
Lisowski, Jacek Łukasiewicz, Anna Nasiłowska,
Iwona Smolka, Leszek Szaruga, Wisława
Szymborska

2012 nr 1 (73)
– *Wisławie Szymborskiej in memoriam*
Kazimierz Brakoniecki, Stefan Chwin, Aleksander
Fiut, Renata Gorczyńska, Wojciech Gutowski,
Julia Hartwig, Bogusław Kierc, Wojciech Ligęza,
Krzysztof Lisowski, Jacek Łukasiewicz, Anna
Nasiłowska, Marek Skwarnicki, Leszek Szaruga,
Piotr Szewc, Janusz Szuber, Marta Wyka

2012 nr 2 (74)
– o *Wystarczy* Wisławy Szymborskiej
Krystyna Dąbrowska, Aleksander Fiut, Julia
Hartwig, Wojciech Ligęza, Krzysztof Lisowski,
Krzysztof Myszkowski, Leszek Szaruga, Piotr
Szewc, Janusz Szuber, Marta Wyka

2012 nr 4 (76)
– 20 lat „Kwartalnika Artystycznego”
Kazimierz Brakoniecki, Stefan Chwin, Aleksander
Fiut, Michał Głowiński, Renata Gorczyńska,
Julia Hartwig, Marek Kędzierski, Bogusław Kierc,
Jakub Kornhauser, Krzysztof Lisowski, Piotr
Matywiecki, Anna Nasiłowska, Marek Skwarnicki,
Leszek Szaruga, Janusz Szuber

2013 nr 1 (77)
– w 1. rocznicę śmierci Wisławy Szymborskiej
Stefan Chwin, Krystyna Dąbrowska, Aleksander
Fiut, Julia Hartwig, Piotr Kłoczowski, Krzysztof
Lisowski, Adam Michnik, Krzysztof Myszkowski,
Anna Nasiłowska, Michał Rusinek, Leszek
Szaruga, Piotr Szewc

2013 nr 2 (78)
– na 70. urodziny Ryszarda Krynickiego
Jacek Gutorow, Julia Hartwig, Katarzyna Herbert,
Bogusław Kierc, Jakub Kornhauser, Krzysztof
Lisowski, Piotr Matywiecki, Anna Nasiłowska,
Marek Skwarnicki, Leszek Szaruga, Janusz Szuber

MISTRZOWIE LITERATURY W FILHARMONII

WILLIAM STAFFORD • ALLEN GINSBERG • CZESŁAW MIŁOSZ • ANDERS BODEGÅRD
• ADAM ZAGAJEWSKI • RYSZARD KRYNICKI • KS. JAN TWARDOWSKI • ZYGMUNT KUBIAK
• JULIA HARTWIG • PIOTR SOMMER

ROZMOWY „KWARTALNIKA ARTYSTYCZNEGO”

- z AGNIESZKĄ HOLLAND: 0/1993
z JÓZEFEM TISCHNEREM: 1/1994
z TADEUSZEM RÓŻEWICZEM: 2/1994
z CZESŁAWEM MIŁOSZEM: 3/1994, 3/2000 (27), 3/2005 (47), 3–4/2006 (51–52)
z MICHAŁEM GŁOWIŃSKIM: 3/1994, 2/2010 (66)
z TADEUSZEM KANTOREM: 4/2010 (68)
z JOHNEM BANVILLEM: 1/1995 (5)
z JANUSZEM STYCZNIEM: 2/1995 (6)
z MARIANEM CZUCHNOWSKIM: 3/1995 (7)
z JANEM BŁOŃSKIM: 4/1995 (8), 2/2010 (66)
z EUGÉNEM IONESCO: 1/1996 (9)
z JACKIEM BACZAKIEM: 1/1996 (9)
z KRYSTYNĄ I CZESŁAWEM BEDNARCZYKAMI: 3/1996 (11)
z RYSZARDEM KAPUŚCIŃSKIM: 2/1997 (14), 1/2006 (49)
z ALLENEM GINSBERGIEM: 3/1997 (15)
z ZYGMUNTEM KUBIAKIEM: 4/1997 (16)
z ROBERTEM PINGETEM: 2/1998 (18)
z RYSZARDEM KRYNICKIM: 2/1998 (18)
z KS. JANEM TWARDOWSKIM: 3/1998 (19)
z THORSTEM AHRENDEM (SHURKAMP VERLAG): 4/1998 (20)
z JAROSŁAWEM MARKIEM RYMKIEWICZEM: 4/1998 (20)
z PAWŁEM HERTZEM: 4/1998 (20)
ze STANISŁAWEM LEMEM: 4/1998 (20)
z GUSTAWEM HERLINGIEM-GRUDZIŃSKIM: 1/1999 (21), 1/2000 (25)
z KAZIMIERZEM HOFFMANEM: 1/1999 (21), 4/2008 (60)
z JULIANEM KORNHAUSEREM: 3/1999 (23)
z JÉRÔME LINDONEM (EDITIONS DE MINUIT): 2/2000 (26)
z IRÈNE LINDON (EDITIONS DE MINUIT): 3/2001 (31)
z ALBERTO GIACOMETTIM: 2–3/2003 (38–39)
z JAMESEM LORDEM o ALBERTO GIACOMETTIM: 2–3/2003 (38–39)
z ERNSTEM SCHEIDEGGEREM o ALBERTO GIACOMETTIM: 2–3/2003 (38–39)
z JULIĄ HARTWIG: 2/2004 (42)
z FRANCISEM BACONEM: 4/2005 (48)
z BARBARĄ BRAY o SAMUELU BECKETCIE: 3–4/2006 (51–52), 4/2008 (60)
MAREK KĘDZIERSKI i KRZYSZTOF MYSZKOWSKI o SAMUELU BECKETCIE:
3–4/2006 (51–52), 1/2007 (53), 4/2010 (68)
z ROSWITHĄ QUADFLIEG o SAMUELU BECKETCIE: 1/2007 (53)
z WALTEREM D. ASMUSEM: 1/2007 (53)
z ALEKSANDREM FIUTEM: 2/2008 (58)
z MARKIEM SKWARNICKIM: 1/2009 (61)
z EWĄ LIPSKĄ: 1/2009 (61)
z THOMASEM BERNHARDEM: 2/2009 (62)
z PETEREM FABJANEM o THOMASIE BERNHARDZIE: 2/2009 (62)
ze STEFANEM CHWINEM: 3/2010 (67)
z ANDRZEJEM BUSZĄ o CZESŁAWIE MIŁOSZU: 2/2011 (70)
z TADEUSZEM RÓŻEWICZEM: 4/2011 (72)
z MARIE-LAURE BERNADAC: 4/2011 (72)
z ULFE KÜSTEREM: 4/2011 (72)
z WISŁAWĄ SZYMBORSKĄ: 1/2012 (73)
z JULIĄ HARTWIG: 2 i 3/2012 (74 i 75)
z JANUSZEM SZUBEREM: 3/2012 (75)
z RYSZARDEM KRYNICKIM: 2/2013 (78)

ANKIETY „KWARTALNIKA ARTYSTYCZNEGO”

Po co piszę?

Czesław Miłosz – nr 4/1995 (8), Ryszard Krynicki, Julian Kornhauser – nr 1/1996 (9), Jan Józef Szczepański, Tadeusz Konwicki, Zbigniew Żakiewicz, Aleksander Jurewicz, Andrzej Stasiuk – nr 2/1996 (10), Henryk Grynberg, Stefan Chwin, Kazimierz Brakoniecki – nr 3/1996 (11), Tadeusz Różewicz, Urszula Kozioł – nr 4/1996 (12), Michał Głowiński, Bogdan Czaykowski – nr 1/1997 (13), Kazimierz Hoffman, Janusz Styczeń – nr 2/1997 (14), Grzegorz Musiał, Krzysztof Karasek – nr 3/1997 (15), Florian Śmieja, Maciej Niemiec – nr 4/1997 (16), Bolesław Taborski, Ewa Sonnenberg – nr 1/1998 (17), Marek Kędzierski, Leszek Szaruga – nr 2/1998 (18), Ludmiła Marjańska, Janusz Szuber, ks. Jan Twardowski, Piotr Wojciechowski, Bohdan Zadura – nr 3/1998 (19), Adriana Szymańska, Ewa Kuryluk, Urszula M. Benka – nr 4/1998 (20), Józef Kurylak, ks. Jan Sochoń – nr 1/1999 (21), Ryszard Kapuściński, Aleksandra Olędzka-Frybesowa – nr 2/1999 (22), Maciej Cisło, Mirosław Dzień, Piotr Szewc – nr 3/1999 (23), Krzysztof Ćwikliński, Krzysztof Lisowski – nr 4/1999 (24), Stanisław Lem – nr 1/2000 (25), Anna Nasiłowska, Tomasz Jastrun, Jarosław Klejnocki – nr 2/2000 (26), Maria Danilewicz-Zielińska, Jerzy Gizella – nr 3/2000 (27), Małgorzata Baranowska, Teresa Ferenc, Bogusław Kierc – nr 4/2000 (28), Jacek Bolewski SJ, Jacek Łukasiewicz, Artur Szlosarek – nr 1/2001 (29), Zbigniew Jankowski, Kazimierz Nowosielski – nr 2/2001 (30), Joanna Pollakówna, Janusz Anderman, Jerzy Pilch, Wojciech Wencel – nr 3/2001 (31), Anna Janko, Piotr Michałowski, Piotr Mitzner – nr 4/2001 (32), Katarzyna Boruń, Bogusława Latawiec, ks. Janusz A. Kobierski, Henryk Waniek – nr 1/2002 (33), Krzysztof Myszczkowski – nr 2/2002 (34)

Trzy wiersze

Czesław Miłosz – nr 3/1997 (15), Stanisław Lem – nr 4/1997 (16), Jan Józef Szczepański – nr 1/1998 (17), Ryszard Krynicki – nr 2/1998 (18), ks. Jan Twardowski – nr 3/1998 (19), Jarosław Marek Rymkiewicz – nr 4/1998 (20), Kazimierz Hoffman – nr 1/1999 (21), Julian Kornhauser – nr 2/1999 (22), Leszek Szaruga – nr 3/1999 (23),

Piotr Sommer – nr 4/1999 (24), Gustaw Herling-Grudziński – nr 1/2000 (25), Maria Danilewicz-Zielińska – nr 2/2000 (26), Ryszard Kapuściński – nr 3/2000 (27), Michał Głowiński – nr 4/2000 (28), Zbigniew Żakiewicz – nr 1/2001 (29), Bogusław Kierc – nr 3/2001 (31), Julia Hartwig – nr 2/2004 (42)

Jaki jest terazniejszy stan literatury polskiej?

Czesław Miłosz – nr 3/2001 (31), Henryk Grynberg, Stanisław Lem, Leszek Szaruga, Janusz Szuber – nr 4/2001 (32), Julia Hartwig, Jerzy Gizella, Mieczysław Orski, ks. Jan Twardowski, Piotr Wojciechowski – nr 1/2002 (33), Ludmiła Marjańska, Adriana Szymańska, Edward Balcerzan, Kazimierz Brakoniecki – nr 2/2002 (34), Anna Nasiłowska, Mirosław Dzień, Michał Głowiński, Jarosław Klejnocki, Kazimierz Nowosielski – nr 3/2002 (35), Aleksander Fiut, Jacek Gutorow, Piotr Michałowski, Grzegorz Musiał, Krzysztof Myszczkowski – nr 4/2002 (36)

Po przełomie – najważniejsze książki dwudziestolecia 1989–2009

Michał Głowiński, Henryk Grynberg, Antoni Libera, Krzysztof Myszczkowski, Leszek Szaruga, Janusz Szuber – nr 1/2009 (61), Mirosław Dzień, Andrzej Zawada – nr 2/2009 (62), Anna Nasiłowska, Ewa Sonnenberg – nr 3/2009 (63), Wojciech Ligęza, Arkadiusz Morawiec, Andrzej Skrendo – nr 4/2009 (64)

Po co literatura?

Julia Hartwig – nr 4/2012 (76), Stefan Chwin, Renata Gorczyńska – nr 1/2013 (77), Piotr Matywiecki, Leszek A. Moczulski, Marek Skwarnicki – nr 2/2013 (78), Kazimierz Brakoniecki, Krzysztof Lisowski, Krystyna Rodowska – nr 3/2013 (79)

Moi mistrzowie

Julia Hartwig – nr 1/2013 (77), Stefan Chwin, Marek Skwarnicki – nr 2/2013 (78), Janusz Szuber, Leszek A. Moczulski, Renata Gorczyńska – nr 3/2013 (79)

BIBLIOTEKA „KWARTALNIKA ARTYSTYCZNEGO”



- Grzegorz Musiał**, *Al Fine*, Gdańsk 1997
Mirosław Dzień, *Cierpliwość*, Warszawa 1998
Michał Głowiński, *Czarne sezony*, Warszawa 1998
Jarosław Klejnocki, *W drodze do Delft*, Warszawa 1998
Piotr Matywiecki, *Zwyczajna symboliczna prawdziwa*, Warszawa 1998
Krzysztof Myszkowski, *Funebre*, Warszawa 1998
Bożena Keff, *Nie jest gotowy*, Warszawa 2000
Maria Danilewicz-Zielińska, *Biarło Konopnickiej*, Warszawa 2000
Janina Kościalkowska, *Bih me!*, Warszawa 2000
Grzegorz Musiał, *Dziennik z Iowa*, Warszawa 2000
Grzegorz Musiał, *Kraj wzbronionej miłości*, Warszawa 2001
Jerzy Andrzejewski, *Dziennik paryski*, Warszawa 2003
Mieczysław Orski, *Lustratorzy wyobraźni, rewidenci fikcji*, Warszawa 2003
Tadeusz Nowakowski, *Obóz Wszystkich Świętych*, Warszawa 2003
Kazimierz Hoffman, *Znaki*, Bydgoszcz 2008

Samuel Beckett (1906–1989), dramaturg, prozaik, poeta, eseista; pisał po angielsku i francusku; laureat Literackiej Nagrody Nobla w 1969 roku; autor m.in. *Czekając na Godota*, *Końcówki*, *Ostatniej taśmy Krappa*, *Szczęśliwych dni*, *Komedii*, *Katastrofy*, powieści: *Murphy*, *Molloy*, *Watt*, *Malone umiera*, *Nienazywalne*, tomików wierszy: *Whoroscope*, *Kości Echa*, *mirlitonades* (*gry na fujarce*), esejów m.in. *Proust* (patrz: „Kwartalnik Artystyczny” 1996 nr 4 (12), 1999 nr 4 (24), 2006 nr 3–4 (51–52), 2007 nr 1 (53), 2008 nr 4 (60), 2010 nr 4 (68), 2012 nr 4(76)).

Kazimierz Brakoniecki, ur. 1952 w Barczewie, autor około trzydziestu książek poetyckich, prozatorskich i przekładów; ostatnio opublikował tomik wierszy *Chiazma* (2012); w latach 1991–1997 redaktor naczelny „Borusii”. Mieszka w Olsztynie.

Stefan Chwin, ur. 1949 w Gdańsku, prozaik, eseista; profesor Uniwersytetu Gdańskiego; ostatnio ogłosił *Samobójstwo i „grzech istnienia”* (2013). Mieszka w Gdańsku.

Alberto Giacometti (1901–1966), szwajcarski rzeźbiarz i malarz surrealistyczny; „Kwartalnik Artystyczny” poświęcił mu osobny zeszyt: 2003 nr 2–3 (38–39).

Jerzy Giedroyc (1906–2000), publicysta, polityk, redaktor naczelny paryskiej „Kultury”; wydawca m.in. Czesława Miłosza i Witolda Gombrowicza i redaktor „Zeszytów Historycznych”; autor *Autobiografii na cztery ręce* (1994).

Michał Głowiński, ur. 1934 w Warszawie, prozaik, eseista, historyk i teoretyk literatury polskiej, krytyk literacki; profesor IBL PAN; opublikował m.in. *Kręgi obcości* (2010) (patrz: „Kwartalnik Artystyczny” 2010 nr 2 (66)), ostatnio *Realia, dyskursy, portrety. Studia i szkice* (2011). Mieszka w Warszawie.

Renata Gorczyńska, ur. 1943 w Warszawie, eseistka, tłumaczka, krytyk literacki; ostatnio opublikowała tom szkiców *Jestem z Wilna i inne adresy* (2003). Mieszka w Gdyni.

Julia Hartwig, ur. 1921 w Lublinie, poetka, eseistka, tłumaczka; autorka m.in. kilkunastu to-

mów wierszy i monografii Apollinaire’a; ostatnio w Wydawnictwie a5 ukazał się tom jej wierszy *Gorzkie żale* (2011) (patrz: „Kwartalnik Artystyczny” 2011 nr 3 (71)), zbiór *Wspólna obecność. Korespondencja Julii Hartwig i Artura Międzyrzeckiego z Anną i Jerzym Turowiczami* (2012), *Korespondencja. Artur Międzyrzecki i Julia Hartwig*, Czesław Miłosz (2012), oraz *Julia Hartwig, Artur Międzyrzecki/Katarzyna i Zbigniew Herbertowie. Korespondencja* (2013). Mieszka w Warszawie.

Zbigniew Herbert (1924–1998), poeta, dramaturg, eseista; (patrz m.in. nr 1/1998 (17), 2/1999, (22) i dodatek do nr. 2/2008 (58) „Kwartalnika Artystycznego”); w 2011 roku w Wydawnictwie a5 ukazał się tom wierszy Herberta w większości wcześniej nie publikowanych pt. *Utwory rozproszone. (Rekonosans)* pod redakcją Ryszarda Krynickiego, suplement do wydanych w 2008 *Wierszy zebranych*.

Marek Kędzierski, ur. 1952, prozaik, eseista, tłumacz Samuela Becketta i Thomasa Bernharda, reżyser; ostatnio ukazała się jego przekładzie powieść Thomasa Bernharda *Korekta* (2013). Mieszka m.in. w Paryżu.

Bogusław Kierc, ur. 1943 w Bielsku-Białej, poeta, krytyk literacki, aktor, reżyser i edytor; ostatnio opublikował tom wierszy *Manatki* (2013). Mieszka we Wrocławiu.

Agnieszka Kosińska, ur. 1967 w Dębicy, w latach 1996–2004 sekretarka Czesława Miłosza, edytorka tomu *Wiersze ostatnie* (2006), autorka *Czesław Miłosz. Bibliografia druków zwartych* (2009) i *Rozmów z Miłoszem* (2010), przygotowała do druku i opatrzyła posłowiem powieść Miłosza *Góry Parnasu* (2013). Mieszka w Krakowie.

Michel Leiris (1901–1990), francuski pisarz i etnolog; autor biografii intymnej *L’Âge d’Homme* (*Wiek męski*, w języku polskim ukazał się jako *Wiek męski wraz z rozprawą; Literatura a tauromachia*, przekład Teresa i Jan Błoński, posłowie Jana Błońskiego, 1972); ciągiem dalszym tej autobiografii było opublikowane w czterech tomach w latach 1948–1975 dzieło *La Règle du Jeu*; był jednym z założycieli czasopisma „*Les Temps Modernes*”; w Polsce ostatnio

ukazał się tom *Noce bez nocy i kilka dni bez dnia*, wstęp Maurice Blanchot, przekład i posłowie Anna Wasilewska (Gdańsk 2011).

Krzysztof Lisowski, ur. 1954 w Krakowie, poeta, prozaik, krytyk literacki; redaktor Wydawnictwa Literackiego; ostatnio ogłosił zbiór małych próz i poetyckich traktatów pt. *Czarne notesy* (2012). Mieszka w Krakowie.

Jacek Łukasiewicz, ur. 1934 we Lwowie, poeta, eseista i krytyk literacki; profesor Uniwersytetu Wrocławskiego; ostatnio opublikował książkę o Tadeuszu Różewiczu *TR* (2012). Mieszka we Wrocławiu.

Leszek A. Moczulski, ur. 1938 w Suwałkach, poeta, autor tekstów piosenek; ostatnio opublikował *Antologię* (2012). Mieszka w Krakowie.

Krzysztof Myszkowski, ur. 1952 w Toruniu, prozaik, eseista; autor m.in. powieści *Funebre* (1998). Mieszka m.in. w Bydgoszczy.

Anna Nasiłowska, ur. 1958 w Warszawie, autorka wierszy, prozaik, eseistka i krytyk literacki; profesor IBL PAN; ostatnio opublikowała opowieść pt. *Wolny agent Umeda i druga Japonia* (2013). Mieszka w Warszawie.

Piotr Piaszczyński, ur. 1955 w Olsztynie, autor wierszy, publicysta, krytyk literacki; ostatnio opublikował *Moleskine* (2009). Mieszka w Kolonii.

Ivan Oñate, patrz: Nota tłumacza, str. 136.

Krzyszyna Rodowska, ur. 1937 we Lwowie, poetka, tłumaczka, krytyk literacki; ostatnio opublikowała *Wiersze przesiane 1968–2011* (2012). Mieszka w Warszawie.

Janusz Skuczyński, ur. 1949 w Człuchowie, historyk literatury, teatrolog; profesor UMK w Toruniu; ostatnio opracował dla Ossoli-

neum *Dziady* kowieńsko-wileńskie i *Dziady* drezdeńskie (2012). Mieszka w Toruniu.

Iwona Smolka, ur. 1944 w Warszawie, pisarka, krytyk literacki, dziennikarka; ostatnio opublikowała *Dom żywiołów* (2000). Mieszka w Warszawie.

Piotr Sobolczyk, ur. 1980 w Lublinie, autor tomów poetyckich, próz, esejów, krytyk literacki i tłumacz; ostatnio opublikował tom wierszy *Dywan Pierrota* (2009). Mieszka w Krakowie.

Leszek Szaruga, ur. 1946 w Krakowie, autor tomików wierszy, prozaik, eseista, krytyk literacki, tłumacz poezji niemieckiej; profesor Uniwersytetu Warszawskiego; ostatnio opublikował zbiór *Kanibale lubią ludzi* (2012). Mieszka w Warszawie.

Piotr Szewc, ur. 1961 w Zamościu, prozaik, poeta, krytyk literacki, redaktor „Nowych Książek”; ostatnio opublikował tom wierszy *Moje zdanie* (2009). Mieszka w Warszawie.

Janusz Szuber, ur. 1947 w Sanoku, poeta, autor wielu tomików wierszy i prozy wspomnieniowej *Mojość*; ostatnio opublikował *Emeryk u wód* (2012) oraz dwujęzyczny, polsko-hiszpański, wybór wierszy *Entelechia/Entelequia*, układ tomiku i tłumaczenie na język hiszpański Zygmunt Wojski (2012). Mieszka w Sanoku.

Susana Szwarz, patrz: Nota tłumacza, str. 132.

Paweł Tański, ur. 1974 w Toruniu, autor tomików wierszy, krytyk literacki; ostatnio opublikował m.in. tom poezji *mikrotony* (2011). Mieszka w Toruniu.

Maciej Wróblewski, ur. 1968 w Elku, prozaik i krytyk literacki; autor zbioru opowieści *Historie Jakuba Blottona z widokiem na Toruń* (Szczecin Bezrzecze 2010). Mieszka w Toruniu.

KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

kwartalnik.art.pl

poezja

proza

esej

dzienniki

listy

rozmowy

recenzje

noty o książkach

numery
monograficzne

najwybitniejsi
pisarze
współcześni



Teksty dwunastu proroków, których Augustyn z Hippony nazwał mniejszymi (*propheate minores*), mimo różnorodności tematycznej i gatunkowej były od najdawniejszych czasów zapisywane w jednym zwoju, tworząc spójną całość. Pod względem znaczenia tych dwunastu nie ustępuje trzem wielkim: Izajaszowi, Jeremiaszowi i Ezechielowi, a to, że zostali nazwani mniejszymi, dotyczy jedynie objętości ich wypowiedzi, a nie ważności. Razem z nimi należą do grupy *newiim achronim*, proroków późniejszych, w odróżnieniu do *newiim riszonim* czyli proroków pierwszych – od Jozuego do Samuela. Księga obejmuje cztery wieki i dobrze jest ją czytać łącznie z historycznymi Księgami Królewskimi i Księgą Kronik. Najpóźniejszą wśród nich jest powstała w czasach hellenistycznych, a w zbiorze umieszczona jako piąta słynna Księga Jonasza – dydaktyczna nowela o prostej fabule i niezwyklej głębi, odczytywana w synagogach w Jom Kipur.

Głównym wątkiem *Księgi Dwunastu* jest wątek mesjański, konsekwentnie zapowiadający przyjsie Zbawiciela i opisujący mające nastąpić w związku z tym znaki i wydarzenia. Izaak Cyłkow w *Uwagach wstępnych* po kolei przedstawia autorów, ich teksty i szkicuje tło

historyczne. Ozeasz/Hozeasz w dwuczęściowym przesłaniu wygłasza najpierw mowy alegoryczne, ukazujące sprzeniewierzenie się ludu i jego przysze odrodzenie dokonane drogą skruczy i poprawy, a następnie na ten sam temat powstałe w różnych okresach mowy liryczne. Joel w apokaliptycznych obrazach opisuje sąd Boży dokonany nad Judeą, a potem nad jej wrogami i niszczycielami i wzywa do pokuty i oczyszczenia. Surowe i malownicze kazania Amosa zawierają groźby i napomnienia kierowane do okolicznych ludów, a także do Judy i Izraela, wreszcie zwracają się już tylko do Izraela i kończą nadzieją odrodzenia i przyszłego szczęścia. Słowa Abdiasza/Obadjasza odnoszą się do zdobycia i rabunku Jerozolimy, potępiają zbrodnie Edomu i zapowiadają sprawiedliwą zemstę. Historia Jonasza, która w przeciwieństwie do innych ksiąg prorockich nie zawiera mów i upomnień, za każdym razem wprawia w zdumienie i zadumę, stając się nieustającą inspiracją. Micheasz/Micha w pięciu mowach mówi o złych czasach, upadku ludzi i nieszczęściu, ale zapowiada jasną i szczęśliwą przyszłość. Trzy mowy Nachuma, których tematem jest upadek i zagłada Niniwy, stanowią, jak mówi Cyłkow, jeden z najpiękniejszych klejnotów poezji proroczej.

Poetyczne, błagalne i wzniosłe lamentacje Habakuka ułożone są w części w formie dialogu, bo słyszymy w nich odpowiedzi Boga i zaliczone zostały do najpiękniejszych utworów poezji hebrajskiej. Uniwersalne groźby, przestrogi i pocieszenia Sofoniasza/Cefanji prowadzić mają do pokory i wiary. Wokół przerwanej budowy świątyni obracają się suche i ciężkie, chociaż krótkie mowy Aggeusza/Haggaja. Duże wrażenie robią wizje i symboliczne obrazy Zachariasza współdziałające ze słowami Boga, a odnoszące się, tak jak u Aggeusza, do zarzuconej budowy świątyni jerozolimskiej, odnowienia moralnego i czasów eschatologiczno-mesjańskich. W rozdziale dziewiątym i dwóch następujących rozszerza krąg o sprawy historyczne i polityczne, a w trzech ostatnich mówi o przyszłej Jerozolimie – duchowej stolicy świata i o nawróceniu ludu. Tom kończą mocnym akordem groźby i napomnienia Malachiasza/Maleachi, które są ostatnim prorocstwem Starego Testamentu. Prorok przygotowuje lud i zapowiada przyjście poprzednika Mesjasza – Eliasza (jest to symboliczne imię Jana Chrzciciela) przed nadejściem wielkiego Bożego sądu.

Wielka siła i moc są w tej *małej* Księdze.

K.M.

Księga Dwunastu Mniejszych Proroków, tłumaczył i podług najlepszych źródeł objaśnił dr Izaak Cylkow (reprint), Wydawnictwo Austeria, Kraków–Budapeszt 2013

Po edycjach przekładów Zygmunta Kubiaka i tomie Antoniego Libery (wierszy Aleksandryczyka tłumaczonych nie z nowogreckiego, ale z innych języków europejskich) w roku sto pięćdziesiątych urodzin Konstandinosa Kawafisa i osiemdziesiątej rocznicy śmierci poety pojawił się w krakowskim wydawnictwie Austeria wybór nowy, w przekładzie Ireneusza Kani. Przypomnijmy, że blok przekładów z tego zbioru można było przeczytać niedawno w „Kwartalniku”, również posłowie Kani do tej pięknej, bibliofilskiej edycji.

Księga to pokaźna, format a3, dobra typografia, tom zdobi portret fotograficzny poety z Aleksandrii, w środku znajdziemy faksymile wiersza tytułowego, *Czekając na barbarzyńców*/ Περιμένοντας τους Βαρβάρους. siedemset numerowanych egzemplarzy nakładu. Wyjątkowość – bo to przecież pierwsza taka edycja w naszym kraju – wydania polega na jego dwujęzyczności. Kto chce, może czytać wiersze w języku nowogreckim.

O zasadach wyboru tych ponad sześćdziesięciu utworów, dokonanego przez przyjaciół związanych z oficyną Austeria, pisze Ireneusz Kania we wstępie: „Z powstałych w ten sposób przekładów Marysia i Adam Wodniczy, którym są one w pierwszym rzędzie dedykowane (bo to im zawdzięczać decydujący impuls do podjęcia trudu przekładania Kawafisa), ułożyli

niniejszy tom. Porządek utworów jest bezdusznie chronologiczny. Ma on tę zaletę, że pozwala – oczywiście do pewnego stopnia – śledzić ewolucję warsztatu pisarskiego Kawafisa, a nawet pracę jego wyobraźni”.

Zbiór rozpoczyna się od dość konwencjonalnych wczesnych wierszy (Kania w przeciwieństwie do innych tłumaczy trzyma się wiernie rymu i miary wiersza), pierwszy to przekład utworu z 1884 roku, w kolejnych spolszczeniach pokazuje wiersze liryczne, miłosne, historiozoficzne Aleksandryjczyka. Tom wieńczy utwór *Podczas marszu do Synopy* napisany w roku 1928.

Aby dowiedzieć się więcej o motywacjach tego zasłużonego tłumacza, warto przeczytać prócz wstępu do edycji interesujący wywiad, jaki przeprowadził z tłumaczem Jacek Hajduk, młody filolog klasyczny, prozaik (autor powieści *Pliniusz Młodszy*), również autor nowego przekładu „kanonu” Kawafisa (druk w „Tygodniku Powszechnym”). Na pytanie „po co Kawafis?” – Kania odpowiada:

„Po co? Bo po prostu jest piękny i to by mogło wystarczyć. A poza tym, jest to również bardzo mądra poezja, odpowiada mojemu temperamentowi, trochę melancholika, człowieka patrzącego na świat trochę pesymistycznie. To wyczulenie na dramat przemijania – wszystkiego. Kawafis próbował mówić »nie« temu przemijaniu. I z tego sprzeciwu wyrosły wiersze. Literatura

rodzi się z czegoś takiego. Mnie jest niesłychanie bliska filozofia podróży jako czegoś, co się nigdy nie kończy i gdzie sama podróż jest celem. Chodzi o wędrówkę. Jak w *Itace*. Jest to kolejny wiersz, obok *Czekając na barbarzyńców*, emblematyczny dla całej naszej europejskiej mentalności. Jest kwintesencją naszego europejskiego ducha”.

K.L.

Konstandinos Kawafis, *Czekając na barbarzyńców*/Περιμένοντας τους Βαρβάρους. Wydawnictwo Austeria, Kraków–Budapeszt 2013.

Nowa książka Wisławy Szymborskiej (1923–2012) skomponowana została ze starych, w większości nieznanych utworów, zapisów, zapisków i rysunków ułożonych chronologicznie i przekrojowo w wyborze m.in. Michała Rusinka i zaopatrzona w naukowy, mimo że lekki jak piórko komentarz i wstęp Bronisława Maja, krakowskiego humanisty i humorysty. Zostali w nim przywołani m.in. Leśmian i Konopnicka, Broniewski, Max Brod i Ofelia, Ross, Halka i Stala, Miłosz, T.S. Eliot i Peiper, Szaniawski, Andrzejewski i Świrszczyńska, Gałczyński, Lipska i Dygat, Różewicz, Lechoń i Mrozek, Wojacek, Wilde i Włodek, Poświatowska, Słomczyński i Filipowicz, Salome, Walas i Czałczyńska, Brodski, Barańczak i Don Juan, Yeti, Telly Savalas i Turnau, tudzież Białas i Czyż oraz sama Szymborska, a więc rozpiętość jest wielka,

chwilami wręcz trudna do ogarnięcia. Chyba każdy miłośnik literatury poczuje się usatysfakcjonowany tym występowaniem pod znaczącym tytułem.

Tomik otwierają poprzedzone wprowadzeniem Autorki *Juwenilia*, a w nich zdjęcia małej i młodzieńczej Ichny, kolorowe, przeważnie religijne rysunki pochodzące prawdopodobnie z okresu jej zamieszkania w Toruniu, zapiski i liściki do mamy, ballada o miłości, początek jedynej i niestety niedokończonej powieści, od której zmyślnego tytułu wzięta tytuł cała ta książka, poemat epiczny w dwóch pieśniach, wiersz i szkic przemówienia na cześć „Idealnego osobnika” z kroniki klasowej ss. urszulanek oraz *Nihil novi sub sole*.

Istny wir literacki, nieopisany różnorodności gatunków i podgatunków z różnych czasów pochodzących: z lat młodości, z Krupniczej, z szuflad, z ryb i z Lubomierza. Czego tam nie ma? Są m.in.: spowiedź na motywach angielskiej ballady, wiersze i wierszyki okolicznościowe, ankieta, czyli konkurs na wygłupianie się bliźnich, tzw. pele-mele, moskaliki, limeryki i fragmenty apokryficzne, metyzyje, słownik wyrazów obelżywych (ułożony wspólnie z Kornelem Filipowiczem), listy, kolaż i rysunki, piosenka, anatomia w książce telefonicznej, tekst zamiast felietonu, bajki, epitafia, rajzefiberki, adoralia, przysłowia nadrealistyczne, wierszyki okolicznościowe, lepiej hotelowe, wpis do księgi pamiątkowej i spis lubomierskich

nie-ludzi, listy parkingowego, kołysanka i na koniec ostatnia zapiska.

Wiele zabawy jest w tej książce, jest też smutek i żal, osobna pełnia.

K.M.

Wisława Szymborska, *Błysk rewolwru*, wstęp i komentarz naukowy: Bronisław Maj, wybór tekstów, redakcja i przypisy: Michał Rusinek, Sebastian Kudas, Agora SA, Warszawa 2013

Wiersze przesiane Krystyny Rodowskiej to autorski wybór utworów z jej sześciu wydanych dotychczas tomów poezji, wzbogacony o nowsze liryki, które pierwszy raz ukazują się w formie książkowej. Obejmuje lata 1968–2011. W poruszającej, osobistej przedmowie poetka zarysowuje swoją twórczą drogę poczynając od debiutu, któremu patronował Stanisław Grochowiak. Nie była to droga łatwa – Rodowska nie ukrywa poczucia niedoceny przez krytykę – ale na pewno ciekawa: obfitująca w artystyczne przyjaźnie (z Mironem Białoszewskim, z poetami Ameryki Łacińskiej), pełna podróży, przede wszystkim do Meksyku, co wiąże się z działalnością przekładową.

Kiedy pierwszy raz spotkałam się z poezją Krystyny Rodowskiej za sprawą tomiku *Na dole płomień*, w *górze płomień* z 1996 roku, najbardziej zapadły mi w pamięć odważne, a zarazem subtelne erotyki. Przeczą one obiegowej opinii, że w dzisiejszej polskiej literaturze wątek seksualności, miłości w jej

jak najbardziej zmysłowym wymiarze, reprezentowany jest słabo. Rodowska nie boi się drążyć najintymniejszych doświadczeń w tej sferze, znajdując dla nich oryginalny język: skrótowy, czerpiący z dorobku awangardy spod znaku Przybosia, łączący w sobie impulsywność i dyscyplinę. To, co mogłoby zamienić się w modlitewną egzaltację, jak słowa „bądź rozkosz twoja”, powściągane jest przez zwarty rytm krótko ciętych wersów i przez dosadność, która zakotwicza ekstatyczne przeżycie w cielesności, ale nigdy nie jest wulgarna: „*Faire l'amour* nie w myślach / nie w mowie tylko / prawdy zaniedbanej lecz // wargami oczami językiem / natchnionym między nogami”.

Również w *Wierszach przesianych*, zbierających teksty z wielu lat, erotyki brzmią dla mnie najmocniej, najczyściej. A wersy takie jak „zrób to ze mną / zrób / śmierci przejście” są mostem do innego wątku ważnego i pięknie artykułowanego w tej poezji – przemijania i przeczucie eschatologicznych, zrośniętych z doświadczeniem ciała. Ciało bowiem „gdy siwieją ciemności / (...) / jest zbuntowanym cmentarzem” i „uczciwie / ostrzega że nic nie jest wieczne / że dalej / znajdę o innych niezbadanych siłach”.

Wśród wierszy powstałych w ostatnich latach wyróżniają się intensywnie sensualne *Zaduszki w Xochicoatlán* – próba oswojania śmierci na modłę meksykańską. Święto zmarłych

obchodzi się tutaj w dekoracjach z złotych kwiatów, modląc się „stopami w ciągłym tam i z powrotem / między cmentarzem na górze a zastawionym stołem”. Śmierć ma zęby z kolorowej bibuły, zjada się ją w zdrobniającej postaci „chlebka zmarłych”, a modlitwa jest ruchem, wędrówką, medytacją ciała. To związanie zmysłowości z duchowością, z niewidzialnym i zaledwie przeczucywanym, obecne już na poziomie plastycznego, silnie zmetaforyzowanego języka, jest dla mnie wielkim walorem poezji Krystyny Rodowskiej. I gdybym miała wybrać dewizę dla tej twórczości, syntetyczną formułę, charakteryzującą *Wiersze przesiane*, byłaby to puenta jednego z erotyków: „poznanie w każdej cząsteczce ciała”.

K.D.

Krystyna Rodowska, *Wiersze przesiane*. 1968–2011, Podkarpacki Instytut Książki i Marketingu, Rzeszów 2012

Najnowszy tomik Janusza Drzewuckiego *Dwanaście dni* jest opowieścią o wędrowaniu, pozyskiwaniu i traceniu, i o neurotycznym poszukiwaniu samego siebie. Książkę otwiera prolog składający się zaledwie z trzech wierszy opowiadających o uwikłaniu bohatera tego tomu w meandry życia społecznego i politycznego współczesnej Polski. Jawi się nam tu człowiek znerwicowany, niepotrafiący, ale

też programowo niechcący się określić w świecie konfrontacji wartości, przekonani i wierzeń. Rozdwojony podmiot tych wierszy wyrusza w swoją dość osobliwą podróż. Osobliwą dlatego, że jest to rzeczywista podróż po krajach, miastach i miasteczkach, ale jest to też podróż przez wydarzenia, kultury i czas oraz wymyślone i wyobrażone. Jedną z właściwości owej podróży, tak zresztą charakterystyczną dla współczesnego człowieka jest potrzeba przeżycia i zobaczenia „wszystkiego”. Bohater wierszy Drzewuckiego wprost szamocze się w Budapeszcie – chce być w tej samej chwili w Peszcie i w Budzie; biega po mieście w poszukiwaniu wrażeń. Istotniejszym wymiarem podróży okazuje się oddawanie się drodze; poddanie się wędrowaniu i pewna bezinteresowność w poznaniu i przeżywaniu świata.

Ważną prerogatywą owej poetyckiej podróży jest jej cel. Otóż wędruje się tu nie po to, by oglądać kolejne kraje, ciekawostki turystyczne, imponujące budowle, ale po to, by rzetelnie w tych podróżach spotykać siebie. Taki życiowy program wcale nie czyni życia łatwym. W zawierzeniu temu, co może się zdarzyć, kryje się zawsze ryzyko; niebezpieczeństwo, że świat zgotuje nam nieludzki los, że może tuż za rogiem czeka nas nieszczęście, cierpienie, a może i zagłada. Tomik Drzewuckiego pełen jest takich lęków – czasem skrypanych, czasem wyraziście jawnych.

Oddanie się drodze to także zdanie się na przygodność rzeczy dobrych i złych; to też zgoda na ową przygodność i przyzwolenie, żeby życie przyniosło to, co się życiu podoba. I poeta o tym niebezpieczeństwie w sposób spokojny i przejmujący opowiada.

Tomik *Dwanaście dni* zamyka cykl przejmujących wierszy o zmarłych przyjaciółach i znajomych, o zmarłych towarzyszach podróży poety przez miasta i czasy. Tonem i dykcją te żałobne wiersze przypominają sławny tom *Umarłych ze Spoon River*. Mamy tu tę samą gorzko-ironiczną dykcję, opowieść o tym, co z naszego wędrowania pozostaje w pamięci tych, którzy zostali. Pamięć, okazuje się, zachowuje rzeczy i czyny podniosłe, ale i te śmieszne, małostkowe. Pamięć o zmarłych, jeśli nie ulega manierze i konwencji żałobnych wspomnień czy pośmiertnych klepsydr, zawsze jest wspomnianiem różnorodności ludzkiej drogi.

K.Der.

Janusz Drzewucki, *Dwanaście dni*, Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2013

Wiersze ponowne Jarosława Zalesińskiego przynoszą bardzo ciekawe propozycje wypowiedzi lirycznych, to zbiór, który można by nazwać poszukiwaniem tego, co w ludzkim życiu najcenniejsze – chwil radości spowodowanych faktem, że się jest, że się istnieje

i chodzi po tej ziemi. Autor tych poetyckich monologów to człowiek dostrzegający, jak świat jest wspaniały i piękny, jak wiele przynosi mądrości i zadziwiających epifanijnych tropów. Przykłady można by podać niemal z każdej strony tomu, tu wskażmy wiersz *Radość chmur*, w którym znajdujemy zapis olśnienia obserwacją obłoków: „(...) zabawa lśnienia i odbić”. Miesza się w tych lirykach szczęście i smutek, melancholia i zachwyty, choroba świadomości przemijania i momenty piękna, które zapiera dech. Ostatni wiersz tomiku nosi tytuł *Co było najpiękniejsze* i jest to trafna metafora zawartości całego zbioru. Rozmyślanie o tym właśnie, co jest w rzeczywistości odbieranej zmysłowo najcenniejsze, najbardziej estetycznie wartościowe, spośród bogactwa „nieobjętej ziemi”, mówiąc słowami Miłosa, patrona tych utworów.

W *Wierszach ponownych* podmiot chłonie świat każdym zmysłem, wyczulonym, napiętym, wrażliwym na każdą drobinę bytu. „Warkot kosiarek na miejskich trawnikach zwiastuje schyłek sierpnia” – czytamy w liryku *Warkot kosiarek*, uszy łapią odgłosy codziennych spraw, przynoszą wiedzę o świecie, podobnie, jak pozostałe zmysły: „Woń skoszonej trawy, lekko kwaskowata, unosi się (...)”, „Na seledynowym spodku leżą pistacje. / Łagodne kolory sycą się sobą. Możesz brać je / w palce i wkładać do ust. Słodycz i słoność / zaspokoją twój głód

(...)” (*Pistacje*), „Jest lato, / jego schyłek, niczym pszczoły buczą kolory ogrodu. / Łodygi rabarbaru, różowe u nasady, napęczniały / znanym ci kwaśnym sokiem. Potrącasz liście / czarnej porzeczki i wdychasz ich cierpki aromat” (*Pistacje*). Bogactwo rzeczywistości domaga się poetyckich świadectw, zapisów chwil, ważnych, zadziwiających swoją pełnią i niewyczerpanym zbiorem tego, co niezwykle.

Metafizyczny wymiar *Wierszy ponownych* sprawia, iż ich czytelnik odczuwa ufność i nadzieję wobec Niewyraźnego, czuje „smak słów” (z utworu pod takim właśnie tytułem), ma wiarę w to, że język został nam dany po to, by wyrazić – niechby niedoskonale – „przemarsz nienazwanego” (*Smak słów*).

P.T.

Jarosław Zalesiński, *Wiersze ponowne*, Wydawnictwo Tytuł, Gdańsk 2012

Ślady krwi Jana Polkowskiego to książka, w której we frapujący sposób opowiedziano losy członków pewnej rodziny w wieku dwudziestym. Rozpoczyna się ta powieść na początku XXI wieku, w Kanadzie, w której mieszka główny bohater – Henryk Harsynowicz, żyjący w Toronto „samotnie i skrycie”. Zmuszony do przyjazdu do Polski, rozpoczyna swoją podróż w przeszłość – w dzieje rodziny i kraju. Analizuje wydarzenia, interpretuje

sensy, próbuje wyjaśniać zagadki polityki i historii. Szuka swojej tożsamości.

Jan Polkowski ma świetny warsztat, język jest wartki, żywy, słychać tu ironię, losy postaci ukazane są w sposób groteskowy, absurd goni absurd, zagmatwane doświadczenia bohaterów w szarzyźnie PRL-owskiej obłudy oddano trafnie, z wycuciem i artyzmem.

Ślady krwi są powieścią o ciekawej kompozycji, która oddaje stopniowe odkrywanie sekretnych spraw związanych z Harsynowiczem, pogmatwane historie Polaków, zaplątanych w totalitaryzmy minionego wieku, w emigracyjne peregrynacje, wygnania, powroty do spraw nabrzmiałych bólem, cierpieniem, poniżeniem, szukaniem wolności.

Epicki rozmach książki Jana Polkowskiego budzi podziw. Ta opowieść jest żywa, starannie skomponowana i to sprawia, iż ten obszerny tom czyta się z uwagą i z zainteresowaniem.

P.T.

Jan Polkowski, *Ślady krwi. Przypadki Henryka Harsynowicza*, Wydawnictwo M, Kraków 2013

Antoni Libera po raz kolejny udowodnił, że potrafi opowiadać interesujące historie. W niewielkim objętościowo, ale treściowo bogatym i misternie skomponowanym tomie pt. *Niech się panu darzy*, zawarł trzy nowele, które czyta się świetnie. Wszystkie trzy

prześlągnięte są aurą przemijania, refleksji o sensie życia, o jego pułapkach i nieoczekiwanych zwrotach; o tym, jak ironiczne, gorzkie, melancholijne i niezwykle potrafią być losy człowieka. Nie zdradzę tu szczegółów fabuły, by nie psuć niespodzianki czytelnikom, a proszę mi wierzyć, że pointy tych nowel są zaskakujące, zadziwiające, a nawet mrożące krew w żyłach – z powodu tego, jakie figle potrafi spletać ludzkie życie, jak może być nasączone ironią, jak marzenia i plany w konstruowaniu drogi życia runąć mogą w błysku chwili, jak popiół pokrywa to, co zostało z dziecinnych rojeń o wspaniałym doświadczeniu przyszłości. A właśnie przyszłość spleta tu się z przeszłością i teraźniejszością jak w tyglu. Tożsamość na kartach tych pięknych historii, opowiedzianych przez Antoniego Liberego, jest wciąż na planie pierwszym – ta wciąż konstruowana, komponowana, labilna, zmienna, dynamiczna i ten antropologiczny namysł przenika stronie książki autora *Godota i jego cienia*.

Wspaniała jest nowela ostatnia tomu *Niech się panu darzy* – to rzecz o tym, jak młody człowiek zmaga się ze swoją edukacją muzyczną, pianistyczną, jak uświadamia sobie niedostatki własnego talentu – że nie będzie wirtuozem, że musi obrać inną drogę w życiu. Tytuł tej noweli to *Toccata C – dur* i dotyczy właśnie tej niezwykłej kompozycji Schumanna. Dość powiedzieć,

że profesor fortepianu zadał ten utwór bohaterowi noweli – pierwszoosobowemu narratorowi – do opanowania na egzamin dyplomowy. Nauczyciel gry na instrumencie miał pod swoją opieką dwóch adeptów sztuki wykonawczej – oprócz bohatera jego kolegę. Rywalizacja między nimi jest osią konstrukcyjną tej opowieści, trzymającej w napięciu, jak tytułowa kompozycja muzyczna.

Tytuł zbioru można odczytywać ironicznie, ale możliwa jest też interpretacja odmienna – to zaklęcie losu, nadzieja na dobre życie, na byt ciekawy i sensowny. To wyraz wiary w optymistyczną przyszłość, w jasny i piękny los, w doświadczenia pozytywne i budujące ład, porządek, światło trwania.

Tytuł drugiej noweli *Widok z góry i z dołu* odsyła do obserwacji bliskiego narratorowi miejsca, przestrzeni oswojonej i ważnej. Jak patrzeć i jak o tym pisać? Jak uważnie oglądać świat? Ile zauważamy, ile przechowujemy w pamięci? Te pytania wynikają nie tylko z lektury tej noweli, ale ze wszystkich tych trzech intrygujących opowieści.

P.T.

Antoni Libera, *Niech się panu darzy i dwie inne nowele*, Biblioteka „Więzi”, tom 285, Warszawa 2013

Anna Nasiłowska w książce pt. *Konik, szabelka* zaprasza do świata swojej przeszłości i jest to podróż fascynująca i barwna. W siedmiu opowieściach emocje skrzą się pełnią odczuć, wiadać, jak te narracje przeniknięte są mądrym i uważnym widzeniem świata, jak można rozmyślać o swoim czasie i mówić o tym za pomocą pisma w sposób żywy i interesujący. Pod koniec zbioru czytamy wyznanie: „Pozostaje opowiedzieć sobie rodzinne mity. Sobie, ale dla siebie, a nie sobie nawzajem. Możemy przekazać tylko zarysy, nic więcej” – pisząc to, Nasiłowska ma na myśli swoją komunikację z kimś z innej kultury, innego świata, jest to tajemniczy Y., Chińczyk, o którym opowiada i jest to metafora w ogóle twórczości literackiej, sensu układania opowieści.

Niezmiernie ważną kwestią *Konika, szabelki* jest sfera mówienia, historii opowiadanych sobie w rodzinie – tutaj na pierwszy plan wysuwają się opowieści dziadka. „Mnie jednak przestało chodzić o prawdę. Prawdziwe były sprzęty, miejsca, przedmioty. Opowieści – nie musiały, właśnie ten moment, gdy opuszczały bezpieczne koleiny poruszania się po ziemi, był najciekawszy” – mówi bohaterka-narratorka i są to kluczowe zdania książki. Gawęda, rozmowa, która się wspaniale toczy, monolog dziadka – to wszystko pulsuje i rozwija się.

Konik, szabelka to książka o mocy wspomnień, o sile pamięci, nawet jeśli

niedoskonałej, kruchej i postrzępionej, to przynoszącej chwilę kojącej przyjemności i radości.

P.T.

Anna Nasiłowska, *Konik, szabelka, Świat Książki*, Warszawa 2011

Siedemdziesiąt spisanych z taśm oraz napisanych wspomnień o Czesławie Miłoszu (1911–2004), siedemset stron druku, ale czyta się szybko, nie raz ze wzruszeniem i zamyśleniem. Jest to świadectwo, jak różni ludzie widzą Miłosza, a on jawia się w tych relacjach niekiedy w bladych lub przerysowanych konturach, a niekiedy w przejmujących i zaskakujących ukazaniach się i przebitkach. Mówią lub piszą o nim żona, syn, synowa i wnuczka, brat, bratowa i bratanica, poeci i prozaicy, eseści, krytycy i tłumacze, redaktorzy, edytorzy i wydawcy, publicyści i felietoniści, żony i córki poetów, pisarzy i redaktorów, sekretarki, aktorka i reżyserzy, filozofowie i historycy, sławista, poloniści i indolog, pielęgniarki, rehabilitant i lekarze, a więc towarzystwo do Sasa i do lasa i robi wrażenie ta różnorodność tym bardziej, że nie bardzo wiadomo, według jakiej kompozycji te głosy są ułożone, więc brzmią i krzyżują się, jak chcą.

Ciekawe są teksty opracowane na podstawie nagranych rozmów: nie ma w nich cyzelacji, które mają teksty

pisane, co w tym przypadku na dobre wychodzi. Jakieś skrawki, fragmenty, sceny i scenki, zdania i akapity, krótsze lub dłuższe wypowiedzi, sytuacje i anegdoty i w nich Miłosz, czy też to one osnute są wokół niego. Pokazany jest na miarę tych, którzy o nim mówią, którzy widzą tyle, ile mogą zobaczyć, bo przecież trudno jest prawdziwie mówić o Miłoszu, portretować go czy choćby tylko szkicować, gdyż jest to człowiek bardzo skomplikowany, wewnętrzny, sprzeczny, zaskakujący, wielopiętrowy i osobny.

Najciekawsze w tej książce są według mnie przepisy kulinarne, które po raz kolejny, ale z niezmiennym przejęciem podaje Grażyna Strumiłło-Miłosz (np. bigos, śledzie, kasza) i warto je wypróbować, także wiadomość z relacji Renaty Górczyńskiej o obszernej korespondencji Poety z księdzem Józefem Sadzikim, która jest na długie lata zastrzeżona i która pewnie jest pasjonująca, uwagi Aleksandra Fiuta o życiu wewnętrznym Miłosza i o współczuciu, jakie miał dla ludzi (to bardzo łączy go z Beckettem), czy ponownie z uwagą przeczytane zdania Ryszarda Krynickiego o tym, jak Miłosz podczas ostatniego spotkania mówi do niego o widzeniu – w tym opisie Miłosz jest w jednym błysku pokazany chyba najprawdziej w całej tej książce.

O obecność Miłosza nie musimy się martwić, bo w sposób rzeczywisty jest on obecny w swoich utworach i dopóki

będzie istniała literatura i język polski, będzie istniał on.

M.W.

Obecność. Wspomnienia o Czesławie Miłoszu, wybór, redakcja i opracowanie Anna Romaniuk, seria „Twarze”, Dom Wydawniczy PWN, Warszawa 2013

Pierwszy tom *Dzieł wszystkich* dominikanina Mistrza Eckharta (ok. 1260–1327/1328), jednego z największych mistyków i teologów średniowiecza, zawiera dwadzieścia cztery kazania niemieckie, a wiadomo, że pisał i głosił kazania również po łacinie. Był jedynym sławnym teologiem tego czasu, który stanął przed trybunałem inkwizycji z zarzutami nieortodoksji i herezji, a przedmiotem badania i dochodzenia było dwadzieścia osiem twierdzeń pochodzących właśnie z pism w języku niemieckim.

Centrum jego teologii stanowi narodzenie Boga w „głębi” czyli najdoskonalszej „części” duszy, w którym dokonuje się *unio mystica*. Ten rdzeń duszy (*Seelengrund* lub *Grund*) jest najbardziej wewnętrznym miejscem człowieka, zwanym m.in. „wierzchołkiem”, „iskierką” i „warownym miasteczkiem”, w którym znajduje się obraz samego Boga. Motywem postępowania nie może być dążenie do czegoś, lecz mocna i nieusuwalna potrzeba przekraczania samego siebie, która wynika z niedoskonałości człowieka („gniewne

niezadowolenie”). Trzeba doświadczyć Boga tak, żeby dokonała się radykalna przemiana od bycia „dla siebie” do bycia „dla innych”. Metafizyka, etyka i mistyka stanowią w tym procesie jedność. To charakterystyczna cecha mistyki nadreńskiej, której Eckhart jest obok bł. Henryka Suza i Jana Taulera głównym przedstawicielem. Obecne w jego kazaniach i traktatach wątki znajdują się w poglądach i dziełach m.in. Ruysbroeka, Mikołaja z Kuzy, Tomasza a Kempis, Paracelsusa, Jakoba Bohme, Angelusa Silesiusa, Hegla, Schopenhauera, Nietzschego, Tomasza Manna i Heideggera. Jego twórczość uznawano za „fenomen językowy najwyższej rangi”.

Niezwykły erudyta, nieustannie cytuje autorów starożytnych i średniowiecznych, pogańskich i chrześcijańskich, m.in. Platona, Arystotelesa, Senekę i Majmonidesa, Pseudo-Dionizego, Augustyna, Tomasza, Grzegorza Wielkiego i Bernarda z Clairvaux, ale nie tworzy z tego kompilacji, lecz wpisuje ich w tok własnej myśli i jest pośród nich osobny i konsekwentny. Najważniejszym odniesieniem, punktem wyjścia, fundamentem i punktem dojścia jego rozważań jest słowo Boże, bez obcowania z którym nie może być zjednoczenia duszy z Bogiem, co jest dla niego celem głównym. Kazania najczęściej rozpoczynają się właśnie krótkim biblijnym fragmentem, który w dalszej części jest komentowany i rozwijany. To przemawiające w głębi

człowieka Słowo można usłyszeć tylko w ciszy wewnętrznej. Cały wysiłek trzeba wkładać w docieranie do ukrytej treści Pisma, która jest potrójna: Boska (*misteria*), naturalna (*res naturae*) i moralna (*mores*). I właśnie to, dotarcie do ukrytego sensu Pisma, jest celem jego kazań.

Najważniejsze ich tematy to m.in. „odosobnienie”, „duch odosobnienia”, „oderwanie się od wszystkiego”, „dy-stans”, „odejście”, usposobienie czyli właściwości duszy, które pozwalają jej otrzymać Boży dar, kształtowanie na wzór Dobra, którym jest Bóg, wielka szlachetność, która jest pomocą Boga w dotarciu do niego i czystość Bożej natury, której jasność jest niewyrażalna. Ważnym zagadnieniem jest negatywne ujmowanie Boga, tzw. teologia apofatyczna – Eckhart nazywa Boga Nicością w znaczeniu, że nie jest On niczym z tego, czym Go nazywamy.

Czytanie Mistrza z Hochheim to wspaniała przygoda.

K.M.

Mistrz Eckhart, *Dzieła wszystkie*, tom I, przełożył Wiesław Szymona OP, Wydawnictwo W drodze, Poznań 2013

Teologia niemiecka kojarzy się z *Nasładowaniem Chrystusa* Tomasza a Kempis i jest jedną z najniezwyklejszych książek, jakie przeczytałem w ostatnim czasie. To anonimowy traktat

mistyczny przypisywany Krzyżakowi, który żył w XIV wieku we Frankfurcie nad Menem i nazwany został Frankfurtczykiem. *Teologię* wydał w XVI wieku i to dwukrotnie Luter, wielki jej admirator i egzegeta, natomiast Schopenhauer zestawiał jej autora z Platonem i Buddą. Tak Luter napisał w *Przedmowie*: „Mówię to dlatego, że chcę ostrzec każdego, kto będzie czytać tę książeczkę, żeby nie przyniósł sobie szkody i nie złożył się na słaby niemiecki lub na nieozdobre słowa. Ta szlachetna książeczka bowiem, jak jest uboga i nieujmująca co do słów i ludzkiej mądrości, tak jest w tym samym stopniu i jeszcze bardziej bogata i drogocenna co do wiedzy i bożej mądrości. Tak że stosownie do mojej starej głupoty szczycę się tym, iż obok Biblii i Augustyna nie przytrafiła mi się żadna książka, z której nauczyłem się więcej i wciąż chcę się uczyć, czym jest Bóg, Chrystus, człowiek i wszystkie rzeczy. (...) Dziękuję Bogu, że w języku niemieckim Boga mego słyszę i odnajduję w taki sposób, w jaki ja, a wraz ze mną oni, nie odnaleźliśmy go dotąd ani w języku łacińskim, greckim, ani hebrajskim”. Tekst powstał w kręgu tzw. mistyki nadreńskiej, której głównymi przedstawicielami są Mistrz Eckhart, Suzo i Tauler, a jego polski przekład ukazuje się po raz pierwszy.

Traktat składa się z pięćdziesięciu trzech dłuższych i krótszych fragmentów, które natchnione jednym du-

chem układają się w przejmującą całość. Rozdział pierwszy dotyczy tego, czym są części a czym jest to, co jest doskonałe. W następnych znajdują się rozważania o grzechu, dobrze i przywłaszczaniu, o duszy, szczęśliwości i ludziach doskonałych, o otchłani, królestwie niebieskim i prawdziwym wewnętrznym spokoju, o życiu Jezusa i zasadzkach diabła, o tym, co prawdziwe i o tym, co fałszywe, o ubóstwie ducha i pokorze, o człowieku wewnętrznym i człowieku zewnętrznym, o przeobstwie, rodzajach woli i miłości, o dwojakim świetle i poznaniu, o prawdzie, wiedzy i doświadczeniu.

Jest w tej książeczce wiele wspa-
niałych i niezwykle pożytecznych fra-
gmentów i zapisów, poprzez które wi-
dać wielkość i nędzę ludzkiego żywo-
ta, a przy pierwszej lekturze najwięk-
sze wrażenie zrobił na mnie rozdział
dwudziesty drugi pt. *O tym że czasami
władą człowiekiem Duch Boży i ma go
w swojej mocy, i także zły duch.*

K.M.

Frankfurtczyk, *Teologia niemiecka*, przełożył
i przypisami opatrzył Piotr Augustyniak, „Klasy-
cy filozofii niemieckiej”, Fundacja Augusta hra-
biego Cieszkowskiego, Warszawa 2013

Obszerna prezentacja rozwoju iko-
nografii, sztuki i architektury chrześci-
jańskiej na przestrzeni wieków: setki
syntetycznych haseł, które mimo róż-
norodności i nierównej długości, bo

są krótkie i obszernie, wręcz monogra-
ficzne, układają się w spójną i żywą ca-
łość. Ważną pomocą w tym labiryncie
są odsyłacze, indeksy, wskazówki oraz
obszerna literatura przedmiotu. Teksty
uświetnia bogaty materiał ilustracy-
jny: fotografie, rzuty, przekroje, pla-
ny, reprodukcje, rysunki.

Przyglądamy się znakom, i kon-
tekstom, obserwujemy dialog między
tradycją a nowością, wpatrujemy się
w obrazy i symbole, widzimy transcen-
dencję i piękno, sztukę, historię, wiarę
i kulturę w jednym, jakże duchowo i ar-
tystycznie bogatym splocie.

M.W.

Nowy leksykon sztuki chrześcijańskiej, redakcja
naukowa Liana Castelfranchi, Maria Antonietta
Crippa, Wydawnictwo „Jedność”, Kielce 2013

Wydawca:

Wojewódzki Ośrodek Kultury i Sztuki w Bydgoszczy przy finansowej pomocy
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

**Adres redakcji:**

85-033 Bydgoszcz, plac Kościeleckich 6
tel./fax 52 585 15 06;
e-mail: kwartalnik@wok.bydgoszcz.com
www.kwartalnik.art.pl
87-100 Toruń, ul. Podmurna 60
tel. 56 622 20 65

Prenumerata: Ewa Krupa, tel. 52 585 15 04
Korekta: Barbara Laskowska

Projekt okładki: Ewa Bathelier

Warunki prenumeraty:

Cena rocznej prenumeraty „Kwartalnika Artystycznego”:

- krajowej – 40 zł
- zagranicznej – 20 USD / 15 EUR

Cena egzemplarza archiwalnego (wraz z wysyłką):

- krajowa – 12 zł
- zagraniczna – 10 USD / 8 EUR

Wpłaty prosimy kierować na konto:

PKO SA II Oddział Bydgoszcz 68 1240 3493 1111 0000 4305 7874 „Kwartalnik Artystyczny”

*Redakcja „Kwartalnika Artystycznego” serdecznie dziękuje
Urzędowi Marszałkowskiemu Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu
i Gminie Miasta Toruń za pomoc finansową*



Województwo
Kujawsko-Pomorskie



Miasto
Toruń

Nakład 600 egzemplarzy

Skład, łamanie, druk i oprawa: PPU MULTIGRAF s.c.
ul. Bielicka 76 C, 85-135 Bydgoszcz, tel./fax 52 340 41 37

N O W E

Biuro Literackie

Justyna Bargielska, *Bach for my baby*, wydanie drugie, zmienione i rozszerzone, Wrocław 2013

Jorie Graham, *Prześwity. Wiersze wybrane (1980–2012)*, przekład Miłosz Biedrzycki i Ewa Chruściel, Wrocław 2013

Krzysztof Jaworski, *Do szpiku kości*, Wrocław 2013

Anna Kamińska, *Rzeczy małe*, wybór i posłowie Bogusław Kierc, seria 44. *Poezja polska od nowa*, tom 10, Wrocław 2013

Tymoteusz Karpowicz, *Dzieła zebrane*, tom 3, redakcja Jan Stolarczyk, Wrocław 2013

Anna Świrszczyńska, *Kona ostatni człowiek*, wybór i posłowie Konrad Góra, seria 44. *Poezja polska od nowa*, tom 11, Wrocław 2013

Fundacja Zeszytów Literackich

Matteo Collura, *Na Sycylii*, tłumaczenie i posłowie Joanna Ugniewska, seria *Podróże*, redaktor serii Marek Zagańczyk, Warszawa 2013

Tomasz Różycki, *Tomi. Notatki z miejsca postoju*, seria *Podróże*, redaktor serii Marek Zagańczyk, Warszawa 2013

Państwowy Instytut Wydawniczy w likwidacji

Stanisław Ignacy Witkiewicz, *622 upadki Bunga, czyli Demoniczna kobieta*, z ilustracjami autora, wstęp i opracowanie Anna Micińska, posłowie Janusz Degler, Warszawa 2013

Tomas Venclova, *Wilno. Przewodnik biograficzny*, przełożyła Beata Piasecka, Warszawa 2013

Wydawnictwo Austeria

Adam Wodnicki, *Arlete. Obrazki z niemiejsca*, Kraków–Budapeszt 2013

K S I A Ź K I

Wydawnictwo Czeskie Klimaty

Jaroslav Rudiš, *Koniec punku w Helsinkach*, przełożyła Katarzyna Dudzic, Wrocław 2013

Wydawnictwo Forma

Anna Frajllich, *Łódź jest i jest przystanią*, Szczecin Bezzręcze 2013

Andrzej Skrendo, *Falowanie nowoczesności. Szkice krytyczne*, Szczecin Bezzręcze 2013

Wydawnictwo Instytutu Badań Literackich

Mieczysław Piotrowski, *Czerwona piłka. Dramaty*, wybór i wstęp Adam Wiedemann, opracowanie tekstów Blanka Mieszkowska, seria *Dramat polski. Reaktywacja*, redaktorzy naukowcy serii Artur Grabowski i Jacek Kopciński, Warszawa 2012

Wydawnictwo Naukowe

Uniwersytetu Mikołaja Kopernika

Aleksander Głowczewski, *Komizm w literaturze. Studia w perspektywie komunikacyjnej*, Toruń 2013

Jerzy Lesław Ordan, *Wiosenne przesilenie*, Toruń 2013

Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego

Giovanni Boccaccio, *O słynnych kobietach*, przełożyli i opracowali Piotr Bańkowski, Inga Grześczak, Agnieszka Szopińska, Biblioteka Renesansowa Instytutu Filologii Klasycznej UW pod redakcją Włodzimierza Olszańca i Krzysztofa Rzepkowskiego, tom III, Warszawa 2013

Wydawnictwo Wojewódzkiej

Biblioteki Publicznej

i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu

Rafał Skonieczny, *Przeniesiony człowiek*, Biblioteka Poezji Współczesnej, tom 65, redaktor serii Mariusz Grzebalski, Poznań 2013

poezja
proza
esej
dzienniki
listy
rozmowy
recenzje
noty o książkach
numery
monograficzne
najwybitniejsi
pisarze
współcześni

kwartalnik.art.pl

**KWARTALNIK
ARTYSTYCZNY**

„... jest pismem,
na które zawsze czekam”
Wiśława Szymborska

„...to pismo niezastąpione...”
Krystyna Zachwatowicz
Andrzej Wajda

„... jest jednym z najważniejszych
pism literackich w Polsce”
Michał Głowiński

„...druk w tym piśmie
uważam za wyróżnienie”
Julia Hartwig

ISSN 1232-2105



9 771232 210307

03

INDEKS 36294

CENA 11 zł (w tym 5% VAT)